

Cathy Maxwell

# *Wdówka*

# Prolog

Londyn 1813

Wdowieństwo służyło lady Caroline wspaniale,

Jej zmarły mąż Trumbull nie widział żadnej różnicy między żoną a koźmi, chociaż Caroline przypuszczała, że wierzchowce traktował o wiele lepiej niż ją. Ich ślub był wydarzeniem sezonu, ona jednak uważała, że jej małżeństwo było wielką pomyłką.

Kiedy zatem Trumbull w wieku trzydziestu czterech lat zadławił się śmiertelnie kością kurczaka w czasie walk kogutów, na które wybrał się z kolegami, Caroline z przyjemnością włożyła wdowie szaty i zaczęła się rozkoszować z trudem zapracowanym spokojem.

Przez trzy lata po śmierci męża unikała jego rodziny jak ognia, utrzymując się z niewielkiej sumy pieniędzy, która jej przypadła, uzupełnianej skromną płacą nauczycielki na pensji dla panien z dobrych domów, prowadzonej przez pannę Elmhart. Żyła spokojnie, jak przystało damie z towarzystwa. Czasami tylko miała serdecznie dość monotonii kolejnych dni. Czego jednak można było oczekiwać od kobiety, która owdowiała w tak młodym wieku? Wiele lat temu wytłumaczyła sobie, że życie rzadko spełnia oczekiwania.

Niestety, w tym dniu, w którym skończyła trzydzieści lat, uczucie pustki w jej życiu powróciło ze zdwojoną siłą. Trzydziestka oznaczała koniec młodości, połowę drogi między narodzinami a śmiercią. Jaka czekała ją przyszłość? Przeróżająca nuda, samotność i... brak poczucia własnej wartości.

Oczywiście, gdyby miała dzieci, potrafiłyby zapełnić pustkę, ale Caroline była bezpłodna. W ciągu siedmiu lat małżeństwa nie udało się jej zająć w ciążę. Po dwóch latach Trumbull dzień w dzień zaczął wypominać jej gorzko, że jest nic niewarta. Nie było dla niego ważne: że żona została wprowadzona na królewski dwór, że podziwiano ją za znajomość języka francuskiego i łaciny, że potrafiła wspaniale prowadzić dom i ulegać wszystkim fanaberiom męża. Liczyło się tylko to, że nie może urodzić dziecka, a on już potrafił przekonać rodzinę i znajomych, że brak dziedzica jest jej winą, a nie jego.

Rozsądna, wrażliwa Caroline, która zawsze starała się respektować reguły gry, tym razem przegrała.

Tej nocy, skończywszy trzydzieści lat, leżała w łóżku i zanosila się płaczem. Był to szloch spowodowany gniewem, rozczarowaniem i smutkiem. Od czasu będącego grą pozorów małżeństwa ani razu nie pozwoliła sobie na takie zachowanie. Dlatego długo nie mogła usnąć i obudziła się następnego dnia późno, z ciężką głową, zmęczona i chora. Było to prawdziwe nieszczęście, zwłaszcza że tego dnia miało odmienić się całe jej życie ...

# 1

- Co to znaczy, że straciłeś tytuł własności mojego domu? - Caroline przestała zdejmować rękawiczki i spojrzała na Freddiego Pearsona, brata Trombulla i dziedzica majątku. Wydawało się jej, że źle go zroszczyła.

Właśnie wróciła z pensji panny Elmhart i natknęła się na szwagra, czekającego na nią niecierpliwie w saloniku. Oznajmił jej, że musi porozmawiać z nią w sprawie "poważnej i niecierpiącej zwłoki". Nie była tym zdziwiona. Freddie rzadko ją odwiedzał, a i to jedynie po to, by skrytykować jej styl życia albo zawiadomić o śmierci któregoś z członków licznej rodziny Pearsonów.

Jednak w najkoszarniejszych snach nie potrafiłaby sobie wyobrazić, że chciałby ją wyeksmitować z jej własnego domu.

Freddie poruszył się niespokojnie, nie przyzwyczajony do tego, by ktoś przeciwstawiał mu się tak otwarcie. Nie obeszło jej to wcale.

- To sprawa honorowa - powiedział wreszcie, co miało wyjaśniać wszystkie jego idiotyczne poczynania.

Ale to nie mogło wystarczyć Caroline. Nie dzisiaj.

- Sprawa honorowa - powtórzyła nie dowierzając. Położyła rękawiczki na sekretarzyku i śmiało spojrzała w oczy swemu wymuskanemu szwagierkowi. - Zabicie kogoś z pistoletu w pojedynku może być sprawą honorową. Przegranie w karty wielkiej fortuny, w tym mojego domu, to czysta głupota.

- Ależ posłuchaj, Caroline - zaperzył się Freddie. - Ty nic nie rozumiesz. - Obciągnął poły kamizelki w zielono-białe paski, która wydawała się dla niego nieco za ciasna. - To są sprawy między mężczyznami.

- Co tu jest do rozumienia? - Zrobiła krok w jego kierunku. Z zadowoleniem zauważyła, że cofnął się, ale nie miała zamiaru pozwolić mu uciec. Zaczęła postępować za nim wzdłuż pokrytych drewnem ścian salonu, jednocześnie podnosząc z każdym zdaniem coraz bardziej głos. - Przypominam, że Trumbull zostawił dom mnie. Ty i wasz nieudolny prawnik okropnie pogmatwaliście sprawę tego domu, mimo moich ciągle powtarzających się próśb, by wreszcie załatwić to uczciwie i należycie. Trwało to ponad trzy lata! Co więcej, grając w karty, nie tylko sam doprowadziłeś się do ruiny, ale również ja straciłam przez ciebie dach nad głową. Widzisz więc, że wszystko zroszczyłam.

Freddie cofał się przed nią, aż wreszcie został przyparty do ściany. Uświadomił sobie, że cały czas bezwiednie przed nią uciekał. Wyprostował się dumnie. Był przystojnym mężczyzną o kręconych jasnych włosach i błękitnych oczach, o wiele przystojniejszym od swego brata. Ale obydwoj byli tak samo próżni i tak samo trudno było z nimi wytrzymać.

- Nie przyszedłem tu, by się tłumaczyć - powiedział wielce oburzony. - Powód mojej wizyty jest zupełnie inny. Mama i ja doszliśmy do wniosku, że nie powinnaś mieszkać sama. Zwłaszcza teraz, kiedy zmieniły się okoliczności, zdecydowaliśmy, że przeprowadzisz się do niej. Potrzebuje towarzystwa, a obydwie świetnie się dogadujecie.

- Świetnie się dogadujemy? Freddie, twoja matka i ja potrafimy wytrzymać w swym towarzystwie zaledwie piętnaście minut. - Caroline na wspomnienie Lucindy Pearson i jej świata wypełnionego lekarstwami, ziołami i przegrzаныmi pokojami wzruszyła ramionami.

Freddie powoli zaczął przesuwając się wzdłuż ściany w kierunku drzwi. Caroline stanęła na jego drodze.

- A co z Minervą? - spytała. Starsza pani była ciotką Trombulla, która obecnie mieszkała z Caroline.

- Przecież wiesz, że jesteś jedyną osobą z naszej rodziny, która utrzymuje z nią stosunki - odparł sztywno. - Wszyscy przestali ją uznawać już wiele lat temu. Nie powinna była w ogóle wracać z Włoch.

- Ależ to twoja ciotka! Nie możesz tak po prostu wyrzucić jej na ulicę.

- Nie może mieszkać z mamą. Mama nie wybaczyła jej, że wylała na jej dworską suknię wino.

- Freddie, to zdarzyło się trzydzieści parę lat temu.

- Mama ma bardzo dobrą pamięć.

Caroline dobrze o tym wiedziała, wiedziała również, że prędzej wybierze życie w przytułku, niż zamieszka z lady Lucindą Pearson jako dama do towarzystwa.

Freddie, wykorzystując jej zamyślenie, obszedł ją dookoła i sięgnął do klamki. Szybko oparła się całym ciałem o drzwi, odpychając go ręką, by w ten sposób uniemożliwić mu ucieczkę.

- Słuchaj. - Zmusiła się, by jej głos zabrzmiał w miarę przyjacielsko. - Sądzę, że jest jedno wyjście. Musisz odwiedzić tego człowieka, który wygrał od ciebie majątek ... - Przerwała. - Jak on się nazywa?

- Ferrington. James Ferrington.

- Nie słyszałam o nim.

- Niedawno przyjechał do miasta. To bogacz przybyły z Indii. Jest nieprzyzwoicie bogaty - dodał gorzko. - Właśnie kupił jeden z nowo zbudowanych domów przy Park Square. W cisnął się do towarzystwa i teraz wszyscy skaczą wokół niego jak salonowe pieski. Wiesz, że został nawet członkiem Four in Hand. - Był to ekskluzywny klub jeździecki. - Całe lata zabiegałem o to członkostwo. Nie potrafię nawet obliczyć, ile pieniędzy wydałem nie tylko na sprzęt, ale również na obiady dla różnych podejrzanych typów, by tylko rozpatrzyli moją sprawę. I co z tego wynikło? Nic. Świetnie się bawili, ale bynajmniej nie spełnili moich prośb, A ten Ferrington, który jest jakimś awanturnikiem, tylko pokazał się w Londynie i w ciągu dwóch tygodni dopuścili go do pierwszej gonitwy w Salt Hill. Oczywiście podejrzewam, że jego rodzina ma wystarczającą pozycję, chociaż z tego, co wiem, jest on jedynie synalkiem jakiegoś właściciela ziemskiego z Kentu. A jak popisuje się swym bogactwem! Słyszałem, że ten gałgan wydał tysiąc gwinei, by na czas mieć przygotowany strój do konnej jazdy, Rozrzuca pieniądze po prostu ot, tak sobie! - Pstryknął palcami, - Bez namysłu wydaje krocie.

Caroline chętnie wykorzystwała zwierzenia szwagra.

- Tym lepiej. Ten pan Ferrington nie potrzebuje więc ani twojej fortuny, ani mojego domu. Musisz złożyć mu wizytę i wyjaśnić, że zaszła pomyłka. Poprosisz go, aby zwrócił moją własność.

Spojrzał na nią wstrząśnięty, unosząc wysoko brwi,

- Ależ, co ty mi proponujesz?

- Nie patrz na mnie tak, jakbym cię namawiała, żebyś szedł kopać rowy. Nie miałeś prawa przegrać mojej własności. - Caroline uważała, że także większa część majątku, który przegrał, należała do niej.

Po śmierci rodziców z rozczarowaniem dowiedziała się, że ojciec nie zapisał jej swego majątku, ale wszystko zostawił Trumbullowi. Freddie odziedziczył go po śmierci brata. Myśl, że została roztrwoniona tak olbrzymia fortuna, doprowadzała ją do wściekłości.

- Freddie, jeśli pójdziesz do pana Ferringtona i wyjaśnisz mu całą sytuację, jestem pewna, że odda mi mój dom. - Starła się powiedzieć to bardzo przekonującym tonem.

- Nie zrobię czegoś takiego.

- A dlaczego? - spytała.

- Ponieważ to jest niezgodne z nakazami honoru - powiedział w charakterystyczny dla siebie sposób, podkreślając każdą sylabę, co doprowadzało ją do wściekłości za każdym razem, gdy to słyszała. - Dżentelmen nie wymiguje się od regulowania długów. Tak jak nie wywleka publicznie spraw rodzinnych.

- Nie - oparła gorzko. - Za to dżentelmen potrafi bez zastanowienia wyrzucić na ulicę szwagierkę i ciotkę.

Trafiła w sedno. Mężczyzna zaczął poruszać bezgłośnie ustami jak ryba. Caroline uniosła dumnie czoło, gotowa odeprzeć jego atak. Przestała już zwracać uwagę na bolącą głowę i oczy cierpiące z powodu niewyspania. Była wręcz zadowolona ze swego stanu. Może dzięki temu wyrzuci wreszcie z siebie, co myśli o aroganckich członkach rodziny męża.

Zamiast jednak podjąć wyzwanie, jak tego chciała, Freddie cofnął się o krok. Po kilku sekundach wziął się w garść i zwrócił się do niej sztywno i oficjalnie, jakby byli dwojgiem nieznajomych, którzy spotkali się na przyjęciu.

- Przykro mi, że tak to odebrałaś. - Znów obciągnął kamizelkę. Caroline przejrzała tę typową dla Pearsonów taktykę. Najpierw zaczynali zachowywać się oficjalnie, potem wycofywali się i wszystko stawało w martwym punkcie. Trumbull przez lata zbywał ją w taki sam sposób.

- Nie masz więc zamiaru z nim porozmawiać?

Nie odpowiedział, ale też nie musiał tego robić. Pierwsza fala zdenerwowania, wywołana nową sytuacją, zaczęła powoli opadać. Jej miejsce zajęło gniewne rozczarowanie. Caroline odeszła od drzwi, czując, że musi się odsunąć od Freddiego.

Zrobiła wielki błąd.

Bez chwili wahania Freddie pomknął do wyjścia, złapał za klamkę i wyleciał z pokoju, zanim zorientowała się, co zrobił. Dopadła do drzwi i próbowała je otworzyć, by za nim pobiec. Nie ustąpiły, chociaż w drzwiach nie było zamka! Nagle zdała sobie sprawę, że szwagier blokuje je z drugiej strony.

Walnęła w nie pięścią.

- Freddie, otwieraj! Słyszysz? Otwórz w tej chwili.

-Wróć za trzy dni, by przewieźć twoje rzeczy do mamy - dotarła do niej jego przytłumiona odpowiedź. - Radzę, byś się zaczęła pakować już teraz.

Caroline jeszcze raz walnęła pięścią.

- Nie mam zamiaru się wyprowadzać. Słyszysz? Nie chcę mieszkać z twoją matką.

- Zdajesz sobie chyba sprawę z tego, że nadal jesteś atrakcyjną kobietą. Chociaż ostatnio nieco za bardzo zhardtowałaś. Może mamie uda się nawet znaleźć dla ciebie męża.

Tego było już dla niej za wiele!

- Nie chcę żadnego męża. - Zaczęła walić w drzwi, podkreślając w ten sposób każde słowo. - Chcę ... z powrotem ... mój ... dom.

Żadnej odpowiedzi.

- Freddie! - krzyknęła. Jaka szkoda, że była damą i nie mogła mu powiedzieć dosadnie, co o nim myśli. Zapłonęła gwałtownym, żywym gniewem na Freddiego, jego głupotę, zasady, które pozwalały mężczyznom mieć całą władzę. A właśnie, że nie musi zachowywać się jak dama. Nigdy więcej. Poza tym, ma już na karku trzydziestkę. Uniosła głowę i powiedziała wyraźnie to, co miała na języku.

- Niech cię cholera, Freddie. Słyszysz? Niech cię cholera!

Znów żadnej reakcji. Pod wpływem nagłego podejrzenia Caroline złapała za klamkę. Przekreśliła się łatwo. Szwagier uciekł!

Otworzyła drzwi. Zniknął. O kilka kroków od salonu zobaczyła otwarte szeroko drzwi wejściowe. Ujrzała, jak jej tchórzliwy szwagier wskakuje do faetonu. Rzuciła się za nim, ale zatrzymały ją fałdy sukni, krępując jej ruchy. Wystarczyło jedno machnięcie batem, i Freddie odjechał gniadoszami w dół ulicy.

No dobrze, miał szczęście umykając jej sprzed oczu. Przymknęła sobie jednak, że gdy tylko się pokaże za trzy dni, wtedy ona ... ona... . Prawdę mówiąc, nie miała pojęcia, co robi. Co może zrobić? Gdy zdała sobie z tego sprawę, zniknęła cała jej dumna postawa, pieczołowicie wypracowany spokój ducha, zdecydowanie.

Jednego była pewna, nie miała zamiaru się pakować. Musi znaleźć się jakiś sposób, by zatrzymać dom.

## 2

- Czy coś się stało, lady Pearson?

Caroline szybko otarła gorzkie łzy, wywołane gniewem. Odwróciła się do Jaspera, który trzymał w ręku kapelusz Freddiego. Służący spojrział na nią nieco zakłopotany.

- Lord Pearson wyszedł bez kapelusza - wyjaśnił. Peruka poruszyła się nieznacznie na jego łysej głowie, więc poprawił ją natychmiast.

Jasper zaczął pracować dla Caroline, gdy zamieszkała z nią Minerva, ciotka jej męża. Wiele lat temu, gdy dziadek Trumbulla wyrzekł się swej jedynej córki, Jasper wyjechał razem ze swą młodziutką panią. Był jej lokajem, pokojowcem, kucharzem i opiekunem. Teraz świadczył te same czynności Caroline, chociaż w zasadzie nie było jej stać na pensję dla niego. Był wobec niej tak samo opiekuńczy, jak ona wobec Minervy. Stanowili teraz jej jedyną rodzinę.

- Tak, stało się coś strasznego. - Zatrzasnęła drzwi i przesunęła lekko palcami po drewnianej framudze. To są jej drzwi i jej dom. Cholerny Freddie!

- Czy mogę w czymś pomóc?

Uśmiechnęła się do staruszka, wzruszona jego zainteresowaniem. Wyciągnęła do niego rękę, czekając, aż z wahaniem posłucha niemego zaproszenia i poda swoją dłoń. Co stanie się z nim i Minervą, gdy Freddie zmusi ich, by się wyprowadzili? Ucisnęła jego dłoń, jakby w dotyku szukając pocieszenia, wspartego jego życiowym doświadczeniem.

Ale on jedynie ufnie popatrzył brązowymi oczami i w przekrzywionej peruce czekał na decyzję lub jakieś polecenie. Ciężko westchnąwszy, z rezygnacją puściła jego rękę.

- Niestety, nie. Nie sądzę, by mógł nam pomóc ktokolwiek poza panem Ferringtonem. - Wypowiedziała to nazwisko z ironią w głosie. I nagle doznała olśnienia. Zrobiła krok i powtórzyła do siebie: - Poza panem Ferringtonem. - Tak jakby jednocześnie z wypowiedzianymi słowami w jej myślach formował się pewien plan.

Potrząsnęła głową. Nie, nie może.

Gdzieś na obrzeżach podświadomości pojawiła się nadzieja ... nie. To byłoby zbyt zuchwałe, zbyt śmiałe. A jednak ...

Oparła się o balustradę otaczającą schody prowadzące na górę, dotknęła wzoru wyrzeźbionego w drewnie. Znała i kochała każdy centymetr swego domu. Gdyby żył Trumbull, na pewno nazwałby go rudera. Może właśnie dlatego Caroline czuła się taka dumna ze swego stanu posiadania.

Dom urządziła starymi, nie używanymi meblami Pearsonów. W salonie, obok barokowego sekretarzyka, stały dwa krzesła z epoki elżbietańskiej. Wielki skórzany fotel ustawiony obok kominka został kupiony przez Lucindę Pearson, którą szybko znudził zdołający go wzór. Naprzeciwko znajdował się ulubiony mebel Caroline, pochodząca z czasów królowej Anny kanapa. O dziwo, ta mieszanka stylów wspaniale się uzupełniała, sprawiając, że pokój wyglądał wygodnie i przyjemnie, zwłaszcza kiedy do środka przez okna z wykuszem wpadły promienie porannego słońca, pogrążając pomieszczenie w złotej poświacie. Na górze znajdowały się trzy małe sypialnie: dla ewentualnego gościa, Minervy i pani domu.

Caroline uwielbiała swój pokój. Z jedyne okna rozciągał się widok na gałęzie wspaniałego starego wiązu. Kiedy nadchodziła wiosna, gałęzie pokrywały się zielonymi pączkami. Z nastaniem lata Caroline zachwycała się odcieniem zielonych liści, które jesienią przybierały wspaniałą złotą barwę. Zimą często przyglądała się księżycowi, wschodzącemu i przemierzającemu niebo, podczas gdy jej pokój znajdował się pod osłoną opiekuńczych gałęzi drzewa.

Czy potrafi stawić czoło temu Ferringtonowi, by zachować, swój dom?

- Tak!

Jasper aż podskoczył, słysząc jej nagły krzyk.

Nie potrzebuje Freddiego. Sama poprosi o zwrot prawa własności! W podnieceniu wykonała kilka kroków w salonie.

- Jasper, gdzie jest Minerva? - Strzeliła palcami, przypomniawszy sobie o ciotce.

- Wysłała do baronowej.

Minerva niemal każdy dzień spędzała u swoich przyjaciółek. Psiapsiółek, jak je nazywała Caroline. Każdą z nich charakteryzowała niezależna i ekscentryczna osobowość, a jednak przyjaźniły się od wielu lat i, jeśli wierzyć plotkom, ich przyjaźni nie zakłóciły nawet liczne skandale. Caroline sceptycznie odnosiła się do pogłosek. Minerva była dobrze wychowaną, wyrafinowaną i inteligentną kobietą, a mimo to, jak sama wyznała, została we Włoszech kochanką jakiegoś arystokraty. Po jego śmierci, gdy znalazła się bez pieniędzy, doszła do wniosku, że dość ma wygnania, i postanowiła wrócić do Anglii. Na tym jednak kończyły się jej wyznania, a Caroline nie chciała być zbyt ciekawska, wypytując o szczegóły. Trzy lata temu, kiedy zmarł Trumbull, poprosiła Minervę, by zamieszkała razem z nią. Przez cały ten czas Caroline była jednak zbyt pogrążona w poczuciu winy za niepowodzenia małżeńskie, by móc otworzyć się przed innymi. Rozumiejąc potrzebę intymności, Minerva nie zadawała żadnych pytań i nie osądzała jej postępowania. Wdzięczna Caroline odpłacała się tym samym i w ten sposób przeżyły razem spory szmat czasu.

Oczywiście Caroline była ciekawa, jaki to skandal w młodości Minervy spowodował, że została wydziedziczona. Jednak nie odważyła się o to zapytać. Pearsonowie także o tym nie mówili, nawet Lucinda.

Zresztą dla Caroline nie miało to zbyt dużego znaczenia. Żałowała tylko, że nie została obdarzona przez los takim poczuciem własnej wartości jak Minerva i nie miała jej pewności siebie.

Spojrzała na zegar stojący w holu. Kwadrans po piątej. Mniej więcej za godzinę Minerva wróci do domu. Może nieco później, jeśli ploteczki u przyjaciółek się przedłużą. To właściwie dobrze, że nie ma jej tu teraz. Caroline podjęła decyzję.

- Jasper, zawołaj dorożkę. Wychodzę z domu. A, znajdź mi jeszcze adres pana Jamesa Ferringtona. Mieszka gdzieś w okolicach Park Square. To nowy dom.

- Idzie pani z wizytą, lady Pearson? Teraz? Sama?

Zatrzymała się, słysząc te pytania. Rzadko wychodziła dalej niż do kościoła Świętego Marka, gdzie aktywnie uczestniczyła w akcjach dobroczynnych, lub na pensję panny Elmhart, gdzie uczyła historii. Nigdzie natomiast nie bywała z wizytami. A zwłaszcza nigdy nie składała wizyt w domu dżentelmena. I to sama.

Słychać było głośnie tykanie zegara stojącego na kominku. Przez otwarte okna salonu dochodziły ją odgłosy rozmowy sąsiadki z chłopcem od rzeźnika, który właśnie dostarczył zamówienie. Gdzieś zarżał koń. Pod oknem Szczebiotął ptaszek. Wszystko było wokół takie jak zwykle. Dlaczego więc czuje się, jakby dokonywała rewolucyjnego czynu? Dlatego że podjęła ważną decyzję, szepnęła wewnętrzny głos. Prawda, że szanujące się panny nie odwiedzają dżentelmenów w ich domach, ale ona nie była już panną. Była dojrzałą trzydziestoletnią kobietą. Sama zdecydowała o swoim życiu, tak jak Minerva. Nie ma więc powodów do łez, ubolewań nad sobą. Nie musi też mieć żadnej przywoitki. Kobieta po trzydziestce może odwiedzić mężczyznę w interesach. Minerva mogła. Poza tym, z ironią pomyślała Caroline, nie miała przecież zamiaru stać się filie de joi, wzorem Minervy, która wiele lat temu wywołała w ten sposób szok i przerażenie całej rodziny Pearsonów.

Myśl, że mogłaby zostać czyjąś utrzymanką, doprowadzała Caroline do ataków śmiechu. Po pierwsze, jej matka wstałaby z grobu na samą myśl o tym, że jej jedyne dziecko wstąpiło na drogę występku. Ponadto Caroline nie uważała się za wielką piękność, taką jak Minerva, a także nie miała jej witalności. Była przekonana, że kobieta, która chciałaby zostać czyjąś kochanką, powinna być osobą namiętą.

Kiedyś jej się wydawało, że wie, czym jest namiętność. Doznawała tego uczucia wobec Trumbulla, wiele lat temu, zanim się pobrali. Może gdyby go nie poślubiła ...

Odsunęła od siebie te niespodziewane wspomnienia.

-Tak, sama - odparła służącemu. - Mam sprawę do załatwienia. - Po tych słowach poczuła się lepiej. - Pospiesz się. To sprawa nie cierpiąca zwłoki.

Jasper uniósł brwi w niemym zdziwieniu, ale posłusznie zniknął, by wykonać polecenie. Caroline obserwowała go, jak wyszedł z domu, by przywołać dorożkę. Nic nie wiedziała o panu Ferringtonie. Jeśli choć trochę przypomina Trumbulla lub Freddiego, będzie zapewne uważał, że ma prawo zachować jej dom. Może ma żonę, która potrafi zrozumieć jej kłopotliwe położenie? Przedłożył jej swoją prośbę i w ten sposób uniknie bezpośredniego spotkania z panem Ferringtonem.

Nazwała się w myślach tchórzem. Jeśli kiedykolwiek powinna zachowywać się odważnie, to właśnie teraz nadeszła taka chwila. Nad jej głową wisiała przecież groźba spędzenia reszty życia w

towarzystwie Lucindy Pearson. Machnąwszy ręką na ostrożność i konwenanse, pomknęła po schodach do swego pokoju, by szybko przebrać się w swą najlepszą czarną suknię w stylu empire, ozdobioną jedynie dyskretnym białym kołnierzykiem. Włożyła ciemne buty z koźlej skóry i kapelusz, który nosiła na specjalne okazje. I welon. Długi, żałobny welon. Nigdy za mało ostrożności.



### 3

James Ferrington niecierpliwie bębnił palcami po błyszczącej powierzchni stołu, pracując zawzięcie nad danymi dotyczącymi statków, obliczeń finansowych i możliwości rynkowych.

Razem ze swym wspólnikiem, Danielem Harveyem, siedzieli w samych koszulach. Już kilka godzin spędzili w gabinecie, zajmując się całościowym opracowaniem zagadnienia. Postanowił, że do końca tygodnia cała jego flota wreszcie podniesie żagle, rozpoczynając największą operację, jakiej podjął się do tej pory. Nadal jednak miał kłopoty z otrzymaniem licencji, podobnie jak dziesięć miesięcy temu, kiedy zdecydował się rzucić wyzwanie Kompanii Wschodnioindyjskiej i włączyć się do handlu jedwabiem i przyprawami. Przeznaczył na tę ekspedycję większą część swej olbrzymiej fortuny oraz pieniądze licznych bogatych inwestorów. Nie miał zamiaru utracić takiego bogactwa.

- A więc uważasz, że nasze poczynania są blokowane? - Spojrzał ponad stołem na Daniela. Urzędnicy Kompanii Wschodnioindyjskiej usilnie pracowali, aby utrzymać swój monopol. Przecież nie mają go na wieczność. Prawda, że posiadają pieniądze, wpływy i władzę, ale on również nie jest ich pozbawiony. Pytanie brzmiało, czy jego wpływy są wystarczające, by mógł stawić im czoło.

- Byłoby pomocne w naszej sprawie, gdyby Lavenham wreszcie podjął decyzję, czy będzie na nas głosował. Z łatwością udałoby mu się przeciągnąć członków komisji na naszą stronę - zauważył Daniel.

James wstał czując, że musi wyprostować swe długie nogi. Lavenham. Wielce wpływowy lord Harold Stanbury, hrabia Lavenham. Z namysłem okrążył stół.

- Domyślam się, że twoje poranne spotkanie nie zakończyło się pomyślnie - nie dawał za wygraną Daniel.

James oparł się o brzeg stołu.

- Nie. - Wolałby wybrać się na konną przejażdżkę niż tkwić w gabinecie. Tego mu właśnie teraz potrzeba, długiej przejażdżki. - Widziałem się dziś z Lavenhamem. Nic jeszcze nie postanowił.

Następne pytanie Daniel zadał niezwykle delikatnie.

- W której sprawie? Twoich problemów z Izbą Lordów czy twoich oświadczeń?

- W obydwu. - James podniósł rejestr i przejrzał kilka kartek. - Jedno związane było z drugim. Cisnął księgę na stół. - Lavenham nie poprze mnie w żadnej z tych spraw, jeśli dojdzie do przekonania, że mu się to opłaca.

- Więc zapłaćmy mu za poparcie i zapomnijmy o tych śmiesznych oświadczeniach.

- A ja myślałem, że jesteś romantykiem, Danielu - zakpił z przyjaciela.

- Nie większym niż ty. Uważam jednak, że jeśli już mężczyzna ma się ożenić, może znaleźć ciekawszą kandydatkę niż Lena Stanbury. James, to prawie jeszcze dziecko. I ten jej głosik. .. Wzruszył drwiąco ramionami. - Tym swoim nieustannym seplenieniem doprowadza mnie do szaleństwa.

James skrzyżował ręce. Mówili już o tym wiele razy.

- To małżeństwo z rozsądku. Poza tym Lena jest atrakcyjną panną.

- Nie sądzę, nawet kiedy ma zamknięte usta. - Daniel wywrócił oczami.

- Nie jest taka zła ...

- Ma wyłupiaste oczy, zupełnie jak jeden z tych piesków, które jej matka zawsze ze sobą taszczy.

- W porządku. - James oderwał się od stołu. - Nie jest idealna, ale ja również taki nie jestem.

Mam już trzydzieści cztery lata i swoje przyzwyczajenia.

- Wychodzi, że mam rację - zgodził się ochoczo Daniel. - Jesteś dla niej za stary.

James puścił mimo uszu uwagę przyjaciela i zaczął wyliczać swoje wady.

- Jestem arogancki, apodyktyczny, chorobliwie ambitny ...

- Ale jak te wady można porównać z seplenieniem? - spytał Daniel lekceważąco.

- I chrapię - dokończył swojego wyliczenia.

- O, tak. To prawda.

- Ależ z pana impertynent, panie Harvey.

- Ale skuteczny, panie Ferrington, bardzo skuteczny. I gdyby stanęło na moim, obaj wypłynęlibyśmy na tych statkach do Indii. Tu jest tak cholernie zimno.

James poruszył się niespokojnie.

- Nie zgadzam się z tobą. Mnie to odpowiada. Nawet ta ciągła mżawka. To mój następny krok w kierunku podboju świata, Danielu. Możesz, jeśli chcesz, wracać do Indii. Ja zostaję tutaj.

- Razem walczyliśmy z piratami, sułtani nam się kłaniali w pas, uganiałiśmy się za kobietami, jakby pleć piękna stała się naszym nowym posłannictwem. A ty teraz mi mówisz, że chcesz podbić Londyn. Jaki masz na to sposób? Małżeństwo. - Ostatnie słowo wypowiedział tak, jakby miał w ustach coś gorzkiego. - Rozczarowałeś mnie.

- Któregoś dnia wszyscy powinniśmy dorosnąć.

- Nie ja.

- Cóż, mój czas właśnie nadszedł. Może cię to rozweseli, ale małżeństwo było pomysłem Lavenhama. Może sobie być hrabią, jest jednak goły jak święty turecki. Źle zainwestował pieniądze. Lena jest jego najmłodszym dzieckiem i tylko z jej udziałem może znów napęłnić kasę.

Daniel zaczął miotać pod nosem przekleństwami, lecz James przerwał mu ruchem ręki.

- Przyjąłem na siebie zobowiązanie, a wpływy takiego człowieka jak Lavenham mają swoją cenę. Związek z hrabią sprawi, że spółka Ferrington i Harvey stanie się jedną, z najbardziej wpływowych firm w Anglii. Zaczniemy kontrolować handel z Chinami i staniemy się bogaczami. Pamiętaj, jak marzyliśmy kiedyś o tym dniu, w czasach gdy wspólnie mieliśmy zaledwie kilka groszy.

- Nie przypominam sobie, abym marzył wtedy o sepleniącej żonie.

- Większość panien na wydaniu sepleni - przypomniał mu łagodnie James. - Taka teraz moda.

- To dlaczego Lavenham nie raczył jeszcze dać odpowiedzi?

- Ponieważ jego żona nie chce o tym w ogóle rozmawiać. Marzy jej się tytuł dla córki.

Jako lojalny przyjaciel, Daniel natychmiast wziął stronę Jamesa.

- Przecież pochodzisz z dobrej rodziny. Dorównujesz jej pochodzeniem, mimo braku tytułu.

- Hrabina uważa mnie za awanturnika - powiedział James, podkreślając ostatnie słowo z udanym przerażeniem.

Daniel przesłał mu leniwy uśmiešek.

- No cóż, w tym akurat ma rację.

- I co z tego. Lavenham nie otrzyma lepszej oferty małżeńskiej niż moja.

- Nie doceniasz wpływu tej matrony. Jeśli baronowa uzna, że nie jesteś wystarczająco dobrą partią, nic nie zmieni jej nastawienia.

- Chcesz się o to założyć?

- Nic z tego. - Daniel skrzywił się, jakby połknął coś kwaśnego. - Za każdym razem, gdy się o coś zakładamy, ty zawsze wygrywasz. A tym razem wyjątkowo nie chciałbym przegrać.

James roześmiał się. W czasie potyczki z beduińskim szejkiem uratował Daniela od sprzedaży na targu niewolników. Od tego momentu stali się nierozłączni. Ramię przy ramieniu walczyli i pracowali ciężko, by doprowadzić spółkę do świetnej pozycji. James doceniał rady przyjaciela w każdej kwestii oprócz tej jednej.

Daniel był zatwardziałym kawalerem, który co wieczór bawił się w towarzystwie coraz to innej aktoreczki i cieszył się jej swobodnym zachowaniem. Kiedyś James postępował podobnie. Jednak od momentu przybycia do Londynu odkrył, że tęskni za czymś zupełnie innym. Powrót do Anglii oznaczał powrót do domu. To, co powiedział o sobie, było prawdą. Doszedł do wieku, w którym mężczyzna pragnie się ustakować. Powinien założyć rodzinę, ożenić się i mieć dzieci, które przejmą jego interesy. Wypowiedział swoje myśli na głos.

- Możliwe, że zachowanie Leny jest beznadziejne, ale nie różni się ona niczym od innych kobiet z towarzystwa. Poza tym jest młoda i silna. Jeśli przypomina swoją matkę, będzie zdolna dać mi dużo dzieci. Hrabina urodziła dziewięcioro i wszystkie przeżyły. Lenę miała, kiedy dochodziła do czterdziestki. Nie każda kobieta potrafi tego dokonać.

- Czy my rozmawiamy o rozrodzie koni, czy o małżeństwie? - Daniel pochylił się na krześle. - Zdaję sobie sprawę, że nie jestem ekspertem w tej dziedzinie, ale małżeństwo nie polega jedynie na tym. Będziesz związany z tą kobietą do końca życia, każdego ranka przy śniadaniu będziesz patrzył na jej twarz nad stołem, a w nocy widział jej głowę na poduszce obok siebie. - Podniósł rękę dla podkreślenia słów. - W Anglii nie jest podobnie jak na Wschodzie. Nie można odesłać żony do rodziców. Tutaj; jak już ją poślubisz, jest twoja. Na wieki. Bez końca. Amen.

James usiadł za stołem i dopiero wtedy odpowiedział.

- W Anglii, drogi przyjacielu, już kiedy się jej oświadczysz, należy do ciebie, nawet jeśli nie ogłoszono zaręczyn. A więc spaliłem za sobą most. Jest już moja, chyba że odrzuci moje zaręczyny. Jest to raczej nieprawdopodobne, jeśli hrabia postawi na swoim. Jeśli mam się ożenić, powinna to być dobra inwestycja. Taka jest zasada Ferringtona - dodał z uśmiechem.

- Jeśli więc jest już twoja, a małżeństwo uważasz za świetny interes, dlaczego nie jesteś dzisiaj u nich na kolacji? Wybierałeś się tam przecież. - Daniel skrzyżował ręce, patrząc sceptycznie na przyjaciela.

James poczuł, że uśmiech zamiera mu na ustach. Zwrócił uwagę na rejestr leżący przed nim na stole.

- Mam już dosyć czekania na to, aż uda mu się ją przekonać. Musimy mieć jego poparcie przed Komisją Kontroli na spotkaniu w piątek. Poinformowałem go więc, że nie będę dzisiaj jadł z nimi kolacji. Może pomyśli, że przestało mnie to interesować, wówczas hrabina zacznie wreszcie zachowywać się rozsądnie.

- Wspaniale. Niech się martwią, że taka okazja ucieka im sprzed nosa.

- Albo ja się zacznę martwić tym, jak przekonać członków komisji i bankierów, nie mając jego poparcia.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Wejść! - krzyknął James.

Ciężkie drzwi na dobrze naoliwionych zawiasach otworzyły się cicho. Pojawił się w nich dostojnie wyglądający hinduski służący, ubrany w turban i czarno-biały strój, który James wybrał dla swej służby.

- Jakaś kobieta chce się z panem zobaczyć, sahib. - Hindus uklonił się nisko. - Czekaj w westybulu.

- Kobieta?

- Spytała najpierw o twoją żonę, sahib. Kiedy powiedziałem, że pani tego domu nie istnieje, poprosiła o widzenie z panem. Powiedziała, że musi koniecznie z nim pomówić.

James zamknął na chwilę oczy, zmuszając się do spokoju. Już widział, jak Daniel zaczyna się z niego naśmiewać.

- Czy przybyła w czyimś towarzystwie, Calleo?

- Sama, sahib. Jest ubrana jak wdowa.

- Aha, jeszcze jedna wdówka - zakpił Daniel.

Odkąd jego przyjaciel przybył do Londynu, pod drzwiami jego domu przedfilował cały korowód chętnych i skłonnych do romansu kobiet. Jedne były aktorkami, które pociągało jego bogactwo. Inne, pochodzące z dobrego towarzystwa, szukały nowego kochanka lub ucieczki od nudnego życia. Ciągłe był zaskakiwany bezpośredniością, z jaką starały się wzbudzić jego zainteresowanie. Jakaś baletnica z opery kazała się zanieść do jego domu schowana w dywanie, który został rozwinięty przed nim przez dwóch lokai przebranych w stroje wschodnie. Znużona żona starego księcia przekupiła służbę i naga czekała na niego w łóżku. Niektóre kobiety przychodziły przebrane za wdowy.

- Co robią pieniądze i świetny wygląd? - powiedział z westchnieniem Daniel.

- Czyżbyś był zazdrosny?

- Jestem. Pomyśl, jaki odniósłbym sukces, gdybym miał sześć stóp wzrostu i gęste czarne włosy. - Przesesał ręką swe rzadkie loki. - Twoje włosy to zmarnowana inwestycja. Myślisz tylko o budowie potęgi finansowej. Boli mnie, gdy widzę, jak odprawiasz od drzwi te wszystkie kobiety.

- To może ty spotkasz się z nią, zamiast mnie?

- Ależ to tobie przydałaby się jakaś rozrywka. Oderwij się na jedną noc od tych ksiąg i zabaw się trochę.

James nie miał ochoty na dyskusje z przyjacielem. Zwrócił się do służącego.

- Powiedz tej pani, że niestety w tej chwili jestem bardzo zajęty. Daj jej na dorożkę, aby mogła wrócić do domu.

Skupił się z powrotem na księgach, ale zauważył, że Calleo nie drgnął nawet, aby spełnić jego życzenie. Popatrzył na niego wyczekująco.

Calleo znów się skłonił.

- Przepraszam, sahib, ale uważam, że powinien pan wysłuchać tej kobiety.

- Coś specjalnego, Calleo? - Daniel uśmiechnął się domyślnie.

- Nie wiem. Ma na sobie długi żałobny welon.

Daniel zmarszczył brwi.

- To dlaczego uważasz, że jest w niej coś specjalnego?

- Karma - odparł służący.

Daniel spojrział na Jamesa, uniósłszy brwi ze zdziwienia. Calleo rzadko wyrażał swoje zdanie. Spotkali go pewnego dnia, kiedy z dżungli przyszedł jak gdyby nigdy nic do ich obozu. Wyglądał niczym obszarpaniec, ale zachowywał się isticie po królewsku. Z powodu jego świetnej angielszczyzny niektórzy podejrzewali, że był wypędzonym synem jakiegoś możnowładcy. James nigdy z nim o tym nie mówił. Od pierwszego dnia Calleo przylgnął do niego i wiernie mu służył. W czasie długiego pobytu na Wschodzie James nauczył się szacunku dla tajemniczych religii Orientu. Człowiek nie powinien przeciwstawiać się karmie. To słowo wypowiedziane w samym środku cywilizowanego Londynu nabierało jeszcze większej mocy.

Zmarszczył czoło. Niepotrzebna mu ta przerwa. Co najmniej do północy chciał popracować nad rejestrami, by dobrze przygotować się na wyznaczone przez komisję spotkanie w piątek.

- Za chwilę tam będę - powiedział, ledwo ukrywając irytację.

Calleo nie wykonał najmniejszego ruchu.

- Poczekam, sahib.

Chwilę przyglądał się służącemu. To nie było typowe dla niego zachowanie. Zwrócił się do Daniela:

- Zjesz ze mną dzisiaj kolację?

Daniel z udawanym namysłem przyglądał się swoim paznokciom, po czym odpowiedział:

- Niestety, umówiłem się już z pewną aktoreczką.

- Szczęściarż z ciebie.

- Przecież nie jesteś jeszcze żonaty. Przyjmij tę wdówkę. Zapomnij o lady Lenie. - Wzruszył ramionami, wymawiając imię dziewczyny. - Przynajmniej dzisiejszego wieczoru. Zabaw się z kobietą, która nie sepleni.

Ku zdziwieniu Jamesa, Calleo stanąwszy wyczekująco przy drzwiach, powiedział:

- To byłaby mądra decyzja, sahib.

- A więc, postanowione - Daniel roześmiał się. - Ty idziesz do wdówki, a ja zabawię się w towarzystwie tego rudzielca, którego każdego wieczoru oklaskują tłumy ludzi w Drury. - Wstał. - Widzimy się jutro? O tej samej porze, co zawsze?

Przyjaciel potrząsnął głową, naraz zaciekawiony czekającą na niego kobietą.

- Lepiej godzinę później. - Popatrzyli sobie w oczy. - Może czeka nas obydwu bardzo wyczerpująca noc.

- Mam wielką nadzieję - odparł Daniel, odkładając na półkę tomy rejestrów. - Rzucanie wyzwania Kompanii Wschodnioindyjskiej jest ciekawe, ale uwodzenie kobiet to o wiele bardziej ekscytujące zajęcie.

James musiał się z nim zgodzić. Dobrze byłoby spędzić przynajmniej jedną noc z kobietą, która wie, na czym polegają reguły gry, zamiast siedzieć u boku jakiegoś podlotka, który jeszcze nie obchodził dwudziestych urodzin. Zamknął księgę leżącą przed nim na biurku, wstał i sięgnął po żakiet. Wkładając go, ruszył do drzwi.

- Pomyślnych łowów - usłyszał. Serdeczny śmiech przyjaciela pobiegł za nim, kiedy znalazł się w obszernym holu wyłożonym czarno-białą posadzką, podążając za służącym do westybulu.

Dumny był ze swego domu, tak samo jak z utworzonej przez siebie firmy. Sam osobiście wybierał kolory, draperie, każdy mebel. W pewnym sensie obiekcje hrabiny Lavenham dotyczące jego osoby były uzasadnione. Obcy był mu snobizm arystokracji, a lata spędzone na Wschodzie nauczyły go, że mężczyzna powinien być rozliczany z tego, kim jest, a nie z tytułów i pozycji. Teraz jednak chodziło mu o to, by przekonać do siebie lady Lavenham. Na pewno się to uda. Zawsze wygrywał.

Calleo stanął wyczekująco przy podwójnych drzwiach westybulu.

- Czeka na ciebie w środku, sahib - powiedział, uroczyście otwierając drzwi, jakby był eunuchem, który przedstawia swemu panu harem.

James wszedł do środka. Okna pokoju wychodziły na ulicę. Po sali balowej, był największym pomieszczeniem w całym domu. Jego ściany wyłożono cienkim tekowym drewnem. Prawie całą podłogę przykrywał gruby dywan w czerwono złote wzory. Pomieszczenie zaprojektowano tak, aby

na gościach sprawiło wielkie wrażenie. James miał zamiar podbić całą Londyn, a wygląd tego pokoju świadczył o jego chęciach.

Dopiero po kilku sekundach udało mu się odszukać wzrokiem znajdującą się w tym obszernym salonie wdowę. Siedziała na samym brzeжку jednej ze złożonych sof. Calleo miał rację. W długim welonie bardziej przypominała czarny stóg siana niż kobietę. I co takiego specjalnego wyczuł w niej Calleo? Spojrzał z irytacją na stojącego w drzwiach służącego.

Kobieta, usłyszawszy kroki Jamesa, poderwała się natychmiast.

- Pan Ferrington? - spytała. Wypowiedziane niskim, matowym tonem słowa wywołały w nim nagłe pożądanie.

Skinął lekko głową i nagle stał się bardzo ostrożny. Powoli zdjęła z twarzy welon i odrzuciła go z wdziękiem do tyłu. James zatrzymał się w miejscu jak skamieniały.

Była piękna. Stanowiła uosobienie jego marzeń o kobiecości. Miała porcelanową, doskonałą cerę, a szare jak letnie jezioro w czasie burzy oczy ocieniały długie czarne rzęsy. Czerń żałoby tylko podkreślała doskonałą figurę z delikatnie zarysowanymi krągłościami. Bujnymi i pełnymi. Szerokie rondo kapelusza okalało ledwo widoczny owal twarzy. Nagle zapragnął, by zdjęła kapelusz. Chciał zobaczyć, jakiego koloru są jej włosy.

Wielkie nieba! Wspaniale wyglądałaby w jego łóżku.

- Tak, jestem James Ferrington - odparł zachrypniętym głosem i zatrzasnął za sobą energicznie drzwi.

## 4

Odgłos drzwi zamykających się za Jamesem Ferringtonem zabrzmiał dla niej złowieszczo. Po raz pierwszy Caroline była sama z mężczyzną, który nie był członkiem jej rodziny. Co więcej, James Ferrington zupełnie nie przypominał mężczyzny, którego spodziewała się tu spotkać. Nie był typowym, zapasionym Anglikiem. Przywodził jej na myśl badaczy, awanturników, korsarzy. Mężczyzn, którzy wiedzą, czego chcą, i śmiało dążą do celu. Każdy centymetr jego ciała promieniował siłą, opanowaniem, bogactwem. Tylko bardzo zamożny człowiek mógł sobie pozwolić na kupno i utrzymanie takiego domu.

Wszystko było tutaj w dobrym gatunku, od ozdobnych rzeźbionych nóżek otomany i medalionów na sufitach po butelkowo zielony żakiet opinający jego szerokie ramiona. Lśniące buty i obciskające uda spodnie kosztowały go zapewne więcej, niż wynosiła jej skromna nauczycielska pensja.

Przypomniała sobie, że przyszła tu załatwić bardzo ważną sprawę. Próbowwała odtworzyć słowa przygotowane w trakcie jazdy dorożką. Zamierzała otwarcie przedstawić cel swojej wizyty, tak jak postąpiłaby na jej miejscu na przykład żona duchownego. Miała również nadzieję, że uda jej się odwołać do wrażliwości jego żony, że nie będzie musiała widzieć się z nim osobiście. Nie był jednak żonaty.

Uniosła wzrok i kiedy zatrzymała go na jego twarzy, zaczerwieniła się z powodu swych myśli. Nagle uprzytomniła sobie, że patrzy w błyszczące najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziała u mężczyzny. Oczy o pięknym zielonym kolorze z połyskującymi złotymi refleksami. Stworzone do śmiechu i ... niemal rozbierające ją.

Olbrzymie pomieszczenie naraz stało się za ciasne. Z wysiłkiem próbowała zapanować nad sobą, co zazwyczaj udawało się jej w trudnych sytuacjach.

- Nazywam się Caroline Pearson. Jestem szwagierką Freddiego Pearsona.

- Freddiego Pearsona? - Mężczyzna jakby próbował przypomnieć sobie to nazwisko, coraz bardziej się do niej zbliżając. Z całej siły powstrzymała się, by się nie cofnąć. - Przykro mi, ale nie pamiętam. - Mówił głębokim, donośnym barytonem, który bardzo jej się podobał u mężczyzny.

- Grał pan z nim niedawno w karty. - Kiedy zauważyła, że mężczyzna nadal sobie nic nie przypomina, jej onieśmienie przekształciło się w irytację. - Wygrał pan - dodała wyjaśniająco.

Znow mogło się wydawać, że Ferrington próbuje coś sobie przypomnieć, ale potrząsnął głową.

- Przykro mi ... lady Pearson. - Zawiesił pytająco głos, jakby wahał się, czy poprawnie wymienił jej tytuł.

Krótko skinęła głową. Obdarzył ją zniewalającym uśmiechem. Pomyślała niemal ze złością, że to zbrodnia, aby mężczyzna miał tak czarujący uśmiech.

- Nie przypominam sobie, abym grał w karty z Freddiem Pearsonem - mówił dalej. - Bardzo często wygrywam - dodał niemal przeproszająco.

Ostatnie słowa sprawiły, że prysnęły myśli o jego pociągającym uśmiechu i surowej męskości.

- Nie pamięta pan? - zapytała z niedowierzaniem. - Jak można nie pamiętać, gdy wygrało się tak wielką fortunę?

- Gram dla przyjemności, lady Pearson, nie dla wygranej. - Wzruszył ramionami.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem, nie dowierzając, że można być aż tak bogatym, kiedy nie ma znaczenia, czy się wygrywa, czy przegrywa. Zapewne nie należał do ludzi, którzy zamartwiają się, czy starczy im, aby dać coś na tacę w kościele lub jak zapłacić rzeźnikowi za kawałek mięsa.

Z trudem zebrała rozproszone myśli.

- Przyszłam do pana właśnie w tej sprawie. - Westchnęła głęboko, próbując się opanować. Nie mogła nie zauważyć, że wraz z ruchem jej piersi oczy Ferringtona powędrowały dyskretnie, ale łakomie ku jej dekoltowi. Czy był aż tak bardzo podekscytowany jej obecnością jak ona? Myśl ta spowodowała, że zmysły w niej zawirowały, wywołując bynajmniej nie przykrą reakcję.

- O co konkretnie chodzi, lady Pearson? - spytał uprzejmie, męskim donośnym głosem, i znów obrzucił jej piersi dyskretnym, ale pełnym uznania spojrzeniem.

Nagle poczuła oblewający policzki rumieniec. Przywołała się do porządku. Jest dojrzałą kobietą. Ma już na karku trzydziestkę. Nie jest jakąś egzaltowaną panienką.

- Panie Ferrington, wygrywając z Freddie'm cały jego majątek, otrzymał pan między innymi prawo własności mojego domu, które się panu nie należało. To moja scheda po zmarłym mężu. Chcę, by mi została zwrócona - powiedziała jednym tchem. Ostatnie słowa niemal zawisły pomiędzy nimi w powietrzu.

-Ależ oczywiście.

Dopiero po dłuższej chwili Caroline uprzytomniła sobie, że zgodził się spełnić jej prośbę. Prawie się roześmiała ze szczęścia. Będzie mogła zatrzymać dom! Nie będzie musiała razem z Minervą stać się zależna od krewnych. Była tak uradowana, że miała ochotę zawirować w tańcu.

- Pod warunkiem, że zje pani ze mną kolację - dodał.

Cała jej radość zniknęła.

- Słucham?

- Proszę się nie niepokoić. - Zrobił krok w jej kierunku. Chociaż należała do rostrych kobiet, musiała zadzierać wysoko głowę, by spojrzeć mu prosto w oczy. - Proszę nie przestawać się uśmiechać. Wygląda pani uroczo.

Zmieszała się. Uśmiech natychmiast znikł z jej twarzy.

- Nie, błagam. Nie chciałem pani przestraszyć. - Ciepła barwa jego głosu działała na nią niemal hipnotycznie. Gotowa była przysiąc, że mówił to szczerze. - Nie jest pani przyzwyczajona do komplementów?

To chyba jakieś nieporozumienie! Caroline miała ochotę się roześmiać, ale w porę się powstrzymała. Choćby nie wiem jak kusząca, jego propozycja była niemożliwa do spełnienia. Potrząsnęła przecząco głową, patrząc w kierunku drzwi.

- Przykro mi, ale nie mogę. To nie byłoby właściwe ...- Wyciągnął przed siebie dłoń, chcąc powstrzymać ją przed dokończeniem słów.

- Nie. Proszę mi pozwolić jeszcze raz. - Cofnął się krok.

Caroline z ulgą powitała jego ruch, jakby nie potrafiła oddychać, gdy stał blisko niej. Wyprostował plecy niczym aktor przygotowujący się do odegrania roli. Udając, że odstawia kieliszek, powiedział ze znużoną kurtuazją: - Lady Pearson, okazało się, że jestem zmuszony zjeść dzisiejszą kolację sam. Czy nie uczyniłaby mi pani zaszczytu i nie przyłączyła się do mnie? - Wykonał efektowny skłon, udając zblazowanego kawalera.

Była to błazenada, ale bardzo zabawna. Caroline uśmiechnęła się do niego.

- Bardzo panią proszę - dodał już swoim głosem i wyciągnął ku niej rękę.

Spojrzała na nią, potem w jego roześmiane oczy.

- Teraz, kiedy wyciągnąłem do pani rękę, powinna pani dotknąć jej lekko koniuszkami palców - podpowiedział. - Zgodnie z zasadami tak czyni się w snobistycznym towarzystwie.

Potrząsnęła głową.

- Nie robi pan na mnie wrażenia snoba lub osoby przywiązującej wagę do tych zasad. Sądzę raczej, że należy pan do mężczyzn, którzy bawią się ich łamaniem.

Wesoły błysk jego oczu działał zaraźliwie.

-To prawda. A pani? Czy lubi pani łamać zasady?

Przez długą chwilę Caroline miała ochotę potwierdzić, ale nie zrobiła tego. Nie powinna.

Uchwycił jej wahanie.

- Mam nadzieję, że pani nie obraziłem. Nie cierpię jeść sam. To najbardziej samotne chwile w życiu człowieka, ale rozumiem ... Chodzi pani jeszcze w żałobie.

Cofnęła się przerażona. Mógł pomyśleć, że nie szanuje pamięci męża.

- Mój mąż zmarł kilka lat temu. Okres ciężkiej żałoby mam już za sobą. To znaczy nadal ubieram się na czarno, ale nie jestem już w żałobie - Jej głos załamał się.

- Miło mi to usłyszeć. A więc może pani zjeść ze mną kolację.

- Panie Ferrington. - Potrząsnęła głową. - To niemożliwe ...

- Ależ to jest możliwe.

Jej wzrok powędrował ku wyciągniętej ręce mężczyzny, a potem ku jego pięknej twarzy.

- To zbyt śmiałe jak dla mnie. - Jednak bardzo tego pragnęła.
- Nie oceniałbym tego w ten sposób.

Znów spojrzała na jego rękę. Byłoby miłe zasiąść do kolacji z kimś, kto nie jest ani Jasperem, ani Minervą. Poza tym Minerva często bawiła poza domem. Caroline wiele razy jadła w samotności u siebie na górze, kiedy sprawdzała rachunki dla walebnego Tiltona. Właściwie od lat nie była u nikogo z wizytą, ponieważ Trumbull nie lubił jadać poza domem, a przynajmniej nie lubił tego czynić z własną żoną.

Serce jej zabiło mocniej, gdy podjęła decyzję.

- Czy potem zwróci mi pan akt własności mojego domu?

- Daję na to słowo honoru. - Uśmiechnął się. - Będziemy tylko my dwoje, nikt się o tym nie dowie. Nie stanie się nic złego.

Miał rację. To przecież nic takiego. Z wahaniem dotknęła delikatnie jego dłoni.

Ku zaskoczeniu Caroline podniósł jej rękę do ust. Ruch ten spowodował, że nagle znalazła się bliżej niego. Delikatnie musnął końce jej nadal odzianych w rękawiczki palców. Uczucie leciutkiego mrowienia przebiegającego po ręce spowodowało, że wszystko w niej zadrżało.

- Zgadzam się - wyszeptała, nie rozpoznając swego głosu.

Gdy jego oczy rozjaśniły się ze szczęścia, poczuła się dziwnie uradowana, wiedząc, że to z jej powodu.

Nie dał jej czasu, by przemyślała swą pospieszną odpowiedź. Popchnął ją delikatnie w kierunku drzwi, otworzył je i zawołał:

- Calleo, lady Pearson zje ze mną kolację. Daj znać kucharzowi.

- Natychmiast, sahib - powiedział pospiesznie służący, głęboko się skłoniwszy. Zaklaskał w dłonie, by powtórzyć polecenie lokajom.

Caroline usłyszawszy ten dźwięk, jakby wyrwała się z odurzenia. Nagle zdała sobie sprawę, że przyjęła zaproszenie na kolację bez przyzwoitki od mężczyzny, którego prawie w ogóle nie zna.

Wpadła w panikę, lecz gdy odwrócił się do niej i obdarzył ją powolnym, życzliwym uśmiechem, natychmiast się uspokoiła. Wyglądał oszałamiająco. Był to najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek spotkała. Czuła, jak przyciąga ją do niego jakaś obezwładniająca siła.

Przecież to tylko wizyta w sprawie domu, upomniała się. Nie jestem już naiwną dziewczyną. Dam sobie radę.



## 5

Ferrington oparł się o framugę drzwi. Patrzył na nią z prawdziwą przyjemnością. Zauważył wahanie malujące się w jej niewiarygodnie pięknych oczach. Jeśli była awanturnicą, to bardzo nieśmiałą, albo też świetnie udawała. Użył całego swojego daru przekonywania, by przyjęła jego zaproszenie. Ze zdziwieniem uświadomił sobie, jak ważna stała się dla niego jej decyzja. Po raz pierwszy w życiu poczuł, że spotkał kobietę, która może stanowić dla niego wyzwanie.

- Czy lubi pani curry?

- Jeszcze nie jadłam tej potrawy.

- Jestem wręcz od niej uzależniony. Polubiłem ją, przebywając długo na Wschodzie. Mój kucharz przyrządza wyśmienite curry. Musi pani koniecznie spróbować.

- Tak, zapewne tak. - Uśmiechnęła się do niego prześlicznym, nieco ostrożnym uśmiechem, który spowodował, że z jego sercem zaczęły dziać się dziwne rzeczy.

Złapawszy się na tym, że wpatruje się w nią jak wół w malowane wrota, wyprostował się i odszedł od drzwi.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadza pani wczesna pora. Jadam zazwyczaj przed siódmą. Nie mogę się przyzwyczaić do późnych pór posiłków obowiązujących w Londynie.

- Ależ proszę nie mieć żadnych obiekcji. Zawsze kładę się wcześniej do łóżka. - Zaczerwieniła się, gdy zdała sobie sprawę z własnych słów. Nie był to udawany rumieniec, miał delikatny odcień, jaki przybierają obłoki, kiedy zaczyna zmierzchać. James uwierzył w jej szczerość.

Nagle zawładnęła nim niepohamowana duma. Ta piękna, wyrafinowana kobieta była jego odkryciem. Dziękował bogom, którzy mu ją zesłali. Będzie zabiegał o jej względy, zdobędzie ją, będzie ją chronił. Lady Pearson będzie należała do niego.

Nie, nie lady Pearson. Caroline, poprawił się. Ca-ro-line. Zaczął się zastanawiać, jaki kolor mają jej włosy.

- Czy zechce pani zdjąć kapelusz?

- Słucham? - Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nadal ma go na głowie. - Tak, oczywiście. - Rozwiązała wstążki i zaczęła ściągać nakrycie, ale utrudniał jej to welon.

- Proszę poczekać, pomogę pani. - Zrobił dwa kroki w jej kierunku za jej plecami, by pomóc unieść welon. Tak bardzo pragnął zobaczyć jej włosy. Czekał na to w napięciu.

Niestety, czarny tiul wplątał się w rondo kapelusza i wstążki. Mocując się z nim, wybuchnęli śmiechem. James zdał sobie sprawę, że stoi bardzo blisko niej. Jednak nie tak blisko, jak by sobie tego życzył. Spojrzał w jej głębokie szare oczy i doznał uczucia starego jak świat. Pocałuj ją, coś zaszepotało w jego wnętrzu. Bardzo tego pragnął. W tej chwili. Byłoby to jednak z jego strony posunięcie przedwczesne.

Jakby wyczuwając jego napięcie, odsunęła się do tyłu i uniosła ręce, by zdjąć z głowy kapelusz. James, któremu niemal zabrakło tchu w piersiach, nagle odetchnął z zadowoleniem. Jej włosy, splecione i upięte w kok, miały piękny odcień mahoni, a może raczej bardzo drogiego cynamonu. Fryzura uwydatniła smukłą linię szyi i delikatnej kobiecej sylwetki.

Boleśnie zapragnął dotknąć jej włosów, by sprawdzić, czy są tak jedwabiste, jak się wydają. Pragnął wyjąć z jej włosów szpilki, jedną po drugiej, by pukle opadły na ramiona i mógł je ujrzeć w całej okazałości. Chciał zobaczyć, dokąd sięgają i jak zakrywają jej ciało. Wyobraził sobie ją nagą, okrytą jedynie płaszczem włosów. Wyobrażenie było tak intensywnie erotyczne, że wszystko wokół wydało mu się przesycone pożądaniem.

- Szampana, sahib? - Głos służącego przywołał go do rzeczywistości. Calleo stanął w drzwiach, trzymając tacę z butelką i kieliszkami.

- Przecież nie prosiłem cię o to ...

- Nie, to ja prosiłem. - Daniel zabrał służącemu z tacy butelkę. Podniósł również kieliszek, by nalać sobie trochę szampana, gdy nagle jego wzrok padł na lady Pearson, nadal trzymającą w ręku kapelusz. Zamarł w bezruchu, gapiąc się na nią z otwartym podziwem. - A co my tutaj mamy? Calleo, weź od pani kapelusz. Musimy być pewni, że zostanie z nami.

Calleo spokojnie odstawił tacę i wzięwszy od Caroline kapelusz, wyszedł po cichu.

Zauważywszy żywe zainteresowanie przyjaciela, James stanął pomiędzy nim a swoim gościem. Wziął kieliszek i butelkę z rąk Daniela. Nalał nieco musującego trunku i podał kobiecie.

- Ten pan, lady Pearson, to mój wspólnik, Daniel Harvey. - Wziął z tacy następny kieliszek. - Proszę uważać. To nie tylko wyjątkowy drań, ale również notoryczny kłamca. Mądra kobieta powinna wystrzegać się takich ze wszystkich sił.

Daniel udał, że poczuł się boleśnie dotknięty.

- Lady Pearson, czy ja wyglądam na drania, chyba raczej na najbardziej uczciwego mężczyznę w tym pokoju. Jestem przecież niski i raczej korpulentny, podczas gdy James ze swymi czarnymi włosami i ciemną cerą przypomina pirata. - Wzruszył ramionami. - Są takie chwile, że nawet ja się go boję.

James uspokoił się, ujrawszy w jej oczach iskierki śmiechu. Wcześniej wydawała się tak spłoszona, jakby czekała tylko na jakąkolwiek wymówkę, pozwalającą na opuszczenie jego domu. Z zadowoleniem zobaczył, że bawi ją ich przekomarzanie się.

- Nie potrafię tego rozstrzygnąć, panie Harvey. Moja matka zawsze mi mówiła, że wszyscy mężczyźni kłamią. Każda mądra kobieta powinna o tym pamiętać.

- Wszyscy! - Daniel podszedł bliżej. - Proszę mnie nie ranić - rzekł tonem obrażonej niewinności. - Może James kłamie i wszyscy inni mężczyźni, ale nie ja. Jestem człowiekiem honoru.

- Który wybiera się właśnie na jakąś umówioną kolację - przypomniał mu przyjaciel.

- Mogę to odwołać.

- Nie sądzę, by to było rozsądne.

- Chciałbym usłyszeć, dlaczego lady Pearson uważa, że wszyscy mężczyźni to kłamcy. - Sięgnął po kieliszek, który trzymał przyjaciel, ale ten go cofnął.

Obydwaj odwrócili się do Caroline, usłyszawszy jej śmiech.

- Śmieje się z nas. - James spojrzał na Daniela.

- Nie po raz pierwszy kobieta się z nas naśmiewa.

- Mów za siebie. - James łyknął trochę szampana i spojrzał na nią. - Proszę nam wyjaśnić, lady Pearson, dlaczego uważa pani, że mężczyźni kłamią.

Otworzyła szeroko oczy.

- Och, nie robią tego rozmyślnie. Po prostu tak jest im łatwiej. Wystarczy, że kobieta zada mężczyźnie proste pytanie, a on najpierw zacznie się zastanawiać, co ona chciałaby usłyszeć. Jeśli uzna, że prawdę, wtedy mówi jej prawdę. Ale jeśli dojdzie do przeciwnego wniosku, powie jej to, co by chciała usłyszeć. Mężczyźni mają to wypisane na twarzy. Wzrok zaczyna im wtedy uciekać gdzieś w bok, a kąciki ust zaciskają się lekko i już wiadomo, że w głębi duszy zaczynają się ze sobą zmagać.

- Prawdziwy mężczyzna zawsze mówi kobiecie to, co chciałaby usłyszeć - powiedział lekko Daniel. - Nie widzę w tym nic złego.

-Ty nie - odparł James. - A co z kobietami? Czy one kłamią również?

- Kobiety nie kłamią - odparła z błyszczącymi oczami.

- Nigdy?

- Nigdy - zapewniła.

- Mhmm. Widzę, że czas, bym się zbierał, jeśli chcę zdążyć na kolację z kobietą, która jest o wiele bardziej łatwowierna i uwierzy we wszystkie moje kłamstwa. - Daniel skłonił się. - Było mi bardzo miło poznać panią.

- Mnie również, panie Harvey.

Obdarzyła go takim uśmiechem, że James zaczął się obawiać, iż przyjaciel zrezygnuje ze swoich planów i spędzi nieruchomo cały wieczór, wpatrując się w jego gościa. Popchnął go lekko w kierunku drzwi.

- Co? Ach, tak. Baw się dobrze, James. Zobaczymy się jutro.

- Dobrej nocy.

- Tak, tak, dobrej nocy. - Daniel jeszcze raz zerknął na uroczą lady Pearson, zanim wreszcie zamknęły się za nim drzwi.

James odwrócił się do niej. Zobaczył, że nie tknęła nawet szampana. Uniósł kieliszek.

- Za Anglię. - Nie mogła się przecież nie przyłączyć do takiego toastu.

Posmakowała nieco trunku i zaśmiała się.

- Co w nim takiego zabawnego?

- Bąbelki. Już zapomniałam, jakie to wrażenie.

Uśmiechnął się do niej, doznając uczucia równie upajającego jak szampan. Zapragnął dowiedzieć się o niej wszystkiego. Zarówno tego, jak to się stało, że stała się zależna od tego głupca Freddiego Pearsona, jak i tego, czy lubi jeść na śniadanie jajka.

Miała rację mówiąc, że mężczyźni kłamią. Już raz ją okłamał. Pamiętał dobrze Freddiego Pearsona, nadętego młokosa, który wyglądał jak Adonis, ale miał mózdzek osła. Wszyscy wiedzieli, że Pearson przegrał w karty prawie cały swój majątek. Wygrana Jamesa była tylko niewielką częścią tego, co kiedyś posiadał ten paniczyk. Być może, na jego wygraną składał się także akt własności domu. Nie oszukał jej. Dopilnuje, żeby otrzymała z powrotem dom, a do tego jeszcze doda swoją opiekę.

- Czy ma pani dzieci? - spytał nagle.

Żartobliwy, radosny wyraz znikł z jej twarzy. Nie żałował jednak rzuconego bezwiednie pytania, chociaż czuł, że zadał je w niewłaściwym momencie.

- Dlaczego pan o to pyta?

Zrobił się ostrożny. Jej pełne wdzięku i godności zachowanie sprawiło, że poczuł się zakłopotany, poruszając tak osobisty temat. Chciał jednak usłyszeć jej odpowiedź.

- Jestem po prostu ciekaw - odparł wymijająco.

Upiła nieco szampana, zanim padła jej cicha odpowiedź.

- Nie. Nie mam dzieci.

Prawie roześmiał się z ulgą. Dzieci zawsze utrudniają romans. Nie stawał się przez to niemożliwy, ale po prostu był nieco bardziej skomplikowany. Wolał mieć jak najmniej trudności do pokonania.

Nagle rozległa się kołatka u wejścia do domu. Przez otwarte drzwi westybulu zobaczyli, jak jeden ze służących rusza, by otworzyć. Lady Pearson krzyknęła cicho ze strachu. Kiedy się do niej odwrócił, ujrzał, jak w napięciu wpatruje się we frontowe drzwi. Jej wystraszone oczy napotkały jego wzrok.

- Nie powinnam tu przychodzić - wyszeptwała. - Nie powinnam.

Odstawiwszy kieliszek na tacę, podszedł do drzwi i zamknął jedno skrzydło. Zaczął zamykać drugie, gdy nagle, ku swemu zaskoczeniu, zobaczył, jak lord Dirnhurst, jeden z członków komisji, który zdecydowanie popierał jego wysiłki, wymija lokaja i wchodzi do wielkiego holu. Lokaj otworzył szerzej drzwi i lady Dirnhurst pospiesznie wkroczyła śladami męża.

- Lordzie Dirnhurst. - James wyszedł na jego powitanie.

- Co za niespodziewana wizyta.

Dirnhurst potrząsnął głową, gdy podszedł do niego Calleo, by zabrać jego kapelusz.

- Znasz już moją żonę, Ferrington? - Skinął głową w kierunku stojącej obok atrakcyjnej starszej kobiety, okrytej aksamitną peleryną, ozdobioną strusimi piórami w tym samym kolorze, co jej siwiejące włosy. - Wybieraliśmy się do jej siostry na kolację, gdy przypomniała mi, że miałem Ci przekazać wiadomość. Nalegała, byśmy się zatrzymali.

James ostrożnie skłonił się kobiecie uważanej za filar londyńskiego towarzystwa i jednocześnie za wyjątkową plotkarkę. Strach lady Pearson, że jej obecność zostanie odkryta w tym domu, okazał się najzupełniej zrozumiały. Z trudem powstrzymał się przed zerknięciem w kierunku westybulu.

- Przykro mi, ale właśnie wychodziłem.

Dama nie zrozumiała aluzji. Pospiesznie ruszyła wielkim holem, przypatrując się każdemu szczegółowi umeblowania.

Lord Dirnhurst potrząsnął głową i skrzywił się, widząc zachowanie swojej połowicy.

- Już od miesiący nudziła, bym wydusił od ciebie zaproszenie. Cóż za wścibska z niej kobieta. Nie pozwoliła mi przyjść tu samemu, kiedy okazało się, że muszę do ciebie wpaść. - Po tym wyznaniu powrócił do sprawy, która go tu przywiodła. - Komisja potrzebuje pięciu kopii dokumentów frachtowych, które dostaliśmy od twoich ludzi w środę. Na jutro, jeśli to możliwe.

- Ależ oczywiście. - James zobaczył, jak lady Dirnhurst lustruje wazę stojącą na stole w holu, unosząc w podziwie brwi.

Nagle zdał sobie sprawę, że kapelusz lady Pearson leży na stoliku przy wejściu do westybulu. Lady Dirnhurst już go dojrzała. Jak dziecko, które dostało nową zabawkę, ruszyła w tym kierunku.

Zmusił się, by zachować spokój, jednocześnie kiwając głową i udając zainteresowanie słowami Dirnhursta, który właśnie z ożywieniem zaczął rozprawiać na swój ulubiony temat.

- Nie muszę mówić, jak ci z Kompanii próbują walczyć. Nie dalej jak wczoraj, razem z Burtonem, daliśmy się wciągnąć w zażartą dyskusję na temat traktatu z Mysore. Uważam, że Kompania ponad wszelką miarę przekroczyła swoje uprawnienia.

- Doceniam pańskie poparcie, lordzie Dirnhurst - odrzekł James, nadal skupiając uwagę na jego żonie i ledwo słysząc, co się do niego mówi.

- Jaki uroczy pokój! - zawołała lady Dirnhurst, wsadzając głowę do środka.

- Dziękuję - wymruczał James ruszając, by zatrzaskać przed nią drzwi.

Za późno.

- Czy mogę go obejrzeć? - spytała wchodząc do środka.

- Millie, przestań wsadzać nos w nie swoje sprawy! - krzyknął jej mąż. Spojrzał z zakłopotaniem na gospodarza. - Wstyd mi za nią. - Ruszył w jej ślady.

James z natężeniem czekał, kiedy lady Dirnhurst odkryje obecność lady Pearson. Niemal bał się wejść do środka. Cisza. Słysząc było jedynie kolejne "achy", które wydawała dama na widok zdobionych srebrnych świeczników, i pomrukiwanie jej męża, że powinni już iść .

Zaintrygowany James wchodząc do pokoju usłyszał:

- No, no, lady Pearson, cóż za niespodzianka!

## 6

Caroline z przerażeniem obserwowała chodzącą po pokoju lady Dirnhurst, która zbyt zajęta była szacowaniem znajdujących się tu sprzętów, by zwrócić na nią uwagę.

Wreszcie zebrawszy się na odwagę powiedziała:

- Dobry wieczór, lady Dirnhurst, miło mi panią znów widzieć.

- Znacie się panie? - spytał stojący w drzwiach James. Zmusiła się do uśmiechu, jakby przyłapanie jej w domu należącym do nieżonatego mężczyzny było czymś zwyczajnym.

- Lady Dirnhurst prowadzi naszemu kółku charytatywnemu, działającemu przy kościele Świętego Marka. - Jest również wpływową patronką pensji panny Elmhart, mogła dodać. Teraz, kiedy Freddie stracił wszystko, wynagrodzenie, które pobierała w szkole, zostało jej jedynym źródłem utrzymania; tylko ta posada dzieliła ją od ubóstwa.

Wychyliła do dna kieliszek.

Rozległ się spokojny głos gospodarza:

- Caroline - zaczął, zaskakując ją używszy jej imienia - czy znasz lorda Dirnhursta? Lordzie, to moja kuzynka, lady Pearson.

Kuzynka? - pomyślała Caroline.

- Kuzynka? - spytała lady Dirnhurst, zachwycona tą nowiną. - Dlaczego nam pani o tym nie wspominała, lady Pearson?

- Ponieważ ...

Caroline nie potrafiła wymyślić na poczekaniu wiarygodnego wytłumaczenia. James przyszedł jej w sukurs.

- Ponieważ sądziliśmy, że wszyscy o tym wiedzą - skłamał gładko, podchodząc do obu pań. - Proszę mi powiedzieć, lady Dirnhurst, na czym polega pani działalność przy kościele Świętego Marka?

- Jestem przewodniczącą kółka. Lady Pearson jest jedną z pań zaangażowanych w naszą pracę. Jesteście państwo spokrewnieni?

Caroline ze zdumieniem zobaczyła, jak łatwo przychodzi mu kłamanie.

- Nasze matki były kuzynkami. Nie jest to zbyt bliskie pokrewieństwo, ale jednak ...

Lady Dirnhurst niemal cmoknęła, usłyszawszy tę wiadomość.

- Ale, lady Pearson, wydawało mi się, że cała pani rodzina już wymarła ...

- Lordzie Dirnhurst, czy napije się pan z nami szampana? - przerwał jej James. Skinął lokajowi, by przyniósł dodatkowe kieliszki.

Dirnhurst, który przysłuchiwał się konwersacji ze słabym zainteresowaniem, wyjął ręce z kieszeni i otrząsnął się z zamyślenia.

- Szampana? Zrobił się strasznie drogi, odkąd te zabójady zaczęły go chomikować tylko dla siebie. Do licha, to wszystko przez tego cholernego Napoleona.

- Czy to znaczy, że ma pan ochotę na kieliszek?

- Oczywiście. Z chęcią się napiję. Od lat nie piłem dobrego szampana. - Cisnął kapelusz w kierunku lokaja, na znak, że zostaje.

- Dirnhurst - Jego połowica nie spuszczała wzroku z Caroline, jakby się obawiała, że ta zaraz zniknie. - Nie możemy zostać. Umówiliśmy się przecież na kolację u mojej siostry.

- Ale Bernice nie podaje tak dobrego szampana. - Lord Dirnhurst aż oblizał się na samo wspomnienie trunku.

- W takim razie mam propozycję. Może zostanieie państwo u mnie i razem z nami zjecie kolację?

Caroline spojrzała na niego, jakby się bała, że postradał rozum. W ogóle nie zwracał na nią uwagi, obdarzając swoim czarem lady Dirnhurst.

- Rozumiem, że moja propozycja zrodziła się w ostatniej chwili i że nie możecie państwo zmieniać nagle swych planów ...

- Właśnie, że możemy. Bernice jest diabelnie nudna, a jej małżonek jest ze dwadzieścia lat starszy niż my. Można sobie wyobrazić, jaki jest zajmujący i pełen życia.

- Dirnhurst! - krzyknęła jego żona.

W tym momencie nadszedł lokaj z tacą pełną kieliszków i jeszcze jedną butelką szampana.

- Powiesz, że się pochorowałem - przerwał jej małżonek, wyciągając rękę po kieliszek.

- Proszę bardzo. - James napełnił kieliszek i podał go lady Dirnhurst. - Nie planowałem dzisiaj nic specjalnego. To będzie zwykły rodzinny posiłek. Mam nadzieję, że lubią państwo curry.

Caroline słuchała z podziwem, jak Ferrington snuje wokół swych gości pajęczynę kłamstw.

- Uwielbiam curry - stwierdził Dirnhurst. Wychylił do dna kieliszek i oblizał wargi. - Do licha, Ferrington, niezły trunek. Od lat nie piłem równie dobrego. Pewnie masz w swoich piwniczkach dobrą brandy, co?

- Na pewno coś się znajdzie. - Gospodarz napełnił mu znów kieliszek.

- Millie, do twojej siostry możemy jechać kiedy indziej, by zjeść tę okropną gotowaną baraninę, którą jej kucharz serwuje jako danie główne. Napisz jej, że mam nawrót zgagi.

Niechętnie odstawił pusty kieliszek na tacę. Spojrzał na Jamesa i wywrócił do góry oczy.

- Przynajmniej powstrzymam ją od szperania w twoich szufladach i szafkach.

- Ależ ja nigdy tego nie robię.

- Tylko tak żartowałem, kochanieńka. - Ruszył za nią jak dobrze wytresowany piesek pokojowy. Nareszcie sobie poszli.

Caroline czuła, jak miękłą jej kolana. Osunęła się na kanapę.

- Dlaczego powiedział im pan, że jesteśmy kuzynami?

- Wolałaby pani, żebym powiedział, że nimi nie jesteśmy?

- Ależ nie! - Caroline z łatwością mogła sobie wyobrazić, co mająca o sobie wysokie mniemanie lady Dirnhurst mogłaby zrobić z taką informacją.

Usiadł obok niej i napełnił pusty kieliszek, który trzymała nadal w ręku.

- Głowa do góry, kuzynko Caroline.

Skuliła się słysząc, jak się do niej poufale zwraca; w jego oczach czaił się uśmiech.

- Poza tym, myślałem tylko o pani. Jeśli będzie rozpowiadała, że widziała nas tu razem, będzie to jednocześnie znaczyło, że była poniekąd naszą przyzwoitką. - Roześmiał się. - Już dawno nie przebywałem w towarzystwie przyzwoitki.

- Ale te wszystkie kłamstwa. - Czuła, że zaczyna boleć ją głowa.

- To znaczy, że miała pani rację.

- Rację?

- Mówiąc, że mężczyźni kłamią. - Zmarszczył czoło w zamyśleniu. - Muszę jednak zaznaczyć, że nie zastanawiałem się, co lady Dirnhurst chciała ode mnie usłyszeć. Po wyrazie jej twarzy wnioskuję, że wolałaby raczej całą prawdę. Wyglądała. na zawiedzioną, że nie natknęła się na żadną schadzkę.

- Nasze spotkanie nie było schadzką. Przyszłam tutaj załatwić sprawę, panie Ferrington, i ...

- James.

- Słucham?

- Jeśli mamy udawać kuzynów, musi się pani zwracać do mnie po imieniu - wyjaśnił serdecznym tonem. - Nie mogę się doczekać, by usłyszeć je z pani ust.

Aż jęknęła z gniewu.

- Proszę przestać ze mną flirtować. Jeśli lady Dirnhurst odkryje prawdę, będę skończona i do końca życia zmuszona mieszkać z teściową. - Na myśl o tym napiła się szampana. - Lady Dirnhurst to straszna plotkarka. Dotąd będzie nas niepokoiła, aż odtworzy nasze drzewa genealogiczne od czasów Wilhelma Zdobywcy. Moje już zapewne zna. To panem się przede wszystkim zajmie. .

- Anglia to mały kraj. Pewnie odkryje, że naprawdę jesteśmy ze sobą spokrewnieni. To byłoby czarujące wydarzenie. - Uśmiechnął się do niej, potem wzrokiem powędrował ku jej piersiom.

Koniuszkami palców Caroline uniosła jego podbródek i popatrzyła mu w oczy.

- Jestem tutaj, panie Ferrington, a nie tam, niżej. Mówię poważnie. Jeśli lady Dirnhurst odkryje, że nie jesteśmy ze sobą spokrewnieni ... - Nie potrafiła powiedzieć, jak straszne byłyby konsekwencje.

Wziął kieliszek z jej ręki i odstawił na stolik. Powoli, skupiony jedynie na wykonywanych przez siebie czynnościach, zaczął ściągać jej z dłoni rękawiczki. Zacisnęła pięść. Spojrzała jej prosto w oczy.

- Nie może pani żyć w ciągłym strachu. Jeśli coś powie, na pewno jakoś się wykręcimy. Proszę więc zostać i zachowywać się dzielnie. Cieszę się wystarczającym zaufaniem w pewnych kręgach, bym nie musiał się obawiać jakiegokolwiek skandalu.

- Mam panu ufać, po tym, jak widziałam, z jaką łatwością omotał pan lady Dirnhurst? - Rozluźniła palce, co pozwoliło mu zdjąć rękawiczkę.

Roześmiał się ciepło i zaczął ściągać rękawiczkę z drugiej dłoni. Miał długie, wąskie, mocne palce.

- Jeśli nawet przesadziłem, uczyniłem to, by panią ochronić.

- Ochronić mnie?

- Zauważyłem, że bardzo się pani z nią liczy... jeśli jest dla pani taka ważna, jest ważna również i dla mnie.

Caroline spojrzała mu prosto w twarz, na mocne linie nosa i szczęki, zmysłowy wykrój warg, zmarszczki mimiczne wokół ust i cień zarostu pokrywającego policzki. Wyglądał jak człowiek potrafiący cieszyć się życiem.

Serce zabiło jej niespokojnym rytmem. Oto zupełnie nowe dla niej uczucia, a może stare. Siedziała tak blisko niego, że czuła wyraźny, mocny zapach mydła do golenia. Emocje, którym zaczęła się poddawać, były bardzo dojmujące.

- Lady Pearson, panie Ferrington, co państwo robicie?

Caroline podskoczyła na dźwięk głosu wchodzącej do pokoju lady Dirnhurst. Chciała wyrwać dłoń z uścisku Ferringtona, lecz on przytrzymał ją mocno.

- Czytam Caroline z ręki - powiedział swobodnie. Caroline uniosła oczu ku sufitowi, próbując zachować spokój.

- O, doprawdy? - Oczy lady Dirnhurst rozjaśniły się zainteresowaniem. - Zna się pan na tym?

Uniósł rozwarłe dłonie.

- To jedna z tajemnic Wschodu.

- W takim razie proszę mi powróżyć - zażądała i zwróciła się do Caroline: - Zawsze chciałam, by mi ktoś powróżył z ręki.

- Ależ oczywiście. Caroline, czy mogłabyś zrobić miejsce dla lady Dirnhurst?

Wstała z kanapy. Kiedy służący zaproponował jej kolejny kieliszek szampana, wzięła chętnie.

Ferrington powiedział, że się z tego wykręca. Nie była pewna, czy uda mu się sprostać umiejętnościom lady Dirnhurst. Ta kobieta była postrachem wszystkich pań udzielających się charytatywnie. Nikt nie potrafił się jej sprzeciwić, nawet wielbny Tilton, a panna Elmhart wręcz drżała ze strachu, gdy lady Dirnhurst zapowiadała wizytę na pensji.

Jednak znalazła się nieliczna grupka ludzi, która potrafiła stawić jej opór. Należała do nich właśnie Caroline. Różniły się końcowo w poglądach na to, jak powinna wyglądać nauka na pensji panny Elmhart. Caroline, powołując się na poglądy uczonych uniwersyteckich, chciała, by dziewczęta uczyły się tego, co młodzi mężczyźni. Lady Dirnhurst uważała jednak, że cała ta wiedza jest dla młodych panienek stratą czasu. Popierała więc program składający się z robótek ręcznych, malowania akwarelami i tańca. Zgadzała się najwyżej na naukę odmiany francuskich słówek. Panie poróżniły się bardzo na początku roku szkolnego. Panna Elmhart prywatnie zgadzała się z Caroline, ale z powodów finansowych musiała wziąć stronę protektorki szkoły. Lady Dirnhurst po tym zwycięstwie nie okazała się wspinałomyślna. Zaczęła podawać w wątpliwość przydatność Caroline w szkole i konieczność nauczania historii oraz francuskiego. Obawiając się obrazić protektorkę, panna Elmhart musiała ograniczyć zajęcia prowadzone przez Caroline do jednej godziny tygodniowo. Caroline nadal dostawała tę samą pensję, ale jak długo mogło to jeszcze potrwać?

Gdy James Ferrington trzymał jej rękę, lady Dirnhurst wyglądała zupełnie niegroźnie. Ferrington skandalicznie z nią flirtował i mówił zupełnie nonsensy o jej przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Kobieta czerwieniła się i chichotała jak panienka.

- Ależ ja nie będę już miała więcej dzieci.

- To jest wypisane na pani dłoni. Będzie pani miała razem siódmkę. - Przesunął palcem po liniach biegnących od jej prawego nadgarstka.

- Panie Ferrington, jestem za stara, zresztą mam już sześcioro.

- Ale ręka nie kłamie. Poza tym nie uważam, by była pani stara. - Obdarzył ją wypraktykowanym ciepłym spojrzeniem. Niemal wtopiła się w kanapę. - Widzę również w przyszłości pieniądze - powiedział, dotykając wskazującym palcem linię jej dłoni.

- Pieniądze? - Spojrzała badawczo na rękę. - Skąd pan wie?  
- Widzę to tutaj. Poza tym wydaje mi się prawdopodobne, że z mojego banku niedługo zostanie wysłany czek opiewający na dużą sumę.

Kobieta szeroko otworzyła oczy.

- A dla kogo przeznaczony będzie ten czek?

Zmarszczył brwi w udawanym zamyśleniu.

- Wygląda na to... że może...

- Dla kółka charytatywnego przy kościele Świętego Marka? - podpowiedziała mu usłużnie.

- Uważa pani, że to mądry wybór? - Spojrzał na nią.

- Bardzo mądry - zapewniła go.

Caroline domyśliła się dlaczego. Lady Dirnhurst zawsze z zadowoleniem demonstrowała swoje możliwości, a raczej swego męża, kiedy dzięki niej napływały do kasy fundusze. Czuła się wtedy wszechwładna, ale powodowało to jednocześnie zawiść innych matron, które w podobny sposób pragnęły zapewnić sobie poważanie.

Caroline zdała sobie sprawę, że Ferrington niejako przekupuje tę kobietę.

- Do licha, Ferrington, co ty wyrabiasz? Czyżbyś uwodził moją żonę? - Lord Dirnhurst wszedł do pokoju, chichocząc ze swego dowcipu, i udał się wprost do tacy z trunkami.

- Dirnhurst, pan Ferrington właśnie zaofiarował tysiąc funtów dla naszego kółka.

- Doprawdy? To kiepsko. Powinien zaproponować dwa razy tyle.

- Może będę mógł to zrobić po piątkowym spotkaniu.

Lord Dirnhurst uśmiechnął się porozumiewawczo.

- W takim razie piję za pański sukces. - Podniósł kieliszek.

- Dziękuję, milordzie.

Do pokoju wszedł służący i oznajmił:

- Podano do stołu.

Ferrington spojrzał na Caroline.

- Lordzie Dirnhurst, czy mógłby pan poprowadzić moją kuzynkę do jadalni?

- Będę tym zaszczycony. - Mężczyzna podał jej ramię. Ferrington skłonił się lady Dirnhurst.

- Pani?

Zaprowadził ich do obszernej jadalni o kremowych ścianach. Zdobity ją aksamitne draperie w odcieniu burgunda i dywan w tym samym kolorze. Przy stole swobodnie zmieściłoby się dwadzieścia osób. Ogień płonący w marmurowym kominku ogrzewał całe pomieszczenie; świece w lichtarzach i kinkietach płonęły. Przy końcu stołu znajdowały się nakrycia dla czterech osób, lokaje w pogotowiu czekali przy bocznym stoliku, zastawionym jedzeniem i winem.

Gospodarz posadził panie z jednej strony stołu, sam usiadł u jego szczytu.

- I to ma być zwykły rodzinny posiłek? - spytała Caroline.

- Moi kucharze potrafią dokonać cudów - powiedział, lekko dotykając jej dłoni.

Przerażona intymnością gestu, wyszarpnęła rękę w obawie, że lady Dirnhurst to zauważy. Na szczęście była zajęta czym innym. Z ciekawością przyglądała się stojącemu obok służącemu.

- Czy on zawsze nosi turban? - spytała nie przejmując się, że Calleo słyszy jej pytanie.

Jej mąż skinął na jednego z lokajów, by napełnił mu kieliszek.

- Nosi zawsze, odkąd go znam - odparł James spokojnie, jakby chwilowe dotknięcie Caroline nie zrobiło na nim żadnego wrażenia. - Mogę opowiedzieć państwu, jak się spotkaliśmy.

Popłynęła opowieść o tym, jak Calleo wyszedł pewnego razu z dżungli i przyłączył się do niego, kiedy podróżował po Indiach. Potem opowiedział kolejną historię i jeszcze następną. Opisywał miejsca, o których Caroline jedynie czytała. Madras. Sumatra. Macao. Kilka razy zwrócił się do niej „kuzynko”; jego oczy błyszczały wtedy, jakby zapraszał ją, by świetnie bawiła się tym żartem. Nie potrafiła, ale powoli zaczynała się uspokajać i cieszyć kolacją.

Ku jej zaskoczeniu, curry posmakowało jej, chociaż rozpałiło w jej ustach ogień, który mogło ugasić jedynie wino. Również lord Dirnhurst zjadał z apetytem, jednocześnie narzekając na zgagę. Po kilku kieliszkach Caroline poczuła, że znika cała jej rezerwa. Jednak raz próbowała powstrzymać ręką Calleo przed ponownym napełnieniem kieliszka. Wino rozprysnęło się jej po palcach.

Ferrington delikatnie wytarł jej dłonie, nazywając ją żartobliwie niezdarą. Zabrzmiało to tak naturalnie, jakby w ten sposób zwracali się do siebie od lat.

- Czy ma pan dużą rodzinę?



Błąd.

- Jak to, nie wie pani tego? - Choć wzrok lady Dirnhurst był nieco przytępiiony winem, to umysł nadal pracował sprawnie.

Caroline zamarła, nie mogąc wymyślić odpowiedzi. Ferrington przyszedł jej z pomocą.

- Nasze rodziny nie utrzymują ze sobą bliskich kontaktów. Mama poprosiła mnie, żebym po przyjeździe do Londynu odszukał kuzynkę Caroline i sprawdził, jak jej się powodzi. Jestem szczęśliwy, że mogłem to zrobić.

- Doprawdy? - powiedziała lady Dirnhurst. - W takim razie może uda się panu namówić ją, aby przyjęła oświadczyzny wielbnego Tiltona. - Machnęła widelcem w kierunku Caroline. - Ten biedaczek prosi ją o rękę co najmniej raz na tydzień, ale ona ciągle mu odmawia. Wiesz przecież, moja droga, że wszystkie panie z kółka uważają, że byłby to wspaniały związek. Nie musiałyby już uczyć na pensji panny Elmhart.

- Związek dobrany w niebie. - Jej małżonek uśmiechnął się do kieliszka.

Ferrington uniósł jedną brew, udając zaskoczenie.

- Nic mi o tym nie mówiłaś, Caroline. - Wymawiał jej imię z dobrodusznym, spokojnym uśmiechem.

- To nic ważnego - ucięła, żałując, że trochę przesadziła z winem i nie jest w stanie myśleć logicznie. - Nie uważam, lady Dirnhurst, byśmy stanowili z wielbnym dobraną parę.

- Jestem innego zdania - zaprotestowała z przekonaniem dama. Oparła łokieć na stole i próbowała podeprzeć głowę, ale nie trafiła i niemal stoczyła się z krzesła. Jej mąż zaniósł się śmiechem. - Cicho, Dirnhurst. - Na szczęście zapomniała od razu o małżeńskich propozycjach wielbnego Tiltona.

Jej małżonek uciszył się i sięgnął po kieliszek.

- Wydawało mi się, Ferrington, że wspominałaś o francuskim brandy.

- To prawda.

- W takim razie dawaj je tu, chłopie.

Gospodarz skinął na służącego, a ten dał znać lokajom, by zaczęli sprzątać ze stołu.

- Chodźmy, moja droga. Zostawmy panów z ich cygarami i brandy.

Caroline nie miała wyboru, musiała ruszyć za lady Dirnhurst.

Lord Dirnhurst właśnie zaczynał pijacki bełkot na temat stosunków panujących w parlamencie. Gdy wychodziła z pokoju, jej nogi były ciężkie jak ołów.

Calleo odprowadził panie do przytulnego saloniku, znajdującego się po drugiej stronie holu. Okna pokoju wychodziły na wschód i Caroline zaczęła sobie wyobrażać, jak uroczo wygląda to pomieszczenie o poranku. Tutaj, dla odmiany, wszystko było urządzone według najnowszej mody. Przed kominkiem, na którym wesoło płonął ogień, ustawiono dwa krzesła. Lokaj wniósł srebrną tacę z zastawą do herbaty i umieścił ją na stoliku między paniami.

- Ja należę. - Lady Dirnhurst wzięła filiżankę i odwróciła ją, by zobaczyć znak firmowy. - Limoges. Wyobraża sobie pani? Mimo wojny. A ten dzbanuszek. - Uniosła go, uderzając w jego srebrną

powierzchnię. - Co najmniej osiem funtów. - Rozejrzała się. - Słyszałam o nim, ale nie wierzyłam w to wszystko, dopóki nie zobaczyłam na własne oczy. Proszę tylko pomyśleć, Dirnhurst twierdzi, że Ferrington postawił cały majątek przeciwko Kompanii Wschodnioindyjskiej. Ciekawe, po co mężczyźni tracą w ten sposób pieniądze.

- Nie wiem - odparła Caroline, modląc się w duchu, by Ferrington wypił już brandy. Lepiej dawał sobie radę w fabrykowaniu kłamstw niż ona.

- Nie wie pani? Cały Londyn o tym mówi. Mogłoby się wydawać, że pani powinna o tym wszystkim wiedzieć.

- Nie widuję się z kuzynem Jamesem zbyt często.

Jamesem. Pierwszy raz wymówiła jego imię. Zdawała sobie sprawę, że tego wieczoru już kilka razy postąpiła zbyt śmiało, wbrew konwenansom. James. Podobało jej się brzmienie tego imienia.

- Dlaczego pani tak bezsensownie odmawia wielbnemu Tiltonowi? - Lady Dirnhurst zaczęła nalewać herbatę. - Lady Pearson, nie tylko ja mam na uwadze pani dobro.

- Nie rozumiem, o czym pani mówi? - spytała ostrożnie Caroline.

- Mówię o tej kobiecie, z którą pani mieszka. Słyszałam na jej temat dość niepokojące rzeczy.

- Chodzi pani o ciocię Minervę?  
- Nie jest pani ciotką.  
- Oczywiście, że jest. - Caroline ledwo powstrzymała się, by nie dodać: Bardziej, niż pan Ferrington jest moim kuzynem. - Dzięki mojemu małżeństwu.  
- Rodzina Pearsonów wyrzekła się jej. - Lady Dirnhurst rozsiadła się wygodnie na krześle. - Nie ma pani wobec niej żadnych zobowiązań.  
- Minerva mieszka ze mną od trzech lat. Uważam ją za członka rodziny.  
- Lady Pearson. - Lady Dirnhurst zwróciła się do niej tonem zarezerwowanym zazwyczaj dla podwładnych. - Jednym z moich obowiązków, jako przewodniczącej kółka dobroczynnego i patronki pensji prowadzonej przez pannę Elmhart, jest ocenianie moralnej strony charakteru tych, którzy tam pracują.  
Caroline odstawiła filiżankę na tacę. - Nie jestem amoralna.  
Jej rozmówczyni również odstawiła na bok filiżankę i skrzyżowała ręce na piersiach.  
- Mieszkanie pod wspólnym dachem ze znaną awanturnicą nie jest oznaką moralności. Co więcej, została pani wdową ponad trzy lata temu. Czas, by przyjęła pani propozycję wielebnego Tiltona i wyszła ponownie za mąż.  
- Nie mam ochoty na ponowne małżeństwo.  
- To nienormalne, by kobieta żyła samotnie.  
- To mój wybór.  
- Powinna pani lepiej wybierać i zacząć od zmiany współlokatorki.  
Caroline słuchała z wściekłością. Minerva była jedyną jej podporą. Bez niej nie potrafiłaby stawić czoła rodzinie Pearsonów po śmierci Trumbulla. Wstała z miejsca.  
- Minerva to inteligentna osoba i prawdziwa dama ...  
- To awanturnica - przerwała jej lady Dirnhurst, również wstając z krzesła. - Ma bardzo złą reputację.  
- Jestem zdziwiona, że pani słucha tych złośliwych plotek.  
- A ja jestem zdziwiona, że pani jej tak broni ...  
- Millie, o co ten cały wrzask? - wykrzyknął lord Dirnhurst.  
Obydwie kobiety ujrzały panów stojących w drzwiach. Lord Dirnhurst chwiaił się na skutek dużej dawki wypitego alkoholu, ale po gospodarzu nie widać było żadnych oznak picia. Zawstydzona, że została nakryta na kłótni z lady Dirnhurst, Caroline zastanawiała się, ile zdołał usłyszeć.  
Lady Dirnhurst wyprostowała się.  
- Właśnie radziłam lady Pearson, by przyjęła oświadczyzny wielebnego Tiltona.  
- Dla mnie to wyglądało tak, jakbyś miała ochotę dać jej po głowie. Chodźmy już. Pora ruszać do domu, dopóki jeszcze mogę utrzymać się na nogach. W przeciwnym razie jeden z tych drabów będzie musiał mnie zanieść. - Pokazał głową w kierunku lokaja.  
- Może odwieziemy panią do domu, lady Pearson? - spytała sztywno jego żona.  
Caroline nie miała ochoty na towarzystwo kobiety, która mówiła takie okropności na temat Minervy. Była wystarczająco podchmielona, by mieć odwagę jej to powiedzieć. Na szczęście wtrącił się Ferrington .  
- Ja odwiozę kuzynkę do domu.  
- Właśnie. Kuzyn James odwiezie mnie do domu. - Podeszła do niego bliżej.  
Lady Dirnhurst skrzywiła się, co upodobniło ją do okropnej ropuchy. Caroline rozśmieszyło to podobieństwo.  
- W porządku. W takim razie zobaczymy się na spotkaniu naszego kółka. - Z szelestem sukni podeszła chwiejnie do drzwi. - Chodź, Dirnhurst, zbieramy się. - Przy drzwiach zatrzymała się i zwróciła do Caroline: - Nie idzie pani, lady Pearson?  
Caroline miała ochotę warknąć do niej: Nie, zamierzam tu zostać i wysuszyć jeszcze jedną butelkę. Miała już jednak dosyć. Odwaga wywołana winem zniknęła. Zaczęła się obawiać, że pożałowałaby gorzko swoich słów. Nie miała jednak zamiaru wybaczyć tej kobiecie tego, co powiedziała o Minervie.  
- Już idę - odezwała się uprzejmym, ale zimnym tonem. Ferrington skinął na lokaja.  
- Mój powóz.  
- Który, sahib?  
- Największy, zaprzęgnięty w siwki.

Oczy lady Dirnhurst rozszerzyły się z podziwu.

- Ma pan więcej niż jeden powóz?

Ferrington wziął ją za rękę i poprowadził do wyjścia.

- Trzy.

- Trzy? - Lady Dirnhurst omal nie zemdlął usłyszawszy o takim bogactwie.

Caroline ze zdziwieniem obserwowała, jak dama płaszczy się przed Ferringtonem. Sama nie zamierzała krytykować jego charakteru ani też czynić uwag na temat jego życia osobistego. Wdzięk gospodarza sprowadzał się nie tylko do wspaniałego wyglądu i pieniędzy. Ferrington obserwował ludzi, analizował ich charakter i grał na ich emocjach jak na doskonale nastrojonych instrumentach. Caroline zastanawiała się, jak zamierzał postąpić w jej przypadku.

- Nie będzie miał nawet szylinga, jeśli nie dostanie w piątek licencji - powiedział lord Dirnhurst, biorąc z rąk lokaja kapelusz i wściskając go na głowę. Szturchnął Ferringtona w klatkę piersiową. - Zrobię, co będę mógł, młody człowieku, ale pan też niech pamięta, z kim pan zadziera. Kompania Wschodnioindyjska ma większą władzę niż król. Niech się pan upewni, czy ma pan poparcie innych, na przykład Lavenhama. To człowiek, który może zebrać dużo głosów.

- Wiem o tym, milordzie, i dziękuję za pańskie wsparcie.

- Zadowolę się w zupełności moimi pięcioma procentami. Chodź, Millie. Mam ochotę już iść do łóżka. Pamiętaj o jutrzejszym dniu, Ferrington. - Odwrócił głowę. - Muszę mieć te raporty na jutro.

Lady Dirnhurst owinęła się peleryną i włożyła rękawiczki. - Dziękuję za pańską gościnność. Spędziłam uroczy wieczór. - Uśmiechnęła się do niego ciepło. Nawet Caroline została przez nią obdarzona krzywym uśmiechem. - Czy na pewno nie chce pani, byśmy odwieźli panią do domu?

- Dziękuję, pojedę z kuzynem Jamesem - odpowiedziała Caroline, zawiązując wstążki kapelusza.

- Doprawdy, powinnaś, moja droga, przestać już chodzić w żałobie. Zupełnie nie pasuje do twojej cery.

Caroline uśmiechnęła się. Postanowiła nie dać się sprowokować tej kobiecie.

- Chodź, Millie! - wykrzyknął lord Dirnhurst. Jeden z lokajów otworzył przed nimi drzwi.

- Powinniśmy poczekać na lady Pearson - zaprotestowała lady Dirnhurst.

Jej mąż skrzywił się, ale wkrótce jego mina zmieniła się w uśmiech.

- Już podjechał powóz Ferringtona. Masz świetnych stajennych, chłopie.

- Najlepszych - zgodził się gospodarz. - Caroline! - Podał jej rękę.

Lady Dirnhurst nie miała wyboru, musiała ruszyć śladem męża. Woźnica zeskoczył z kozła i otworzył drzwi powozu. W końcu para zniknęła im z oczu.

Caroline westchnęła z ulgą.

- Ależ to jęcza - skwitował ze śmiechem James.

- Do jutra wszyscy w Londynie będą wiedzieli, że jadła tu obiad, co było podane, co powiedział gospodarz, co ja i co powiedziała ona. - Machnęła ręką i również zaczęła się śmiać. - Chciałbym, abyśmy napili się jeszcze po kieliszku wina. - Uśmiech zamarł jej na ustach.

Przepełniła ją tęsknota i pożądanie, uczucia, których nie doznawała od czasu swej nocy poślubnej. Musi od niego uciec. I to zaraz, zanim przyjmie jego śmiałą propozycję, i zrobi z siebie idiotkę. Przekraczając zasady przyzwoitości, nie chciała posuwać się za daleko.

Odwróciła się od niego, ale złapał ją za ramię. - Nigdy bym pani nie skrzywdził.

W złotym świetle lamp wyglądał na szczerze przejętego i był tak bardzo pociągający. Znów spróbowała się odsunąć. Uwolnił jej ramię, ale ręką powędrował ku jej dłoni.

- Wierzy mi pani?

Poczuła stwardnienia na jego ręce, świadczące o tym, że nie jest mu obca praca fizyczna.

- Dlaczego nie, skoro jesteśmy spokrewnieni? - Zmusiła się do spokojnej odpowiedzi. Tak jak tego chciała, zareagował śmiechem. - Dziękuję. - Ucisnęła mu palce. - Pański refleks uratował moją reputację.

- No proszę, jak szybko męskie kłamstwa zamieniły się w refleks. - Włożył rękę do kieszeni. W powietrzu wyczuwało się przymrozek, a nad trawnikami zaczynała się unosić mgła. - Odwiozę panią do domu, chociaż wolałbym tego nie robić. Chciałbym, żeby pani jeszcze została.

Cofnęła się.

- Nie mogę. - Jednak czuła, że pragnie tego ze wszystkich sił. Westchnęła głęboko. - To był wyjątkowy wieczór, ale muszę wracać do domu. Jeśli znam lady Dirnhurst, kazała woźnicy zatrzymać powóz i czeka, aż ją miniemy.

James patrzył, jak w świetle lamp jej kasztanowe włosy nabierają czerwono złotych blasków. Zanim usłyszał jej odpowiedź, wiedział, że nie będzie chciała zostać. Jej wrażliwość i duma sprawiały, że nie była dla niego łatwą zdobyczą. Odmowa jeszcze bardziej podsyciała apetyt.

- W takim razie ruszajmy w drogę.

- Nie musi mnie pan odwozić. Wystarczy, że pojedę ze stangretem.

- Proszę mnie nie rozśmieszać. Chcę panią odwiedzić. Nie może mi pani odmówić tej przyjemności, nie po dzisiejszym wieczorze.

- To prawda. - Uśmiechnęła się lekko.

- A zatem jedziemy. - Podał jej rękę.

Przyjęła jego dłoń i nagle westchnęła zaskoczona.

- Co za piękny powóz.

Uśmiechnął się. Powóz miał piękne mosiężne ozdoby. James sam go zaprojektował i był z niego bardzo dumny. Zazwyczaj sam nim powoził, ale teraz chciał usiąść razem z Caroline. Z dumą podprowadził ją bliżej.

- Gdzie pani mieszka?

Podawała mu nazwę zupełnie nieznaney ulicy. Pomógł jej usadowić się we wnętrzu. Na szczęście stangret znał ten adres. Po cichu James poinstruował go, by jechał jak najdłuższą drogą. Służący pokiwał głową ze zrozumieniem.

James uśmiechnął się znowu. Jedną z dobrych stron bogactwa jest to, że można sobie pozwolić na inteligentnych służących. Wszedł do środka. Ogrzane cegły, leżące na podłodze, i ciepły wełniany koc skutecznie chroniły przed chłodem nocy. Okna były zasłonięte, ale do wnętrza przedostawało się zamglone światło lamp umieszczonych z boków powozu. Ubrana w czerń Caroline niemal zlewała się z ciemnością panującą w powozie. Wyróżniał się tylko policzek i linia jej ust. James przykrył ją kocem i zastukał w dach, dając znać woźnicy, aby jechał. Jedynie delikatny wstrząs oznaczał, że ruszyli z miejsca.

Caroline przytrzymała się siedzenia.

- Prawie nie czuję, że się poruszamy. Jeszcze nie jechałam tak wygodnym powozem. To tak, jakbym ... - próbowała dobrać odpowiednie słowo ... - jakbyśmy jechali w wielkiej mydlanej bańce. Jakbyśmy się razem z nią unosili.

Spodobało mu się to porównanie. Chętnie uniósłby się ponad Londynem razem z siedzącą obok kobietą. Kiedy wyjrzał przez okno, zauważył, że Caroline miała rację. Lady i lord Dirnhurst zatrzymali powóz przy ulicy sąsiadującej z jego domem. Czekali na nią. James i jego towarzyszka wybuchnęli śmiechem.

Caroline usiadła swobodniej na skórzanych siedzeniach. Gdy odwróciła się do okna, migoczące światło lampy powozu oświetliło jej długą szyję.

- To był czarowny wieczór, prawie jak sen, mimo obecności lady Dirnhurst. Dziękuję - wyszeptała.

Nie odpowiedział. Nie mógł. Całą swoją uwagę skupił na maleńkim, pulsującym wgłębieniu, jakie rysowało się na jej szyi.

Odwróciła się do niego w ciemnościach. Uśmiechnęła się czarująco, a w jej oczach zamigotały ogniki. Delikatnie dotknęła jego ręki spoczywającej na siedzeniu. Miała na sobie rękawiczki, ale mimo to jej delikatne muśnięcie poruszyło w nim wszystkie zmysły. Pragnął jej. Tak silnego pożądania nie zaznał od lat.

Powoli, niemal z czcią pochylił głowę i pocałował delikatnie pulsujący punkcik na jej szyi.

## 7

Przez cały wieczór Caroline bardzo intensywnie odczuwała jego obecność, więc kiedy pocałował ją w szyję, pomyślała, że to sen.

Przez szaloną chwilę odprężyła się, radując się dotykiem ust, jego rąk obejmujących ją w talii i przytulających ją do jego ciepłego ciała.

Kiedy poczuł, że jest blisko, sięgnął wyżej i dotknął jej piersi.

Niemal głośno jęknęła. Jej piersi stały się pełniejsze, naprężone, wypełniły jego dłoń. Nie powinna pozwalać mu, aby dotykał jej w ten sposób. Powinna go powstrzymać, nie mogła jednak tego zrobić. Nagle poczuła, jak palcami lekko muska jej sutki. Teraz już nie chciała go powstrzymać.

Najpierw przestała oddychać, a potem westchnęła z ulgą, gdy skupił się na jej ustach. Zaczął całować ją powoli, głęboko, zręcznie ... Bez reszty poddawała się przyjemności.

Ile już lat minęło od chwili, gdy była w ten sposób dotykana, gdy doznawała tak mocnych, gwałtownych uczuć? Ile czasu minęło, gdy ogarnęła ją tak wielka namiętność?

Na jej miejscu rozsądniejsza kobieta odepchnęłaby go od razu, ale Caroline zapragnęła nie zachowywać się jak roztropna i powściągliwa dama. Chciała być całowana, a James robił to znakomicie. Czuła, że w jej żyłach nadal krąży wino. Leżąc na miękkich poduszkach poddawała się delikatnemu kołysaniu powozu. Mogłaby mu pozwolić się całować przez całą drogę do domu. Jemu również całowanie sprawiało niewysłowioną rozkosz. Wiedziała o tym, wyczuwając napinające się pod wpływem jej dotyku mięśnie, czuła to po sposobie, w jaki ją pieścił. Przez tę magiczną chwilę zapomniała o całym świecie, istnieli tylko oni.

Nagle usłyszała dźwięk zegara wybijającego głośno godzinę. Próbowana przywołać się do porządku.

- Nie możemy... nie powinnam...

Z trudem odsunęła się od niego i wcisnęła w najdalszy kąt powozu. Jej serce biło mocno, jak po wyczerpującym biegu po schodach.

- Ca... ro... line... - W jego ustach to imię zabrzmiało jak cudowna muzyka. - Mam już dosyć słowa "nie powinnam". Zacznij wreszcie mówić "powinniśmy".

Nie dowierzając swemu głosowi, potrząsnęła jedynie głową. -Nie powinniśmy - powtórzyła.

Nachylił się ku niej, opierając się jedną ręką o ścianę powozu, tak że znalazł się znów blisko niej.

Jego usta niemal dotykały jej warg.

- Ależ tak. Powinniśmy - powiedział powoli, jakby uczył ją obcego wyrazu. Pod wpływem jego spojrzenia czuła się jak zahipnotyzowana. - Bardzo chcę cię całować. Wiem, że ty również tego pragniesz.

Zaschło jej w ustach. Nerwowo przełknęła ślinę, co spowodowało, że zwrócił uwagę na jej szyję.

- Uwielbiam cię całować tutaj - wyszeptał i złożył na wskazanym miejscu delikatny pocałunek. Poczucia ciepła jego ust i szorstki policzek. Wyprężyła się, przysuwając się do niego bezwiednie. - I tutaj. - Pocałował ją w kącik ust. - I tutaj. - Pocałunkami zaczął znaczyć drogę do jej ucha. Odsunąwszy do tyłu jej kapelusz, zaczął muskać ucho językiem, a potem znów ją pocałował. Caroline wygięła się w jego ramionach, jakby pocałunkami odsyłał ją prosto do nieba. Nikt jeszcze jej nie całował w to miejsce. - Ale najbardziej chciałbym cię pocałować... - usłyszała blisko jego cichy głos. I wyszeptał sugestię tak szokującą, tak śmiałą, i tak... erotyczną, że pomyślała, że zaraz spłonie z zażenowania i pożądania.

Zmusiła się do rozsądku.

- Myślę, że ...

- Powinniśmy - dokończył za nią. Zamknął jej usta następnym pocałunkiem.

Był to dotyk tak delikatny, jak muśnięcie skrzydłem ważki lub płatkami lilii w ciepłym blasku słońca i tak słodki, jak miód.

Z westchnieniem poddała się swemu pożądaniu i opłótła go ramionami. Nie wiedziała, że pocałunek może wyzwalać takie uczucia. Delikatnie wtulił się w nią, przyciągając do siebie.

W intymnej ciemności powozu znów zaczęła się odprężyć. Jak cudownie było poddawać się pieczytom jego rąk, czuć ciepło i smak jego skóry, słyszeć okrzyki radości. Był taki przystojny, tak silny... Kiedy wsunął język w jej usta, poczuła, że pręży stopy, i usłyszała spadające na podłogę powozu buty. Nikt jeszcze nie całował jej w taki sposób. Mruczała z zadowolenia. Z wahaniem odpowiedziała mu takim samym pocałunkiem.

Zareagował gwałtownie. Przygarnął ją mocno do swych piersi, zacisnął wokół niej ramiona, a jego pocałunki stały się jeszcze bardziej namiętne i zaborcze, jakby chciał ją całą pochłonąć. Odpowiedziała mu w ten sam sposób. Przyciągnęła go do siebie i zanurzyła palce w jego ciemnych włosach. Mogła tak leżeć całą noc, przytulona do jego piersi.

- Czy kochałaś się kiedyś w powozie, Caroline? - wyszeptał ochryłym z pożądania głosem. - Wyobrażasz sobie kołysanie powozu i jednocześnie mnie w sobie? - Poczuła, jak przesuwając rękę ku jej udom. - Pragnę być w tobie. Teraz. W tej chwili.

Jęknęła wyobraziwszy sobie to, co jej zaproponował, dziką szaloną miłość w jego ramionach, we wnętrzu jego powozu...

Raptownie oprzytomniała. Jak mogła pomyśleć coś takiego? Co on robi?

Poczuła, że James gładzi jej pośladki, przyciskając do siebie i szepecząc, jaka jest piękna i jak bardzo jej pragnie. Poczuła również na swych udach zimne powietrze. Ogarnęła ją panika.

Obiema rękami oparła się o jego klatkę piersiową i go odepchnęła. Zaczął osuwać się na podłogę, próbując bezskutecznie utrzymać równowagę. Złapał się drugiego siedzenia. Caroline chciała szybko obciągnąć suknię.

Przestraszona, uniosła nogę i kopnęła go przypadkowo, trafiając dokładnie między nogi.

Naraz zgiął się wpół, jęknął z bólu i osunął na podłogę pomiędzy siedzeniami.

- Och, przepraszam! - wykrzyknęła, wprawiona w zakłopotanie nie tylko dotknięciem tak intymnego miejsca jego anatomii, ale również rozmiarami i stanem jego pobudzenia. Krój jego spodni nie pozostawiał wiele dla wyobraźni.

Dzięki niebiosom, że miał je jeszcze na sobie!

Rzuciła się do drzwi powozu, jednak naraz zdała sobie sprawę, w jakim znajduje się stanie. Zmiętoszony kapelusz zwiisał z tyłu, z włosów wysunęły się prawie wszystkie spinki, a twarz płonęła ze wstydu. Jak mogła doprowadzić do tak szokującej sytuacji?

- Panie Ferrington ... - zaczęła, ale spojrzał na nią tak boleśnie i gniewnie, że przeprosiny zamarły jej na ustach. Najwyraźniej jeszcze nie przyszedł do siebie.

Przesunęła się z powrotem do drzwi, modląc się, aby dojechali wreszcie do jej domu. Powinni już być w pobliżu.

Nie wiedziała, ile czasu minęło, ale jazda nie powinna trwać tak długo. Wyjrząwszy przez okno, dostrzegła znajomą scenerię. Byli niedaleko jej ulicy. Dzięki Bogu, wkrótce będzie bezpieczna, za kilka minut uwolni się od kłopotliwej obecności Ferringtona.

Ku jej zaskoczeniu powóz, poruszając się wolno jak żółw, skręcił w przeciwnym kierunku, niż powinien. Jak stangret mógł się tak pomylić?

Powoli zaczynała rozumieć całą prawdę. James Ferrington zaplanował sobie, że ją uwiedzie. I to prawdopodobnie już przedtem, zanim poczęstował ją pierwszym kieliszkiem szampana.

Wstyd i upokorzenie wzniciły w jej wnętrzu gniew. - Zaufałam panu! - syknęła.

Zrobił z niej idiotkę, a ona dała się nabrać. Zadarła przed nim spódnicę jak pierwsza lepsza.

Opanowała ją ślepa furia. Nie namyślając się wiele, zacisnęła pięść i uderzyła go prosto w nos. - Co u licha... - próbował powiedzieć, ale zdołał jedynie jęknąć. Nie czekała na jego dalsze słowa. Przekreśliła kłamkę, przez moment stała, próbując złapać równowagę, a potem skoczyła na jezdnię. Skrzywiła się z bólu, poczuwszy pod stopami twardy grunt. . Zostawiła przecież w powozie buty.

Nie traciła jednak czasu na myślenie o nich. Kuśtykając po chodniku, ruszyła prędko przed siebie, jak najdalej od powozu. Ulica oświetlona była jedynie blaskiem dochodzącym z okien niektórych domów i przejeżdżających powozów. Nad ziemią unosiły się opary mgły. Pod stopami czuła zimną i twardą powierzchnię bruku. Wcisnęła kapelusz na głowę i zaczęła się modlić, żeby nikt nie wyjrzał z któregoś z okien. Musi się jakoś dostać do domu.

W chwili, gdy skoczyła na chodnik, James poczuł się na tyle dobrze, by krzyknąć, żeby woźnica zatrzymał powóz.

Rzuciła się do ucieczki. Znów trafiła nogą na twardy kamień. Tym razem bardziej ją to zabolalo, uznała jednak, że to kara za głupotę.

- Caroline!

Zebrawszy fałdy sukni, przyspieszyła. Za plecami usłyszała odgłos kroków i niecierpliwy stukot końskich kopyt. Ferrington nakazał stangretowi, by na niego zaczekał. Jego głęboki, melodyjny głos wyraźnie rozlegał się w nocnym powietrzu.

Był bardzo blisko! Nie miała ochoty stanąć z nim oko w oko. Nie teraz. Nie w tym stanie. Poznała alejkę, która prowadziła do jej ulicy. Jeśli nią pójdzie, będzie w domu za parę minut. Cicho przemknęła w kierunku uliczki, modląc się, by goniący ją Ferrington przeszedł obok.

Wyciągnęła przed siebie rękę, szukając ściany ogrodzenia otaczającego czyjąś posesję. Mur powinien łączyć się z następnym. Szła blisko, kryjąc się w jego cieniu, zadowolona, że ubrała się we wdowią czerń.

Wiodąc prawą ręką wzdłuż muru, lewą wyciągnęła przed siebie, badając, czy w ciemności nie natrafi na jakąś przeszkodę. Przez jakiś czas słyszała tylko głośnie bicie własnego serca. Czowała zapachy kuchenne wydobywające się z mijanego właśnie domu. Lewą dłonią dotknęła jakichś pnączy porastających mur następnej posesji. Prawą natknęła się na furtkę prowadzącą do ogrodu. Udało jej się obejść zarośla.

Zatrzymała się na dźwięk otwieranej furtki. Jakaś kobieta rozmawiała z mężczyzną o zakupach na następny dzień. Mężczyzna był służącym. Caroline przystanęła, zastanawiając się, co by się stało, gdyby jedna z osób prowadzących rozmowę wyszła w tej chwili z furtki i ją ujrzała. Znów usłyszała wołającego ją po imieniu Jamesa. I to gdzieś bardzo blisko.

- Dla ciebie jestem lady Pearson - wymruczała pod nosem. Pokojówka powiedziała coś gniewnie do mężczyzny. Drzwi otworzyły się i zamknęły z hukiem. Chwilę później otworzyły się znowu i zamknęły o wiele ciszej.

Caroline nie czekała dłużej. Jak złodziej skradający się w nocy, schyliła się i ruszyła dalej. Dotarła do rogu i zdążyła pomyśleć, że niebezpieczeństwo minęło, gdy naraz wystraszyła kota. Odskoczyła, źle postawiła stopę i upadła na twardą powierzchnię gruntu.

Ferrington usłyszał hałas. Słyszała, jak biegnie od strony ulicy w kierunku alejki.

- Caroline! Zaczekaj!

Pędził prosto ku niej, słyszała jego kroki. Nie chciała, aby zobaczył ją, jak leży rozciągnięta w błocie. Może przejdzie obok, nie zauważwszy jej w tej atramentowo czarnej ciemności. Wygramoliwszy się, stanęła na nogi, urywając rąbek sukni. Kapelusz zsunął się na czoło, ściągnęła go więc do tyłu i przyłgnęła do muru. Usłyszała głośnie chrząknięcie i towarzyszący mu dźwięk poruszanych pnączy.

Ferrington był już niedaleko. Oby tylko nie usłyszał głośniego bicia jej serca. Była już tak blisko domu!

Przed sobą zobaczyła rysujące się w ciemności zarysy szopy używanej przez jednego z sąsiadów jako magazynu. Nasunawszy na twarz welon, przycupnęła w cieniu budki i czekała.

Chwilę później usłyszała go. Stapał teraz o wiele ostrożniej. Kto by uwierzył, że tak wysoki mężczyzna potrafi poruszać się tak cicho.

- Caroline. - Dotarł do niej zirytowany głos.

Zamarła przestraszona, że zaraz znajdzie ją w tym ukryciu. Miała ochotę krzyknąć, żeby się wyniósł i ją zostawił. Słyszała jednak tylko swój oddech.

Zmierzał prosto w jej kierunku. Wszedł na jakieś potłuczone szkło.

- Caroline, wiem, że tam jesteś.

Jeszcze bardziej skuliła się w swym schronieniu.

- Przestań już bawić się ze mną w kotka i myszkę. - Minął ją, zobaczyła jedynie cień przesuwany się obok. Gdyby się odważyła, mogłaby dotknąć jego butów.

Zatrzymał się jakieś pięć stóp od niej, nie mówiąc słowa. Bała się, że usłyszy bicie jej serca. Zaczęła się modlić.

- Caroline, chcę cię tylko odprowadzić do domu.

Zacisnęła pięści. Denerwował ją, zwracając się do niej po imieniu.

- Wyjdź wreszcie z ukrycia. Przestań się tak głupio zachowywać.

Zmarszczyła brwi. Kim on jest, by dyktować jej, co ma robić?

- Caroline! - krzyknął znowu, jakby nawoływał pieska, który zaraz skoczy, żeby łasić się do jego stóp. - Caroline, to jest śmieszne. Wychodź wreszcie.

Nie usłyszawszy odpowiedzi, zawrócił w jej kierunku. Przez chwilę obawiała się, że ją zobaczy, zwłaszcza gdy stanął obok szopy. Usłyszała jego słowa, tak uroczyste, jakby przemawiał na posiedzeniu parlamentu:

- Lady Pearson, przykro mi, że panią wystraszyłem, proszę jednak zrozumieć, że bezpieczniej będzie, jeśli pani wyjdzie wreszcie z ukrycia. - Przerwał na chwilę. - Oczywiście, jeśli pani jest tutaj, a nie gdzie indziej. - Odwrócił się nieco, jakby czekał na jej odpowiedź. - Czuję się zupełnie jak krety! - wykrzyknął gniewnie. - Jeśli boi się pani, że będę panią napastować, proszę o tym zapomnieć. Po tym, jak mnie pani zdrzebiła, będę szczęśliwy, jeśli kiedyś doczekam się potomstwa albo będę w stanie uwodzić kolejną wdowę. - Czekał. Gdy milczenie przeciągnęło się, zaczął mówić do siebie, jakby doszedł do wniosku, że jednak nikogo nie ma w alejce. - A zresztą, co za sens uwodzić wdowy, to zupełnie zużyty towar ...

Nagle jakiś głos przerwał jego monolog.

- Kto się tak wydziera po nocy? Wynocha z mojej ulicy albo wezwę straż.

Caroline wcisnęła się głębiej w cień i przyłgnęła do drewnianej ściany szopy. To był kupiec tekstylny, który mieszkał w domu po drugiej stronie alejki. Przynajmniej raz przydał się na coś jego zły humor. Policzki zapłonęły jej z upokorzenia... Zużyty towar! Jeśli miałaby w ręku pistolet, wycelowałaby prosto w niego i to bynajmniej nie w serce. Już ona by się postarała o to, by nie mógł płodzić dzieci!

Ferrington zmiął w ustach przekleństwo. Pewnie niezbyt często ludzie mu się przeciwstawiali. Była dumna, że ona to zrobiła.

- Ej, ty tam, słyszysz mnie? - kupiec znów wrzasnął. - Zaraz wezwę straż.

- Pewnie jej tu nie ma - wymamrotał pod nosem Ferrington.

Ujrzała poruszający się obok cień. Odszedł. Oparła głowę na kolanach, wydawszy z siebie westchnienie ulgi. Poczekała, aż ucichną jego kroki, wstała i dotykając ściany, znalazła się przy furtce sąsiada. Pan Hendley cenił swoje róże bardziej niż własną żonę, ale Caroline nie miała ochoty ani czasu pytać go, czy może przejść przez jego posesję. Była przecież w sytuacji przymusowej. Palcami wyczuła zardzewiały zamek w furtce. Podniosła skobel i znalazła się w środku. Przebiegła po cennych różach pana Hendleya i ścieżką ruszyła do głównej bramy wychodzącej na ulicę. Jej dom był trzeci z kolei.

Nie zwlekała chwili dłużej. W słabym świetle księżycy szybko poszła w kierunku drzwi i zapukała cicho, wiedząc, że Jasper na pewno jeszcze nie śpi. Spojrzała w górę i w dół ulicy, obawiając się, że zaraz ujrzy powóz Ferringtona. Panowała cisza.

Naraz jej serce, zabiło mocniej. Ujrzała czekającego cierpliwie na swoją panią służącego baronowej de Severin-Fortier, co oznaczało, że Minerva wróciła do domu razem ze swymi przyjaciółkami. Caroline zaczęła się modlić, aby udało jej się przemknąć, zanim zostanie zauważona.

Już chciała załomotać, gdy w tej samej chwili drzwi otworzyły się. Mało brakowało, a Jasper dostałby od niej prosto w głowę. Wsunęła się szybko do środka i złapała służącego za kłapy żakietu.

- Jasper, szybko zamykaj drzwi. I nie otwieraj nikomu, nawet samemu królowi.

Nie widziała go dotychczas tak zaskoczonego, ale nie miała czasu na wyjaśnienia. Zatrzasnęła drzwi i zaczęła blokować zamek. No, a teraz musi zrobić jedynie kilka kroków. Gdy dopadnie schodów, uniknie spotkania z ciotką.

Odwróciła się na pięcie i zamarała w bezruchu. Minerva i jej przyjaciółki stały w drzwiach salonu, z żywym zainteresowaniem przyglądając się jej poczynaniom.

Doszła do wniosku, że nie pozostaje jej nic innego, jak udawać, że nic się nie stało. Zdając sobie sprawę, jak wygląda w pomiętym kapeluszu i z włosami opadającymi w nieładzie na ramiona, zmusiła się do uśmiechu.

- Dobry wieczór - powiedziała, jakby właśnie wróciła ze spotkania w kółku charytatywnym.

Dobrze, że miała przynajmniej rękawiczki na rękach.

- Dobry wieczór - odparła Minerva. Wiek nie osłabił wcale jej urody. Wprawdzie blond włosy przyprószyła siwizna, ale nadal wyglądała bardzo pociągająco. Co więcej, obdarzona błękitnymi oczami Pearsonów, Minerva miała jeszcze poczucie humoru i inteligencję, której im brakowało.

Caroline wiedziała, że nie zdoła jej zwieść. Ani też kobiet tłoczących się tuż za nią. Na przykład baronowej de Severin-Fortier. Była to wyższa od Minervy, szczupła kobieta o siwych,



pięknie ufryzowanych włosach. Ledwo udało jej się uciec przed rewolucją francuską. Wiele lat temu plotkowano, że ona i Minerva dzieliły między siebie łaski Jerzego III w czasach jego najlepszych lat. Caroline nie wierzyła tym pogłoskom. Żadna kobieta nie potrafiłaby przecież dzielić się z inną kochankiem, jednocześnie pozostając z nią w przyjaźni. A one dwie przyjaźniły się od wielu lat.

Za nimi stała Violetta Mills, była żona wikarego, która zgorszyła londyńskie towarzystwo ponad dwadzieścia pięć lat temu, kiedy zostawiła męża w środku nabożeństwa niedzielnego, uciekając z rosyjskim hrabią. Plotki głosiły, że hrabia wjechał prosto do kościoła na białym koniu, porwał ją w ramiona na oczach całego zgromadzenia i uciekł do Sankt Petersburga.

Trudno było uwierzyć, że ta niepozorna kobieta, uwielbiająca pielęgnować kwiaty, zachowująca się tak nieśmiało, potrafiła wzbudzić w kimś wielką namiętność. Jednak historia ta zdarzyła się naprawdę. Tego dnia, kiedy opuściła męża, Violetta Mills po raz ostatni widziała swoje dzieci; ich straty nie potrafiła przeboleć do dzisiaj.

Słyszając donośne chrapanie dobywające się z salonu, Caroline zerknęła w tamtym kierunku. Jak się spodziewała, to lady Mary Dorchester, najstarsza z czwórki przyjaciółek, spała wygodnie w fotelu obok kominka. W trakcie snu przekrzywiła się jej olbrzymia peruka. Lady Mary, jak lubiła, by ją nazywano, była żoną zmarłego "szalonego" Wilhelma Dorchestera, wielkiego brytyjskiego przywódcy z lat rebelii kolonialnej. Minerva знаła ich obydwój od lat. Napiwszy się trochę wina, lubiła wspominać uczyty wydawane przez Dorchesterów. Szalone przyjęcia, na których każdy mógł pozwolić sobie na wszystko. Patrząc na pochrapującą w fotelu lady Mary, trudno było uwierzyć, że kobieta ta bywała kiedyś inspiratorką wyuzdanych przyjęć.

Jednego Caroline była zupełnie pewna, Bardzo trudno będzie jej uciec przed tą grupką. Przyglądały się uważnie każdemu szczegółowi jej wyglądu.

Mimo to próbowała.

- Przepraszam, ale chcę się położyć spać. - Udało jej się przemówić w miarę normalnym głosem. - Trochę dokucza mi głowa. - To akurat była szczerą prawdą. Cała buńczuczna odwaga, która opanowała ją tej nocy, była wynikiem wypicia nadmiernej ilości szampana. Teraz marzyła jedynie o tym, by znaleźć się w łóżku.

- Caroline - dogonił ją przy schodach głos Minervy. - Wyglądasz, jakbyś się z kimś szamotała.

Poczuła, jak się czerwieni niemal od palców stóp aż po czubek głowy. Nie miała pojęcia, jak mogłoby wyglądać takie szamotanie, ale określenie to zupełnie odpowiadało temu, co zdarzyło się w powozie Ferringtona.

- Ależ wszystko w porządku. - Caroline potrząsnęła głową. - Ja tylko, eee... - Próbowała wymyślić miejsce, w którym mogła być, i wymieniła pierwsze, które przyszło jej do głowy... - Pracowałam w kościele. Mamy bardzo dużo zajęć.

Baronowa zmierzyła ją przenikliwym wzrokiem i powiedziała lekko:

- Powinnaś w takim razie mniej przeżywać modlitwy, chérie.

Minerva oparłszy się na lasce - zapewne miała nawrót reumatyzmu - podeszła bliżej. Spojrzała z miłością na młodą kobietę.

- Czy na pewno nie masz gorączki, kochanie? Twoje policzki płoną żywą czerwienią.

- To nie gorączka. - Baronowa spojrzała domyślnie i uniosła jedną brew. - To przez męski zarost.

- Męski zarost? - Minerva spojrzała zaskoczona na swoje towarzyszki.

- O, tak - potwierdziła Violetta Mills. - Mnie to również wygląda na zaczerwienienie, które powoduje męski zarost.

Niemal w tym samym momencie rozległo się donośne walenie do drzwi. Serce Caroline niemal podskoczyło ze strachu.

- Nie! - krzyknęła. - Nie otwierajcie.

Jasper spojrzał na nią, ale wzruszywszy ramionami, usłuchał polecenia.

Jednak Minerva nie miała zamiaru tego uczynić. Minęła służącego i otworzyła drzwi. Protest zamarł Caroline na ustach.

Pod drzwiami na schodach stał James Ferrington. Jego potężna sylwetka niemal wypełniła całe drzwi. Nie można było nie zauważyć, że on również wygląda, jakby się właśnie z kimś szamotał. Ani też tego, że jego zielone oczy przepełnione są wściekłością. Zerknąwszy na Minervę, spojrzał w kierunku Caroline.

Uniosła głowę i spiorunowała go oburzonym wzrokiem, aż poczuła, że jej oczy zaczynają łzawić. Dlaczego ma się czuć zawstydzona? Nie zrobiła przecież nic złego. To on powinien ją przeprosić. Rozpustnik, dobrze wiedział, jak działa na kobiety, i bezczelnie to wykorzystywał.

Był szalenie przystojny. Potwierdziły to zarówno pełne podziwu słowa Violetty Mills: "Wielkie nieba!", jak również wzrok baronowej świadczący, jakie zrobił na niej wrażenie.

Minerva przerwała ciszę.

- Czym mogę służyć? - spytała z dumą iście królewską. Pierwszy odwrócił wzrok. Spojrzał zmieszany na stojącą przed nim śmiało Minervę.

- Chciałem się upewnić, czy lady Pearson... wróciła do domu. - Lekko zaakcentował tytuł, by podkreślić sztywną formalność.

- A kim pan jest?

Spojrzał na starszą panią, nie przyzwyczajony, by go tak traktowano.

- Nazywam się Ferrington. James Ferrington.

- W takim razie, panie Ferrington, jak pan widzi, wróciła do domu - odparła sztywno.

- Rzeczywiście. - Skinął głową i jeszcze raz spojrzał na Caroline. - Czy mogłaby pani przekazać lady Pearson te oto pantofle? - Wyciągnął przed siebie buty należące do Caroline. - Dobranoc paniom. - Odwrócił się na pięcie i zniknął w ciemnościach.

Oniemiała Minerva patrzyła na buty. Violetta Mills i baronowa z otwartymi szeroko ustami wyglądały, jakby zamieniły się w komicznie wyglądające posągi. Rozległo się chrapanie lady Dorchester.

Z kamienną twarzą Caroline podeszła do Minervy i wzięła buty z jej rąk.

- Dobranoc - wyszeptła i pomknęła po schodach w kierunku sypialni. Głos Minervy zatrzymał ją w połowie drogi. - Caroline, czy wszystko w porządku?

Młoda kobieta spojrzała na zaciekawioną i przejętą ciotkę.

-Ależ oczywiście. - Zmusiła się do uśmiechu, - Nic się nie stało. Naprawdę.

No, może poza tym, że zmieniła radykalnie opinię, jaką miała na swój temat.

Nie czekała, aż ciotka zobaczy, jakie myśli ma wypisane na twarzy. Uniosła skraj sukni i poszła do sypialni. Znalazłszy się w zaciszu swojego pokoju, spojrzała w lustro.

Trumbull nigdy jej tak nie całował jak James Ferrington, a na dodatek... wielkie nieba, ona odpowiadała na jego pocałunki.

Musnęła palcami policzki. Nie pamięta, kiedy zaczerwieniły się od jego zarostu. Całowanie go wydawało się zupełnie naturalną czynnością. Czowała, że zaraził ją swą namiętnością.

Dobrze, że lady Dirnhurst nie zobaczyła jej w tym stanie! Musi się tylko porządnie wyspać i zapomnieć o tym nieszczęsnym incydencie. To było doświadczenie, powiedziała sobie, które już się więcej nie powtórzy.

Ku swemu zaskoczeniu usnęła w tej samej chwili, w której przyłożyła głowę do poduszki. Zapadła w niespokojny sen pełen szalonych obrazów. Przed nastaniem świtu obudziła się, spocona i wciśnięta w poduszkę. Dotychczas nic takiego jej się nie śniło. Jej sen był ściśle związany z Jamesem Ferringtonem i jego namiętymi pocałunkami.

Myśl o nim wywołała w niej bolesną tęsknotę. Położyła się na plecach, przycisnąwszy do siebie poduszkę. Jak po otwarciu puszkę Pandory, jego pocałunki przywołały wspomnienia, o których wolałaby nie pamiętać. Wspomnienie zmarłego męża, nie zaspokojonych pragnień, nie spełnionych marzeń... braku pieśczoć, jakich doznała tej nocy.

Gapiła się w sufit, pragnąc, by zniknęły wreszcie te uczucia. Nie podda się im. Musi zacząć myśleć o sprawach praktycznych, na przykład, co kupić na obiad albo o lekcji, którą powinna przygotować na poniedziałek. Wszystko będzie dobrze, pod warunkiem, że już nigdy nie zobaczy jego wysokości Jamesa Ferringtona.

Nagle znów przywołała w myślach jego twarz. Był nie tylko wyjątkowo przystojny, męski i ujmujący, ale również bardzo troskliwy, no, przynajmniej w trakcie kolacji. Skąd miała wiedzieć, że potem się na nią rzuci? Skąd miała wiedzieć, że mu na to pozwoli?

Bojąc się, dokąd zaprowadzą ją własne myśli, Caroline zamknęła oczy i zaczęła modlić się o zdrowy rozsądek. Nagle otworzyła je znów szeroko. Była złana potem, a serce waliło jej mocno nierównym rytmem.

Nie dostała od niego aktu własności domu!

Znów będzie musiała się z nim spotkać, i to jeszcze dzisiaj. Tym razem jednak nie pozwoli na żadne gierki, obiecała sobie. Będzie się miała na baczności. Żadnych więcej kolacji i przejażdżek powozem. I żadnych pocałunków.

Błagam, Boże, żadnych pocałunków.

## 8

- Caroline, czy ty masz jakieś kłopoty ze słuchem? - Zaskoczona nagłym pytaniem Minervy, Caroline podskoczyła i odwróciła się gwałtownie, niemal potrącając łokciem kałamarz. Złapała go w ostatniej chwili, zanim zdążył poplamieć rozrzucone po sekretarzyku arkusze papieru, nad którymi pracowicie spędziła cały ranek.

-Ależ mnie zaskoczyłaś, Minervo! - wykrzyknęła i pomyślała, że musi szybko schować kartki przed bystrym wzrokiem ciotki. Zasłoniła ręką słowa tekstu.

- Nie rozumiem dlaczego. Wołam cię już od pięciu minut. Co ty takiego robisz? Od ponad godziny ślęczysz nad papierami, jak uczennica odrabiająca pracę domową. - Podpierając się laską, starsza pani przemierzyła salon i podeszła do ustawionego pod oknem sekretarzyka. - Czy wiesz, że atrament jeszcze nie zdążył wyschnąć, a ty już zakryłaś go ręką? Rozmaże ci się teraz po rękawie.

Przestraszona Caroline uniosła rękę znad papieru. Słowa „Panie Ferrington” były nieco rozmazane, ale nadal czytelne. Nagle zdała sobie sprawę, że zrobiła błąd. Atrament nie zostawiłby przecież śladów na czarnej sukience z krepy, a teraz Minerva zobaczyła, co napisała na kartce.

- Pisziesz do pana Ferringtona? Czy to nie ten dżentelmen, który był tutaj zeszłej nocy? - Podniosła jeszcze jedną kartkę. - A to co takiego? Całe rzędy Panów Ferringtonów?

Caroline splonęła rumieńcem. Nie podobało jej się "F" w wyrazie Ferrington, więc zaczęła wypróbowywać inny charakter pisma. Wkrótce sekretarzyk został cały zarzucony kartkami zaczynającymi się od różnych nagłówków: "Panie Ferrington", "Drogi Panie Ferrington" (wyraz "drogi" został przekreślony, obawiała się, że po ostatniej nocy zostanie to odebrane opacznie), "Do Pana Ferringtona" i tak dalej. Na innych kartkach zapisała swoje myśli dotyczące ich przyszłego spotkania. Nie ma zamiaru nawet się do niego fatygować. Na pewno tego nie zrobi. Tym razem to on przyjdzie do niej, a ona już potrafi się przed nim obronić.

Wyrwała z rąk Minervy obciążający ją kawałek papieru i zaczęła udawać, że układa na kupkę pozostałe kartki.

Ciotka usiadła na krześle, stojącym po drugiej stronie sekretarzyka.

- Caroline, ty się zaczerwieniłaś.

- Ależ to śmieszne. - Czują, że policzki zaczynają palić ją jeszcze bardziej. Oparła ręce na blacie i zmusiła się, by odpowiedzieć ciotce. - Mam pewną sprawę do pana Ferringtona.

Brwi starszej pani uniosły się ze zdumienia.

- Sprawę?

-Tak. - Caroline nie miała zamiaru wprowadzać jej w szczegóły.

Ciotka, zaniepokojona, zmrużyła oczy.

- Wiesz, że jeśli potrzebujesz jakiejś... rady... lub ramienia, na którym chciałabyś się wesprzeć... możesz na mnie liczyć. Mam trochę odłożonej gotówki.

Caroline wyciągnęła do niej rękę.

- Wiem o tym. Gdybym nie była pewna, że dam sobie radę, do ciebie przede wszystkim zwróciłabym się o pomoc.

- Czasami wydaje mi się, że jesteś za bardzo niezależna.

Caroline cofnęła rękę.

- Przyganiał kociół garnkowi.

Minerva potwierdziła jej słowa skinieniem głowy. Chociaż mieszkały ze sobą ponad trzy lata, miały dla siebie wystarczająco dużo szacunku - i tajemnic - by nie wtrącać się do nie swoich spraw. Caroline nigdy nie wyrażała opinii na temat sposobu życia, jaki prowadziła Minerva. Z kolei starsza pani nie naciskała, jeśli jej towarzyszka nie chciała mówić na pewne tematy.

Aż do dzisiaj ...

- Jasper powiedział mi, że wczoraj był u nas z wizytą Freddie. Czy mówił coś ważnego?

- Nie - odpowiedziała zbyt szybko Caroline. Zmusiła się, by dodać lżejszym tonem: - Czy kiedykolwiek tak było?

Nie chciała, by Minerva dowiedziała się o grożącej im eksmisji, ponieważ nie miała zamiaru w ogóle do niej dopuścić.

- Nie, masz rację. Byłam po prostu zaskoczona jego wizytą. Odwiedza nas tak rzadko. -  
Minerva zaczęła wciągać rękawiczki.

Caroline zdała sobie sprawę, że ciotka się gdzieś wybiera.

- Jakie masz plany na dzisiaj?

- Charlotte zaprosiła mnie na lunch. Chcesz się do nas przyłączyć?

Caroline zerknęła na zegar stojący na kominku. Okazało się, że straciła dwie godziny, próbując napisać list, i nadal nie była bliżej końca niż w chwili, kiedy się do tego zabrała.

- Nie, dziękuję, mam dzisiaj bardzo mało czasu.

- Jakie masz plany? - Minerva przechyliła głowę.

- Plany? - powtórzyła. - Powinam... przygotować się do poniedziałkowej lekcji i mam trochę pracy w kółku, muszę też przepisać raporty...

- Mam wrażenie, że za ciężko pracujesz. Inne kobiety, które udzielają się w waszym kółku, haniebnie cię wykorzystują. Dlaczego one nie pracują tyle, co ty?

- Ponieważ wnoszą do naszej działalności pieniądze, a ja swoją pracę.

- Mam nadzieję, że ten bladolicy, wielebny Tilton nie przyjdzie do nas z wizytą? Bardzo mnie irytuje ta jego mowa o niczym i ciągle oświadczyń. Nie rozumiem, jak ty z nim wytrzymujesz.

- Nie jest aż taki okropny. - Caroline uśmiechnęła się. - Za każdym razem, gdy mu odmawiam, wygląda tak; jakby czuł ulgę.

- To po co to robi?

Caroline miała już na końcu języka, że z powodu lady Dirnhurst, ale nazwisko tej kobiety niosło ze sobą niemiłe wspomnienia. Miała nadzieję, że w tym tygodniu wielebny Tilton nie przyjdzie do niej z oświadczynami.

Milczała, więc ciotka spojrzała na nią niepokojąco domyślnie. Caroline zastukała niecierpliwie palcami o blat sekretarzyka.

- Och, zapomniałam. Masz do napisania list.

- I mnóstwo innych rzeczy do zrobienia. - Caroline wiedziała, że Minerva nie dała się jej oszukać. Dobrze, że ciotka będzie u baronowej, kiedy przyjedzie tutaj Ferrington. Co za szczęśliwe zrządzenie losu. Powoli zaczynała się uspokajać. - Prawdę mówiąc, będę dzisiaj taka zajęta, że mogłabyś nawet zostać u baronowej na wieczór, oczywiście, jeśli ona nie ma innych planów.

Minerva wydawała się mocno zaskoczona tą propozycją.

- Dobrze - odparła po chwili.

Wstała z krzesła, ciężko opierając się na lasce.

- Znów dokuczają ci artretyzm? - Caroline wstała również.

- Od wczoraj. - Minerva pokiwała głową. - Pogoda w Anglii jest okropna, tylko chłód i wilgoć. - Zadrzała mimo ciepła dochodzącego z kominka. - Włochy mnie rozpuściły.

Caroline objęła ciotkę w talii i podprowadziła do drzwi. Pierre, wielki, zwalisty stangret baronowej, czekał na nią, rozmawiając z Jasperem. Przyjaciółka zawsze posyłała po Minervę swój powóz. Caroline wzięła od Jaspiera kapelusz ciotki i włożywszy go jej na głowę, zawiązała wstążki pod brodą.

- Może powinnaś zostać w domu?

Minerva sięgnęła po ciepły wełniany szal leżący na stole.

- A ty będziesz nadszakać mi jak choremu dziecku? Nic z tego. - Wręczyła laskę Pierre'owi i owinęła się szalem. Potem podała mu rękę, ale zatrzymała się jeszcze na chwilę. - Caroline, jeśli masz jakieś kłopoty, pamiętaj, że możesz mi ufać. Chociaż należymy do różnych pokoleń, ale jeszcze nie jestem bardzo zacofana.

Uśmiechnęła się do ciotki, wzruszona troską malującą się na jej twarzy.

- To nic takiego, z czym bym sobie nie poradziła. Nie martw się o mnie.

Minerva przyjrzała się jej badawczo.

- Zobaczymy się wieczorem.

- Baw się dobrze. - Usłyszawszy odgłos zamykanych drzwi, wróciła do sekretarzyka i czekającego ją listu.

Minerva i Violetta, skończywszy lunch, zostały chwilę przy stole, by napić się po kieliszku ratafii. Baronowa, ułożywszy się na poduszkach leżących na podłodze, zaciągnęła się fajką, napełniając powietrze słodkim zapachem tytoniu. Lady Mary chrapała cicho w fotelu stojącym przed

kominkiem. Charlotte miała na sobie jeden ze swych ulubionych strojów, czerwony kaftan z gazy ozdobionej złotymi nitkami i białe jedwabne szarawary. Zaczęła go nosić wiele tam temu, podczas jednej ze swych podróży, i nie zrezygnowała z niego nawet teraz, po powrocie do Londynu, chociaż wkładała go tylko wtedy, gdy nie opuszczała domu. Jedną z nielicznych rzeczy, na którą się nie zdobyła, było chodzenie po ulicach Londynu w spodniach.

- Anglicy są tak śmiertelnie poważni, że jeszcze spowodowałabym na ulicy zator - stwierdziła kiedyś, a jej przyjaciółki się z nią zgodziły.

W przeciwieństwie do niej, Minerva zawsze ubierała się elegancko, niczym księżna. Większość jej sukien pochodziła jeszcze z czasów pobytu we Włoszech. Bernardo należał do szczodrych mężczyzn, chociaż majątek po jego śmierci przypadł w udziale jego żonie, a nie kochance. Minerva nie zazdrościła tej kobiecie odziedziczonego bogactwa. Ona otrzymała od ukochanego miłość, a to było dla niej ważniejsze niż pieniądze.

Violetta Mills wyglądała jak typowa żona pastora. Nie chodziła w strojach noszonych w jej przybranej ojczyźnie i nie wyglądała jak kobieta, która wiodła życie utrzymanki. Jej ubiory były stylowe, miały najczęściej stonowane barwy. Wybierała błękity, beże i brązy. Materiały, z których szła suknie, były mocne i praktyczne. Violetta mieszkała razem z lady Mary, która z kolei nie kupowała sukni od ponad trzydziestu lat. Jej Wilhelm, mawiała, wspominając zmarłego męża, podziwiał tamtą modę, nie widziała więc powodu, dla którego miałyby zmieniać swój styl, chociaż mąż nie żył już od dwudziestu lat. Paradowała więc w kapeluszach o szerokich rondach przybranych strusimi piórami, ozdabiała twarz muszkami i pudrowała włosy. Nadal nosiła suknie z ciężkiego brokatu, uważając, że najkorzystniej podkreślają jej bogato obdarzone przez naturę kształty. Wysoka, dobrze zbudowana robiła duże wrażenie na tych, którzy spotykali ją pierwszy raz. Zmarły mąż dorównywał jej barwną osobowością. Minerva wiedziała, że powodem, dla którego lady Mary tyle śpi, jest po prostu nuda.

Przyjaciółka zwierzyła się jej kiedyś, że po śmierci Wilhelma życie straciło dla niej sens. Czekala więc, aż wreszcie połączy się z mężem. Z nich czterech tylko ona cieszyła się szacunkiem londyńskiego towarzystwa. Rzadko jednak gdzieś bywała, nawet jeśli zmuszały ją do tego obowiązki rodzinne. Wolała miłe, bez troskie towarzystwo przyjaciółek.

Minerva zaczęła opowiadać im o Caroline.

- Jeszcze nie zachowywała się tak dziwnie - stwierdziła, skończywszy mówić o pisanim przez nią liście.

- Do kogo pisała? - spytała Violetta.

- Do pana Ferringtona. To ten dżentelmen, który przyszedł zeszłej nocy.

Charlotte usiadła nagle zainteresowana. - Spytałaś ją, po co pisze ten list?

Minerva potrząsnęła głową.

- Caroline jest bardzo skryta... wydaje mi się, że nie chciała, abym ją o to wypytywała.

- Dlaczego? - W głosie Charlotte słychać było lekki francuski akcent. - Ja bym tak zrobiła.

Skrzywiła się, słysząc westchnienie Minervy. - Należy przecież do twojej rodziny...

- Tylko przez małżeństwo z Trumbullem. Nie daje mi to żadnych praw, by wtrącać się w jej życie.

- ... i jest od ciebie młodsza - dokończyła baronowa. - Zawsze możesz się powołać na wiek. Bo jakie inne korzyści płyną ze starości. - Z powrotem wsadziła fajkę do ust.

- Caroline chce się czuć niezależna. - Minerva oparła łokcie na stole. - Nikogo nie pyta o radę, nawet mnie. Dzieje się tak, odkąd zmarł jej mąż. Czasami bardzo się o nią martwię.

- Jakie było jej małżeństwo? - spytała Charlotte.

- Nie wiem. - Minerva wzruszyła ramionami. - Trumbull zmarł w tysiąc osiemset pięćdziesiątym. Ledwo go znałam. Od czasu jego narodzin mieszkałam na kontynencie, a wróciłam niedługo przed jego śmiercią. Nikt z rodziny nie chciał mieć ze mną do czynienia, oprócz Caroline, która przeciwstawiła się w tej sprawie nawet mężowi, chociaż starała się, bym o tym nie wiedziała. Po jego pogrzebie poprosiła mnie, żebym z nią zamieszkała. - Przesunęła palcem po nóżce kieliszka. - Nie opowiada o swym małżeństwie. To tabu. Raz spytałam ją o to - dodała, widząc, że Charlotte szykuje się, by coś powiedzieć. - Spytałam o to wkrótce po śmierci Trumbulla. Myślałam, że jeśli się zwierzy, to jej jakoś pomoże, ale jest bardzo skryta. Była jedynaczką i wydaje mi się, że jej ojciec był bardzo wymagający.

- Może Trumbull ją zranił? - Violetta ściągnęła z niepokojem brwi.

Minerva wiedziała, że przewielebny Mills był człowiekiem pobożnym, co nie przeszkadzało mu brutalnie traktować żony. Hrabia Aleksiej Warwarinski nie tylko nauczył Violetę miłości. Przede wszystkim uratował jej życie.

- Nie sądzę, by traktował ją źle, ale wydaje mi się, że go nie kochała. Wiem, że nie była z nim szczęśliwa.

- Mężczyzna nie musi bić kobiety, by czuła się źle traktowana. - Charlotte oparła cybuch fajki o nargile i wypuściła dym z ust. - Niektórzy Anglicy lepiej traktują psy niż swoje żony. To z tego powodu większość kobiet w Anglii woli zostawać kochankami, a nie żonami, n'est pas?

- Spytałam Caroline w dzień po jej przyjęciu urodzinowym, czy ma zamiar jeszcze raz wyjść za mąż - powiedziała Minerva.

- I co ci odpowiedziała? - spytała Violetta.

- Że nie ma takiego zamiaru. Oświadczyła, że ma to już za sobą i że wielebny Tilton może jej się oświadczać nawet co tydzień. Ten człowiek nie potrafi przyjąć do wiadomości odmowy. W jego oświadczeniach nie ma choćby odrobiny namiętności.

- Ale dlaczego nie chciałaby wyjść za mąż? - Violetta zmarszczyła czoło. - Jest jeszcze młoda i taka ładna.

- Zgadza się z tobą. Powiedziałam jej, że robi źle, ale wtedy wyznała mi się, że nie może mieć dzieci. - Minerva widziała jak zaciekawienie malujące się na twarzach przyjaciółek zmienia się w troskę. - Ma rację. Żaden mężczyzna nie chciałby mieć bezpłodnej żony, a przynajmniej żaden z jej sfery.

- Są tacy, którym byłoby wszystko jedno - zaprotestowała romantyczna Violetta.

- Ale jest ich bardzo mało - zauważyła Charlotte. .

Minerva położyła ręce na stole.

- Jednak wczoraj wróciła do domu z panem Ferringtonem i wyraźnie było widać, że się z nim całowała.

- I nie miała na nogach butów - dodała Violetta.

- I co to niby ma oznaczać? - Charlotte zaczęła mościć się wśród poduszek. - Co z tego, że nie miała butów?

- Może Caroline zdecydowała się wziąć sobie kochanka?

Wszystkie trzy zwróciły się zdziwione ku lady Mary, która siedziała w fotelu wyraźnie rozbudzona i wypoczęta. Odwzajemniła ich spojrzenia spokojnym wzrokiem.

- Przecież przed chwilą powiedziałyście, że dziewczyna nie może mieć dzieci i nie chce wychodzić za mąż. Dobrze wiemy, że jest za młoda, by żyć jak pustelnica. Dlaczego nie miałyby wziąć sobie kochanka?

- Nie, nie Caroline - powiedziała z przekonaniem Minerva. - Nawet by nie pomyślała o czymś takim!

- Ludzie mawiali kiedyś tak o mnie - zauważyła Violetta. -A potem poznałam Aleksieja.

Charlotte wypuściła kolejne kółeczko dymu.

- Może, mes amies, pan Ferrington stanie się dla Caroline tym, czym Aleksiej dla Violetty. Mężczyzną, który pokona jej opór, dla którego straci głowę. Hm, tak myślicie?

Zaskoczona tym pomysłem Minerva wstała od stołu, czując, że musi rozprostować kości. Przeszła kilka kroków, rozważając tę możliwość. Czy Caroline pragnęłyby wziąć sobie kochanka?

- Nie potrafię sobie tego wyobrazić - zwróciła się do przyjaciółek. - Chociaż jednocześnie nie przeszkadzało jej to, że ja wybrałam dość niekonwencjonalne życie. A wydawała mi się taka układna. Kiedy tylko jakiś mężczyzna, poza wielebnym Tiltonem, zaczynał się nią interesować, dawała mu kosza. Jeśli tylko zechce, potrafi zachowywać się bardzo ozięble. Dlatego wczoraj wieczorem jej postępowanie mocno mnie zaskoczyło. I jeszcze dzisiaj rano okazało się, że pisze do niego list.

- A powiedziała ci, jakie ma plany na dzisiejsze popołudnie?

- Nie, stwierdziła tylko, że ma do załatwienia pewną sprawę. Bardzo to dziwne.

- Sprawa? - Oczy Charlotte zaświeciły się. - Jaką sprawę może mieć kobieta, zwłaszcza jeśli chodzi o mężczyznę? - Uśmiechnęła się chytrze do swych towarzyszek. - Taką, która wywołuje na jej twarzy rumieńce od męskiego zarostu. Powiedz, Minervo, czy zarumieniła się, gdy przyłapałaś ją na pisaniu listu? Nie chodzi mi o mocny rumieniec wstydu, ale lekkie zaróżowienie, które towarzyszy osobie zakochanej.

Minerva powtórnie spojrzała na Charlotte oniemiała. Ależ oczywiście! Czyż nie rzuciło się jej w oczy, jak nieprzytomnie zachowywała się Caroline dzisiaj rano? Nawet Jasper zauważył, że ledwo tknęła śniadanie. A potem ten list i mnóstwo kartek zapisanych nazwiskiem Ferringtona. Caroline myślała, że Minerva ich nie zauważyła. Czy to możliwe, by się zakochała? I skoro nie chciała już wychodzić za mąż, czy zamierzała zacząć romansować z panem Ferringtonem? Jej wygląd, gdy wróciła zeszłej nocy, sugerował, że ten romans już się rozpoczął!

- Minerva - usłyszała cichy głos Violetty. - Nad czym się tak zamyślałaś?

Spojrzała na przyjaciółki.

- Pomyślałam, że najlepiej będzie, jeśli złożę wizytę panu Ferringtonowi i zorientuję się, kim jest człowiek, którego moja Caroline wybrała dla siebie. Nie pozwolę, by ją skrzywdził.

-W takim razie, idę z tobą - stwierdziła lady Mary.

- Ja też - powiedziała Violetta.

- Absolutnie- dodała Charlotte, wstając również. - Wszystkie wybierzemy się do pana Ferringtona i przekonamy się, jakim jest człowiekiem.



## 9

James siedział za mahoniowym biurkiem, z trudem próbując skupić się nad liczbami, które jego wspólnik odczytywał z rejestrów. Nie pamiętał, kiedy miał tak niespokojną noc. W ciągu długich godzin przewracał się z boku na bok, walił pięścią w poduszki i próbował zmusić się do tego, by wyrzucić Caroline ze swych myśli.

Ta kobieta stała się dla niego wielkim kłopotem. Są przecież na świecie inne kobiety, o wiele bardziej atrakcyjne niż ta cała lady Pearson. A na pewno bardziej chętne. One nie całują mężczyzny tak, że zaczyna szaleć z namiętności, po to tylko, by chwilę później kopnąć go między nogi i wyskoczyć z powozu.

Do diabła, jedyny powód, dla którego zrobił z siebie głupca, był taki, że żył ostatnio jak mnich. Gdyby prowadził normalne życie erotyczne, nie leżałby całą noc, miętosząc poduszki i przewracając się w pościeli, tylko dlatego, że jakaś kobieta podziałała na jego zmysły.

Potem było jeszcze gorzej. Kiedy zasiadł do śniadania, nie dostrzegł niczego, na co miałby ochotę. Wszystko, od plasterków smażonego bekonu po jajecznicę - jego ulubione dania - wydało mu się nieapetyczne. Wymruczał, że traci fortunę na kiepskiego kucharza tylko po to, by nie dostać nic dobrego do jedzenia. Calleo zaproponował, że kucharz przygotuje coś innego, ale James stwierdził, że nie jest głodny. Wybrał się na konną przejażdżkę, ale to również mu przyniosło ulgi.

- James, nie słyszałeś nawet słowa z tego, co do ciebie mówiłem - powiedział gniewnie Daniel.

Wściekły głos przyjaciela wyrwał go z zamyślenia. - Ależ oczywiście, że słyszałem.

- Więc zgadzasz się ze mną?

Spojrzał na szklany przycisk do papieru, który od kilku minut bezmyślnie obracał w rękę, nie mając ochoty się przyznać, że nie słuchał w ogóle, co się do niego mówi. Odłożył przycisk na stół.

- Zgadzam się z tobą całkowicie.

Daniel uniósł brwi ze zdziwieniem. Rzucił rejestry na biurko.

- Dobrze, w takim razie zaraz wystosuję list, w którym napiszę marszałkowi dworu, że twoim zdaniem powinniśmy wysmarować pięty jego królewskiej mości dżemem jeżynowym i zostawić go w lesie pełnym dzikiej zwierzyny.

- Co ty gadasz za głupoty?

- Gadam te głupoty od pięciu minut, a ty zupełnie na nie nie reagujesz. Czy wszystko w porządku? Wyglądasz, jakbyś nie spał dzisiaj dobrze.

- Spałem znakomicie - skłamał. - Jestem tylko trochę nie w sosie. - To akurat było prawdą.

Pożałował swoich słów, gdy Daniel żywo zainteresował się jego słowami.

- Nie w .sosie? Czy wczoraj dobrze się bawiłeś ze swoją wdówką?

- Jaką wdówką? - spytał ostrożnie.

- Tą, którą, jak twierdzi Calleo, odwiozłeś wczoraj do domu.

- A idź do diabła!

Daniel roześmiał się. James miał ochotę uciszyć go pięścią, ale przeszkodziło im wejście służącego.

- Sahib, masz gości. - Calleo odczytał karty wizytowe. - Panna Minerva Pearson, baronowa de Severin-Fortier, pani Violetta Mills i lady Mary Dorchester.

Pearson? James zmarszczył brwi. Czego mogły chcieć?

- Czekał, Calleo, powiedziałaś Violetta Mills? - spytał Daniel.

- Tak, sahib.

- Zdumiewające. - Daniel rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- Co takiego? - spytał James i zwrócił się do służącego.

- Przyprowadź je tutaj.

Calleo skłonił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

- Violetta Mills - powtórzył Daniel. - Chyba nie ma dwóch kobiet o tym samym imieniu i nazwisku. Ta, o której słyszałem, jeśli jeszcze żyje, ma niesławną przeszłość.

- Jak to?

- Zostawiła męża, który był pastorem, w czasie nabożeństwa. Jakiś cudzoziemski hrabia wjechał do kościoła na koniu i porwał żonę wielbego Millsa prosto z ławki kościelnej. Cóż to był za skandal! Uciekła z nim. Mój ojciec był diakonem. Przez miesiąc lub dwa praktykował właśnie u boku Millsa. Ale to nie może być ta kobieta! Poza tym, po co by miała cię odwiedzać? - Daniel potrząsnął głową i dodał natychmiast: - Pamiętasz też baronową?

- Baronową?

- Tak. Jestem pewien, że słyszeliśmy o niej, gdy zajmowaliśmy się przemytem w Egipcie. Pomyślał chwilę i klasnął w dłonie. - To ta Francuzka, która miała być kochanką Napoleona.

- Nie! Niemożliwe, aby to była ona. - James zmarszczył brwi.

Daniel wzruszył ramionami.

- Z tego, co wówczas opowiadano, Napoleon uważał ją za wspaniałą kochankę.

- Czy ty masz w głowie listę kobiet?

- To jedyna rzecz, która jest tego warta. Nie licząc oczywiście kalendarza twoich spotkań. A tak przy okazji, ponieważ jestem pewien, że mnie uważnie słuchasz, nie zapomnij, że dzisiaj wieczorem o dziewiątej jesteś na kolacji o Lavenhamów.

- Kiedy przyjąłem ich zaproszenie?

- Dzisiaj rano kiedy zostało doręczone. Kazałem powtórzyć posłańcowi, że będziesz zachwycony.

- Do licha.

- No, widzisz, wiedziałem, że będziesz uradowany. Poza tym pamiętaj, że potrzebujemy Lavenhama. Jego liścik wskazywał, że jest niespokojny i pełen skruchy. Nie miałem serca mu odmówić.

- Muszę cię poprosić, żebyś przestał otwierać moją korespondencję.

- Ależ ona jest nadzwyczaj interesująca - odparł lekko Daniel.

Ich rozmowę przerwało stukanie do drzwi.

- Proszę.

Obydwaj mężczyźni wstali.

Drzwi otworzyły się i do środka weszły cztery atrakcyjne starsze panie. James trzy z nich widział już poprzedniego wieczoru. Przodem szła drobna dama, która otworzyła mu wtedy drzwi i odebrała od niego buty Caroline. Za nią postępowała wysoka, postawna kobieta ubrana według najnowszej mody w suknię a la militaire i dopasowany do niej kask ozdobiony chwostem. Stroju dopełniała biało-złota peleryna, przewieszona na modłę huzarów przez jedno ramię.

W przeciwieństwie do nich trzecia kobieta wyglądała słodko i spokojnie. Miała na sobie prosty słomkowy kapelusz i wygodną brązową suknię. James bez trudu wyobraził ją sobie z modlitewnikiem w ręku.

Czwarta dama poczekała, aż w drzwiach zrobi się miejsce, i dopiero wtedy weszła. Była postawna, więc musiała się nachylić i odwrócić bokiem, by w drzwiach zmieściła się jej szeroka suknia i olbrzymi kapelusz. Gdy znalazła się w środku, wyprostowała się uśmiechnięta. Zmrużył oczy, gdy dostrzegł, że kącik jej ust zdobi muszka w kształcie miniaturowego powozu i Czwórki koni.

- Danielu, czy mógłbyś nas zostawić samych?

Jego przyjaciel z żywym zainteresowaniem lustrował kobiety, starając się dostrzec wśród nich zniesławioną Violetę Mills.

- Co? A tak. - Skłonił się damom. - Panie wybaczą.

- Dziękuję. - James poczekał, aż współnik wyjdzie z pokoju i zamknie za sobą drzwi, po czym obszedł stół.

Drobna kobieta z laską w dłoni wyszła mu naprzeciw. Zielone pióra zdobiące jej kapelusz zafalowały wdzięcznie, gdy wyciągnęła do niego dłoń.

- Panie Ferrington, nazywam się Minerva Pearson i jestem ciotką Caroline.

Podał jej rękę i skłonił się uprzejmie. Zaskoczony poczuł, że uściśnęła mu lekko palce.

Odwróciła się do reszty kobiet.

- To moje przyjaciółki. Baronowa de Severin-Fortier. - Dumnie wyglądająca Francuzka skinęła mu głową. Z łatwością wyobraził ją sobie w ramionach Napoleona. - Pani Violetta Mills. - To ma być zniesławiona pani Mills? James z trudem mógł sobie wyobrazić, że ta kobieta potrafiła wywołać w kimś wielką namiętność. Wyglądała najskromniej z całej czwórki. - A to lady Mary Dorchester, żona zmarłego pułkownika, sir Wilhelma Dorchestera.

Nazwisko pułkownika pamiętał jeszcze z dzieciństwa. Często z braćmi bawił się w bitwy z kolonistami i zawsze toczyła się walka o to, kto będzie grał wielkiego brytyjskiego bohatera, zwanego "szalonym" Wilhelmem. Ta rola zazwyczaj przypadała właśnie jemu.

Skłonił się kobietom, zastanawiając się, jaki może być powód ich wizyty.

- Zechcą panie usiąść? - Poprowadził je ku krzesłom stojącym przy oknie, które wychodziło na ogród.

- Dziękujemy - odparła w imieniu wszystkich Minerva. - Obiecuję, że zajmiemy panu tylko chwilkę.

Gdy panie ruszyły ku krzesłom, baronowa zwróciła się do niego:

- Bardzo mi się podoba pański gabinet, panie Ferrington. Uwielbiam mieszkankę zapachu tytoniu i skórzanych opraw książek. To takie męskie.

- Dziękuję, baronowo - powiedział w miarę spokojnie, czekając, aż wszystkie usiądą. Zauważył, że jest przez nie bacznie obserwowany.

- Czym mogę paniom służyć? - Usiadł również.

Minerva otworzyła usta, by przemówić, ale ubiegła ją Violetta Mills.

- Chciałybyśmy wiedzieć wszystko o pańskiej rodzinie, panie Ferrington.

- Violetta! - zawołała Minerva.

- To uczciwe pytanie - zauważyła lady Mary. - Jeśli ma związać się z naszą Caroline, mamy prawo wiedzieć wszystko.

James zerwał się z miejsca.

- Czy Caro ... lady Pearson przysłała panie, pragnąc się ze mną spotkać? - Nie mógł powstrzymać się od pytania.

Damy spojrzały na niego, potem na siebie nawzajem, jakby wymieniły między sobą jakiś tajemniczy sygnał. Szkoda, że nie ugryzł się w język. Jego niecierpliwe pytanie świadczyło o tym, z jakim niepokojem czekał na odpowiedź. Nie powinien mówić po imieniu o Caroline. Zmusił się do spokoju.

- Panie Ferrington, Caroline nie ma pojęcia o tym, że tu jesteśmy - wyznała Minerva. - Prawdę mówiąc, gdyby dowiedziała się o naszej wizycie, na pewno byłaby zażenowana. Czy możemy liczyć na pańską dyskrecję?

-Ależ oczywiście.

- Jesteśmy pana bardzo ciekawe. Nie znamy pana i stwierdziłyśmy, że dla dobra Caroline powinniśmy panu złożyć tę raczej niekonwencjonalną wizytę.

- Co chciałybyście panie wiedzieć? - spytał ostrożnie.

- Skąd pochodzi pańska rodzina?

Siedziały w milczeniu, czekając na odpowiedź. James czuł się w tej sytuacji niezbyt wygodnie. Chrząknął głośno. Kobiety nawet nie drgnęły.

- Mój ojciec ma posiadłość ziemską w Bedford - zaczął. - Jest szanowanym obywatelem. Matka pochodzi z rodu Jakuba I. - Uśmiechnął się. - Trochę krwi szkockiej jest chyba w każdej angielskiej rodzinie. Niemniej mój najstarszy brat nosi imię Karol.

-Karol? - powtórzyła baronowa z francuskim akcentem.

- To od angielskiego króla - wyszeptała Violetta.

- Tak. Ale czy nosi je po Karolu I, czy po II? - spytała lady Dorchester.

- Czy to stanowi jakąś różnicę?

- Oczywiście. Pierwszy był na tyle głupi, by dać sobie uciąć głowę, drugi na tyle mądry, by ją zachować.

James spojrzał na nią, żeby sprawdzić, czy z niego przypadkiem nie żartuje. Kobieta miała bardzo poważną minę. - Po obydwóch - odparł po chwili.

Na szerokiej twarzy ukazał się uśmiech pełen aprobaty.

- Mądrze, bardzo mądrze - powiedziała, rozsiadając się wygodniej w krześle.

Pochylił się, opierając ręce na oparciu krzesła.

- Mam dwóch braci i dwie siostry. Mój starszy brat prowadzi gospodarstwo razem z ojcem, młodszy jest znanym w naszym hrabstwie prawnikiem. Jedna z siostr wyszła za lorda Bamharta i zamieszkali w Nottingham. Drugiej właśnie się oświadczone. Oczekuję teraz wiadomości, jaką podjęła decyzję.

Zastanawiał się przez chwilę i dodał:

- Ukończyłem Oxford. Opuściłem dom i dzięki małej sumie odziedziczonej po wuju zacząłem gromadzić majątek. - Usiadł. - Zbudowałem moją fortunę w Indiach. Całkowicie sam, i jestem z tego dumny. - Skrzyżował ręce na piersiach i zmarszczył czoło. - Czy mogę teraz spytać, jaki jest cel wizyty pań?

- Czy jest pan bardzo majątny? - spytała Violetta Mills.

- Violetta! Jaka ty jesteś czasami bardzo naiwna - odparła Charlotte. - Oczywiście, że jest bogaty. Tylko dzięki pieniądзом można sobie pozwolić na taki dom, a ten żakiet... - Zmierzyła go kątem oka. - Ma pan świetnego krawca, monsieur. Świetnego.

- Powtórzę mu, że podobało się pani jego dzieło - odparł i zwrócił się do Minery.

- Wiem, że nasza wizyta może się panu wydać dziwna, ale Caroline i ja nie mamy żadnych męskich krewnych, którzy mogliby pana wypytać o interesujące nas sprawy. Doświadczenie nauczyło mnie, że więcej można się o kimś dowiedzieć osobiście niż przez pośredników.

Przerwało jej chrapanie. Lady Dorchester zapadła w drzemkę na krześle stojącym obok Jamesa. Podbródek opadł jej na piersi i widać było tylko olbrzymi kapelusz. Spojrzał na nią zaskoczony.

- Czy jest jej tu wygodnie? Może powinna się położyć?

Panna Pearson roześmiała się lekko.

- Jest jej z pewnością wygodnie. Zapada w drzemkę w każdym możliwym miejscu. - Dotknęła go delikatnie w ramię. - Pańska cierpliwość wobec nas mówi o panu więcej niż jakikolwiek raport finansowy.

- Dlaczego chciały panie to wszystko wiedzieć?

- Chciałam się dowiedzieć, czy jest pan dobrym człowiekiem.

- I...?

- Myślę, że chyba tak.

Spojrzała na przyjaciółki, oczekując od nich wsparcia. Baronowa na znak akceptacji przymknęła oko. Pani Mills przytaknęła z uśmiechem.

- A dlaczego to panią interesuje?

Najwyraźniej zdał egzamin, chociaż nie miał pojęcia, czego on dotyczył. Nie do końca był tego pewny, dopóki Minerva Pearson mu tego nie wyjaśniła.

- Wydaje mi się, że Caroline ma zamiar złożyć panu pewną propozycję.

Jeśli naraz z niebios wysunęłaby się ręka Pana i walnęła go w głowę, James nie byłby bardziej zdziwiony niż tym oświadczeniem.

Patrzył niepewny, czy dobrze zrozumiał.

Minerva spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała dobitnie: - Proszę pamiętać, że Caroline jest damą. Będzie pan jej pierwszym kochankiem. Mam szczerą nadzieję, że nie pożałuje swej decyzji.

A więc zrozumiał właściwie. Caroline Pearson pragnęła zostać jego kochanką.

Jakby chcąc do końca wyjaśnić sprawę, baronowa pochyliła się ku niemu i rzekła:

- Chcemy również, żeby pan pamiętał, że Caroline ma przyjaciółki, a my dobrze wiemy, jak wyglądają zasady takiego związku. Jeśli nie będzie pan o nią dbał...

- Jeśli ją pan skrzywdzi... - przerwała jej Violetta Mills.

- Wtedy pomścimy ją - skończyła Charlotte. Jej francuski akcent sprawił, że oświadczenie zabrzmiało jeszcze bardziej złowieszczo.

Minerva Pearson wstała, dając tym do zrozumienia, że ich wizyta dobiegła końca. Inne panie poszły w jej ślady.

James siedział oniemiały. Właśnie został zastraszony przez panie, które mogłyby być babkami. A jedynym sposobem; w jaki mógłby uratować swoją skórę, było łagodne traktowanie Caroline, kiedy uczyni ją swoją kochanką.

Pani Mills potrząsnęła delikatnie ramieniem lady Dorchester. Dama natychmiast obudziła się i spojrzała uważnie na przyjaciółki.

- Powiedziałyście mu?

- Tak - odparła Violetta. - Powiedziałyśmy mu również, że poniesie poważne konsekwencje, jeśli ją tylko skrzywdzi.

- Dobrze - odparła wesoło lady Dorchester. W stała z krzesła i podeszła za innymi do drzwi.

- Do widzenia, panie Ferrington. Jestem szczęśliwa, że mogłam pana poznać. - Minerva zatrzymała się przy drzwiach. - Mam nadzieję, że będzie wam razem dobrze.

Wyszła z pokoju, za nią podążyły jej przyjaciółki. Przez jakiś czas James tkwił w bezruchu na miejscu, słuchając ich oddalających się kroków. Lady Dorchester i Violetta Mills rozmawiały na temat odbytej właśnie konwersacji, podczas gdy baronowa piała z zachwytu nad wazą z Sevres, ustawioną na stoliku przy drzwiach wejściowych. Usłyszał, jak drzwi się otwierają i zamykają za nimi.

Czyżby zwariował, tylko jeszcze o tym nie wie?

Ktoś zapukał we framugę drzwi. Ujrzał stojącego Calleo, który trzymał w ręku srebrną tacę.

- Ten liścik został przyniesiony, gdy miał pan gości, sahib.

Na środku srebrnej tacy leżała mała koperta. Nie poznał eleganckiego pisma.

Złamał pieczęć.

*Panie Ferrington,*

*Zeszłej nocy nie skończyliśmy omawiać pewnej sprawy. Proszę się ze mną spotkać najszybciej jak to możliwe, byśmy mogli porozumieć się w tej kwestii.*

*Caroline Pearson*

No cóż, otrzymywał od kobiet bardziej romantyczne listy. Ale z drugiej strony Caroline nie była taka jak inne kobiety... a poza tym list potwierdził słowa jej ciotki. Może Minerva Pearson zjawiała się u niego, by wy badać, czy ma ochotę na ten układ. W zamyśleniu postukał kopertą o rękę.

Caroline Pearson, kobieta, która uosabiała według niego ideał angielskiej urody, okazała się jeszcze jedną członkinią rodu upadłych kobiet. Miała zamiar zaproponować mu *carte blanche*. Jeśli tylko się pośpieszy, może uda mu się wynegocjować odpowiednie warunki. Da jej wszystko, czego sobie tylko zażyczy, i prześpi się z nią jeszcze przed kolacją u Lavenhamów.

Na chwilę przestał oddychać. Każdy centymetr jego ciała płonął z pożądania ... ale gdzieś w podświadomości pojawiła się wątpliwość, czy ten obrót spraw mu odpowiada.

Ale James Ferrington nie zbudowałby swej rozciągniętej na czterech kontynentach fortuny, gdyby nie potrafił rozpoznać i wykorzystać nadarzającej się sposobności.

- Calleo. - Podjął nagle decyzję. - Idziemy do najbliższej kwaciarni.

# 10

Chociaż Caroline spodziewała się tej wizyty, gdy usłyszała zza drzwi przytłumiony głos Jaspera oznajmiającego, że przyszedł pan Ferrington, wpadła w panikę.

Przyszedł! W krótkiej odpowiedzi na jej list oznajmił, że pojawi się za godzinę. Przecież godzina nie mogła już minąć! To niemożliwe!

Jasper zastukał jeszcze raz.

- Lady Pearson.

Chrząknęła głośno.

- Powiedz mu, żeby poczekał w salonie - powiedziała zadowolona, że jej głos nie odzwierciedla zamętu, jaki ją opanował na myśl, że James Ferrington przybył do jej skromnego domu.

Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Ostatnie pół godziny spędziła przy czepku zdobionym czarnymi koronkami i białymi wstążkami. Postanowiła włożyć go na to spotkanie. Uznała go za odpowiedni dla siebie strój. Każda matrona w "pewnym wieku" nosiła taki. Jednak nakrycie głowy przypominało francuski suflet, jakby przytwierdzony do jej włosów. Ta wątpliwa czarna ozdoba bynajmniej nie dodawała jej uroku. Wyglądała okropnie, postanowiła więc przynajmniej nie wiązać pod brodą wstążek. Zawiązane pod brodą czepki przywodziły jej na myśl pomarszczone czarne wdowy.

Po raz pierwszy nie miała ochoty ubrać się w czerń. Jasper zapukał znowu.

- Lady Pearson! Czy pani idzie?

Caroline przerwała przygotowania. Jasper wyglądał, jakby nie mógł się doczekać, by zeszła na dół. Zaciekawiona podeszła do drzwi, zawiązując machinalnie wstążki. Gdy otworzyła, zobaczyła go uśmiechniętego od ucha do ucha.

- O co chodzi, Jasper?

- Tam na dole. W salonie. Pan Ferrington czeka na panią. - Jego oczy aż rozjarzyły się z podniecenia.

- Słyszałam. Powiedz panu Ferringtonowi, że zaraz zejdę.

- Nie - powiedział służący, popychając ją ku schodom. - Musi pani zobaczyć, co on zrobił.

Wreszcie udało mu się ją zaciekawić. Pospiesznie wyszła z pokoju. Stary służący szedł za nią tak blisko, że niemal nadeptywał na tren jej sukni. Spojrzała ostro przez ramię. Cofnął się, ale trzymał się za nią jedynie stopień dalej, aż dotarli do końca schodów.

Potem wyprzedził ją i stanął w drzwiach salonu. Nie będąc pewna, co zobaczy, z zakłopotaniem rozwiązała wstążki czepka i powoli weszła do salonu. Rozejrzała się i aż zabrakło jej tchu.

Jej salon wyglądał jak wiosenny ogród. Wazony pełne lilii, maków, róż i peonii znajdowały się na stołach, na podłodze między krzesłami, na kominku i na biurku. Ledwo widziała pomiędzy tą roślinnością znajdujące się w salonie meble. A pośrodku tego ogrodu stał James Ferrington we własnej osobie.

Ubrany w granatowy żakiet podkreślający szerokie ramiona, bryczesy i wspaniałe wypolerowane buty, wyglądał w każdym calu na arystokratę. Otaczające go kwiaty jeszcze podkreślały jego surowy męski wygląd.

- Caroline. - Mężczyzna posłał jej olśniewający uśmiech.

Każda kobieta mogłaby się rozkoszować tym uśmiechem przez całe życie.

Wyciągnął do niej rękę.

- Podobają ci się?

- Co? - spytała oniemiała, próbując zebrać rozbiegane myśli. Od kiedy to jej serce biło tak nierównym rytmem? Przecież jest jeszcze za młoda, żeby mieć palpacje... ?

- Kwiaty - odparł, zrobiwszy krok w jej kierunku.

Przez głowę przemknęło jej wspomnienie jego ciała.

- Są prześliczne - udało się jej powiedzieć.

Odsunęła się przestraszona i... nie przygotowana na te dzikie emocje, które ożywały w niej, kiedy tylko znalazła się blisko niego. Co on z nią wyprawia? Co to za czary? Jakie zaklęcie wypowiedział, by pozbawić ją rozsądku i pełni władz umysłowych?

Cofając się wpadła na sekretarzyk. Niemal z ulgą krzyknęła, jak tonący, który dopłynął do brzegu. Przeszła wzdłuż krawędzi mebelka i z westchnieniem ulgi siadła na krześle, czując, jak wraca jej zdrowy rozsądek.

Zaraz, zaraz, dlaczego go tu zaprosiła? A tak, prawo własności domu! Zaprosiła go po to, by omówić tę sprawę.

Chrząknęła, usiadła wygodniej na krześle i znieruchomiała. Tyle bukietów stało wokół, że spoza nich nie mogła nic dojrzeć. Czuła się jak złapana w kwietną pułapkę.

Głowa gościa ukazała się nad kolorowym żywoplotem, gdy nachylił się nad sekretarzykiem.

- Caroline, chciałbym, żebyś wiedziała, jak mi przykro z powodu tego nieporozumienia, do którego doszło wczoraj.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Mam nadzieję, że przyjmiesz moje przeprosiny.

Uśmiechnął się i nachylił ku niej ponad kwiatami, aż zaczęła ich dzielić odległość nie większa niż na wyciągnięcie ręki. Caroline zobaczyła swe odbicie w jego zielonych oczach. Nigdy nie widziała mężczyzny z tak długimi rzęsami. I jeszcze te zmarszczki mimiczne w kącikach oczu.

Skoczyła na nogi, niemal wywracając krzesło. Złapała je w porę, postawiła i obeszła sekretarzyk, wpadając prosto na Jamesa.

Natychmiast otoczył ją ramionami. Znalazła się tak blisko, że dotykał jej niemal każdą częścią swego ciała. Spojrzał na nią poważnie.

Poczuła miętowy zapach mydła do golenia. Ogolił się. Dla niej. Podniosła rękę, by dotknąć jego policzka. Dłoń zamarła w pół ruchu. Gdyby go dotknęła, popełniłaby poważny błąd...

Nachylił głowę nad jej dłonią i musnął ustami koniuszki palców. Nie mogła się nawet poruszyć. Czuła jego serce, bijące równie głęboko i mocno jak jej serce. Pod palcami czuła delikatną skórę policzków i miękkie usta. Zakręciło się jej w głowie.

- Nie potrafię powiedzieć, ile razy myślałem o tobie w nocy i przez cały dzień - powiedział ochryplym głosem. - Caroline, chciałbym, żeby wszystko między nami było pozbawione niedomówień?

- Niedomówień? - powtórzyła. Ugięły się pod nią kolana. Oparła się na nim.

Jego oczy ściemniały, przybierając barwę mrocznego lasu. Zdała sobie sprawę, że jest to skutek pożądania, i poczuła, że z nią dzieje się to samo. Nie znała takiej namiętności.

-Tak. Chcę, by ułożyło się nam jak najlepiej.

- Jak najlepiej - powtórzyła znów bez tchu.

Zaraz mnie pocałuje, pomyślała i jeszcze bardziej zbliżyła ku niemu twarz. Jakie to śmieszne, nie podejrzewała dotąd, że usta mężczyzny mogą być wykrojone tak zmysłowo. Przyglądała się, jak poruszają się, gdy mówi.

-Ale chcę, byś już nie wkładała tego okropnego czepka. Wyglądasz w nim śmiesznie.

- Słucham? - Nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

- Mówię o twoim czepku. Przypomina pająka, który rozsiadł się na czubku głowy. Nie chcę, byś go nosiła. - Zdjął czepkę z jej głowy i odrzucił na bok. Przybrał minę zakochanego. - A teraz pocałuj mnie nareszcie.

Ale Caroline udało się wreszcie odzyskać zdrowy rozsądek. Kiedy pochylił się ku niej, zanurkowała pod jego ramieniem. Stała z rękami opartymi na biodrach i stuknęła gniewnie obcasem w drewnianą podłogę.

- Za kogo pan się uważa?

Jej oburzenie zdawało się nie robić na nim żadnego wrażenia.

- Za twojego opiekuna. Twojego pana. Człowieka, który pragnie kochać się z tobą, aż zaczniesz krzyknąć, że masz już dosyć. I który pragnie kochać się z tobą bez końca.

Słuchała jego słów z mieszaniną rosnącego wzburzenia i... pożądania.

- Czy pan oszalał?

- Tak - oświadczył, podchodząc do niej. - Jeśli szczęście może powodować, że mężczyzna szaleje, ty uczyniłaś mnie szczęśliwym.

Cofnęła się, nie ufając sobie; wyobrażała sobie, co może się stać, jeśli znajdzie się zbyt blisko niego. Okrążyła kanapę, przewracając stojące na podłodze kwiaty.

- O czym pan mówi?

- O tobie - odparł, idąc po jej śladach. Kiedy zmieniła kierunek, zatrzymał się i rozłożywszy ramiona rzekł: - O nas.

- O nas?

Szczęśliwy, roześmiał się lekko.

- Tak, o nas. Caroline, nie darzyłem dotychczas takim uczuciem żadnej kobiety. Teraz rozumiem, dlaczego Samson dał się omotać Dalili, a Parys wykradł Helenę i co dostrzegł Antoniusz w Kleopatrze.

Caroline dotknęła czoła, starając się pojąć jego zachowanie.

Nagle, zobaczywszy, że James sięga do kieszeni żakietu i wyjmując czarne aksamitne puzderko, wydała z siebie głośne westchnienie.

- Co to jest? - spytała, obawiając się odpowiedzi.

- To dla ciebie. - Otworzywszy wieczko, wyjął z opakowania sznur cudownych pereł. - Kupiłem je w Persji od sułtana Objanii i przeznaczyłem na jakąś specjalną okazję.

Patrzyła w milczeniu na kremowe perły. Bardzo jej się podobały i musiały kosztować majątek. Nie widziała pereł o takim połysku i wielkości. Potrząsnęła głową.

- Nie mogę. To nie byłoby właściwe - dodała bez przekonania.

- Nie mogę sobie wyobrazić bardziej odpowiedniego dla nich miejsca niż twoja szyja. Ciepło twojego ciała przyda im jeszcze większego blasku. Załóż. Powinnaś nosić perły.

Caroline walczyła z pokusą. Warte były przynajmniej trzy razy więcej niż jej dom.

- Dlaczego pan to robi? Dlaczego próbuje mi je pan ofiarować? - Machnęła ręką na otaczające ich kwiaty. - Po co to wszystko?

- By uczcić.

- Uczcić? Co uczcić? - Wprost umierała z ciekawości.

- Nasz układ.

- Układ? Chodzi zapewne o prawo własności mojego domu?

- Caroline. - Wymówił jej imię, delikatnie przedłużając sylaby. - Możesz mieć tyle domów, ile tylko będziesz chciała. Nie musisz gnieździć się tutaj. Jestem bardzo bogaty i potrafię być bardzo hojny. Umieszczę cię gdzie bliżej siebie. Może w którymś z tych nowych domów w Mayfair?

Caroline poczuła, że zaczyna opanowywać ją niepokój. - Czuję się tutaj zupełnie szczęśliwa, panie Ferrington.

- James. Mów mi James.

- Wolę zwracać się do pana po nazwisku.

Zbliżał się do niej powoli.

- A ja będę się do ciebie zwracał Caroline. Piękna Caroline. Cara mia. Ma belle etoile. - Stał tak blisko, że niemal dotykał jej piersi. - Pragnę cię.

Caroline wstrzymała oddech. A potem powoli zaczęło do niej dochodzić, co właściwie usłyszała.

- Czy proponuje mi pan carte blanche? - Zmarszczyła brwi. Uśmiechnął się.

- Pragnę tego z całego serca, jeśli i ty tego pragniesz. - Pochylił się ku niej, chcąc wziąć ją w ramiona.

Była szybsza. Odepchnęła go oburącz, zabraniając zbliżać się do siebie.

- Co mogło spowodować, że zaproponował mi pan... - Jej głos się załamał, kiedy przypomniała sobie pocałunki minionej nocy. Spłonęła rumieńcem, poczuwając się do winy. Odwróciła się od niego i ruszyła ku drzwiom, czując, jak ogarnia ją słuszny gniew. - Całą tę niegrzeczną... obraźliwą... - Próbowwała znaleźć odpowiednie słowo, oddające to, co o nim myśli, i nie potrafiła.

- obraźliwą? - Wsunął w jej kierunku aksamitne pudełeczko. - Caroline...

- Proszę przestać nazywać mnie Caroline.

Nagłym ruchem złapała stojący najbliżej bukiet kwiatów i rzuciła w niego. Gdyby nie jej wściekłość, widok mężczyzny zasypanego nagle liliami i różami, które zsuwały się po nim na podłogę, wydałby jej się nawet komiczny.

- Dlaczego uznał pan, że będę chciała rozważyć tak haniebną propozycję?



- Dlaczego? - powtórzył zupełnie zaskoczony. - To pani zaprosiła mnie do siebie, lady Pearson.

- Nie zaprosiłam pana, by zaproponował mi pan carte blanche.

- Teraz tak pani twierdzi.

- Właśnie. Poprosiłam, by spotkał się pan ze mną w sprawie zwrotu własności mojego domu, co obiecał mi pan wczoraj wieczorem - powiedziała, wymachując palcem dla podkreślenia swych słów.

- W sprawie aktu własności domu?

- Tak. Tego, który wygrał pan od mojego szwagra, Freddiego Pearsona. Nie pamięta pan? Poprosiłam pana o jego zwrot. Obiecał mi go pan oddać.

Przez chwilę przyglądał się jej z beznamiętnym wyrazem twarzy. Patrzyła zafascynowana, jak powoli coś zaczyna świtać mu w głowie.

- Jakiś tydzień temu wygrałem od Freddiego Pearsona prawo własności domu. .

-Tak.

- A pani chciała, żebym przyjechał tutaj w tej właśnie sprawie, a nie po to, by zostać moją kochanką?

- Pańską kochanką? - wykrzyknęła. Patrzyła na niego oszołomiona, nie mogąc pojąć, jak mógł wypowiedzieć coś tak dla niej hańbiącego. Powoli, gdy wstrząs zaczął mijać, w jego miejsce pojawiło się oburzenie. Zaciśnęła pięść, pragnąc uderzyć go za osobistą zniewagę. Odsunęła się o dwa kroki i zwróciła do niego ostro: - Rozumiem, że moje zachowanie wczoraj wieczorem mogło sprawić, że pomyślał pan...

- Wczorajszy wieczór nie ma z tym nic wspólnego - przerwał jej natychmiast.

- A więc dlaczego? Dlaczego doszedł pan do wniosku, że zechcę zostać pańską... kochanką. Nikt mnie jeszcze tak nie obraził!

Zobaczywszy czerwone plamy na jego policzkach zrozumiała, że on jest również zakłopotany rozwojem wypadków

- Proszę mi wybaczyć, lady Pearson. Nie doszedłbym do takiego wniosku, gdybym nie otrzymał zapewnienia, że pani sobie tego życzy.

- Ktoś powiedział panu, że takie jest moje życzenie? - spytała skonsternowana Caroline.

- Tak.

- Kto?

- Dała mi to do zrozumienia pani ciotka.

- Moja ciotka? Minerva?

Nie odpowiedziawszy na jej pytanie, sięgnął po kapelusz leżący na sofie pomiędzy dwoma bukietami lilii. Skierował się ku drzwiom, lecz Caroline zabiegła mu drogę.

- Panie Ferrington, zadałam panu pytanie. Czy mógłby pan łaskawie na nie odpowiedzieć?

Spojrzał na drzwi i zaciśnął gniewnie szczęki. Nie obchodziło jej to. Nie miała zamiaru ruszyć się z miejsca, dopóki nie usłyszy odpowiedzi.

- Panie Ferrington, ta sytuacja jest krępująca dla nas obojga. Jednakowoż byłabym wdzięczna za pańskie wyjaśnienia. Już się pozbierałam po pańskiej zaskakującej propozycji i jestem gotowa wysłuchać wszystkiego spokojnie. Czy mógłby mi pan poświęcić jeszcze chwilę?

- Tak - odparł gwałtownie. - Pani ciotka w towarzystwie innych dam odwiedziła mnie dzisiaj po południu. Najpierw zostałem poddany czemuś w rodzaju przesłuchania. Potem pani ciotka wyjaśniła mi, że chce pani zostać moją kochanką, i dlatego chciały się przekonać, czy jestem pani wart.

- Minerva odwiedziła pana dzisiaj po obiedzie i powiedziała, że pragnę zostać pańską kochanką?

Jego oczy rozbłyły jak zielone kryształy.

- Nie tymi słowami - sprostował przez zaciśnięte zęby.

- W takim razie jakich słów użyła?

- To nie ma znaczenia .

- Owszem, ma.

- No dobrze - odparł z ostentacyjnym zniecierpliwieniem. - Powiedziała, że ma pani zamiar zrobić mi pewną propozycję.

- Propozycję? Ciekawe, skąd jej to przyszło do głowy? - Nagle zdała sobie sprawę z idiotyczności całej sytuacji i roześmiała się. Dopiero po chwili spostrzegła, że jej gościa wcale to nie bawi.

Rozdrażniona uniosła rękę.

- Przyzna pan, panie Ferrington, że cała sytuacja jest, mimo wszystko, zabawna. To wyjątkowe nieporozumienie. Byłabym bardzo szczęśliwa, gdybym mogła pana już nigdy nie oglądać.

Powiedziała to niewiele się namyślając, po czym przerwała, czekając na jego reakcję. Przez chwilę wydawało jej się, że mężczyzna będzie temu przeciwny, ale tylko zacisnął usta.

- Ma pani rację, lady Pearson. To moja wina. Nie powinienem uwierzyć w tę sugestię. Co za głupiec ze mnie.

Caroline opanowała się.

- Ależ, panie Ferrington, nie wiem, co opętało moją ciotkę, ale proszę...

- Proszę przyjąć moje przeprosiny, lady Pearson - przerwał jej. - Potem zaśmiał się gorzko. - Nieczęsto daję i siebie zrobić takiego głupca.

- Ależ nie sądzę, że zrobił pan z siebie głupca...

- Nie zgadzam się z panią - powiedział. Trudno mu było na nią patrzeć. Była taka piękna. Cierpiał, stojąc tak blisko niej. Jak mógł zrobić z siebie kompletnego idiotę? Dotychczas nie ruszył nawet palcem, dopóki nie był pewny wygranej. I jeszcze żadna kobieta go nie odrzuciła. Zawsze dostawał to, czego pragnął, a teraz - zdał sobie sprawę - pragnął Caroline Pearson.

Do pokoju przepelnionego wybranymi przez niego kwiatami dochodził jedynie odgłos stukającego o szyby deszczu, sprawiający, że pomieszczenie wydawało się oddzielone od reszty świata. James musiał przyznać, że Calleo miał rację. Karma, los, przeznaczenie, pragnienie, pożądanie, wszystko to przepelniało go do głębi.

- Nie mogę uwierzyć, że nie czuje pani tego, co jest między nami - powiedział chrapliwym z powodu tłumionych uczuć głosem.

Zmusił się, by na nią spojrzeć. Jego słowa wyraźnie ją poruszyły; miał nawet nadzieję, że się z nim zgodzi. Cekał na to z biciem serca. Jednak, ku gorzkiemu rozczarowaniu, po wyrazie jej oczu poznał, że nie ma takiego zamiaru.

- Nic nas nie może łączyć, panie Ferrington. Jedyne sprawa mojego domu.

Kłamiesz, miał ochotę krzyknąć, ale nie powiedział słowa. Już wystarczająco się wygłupił.

- Niestety, nie jestem w stanie oddać go pani - powiedział nieoczekiwanie dla samego siebie.

- Dlaczego? - Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

Było to jedyne ogniwo, które ich łączyło, a on nie miał ochoty jeszcze się poddać.

- Ponieważ wygrałem pani dom w karty. To honorowa sprawa. Dom należy do mnie.

Zobaczył, jak ogarnia ją wściekłość. Oto inne oblicze kobiety, która stawała się jego obsesją.

- Nie może pan tego zrobić - wykrztusiła. - Nie pozwolę na to.

- Niestety, nie ma pani na to żadnego wpływu - powiedział prędko. Próbował ją ominąć, pragnąc uciec od niej i spokojnie rozważyć swoje impulsywne zachowanie.

Stała na jego drodze.

- Co ma pan zamiar zrobić z moim domem? Jest pan bogaty. Po co panu taki skromny dom? Ma pan zamiar go sprzedać i dorzucić te parę groszy do reszty swojej fortuny?

- Dom nie jest na sprzedaż.

- Ani ja. - Zmrużyła oczy.

Poczuł się, jakby uderzyła go w twarz. Zdał sobie sprawę, że jego pospieszna odpowiedź może doprowadzić do konsekwencji, których będzie później żałował. Jednak wybrał taką drogę i nie miał ochoty z niej zawrócić.

- W takim razie nie mamy sobie nic do powiedzenia. - odrzekł stanowczo.

Stała przed nim milcząco jak dumna i zimna bogini. Sięgnął po kapelusz leżący pomiędzy kwiatami. Wcisnął go na głowę, poprawiając rondo.

- Do widzenia, lady Pearson.

Wydawało się, że wrosła w podłogę, a jej twarz zamieniła się w pełną furii maskę. Ominął ją i wyszedł z pokoju. Usłyszała trzaśnięcie drzwi, ale zdolna była się poruszyć dopiero po kilku minutach. Powoli

podeszła do sekretarzyka i nagłym, gniewnym ruchem zrzuciła stojące tam kwiaty. Dopiero po chwili usłyszała odgłos spływającej z niego wody. To przywróciło jej rozwagę.

Krzyknawszy, pobiegła do kuchni, gdzie Jasper trzymał ściereczki. Służący szybko podniósł nóż, udając, że obiera ziemniaki na obiad. Ciekawe, ile usłyszał z całej rozmowy. Szybko wróciła do salonu i zaczęła wycierać powierzchnię sekretarzyka, a potem przyklękła na podłodze.

- Cały bałagan przez tego przeklętego zarozumialca. - Spojrzała w kierunku drzwi, dodając kilka niepochlebnych określeń.

Wybuch gniewu sprawił, że poczuła się lepiej. To dobrze, że okazał się takim łajdakiem i niegodziwcem. Dzięki temu będzie miała siłę, by zwalczyć w sobie tę bolesną tęsknotę, która ogarniała ją, ilekroć znalazła się blisko niego.

Powoli wstała z podłogi. Poznała te uczucia po ślubie z Trumbullem. Na krótko ogarnęły ją wspomnienia okresu sprzed małżeństwa, kiedy jeszcze Trumbull się do niej zalecał. W nocy, kiedy zostały ogłoszone ich zaręczyny, pozwoliła mu się nawet pocałować. Ten pocałunek zapowiadał wielką namiętność, która jednak nigdy się nie pojawiła między nimi. Tylko raz wyczuła w jego zachowaniu taką pasję. Potem traktował ją jak własność, a jego gruboskórne, mściwe zachowanie zabiło w niej wszystkie cieplejsze uczucia.

Kiedy była jeszcze naiwną panną młodą, zapytała matkę, czy to źle, że kobieta doznaje takich uczuć jak namiętność. Pytanie tylko matkę zażenowało. Nie powinno się mówić o tak "intymnych sprawach". Caroline ciekawa była, czy Minerva odpowiedziałaby jej inaczej.

Zmarszczyła czoło. To przez ciotkę James Ferrington potraktował ją jak lafiryndę, przez ciotkę i... przez to, jak ona, Caroline, reagowała na jego pocałunki.

Spacerując po pokoju, doprowadziła się znów do ataku wściekłości. A właśnie, że dostanie z powrotem swój dom. Po to są sądy, by tacy szubrawcy jak James Ferrington nie wykorzystywali biednych wdów.

James. Dobrze, mocne imię... Odpowiednie dla niegodziwego rozpustnika!

Jutro pójdzie zobaczyć się z prawnikiem. I to nie z prawnikiem rodziny Pearsonów, ale z tym, którego sama wybierze. Powinna była to uczynić już dawno temu, ale nie chciała wówczas stracić pieniędzy ani zadzierać z Pearsonami. A teraz zadrze z nimi i z tym całym Ferringtonem!

Najpierw jednak musi zobaczyć się z Minervą.

# 11

To akurat było najłatwiejsze do osiągnięcia. W niespełną godzinę Caroline znalazła się w wytwornym domu baronowej i zażądała widzenia z ciotką. Kilka minut później, po przekazaniu wiadomości przez służącego, do pokoju wbiegła Minerva.

- Caroline, czy coś się stało?

Wzięła ciotkę za rękę i poprowadziła ją do sofy.

- Ciociu, co ty naopowiadałaś, panu Ferringtonowi?

Minerva znieruchomiła.

- A więc to prawda. Powiedziałaś mu, że byłabym zainteresowana, by zostać jego...

Zaczerwieniła się, ale nie potrafiła wymówić słowa „kochanką”.

- Powiedziałyśmy mu jedynie, że być może jesteś zainteresowana, by przedstawić mu pewną propozycję.

- My?

- Charlotte, Violetta, lady Mary i ja.

Caroline była zdumiona tą informacją.

- Proszę, nie przejmuj się nimi - powiedziała niespokojnie Minerva. - Traktują cię jak swoją kuzynkę i chciałyby tylko twojego dobra.

- Ale żeby mówić mu, że chcę mu złożyć pewną propozycję?- Caroline potrząsnęła głową. - Skąd taki oburzający pomysł?

Minerva złożyła ręce na kolanach.

- Ode mnie.

- Skąd ci przyszło do głowy, że mogłabym nawet rozważać coś podobnego?

- Na podstawie twojego zachowania w ostatnim czasie. W zeszłym tygodniu powiedziałaś mi, że nie masz zamiaru wychodzić ponownie za mąż, ale potem spędziłaś wieczór z panem Ferringtonem...

- Skąd wiesz, że spędziłam z nim wieczór?

- Jasper powiedział mi, o której wyszłaś. A kiedy wróciłaś do domu... - Minerva zawiesiła głos. - Byłaś bez butów i wyglądałaś na kobietę, która dość namiętnie się całowała.

Zakłopotana Caroline zaczerwieniła się.

- A dzisiaj rano - mówiła dalej Minerva - przytapałam cię, jak do niego pisałaś. Miałas minę winowajcy i, no cóż, nie wiedziałam, co o tym wszystkim myśleć. To lady Mary zasugerowała, że zdecydowałaś wziąć sobie kochanka.

- Kochanka? - powtórzyła z niedowierzaniem Caroline. Zerwała się z sofy i zaczęła chodzić po pokoju, pragnąc się uspokoić. - Dlaczego pomyślała, że chciałabym wziąć kochanka?

Minerva podeszła do niej i pogładziła jej ramiona.

- Już dobrze, kochanie. Zdenerwowałam cię, ale nie miałam takiego zamiaru. Jesteś taka spięta. - Z poważną miną dotknęła ręki Caroline. - Jesteś zbyt młoda, by w samotności borykać się z życiem. To nie jest naturalne.

- Nie potrzebuję żadnego mężczyzny.

- Caroline, nie sądz wszystkich mężczyzn według swojego męża.

- Skąd wiesz, że to robię? - Cofnęła się przed kojącym dotykiem ciotki.

- Wiem, że cię zranił ...

- Nigdy nawet nie podniósł na mnie ręki.

- Być może, ale przepełnił gorczyzą twoje rozumienie małżeństwa i miłości.

Niezadowolona ze zmiany tematu, Caroline powiedziała sztywno:

- To dziwne, że to ty udzielasz mi tej lekcji.

- Moja droga, odstaw na bok dumę i uwierz wreszcie, że nie musisz dźwigać ciężaru wszystkich trosk świata na swoich barkach. Kocham cię, jakbyś była moją rodzoną córką, ale są takie chwile, kiedy twoja uparta odmowa, by przyjąć jakąkolwiek pomoc, wyprowadza mnie z równowagi. Uważam, że powinnaś się komuś zwierzyć. Co więcej, dobrze by ci zrobiło, gdybyś się zakochała.

Ku własnemu przerażeniu, Caroline poczuła, jak w kąciku jej oczu pojawia się łza i płynie po policzku. Podniosła rękę, by ją ztrzeć, jednak nagle zdała sobie sprawę, że z jej oczu płynie cały strumień.

- Tak łatwo mnie przejrzeć? Tak łatwo mnie rozszyfrowałaś? - wykrztusiła .

- Nie ma takiej kobiety na ziemi, która nie łaknęłaby miłości.

- Mnie ona nie jest w ogóle potrzebna. - Caroline sięgnęła do torebki i zaczęła szukać chusteczki, by powstrzymać łzy. Przycisnęła chusteczkę do twarzy, próbując się opanować. - Mylisz się. Już o tym kiedyś rozmawiałam z matką. Trudno jej było mówić, ale naraz poczuła, że musi przed kimś otworzyć duszę. - Powiedziała jej, że moje małżeństwo jest nieszczęśliwe, że mąż jest dla mnie zły. Nie chodziło jedynie o to, że był często w złym humorze i zachowywał się wobec mnie niegrzecznie. Złośliwie dawał mi do zrozumienia, że jestem niczym. Zabił nawet mojego pieska. - Przerwała dla nabrania tchu. Dopiero po kilku sekundach uspokoiła się na tyle, by mówić dalej. - Wags był głupim szczeniakiem, którego polubiłam, zwykłym kundlem ze wsi i strasznym brzydactwem, ale uwielbiałam go. Niestety był dość niezdarny i czasami sprawiał kłopoty, ponieważ nikt go nie uczył porządku. To była moja wina. Pewnego dnia Trumbull wszedł w kałużę, którą zostawił pies, i strasznie się wściekł. Podniósł szczeniaczka i uderzył nim o kominek, potem zrobił to jeszcze raz, i jeszcze, aż w końcu go zabił. - Caroline zamknęła oczy na wspomnienie tego wydarzenia. - Trumbull niszczył wszystko, co kochałam albo na czym mi zależało - powiedziała wreszcie twardym głosem. - Nie wolno mi było jeździć do miasta. Zabronił mi widywać się z przyjaciółmi i trzymał mnie w domu na wsi jak w więzieniu. Oczywiście, po kilku latach odkryłam, że ma w mieście kochankę, i był szczęśliwy, spędzając z nią czas ...

Nie mogła dalej mówić. Minerva podprowadziła ją do sofy.

- Powiedziała mamie, że chcę opuścić Trumbulla. - Zamknęła oczy, wspomnienia tego dnia były jeszcze tak ostre i wyraźne, jakby stało się to wczoraj. Opanowała się siłą woli. - Mama oświadczyła, że jeśli opuszczę Trumbulla, cała rodzina się mnie wyrzeknie. Powiedziała, że nie potrafiłaby pogodzić się z takim wstydem. Czy to nie ironia losu, że ty i ja byliśmy jednakowo szantażowane przez nasze rodziny. Różnica jest taka, że ty miałaś odwagę, by stawić czoło konsekwencjom, podczas gdy ja nie potrafiłam tego zrobić. - Potrząsnęła głową. - Od tego dnia rodzice nie rozmawiali ze mną. Rozczarowałam ich.

- To oni cię zranili, zawiedli twoje zaufanie.

- Nie, to ja ich zawiodłam. Tak trudno być jedynaczką. Moi rodzice spodziewali się po mnie wiele, a ja im sprawiłam zawód.

- To nieprawda, kochanie. - Minerva ujęła jej dłoń. Caroline spojrzała na rękę ciotki.

- Zmarli rok później. Nie utrzymywaliśmy kontaktów, nasze wzajemne stosunki stopniowo stały się chłodne ... ale do dzisiaj bardzo za nimi tęsknię.

Minerva objęła ją i wreszcie Caroline odprężyła się w tym ciepłym i czułym uścisku. Powoli poczucie spokoju zaczęło wypierać napięcie, które jej tak długo towarzyszyło.

- Gdybym wiedziała, że zginą w wypadku, starałabym się bardziej. Nie okazywałabym gniewu.

- Jestem pewna, że oni to wiedzą. Są w niebie i wiedzą, co się dzieje w twoim sercu. Jestem również pewna, że nie chcieliby, abyś odsuwała się od życia. Któregoś dnia zechcesz otworzyć serce dla jakiegoś mężczyzny. Nie takiego jak Trumbull, ale takiego, który wart będzie twojego uczucia.

- Nigdy już nie pozwolę, aby jakiś mężczyzna przejął kontrolę nad moim życiem. - Caroline zacisnęła pięści.

- Ależ nie wszyscy mężczyźni są tacy jak twój zmarły mąż. Bernardo nie był taki ... Robert również.

Minerva dotychczas nie wymieniała tego imienia.

- Kim był Robert?

- Największą miłością mojego życia. Dla niego gotowa byłam zrezygnować z rodziny, pozycji społecznej, ze wszystkiego, w co nauczono mnie wierzyć.

- Co się z nim stało?

Wyraz radości na twarzy kobiety zbladł.

- Zmarł. - Spojrzała na Caroline. - Ale niczego nie żałuję. I nie przestałam z tego powodu żyć. Gdybym miała twoje nastawienie do życia, nie spotkałabym Bernarda. Wzbogacił moje życie tak, że

odczuwam to do tej pory... tak jak do tej pory czuję w sobie miłość Roberta. Nie obawiaj się miłości. Wróć do życia i przyjmij wszystko, co ci przynosi.

Naraz Caroline wyobraziła sobie, co ciotka może o mej myśleć.

- Muszę ci się wydawać strasznie nudna.

- Raczej przestraszona. To dlatego teraz, kiedy zdecydowałaś się zacząć znów normalnie żyć, postanowiłyśmy sprawdzić, czy mężczyzna, którego wybrałaś, zasługuje na ciebie.

Caroline zerwała się z sofy.

- Ależ mnie nie interesuje pan Ferrington. Prawda jest taka, że Freddie przegrał mój dom w karty do pana Ferringtona. A ten odmawia oddania go, chociaż wie, że Freddie nie miał do niego prawa. Poza tym wczoraj wieczorem obiecał go zwrócić.

- Opowiedz mi wszystko - zażądała Minerva, więc Caroline powtórzyła jej dokładnie całą historię, poczynając od wizyty Freddiego.

- A my myślałyśmy, że pan Ferrington jest dżentelmenem.

- Teraz już wiecie, że to podły rozpustnik. Nigdy nie zgodziłabym się przyjąć jego niegodziwej propozycji i zostać jego kochanką. Ale nie martw się, nie pozwolę zabrać mojego domu. - Przykryła się szalem, szykując się do wyjścia. - Pan Ferrington przekona się, że kobiety też mają jakieś prawa.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała Minerva wstając.

- Zatrudnię prawnika. Powinam była to zrobić już wtedy, gdy Freddie po raz pierwszy odmówił mi zwrotu aktu własności. - Skierowała się do wyjścia. - Idziesz ze mną czy jeszcze tu zostajesz?

Minerva w zamyśleniu zmarszczyła czoło. Machnęła ręką.

- Wrócę później. Charlotte chce jeszcze zagrać jedno rozdanie.

- Dobrze - powiedziała energicznie Caroline. - Dziękuję, że zechciałaś mnie wysłuchać - dodała. Czują jednak, że słowa nie wystarczają. Podeszła do ciotki i mocno ją objęła. - Nie zdawałam sobie sprawy, że tak odsunęłam się od wszystkich.

- Pamiętaj, że zawsze jestem obok. Możesz na mnie liczyć.

- Wiem o tym. - Caroline uściśniła ją jeszcze raz.

- Dziękuję. - Ruszyła do drzwi. - Idę już. Czy będziesz w domu na kolacji?

- Tak.

-A więc do wieczora. - Caroline wróciła do domu, aby przygotować się do spotkania z prawnikiem.

Miało się odbyć następnego dnia.

Po powrocie do salonu Minerva powtórzyła przyjaciółkom całą historię.

- Na pewno wiedział, że Caroline ma na myśli tylko zwrot domu - powiedziała Violetta.

- Jeszcze pozwolił nam gadać i gadać. Prawie skompromitowałyśmy biedną dziewczynę - skończyła Minerva. Zamknęła oczy, pragnąc powstrzymać napływające łzy. - Powinam była się tego domyślić. Caroline nie jest kobietą, która poddaje się namiętności. Nie robi niczego, co byłoby nieodpowiednie.

- Mówisz tak, jakbyśmy my tak postępowały. - Charlotte schyliła się ku Minervie. - Wypraszam sobie takie aluzje.

- Jesteśmy w Anglii, Charlotte. Zdaniem towarzystwa, w którym wychowała się Caroline, nasze postępowanie nie jest właściwe. Żałuję, że naraziłam ją na tak krępującą sytuację.

- Krępującą? - powtórzyła z niedowierzaniem lady Mary. - Widziałam, jak stąd wychodziła. Była wściekła i paliła się do działania. Prawdę mówiąc, nie przypominam sobie, by kiedykolwiek błyszczały jej tak oczy. Wydaje mi się, że jest bardzo podniecona czekającą ją walką.

- Lady Mary ma rację - zgodziła się Charlotte. - Pamiętajmy jednak, że James Ferrington obraził naszą Caroline. Czy nie ostrzegaliśmy go przed tym, kiedy spodziewaliśmy się, że się nią zainteresuje?

-Wydaje mi się, że właśnie miał zamiar to zrobić - powiedziała ironicznie Violetta.

Charlotte zbyła jej komentarz niecierpliwym machnięciem ręki.

- Nie możemy najpierw przyrzekać, że będziemy ją chronić, a potem nie dotrzymać obietnicy. - Wstała od stołu, przy którym miały grać w karty. - Z drugiej strony, nie widzę przeszkód, Minervo, byś przeprowadziła się z Caroline do mnie. Mam więcej miejsca, niż mi potrzeba. Nie wiem, co

Gerard myślał, kiedy zapisywał mi ten wielki dom i taką ilość pieniędzy - dodała, wspominając ostatniego kochanka, bogatego kupca.

- Caroline się na to nie zgodzi, moja droga. Jest dumna ze swej niezależności. Ma zamiar odebrać mu dom.

- Jak to zrobi? - spytała lady Mary.

- Wynajmie prawnika i odda sprawę do sądu.

- Przegra.

- Nie - odparła Minerva. - Dom nigdy nie należał do Freddiego, a tym bardziej do pana Ferringtona.

- Ale Ferrington to mężczyzna, a poza tym jest bardzo bogaty.

Musiały przyznać, że to prawda. Zapadłe milczenie.

- W takim razie musimy zdobyć dla niej akt własności tego domu. - Pierwsza odezwała się Charlotte. - Jesteśmy jej to winne za to, że postawiłyśmy ją w takiej niezręcznej sytuacji. - Wyciągnęła ręce do przyjaciółek. - Wspólnie postaramy się, by James Ferrington zapłacił za obrażenie naszej Caroline.

- Tak - zgodziła się Violetta. - Razem nam się to uda. - Jedną ręką złapała dłoń Charlotte, a drugą wyciągnęła do lady Mary.

- Czy to znaczy, że wydajemy mu wojnę? Będziemy walczyć? Czeką nas wspaniała zabawa. - Lady Mary prawą rękę podała Violetcie, a lewą Minervie.

Ta spoglądając na uśmiechnięte twarze ukochanych przyjaciółek, zamknęła krąg ujmując dłoń lady Mary.

- Wiemy, jak postępować z mężczyznami. Pan Ferrington pożałuje, że stanął nam na drodze.

- To prawda, chérie - zgodziła się Charlotte. - Mam jednak przeczucie, że pan Ferrington będzie szczególnie niebezpiecznym przeciwnikiem.

- Nic nie szkodzi - odparła buńczucznie Violetta.

- Tak! Od lat nie czułam się tak podniecona. Co robimy najpierw?

- Najpierw? - powtórzyła Charlotte. - Musimy dowiedzieć się o nim jak najwięcej. Wiedza to potęga, a my możemy skorzystać z wielu źródeł. Jeśli ma jakieś słabostki, odkryjemy je. Zacznę od wypytania przyjaciół Gerarda.

- A ja spytam mojego bankiera - powiedziała lady Mary. Violetta i Minerva będą go śledzić. Musimy dowiedzieć się, z kim się widuje i co robi. Charlotte, możemy użyć twojego powozu? Jest mniejszy od mojego.

- Nie! Musimy wynająć dorożkę. On nie może niczego podejrzewać. Możemy jednak wykorzystać Pierre' a. Będzie nam potrzeba ktoś silny.

Pozostałe zgodziły się z jej propozycją. Charlotte uśmiechnęła się.

- W takim razie wypijmy za udane przedsięwzięcie. - Ucisnęła rękę Minervy.

Minerva ucisnęła dłoń lady Mary.

- Za sukces.

- Tak, za sukces. Pożałuje nawet, że spojrzął na naszą Caroline. - Lady Mary ucisnęła palce Violetty.

- I że zabrał wasz dom. - Violetta uśmiechnęła się i ucisnęła dłoń Charlotte.

- A więc zaczniemy od tego ...

Przez kwadrans w skupieniu robiły plany na następne dni. Wreszcie skończyły i rozjechały się do domów, by nawiązać kontakty ze znajomymi, od których chciały wyciągnąć wiadomości na temat Jamesa Ferringtona.

# 12

Przygnębiająca popołudniowa mżawka powoli ustępowała ponuremu zmierzchowi i niosła ze sobą groźbę ulewy. Znajdujący się w pokoju z oknami wychodzącymi na ogród James ledwo zauważył tę zmianę. Stał w oknie nieruchomo jak posąg, nie zważając na lekkie podmuchy wiatru i drobny deszczyk.

- Wszędzie cię szukałem - odezwał się Daniel. Na wyłożonej terakotą podłodze rozległy się nierównomierne kroki. - Dlaczego siedzisz w ciemnościach?

Rozległ się syk zapalanej zapałki i w pokoju zrobiło się jaśniej. Daniel zapalił lampy stojące na dwóch stołach. Do pokoju dochodził zapach świeżej ziemi. James łyknął. Poczul na języku, a potem w gardle, ciepły smak alkoholu.

Usiadłszy na krześle naprzeciwko, Daniel popatrzył na przyjaciela.

- Calleo powiedział, że wróciłeś do domu trzy godziny temu. Mamy do przejrzenia raporty.

- Raporty? - James uniósł brwi.

- Nie pamiętasz? Na piątkowe spotkanie. Raporty, nad którymi siedzieliśmy, kiedy przyszły te kobiety.

Wraz ze słowami Daniela powróciły wspomnienia całego popołudnia.

- James, czy coś jest nie w porządku?

- Dlaczego tak uważasz?

- Człowieku, razem z tobą walczyłem, przemierzałem pustynie i dżungle. Przy twoim boku walczyłem z tureckimi renegatami i piratami, razem piliśmy i uwodziliśmy kobiety. Znam cię lepiej niż własną matkę.

James odstawił szklaneczkę na stolik, zsunął nogi na podłogę wstał.

- Zrobiłem coś, z czego wcale nie jestem dumny - wyznał, patrząc na pogrążony w ciemnościach ogród.

Daniel przez chwilę rozmyślał nad zasłyszaną informacją.

- Nigdy jeszcze nie zachowałeś się niehonorowo - rzekł w końcu.

James nie odpowiedział. Nie mógł. W ciszy, która zapadła, nagle otworzyły się niebiosa i lunął gęsty rzęsisty deszcz.

- To chyba nie jest aż tak poważne. - Daniel pochylił się na krześle. - Opowiedz mi wszystko, a razem rozwiążemy ten problem.

- Rozwiążemy problem... - powtórzył James za przyjacielem i roześmiał się gorzko. - Gdybym nie zachowywał się jak głupiec, rozwiązałbym ten problem w trzy sekundy. Wystarczyłoby, gdybym zwrócił Caroline Pearson jej dom. - Oparł się o framugę okna i patrzył na deszcz. - Ale nie mogę tego zrobić.

Zapadła cisza, przerywana jedynie odgłosami deszczu bijającego w dach i uderzającego o cegły.

- Czy ty przypadkiem się nie zakochałeś?

Przez chwilę James myślał, że źle zrozumiał. Zaskoczony spojrzał na przyjaciela.

- Coś ty powiedział?

- Spytałem, czy przypadkiem się nie zakochałeś? - powtórzył Daniel zupełnie poważnie.

- Czyś ty oszalał? Dopiero co spotkałem tę kobietę.

- Tak, i od tej chwili jesteś cały czas podminowany i skory do gniewu. No, może z wyjątkiem tych kilku godzin, kiedy wymaszerowałeś z domu, by wykupić wszystkie kwiaty w Londynie.

- Skąd o tym wiesz?

- Człowieku, wzięłeś ze sobą dziesięciu lokai. Zazwyczaj taką obstawę ma burmistrz Londynu... a wszyscy dobrze wiedzą, gdzie potem poszedłeś. Począwszy od twojej sprzątaczkii. Mówi się o tym w całym domu.

James poruszył się niespokojnie.

- A teraz - ciągnął Daniel - kiedy czeka nas najważniejsze spotkanie w całej naszej karierze, ty przesiadujesz popołudnie z butelką whisky, rozmyślając nad problemem, który, jak sam przyznajesz,



można rozwiązać w trzy sekundy. Ale ty tego nie chcesz, prawda? Ponieważ, jeśli to zrobisz, ona zniknie z twojego życia na zawsze.

James usiadł na parapecie wściekły, że jego sytuacja została tak trafnie scharakteryzowana.

- To zupełnie nie ma sensu. Znam ją krócej niż dwadzieścia cztery godziny i w ogóle nie potrafię o niej zapomnieć. - Przycisnął do ud spocone palce.

Daniel rozsiadł się wygodnie udając, że strzela z łuku. - Amor odnalazł swój cel. Jesteś zakochany.

- Nie dramatyzuj. Nie można się zakochać tak szybko.

- Trzeba to było powiedzieć Markowi Antoniuszowi.

- Markowi Antoniuszowi?

- W chwili, gdy ujrzał Kleopatę, rzekł się dla niej Rzymu i honoru. Artur zniszczył Camelot dla Ginevry, Samson odwrócił się od Boga dla Dalili, a z kolei Adam rzekł się życia w raju dla Ewy. Historia i legendy pełne są dziejów ukazujących, jak szalony staje się mężczyzna, który się zakocha.

- Wszystko to bzdury. Poza tym, co te historyjki mają wspólnego ze mną?

- To nie są bzdury. Każdego dnia w miejskich parkach młodzi mężczyźni pojedynkują się tylko z powodu kostki, którą raczyła ukazać im ukochana, albo dlatego, że wdzięcznie schyliła głowę. Z tego powodu silni mężczyźni słabną, a zdrowi wpadają w obłąd. Na jakiej podstawie uważasz, że mógłbyś być bardziej odporny na miłość niż reszta z nas, zwyczajnych śmiertelników.

James wstał, jakby nie mogąc poradzić sobie z tym odkryciem. Zrobił krok i zatrzymał się.

- Nie jestem zakochany. - Zrobił jeszcze jeden krok. - Ale coś mnie do niej ciągnie. - Zaciśnął dłoń. - Ona nie czuje tego co ja. Nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Nie jestem pewien, czy powinienem ją za to winić.

- Aha, mamy więc do czynienia z nie odwzajemnionym uczuciem.

- Niech to licha. - Jamesa opanowała wściekłość. - Jeszcze nie jest ze mną tak źle. Wcale nie potrzebuję Caroline Pearson - powiedział bez przekonania. Wziął szklankę i wychylił resztę jej zawartości.

Daniel obserwował go jak jakąś dziwną i niezwykłą istotę.

- Jeśli tak twierdzisz...

- Tak, właśnie tak twierdzą - odparł uroczyście, pragnąc, by Daniel w jakiś sposób mu zaprzeczył. - Są jeszcze inne kobiety na tym świecie, wiele z nich piękniejszych, przychylniejszych i bardziej

interesujących niż Caroline Pearson.

- Mhm.

James miał ochotę zetrzeć pięścią ten powątpiewający uśmiešek z twarzy przyjaciela.

- Zabierajmy się do raportów.

- Oczywiście, ale dopiero po kolacji u Lavenhamów.

- Jakiej znów kolacji u Lavenhamów?

- Nie pamiętasz? Lady Lavenham osobiście raczyła przysłać ci zaproszenie. Pozwoliłeś mi wysłać jej potwierdzenie, zanim te cztery damy nam przerwały. - Spojrzał badawczo na przyjaciela. Doszliśmy do wniosku, że zaproszenie stanowi znak, że hrabina ma zamiar zgodzić się na twoje małżeństwo z jej córką. Mam nadzieję, że nie jesteś jeszcze w takim stanie, że zapomniałeś o naszej rozmowie?

Chociaż zupełnie o tym zapomniał, postanowił się do tego nie przyznawać.

- W takim razie lepiej będzie, jak zacznę się przebierać. - Ruszył do drzwi, by uciec od bystrego wzroku Daniela.

- A tak przy okazji, zostaliśmy okropnie zbesztani przez lorda Dirnhursta - zatrzymał go głos współnika. - Wysłał wiadomość przez swego sekretarza.

- Z jakiego powodu? - James zatrzymał się.

- Wygląda na to, że wczoraj wieczorem obiecałeś mu przesłać kopie dokumentów frachtowych.

- Do licha!

- Rzeczywiście!

- Spojrzał na Daniela. - Czy był bardzo wściekły?

- Na tyle, aby dać do zrozumienia, że jeśli nie będziemy zachowywać się bardziej odpowiedzialnie, wycofa swe pieniądze i nie zjawi się na piątkowym zebraniu. Obiecałem, że dostanie raporty jutro

rano, ale uporałem się z nimi dzisiaj i już mu je wysłałem.

- Dzięki, Danielu. - James westchnął z ulgą. - Obiecuję, że posiedzimy nad dokumentami, jak tylko wrócę z kolacji. Od tej chwili zajmę się wyłącznie interesami.

- Świetnie.

James wiedział, że nie udało mu się oszukać przyjaciela. Co więcej, nieomylna intuicja Daniela była dla niego wstrząsem.

Udał się do sypialni, przeskakując po dwa stopnie schodów naraz. Musi po prostu skoncentrować się na sprawach interesów i zapomnieć o Caroline Pearson. Jak na jego gust, była kobietą o zbyt silnej woli i zmiennym zachowaniu. Raz prawie mdlała w jego ramionach, by za chwilę odpychać go jak obrażona dziewczyna. Więcej nie będzie o niej myślał. Nie ma mowy. Przrzekłszy to sobie stanowczo, wszedł do sypialni i oddał się w ręce lokaja.

Nie utrzymał się zbyt długo w swoim postanowieniu. Kiedy służący zaczął pomagać mu w przygotowaniach do czekającej go kolacji, James przyjrzał się sobie w lustrze. W eleganckim wieczorowym stroju wyglądał - jak zawsze - na człowieka w kwiecie wieku, znającego swoje miejsce w świecie.

Dlaczego jednak czuł się jak odmieniony? Czym różnił się ten dzień od innych?

Może tym, że był zakochany?

Ta nagła myśl zaskoczyła go. Na jego twarzy odmalowała się niepewność człowieka wkraczającego w nie znany mu dotąd świat... świat, który miał ochotę poznać.

Nagle odwrócił się na pięcie i zasiadł za biurkiem. Za nim podążył służący ze szczotką do ubrań. Opędzając się od niego, przygotował pióro i atrament, rozłożył papier i napisał krótki liścik.

*Lady Pearson,  
zmieniłem zdanie. Proszę przyjąć akt własności swojego domu wraz z moimi najlepszymi życzeniami.  
Ferrington*

Niecierpliwie przyłożył bibułę do kartki, aby wysuszyć atrament, kiedy jego wzrok padł na łóżko. Wyobraził sobie Caroline Pearson leżącą nago na złotym brokatowym nakryciu, jej gęste kasztanowe włosy rozsypane na poduszkach, kształtne ciało, białe, wspaniałe... kuszące. Cały zapłonął.

Zmiał papier w dłoni.

Głośne stukanie wyrwało go z zadumy. Spojrzał na drzwi, potem na łóżko. Łóżko było puste, nie tknięte nakrycie ułożone równo. Usłyszał ponowne pukanie.

- Panie Ferrington? - spytał niepewnie Calleo.

Nie dowierzając swemu głosowi, skinął przyzwalająco głową. Lokaj ruszył do drzwi. James rozwarł dłoń i spojrział na zgnieciony papier.

- Sahib, powóz już czeka.

Ledwo słyszał głos Calleo. Przytknął kartkę do płomienia świecy stojącej na stole. Gruby papier zbrązował i zaczął płonąć. Poczekał, aż płomień zacznie lizać jego palce. Dmuchnął i list zamienił się w popiół.

- Nie chcę jechać powozem, Calleo. Powiedz, żeby osiodłano konia. Najchętniej Trojana. - Czarny ognisty ogier był jego ulubionym wierzchowcem.

- Ależ sahib, pada deszcz. Przemoknie pan po drodze.

James wytarł pobrudzone popiołem ręce.

- No i bardzo dobrze.

Przejażdżka w deszczu nie poprawiła mu humoru. Dojechał przemoczony, a mimo to, kiedy stanął się o umówionej porze u Lavenhamów, prezentował się nadal świetnie. Lokaj zaanonsował go uroczyście, niemal jak honorowego gościa. Pani domu przyjęła go w salonie z wyciągniętą ręką. Drugą przyciskała do piersi swego spaniela, jednego z kilku. Po raz pierwszy od chwili, gdy ją spotkał, kobieta wysiliła się na uśmiech.

- Tak się cieszę, że możemy pana dzisiaj gościć. Lena, chodź, przywitaj się z panem Ferringtonem.

Córka gospodarzy, uroczą panną, mimo zimnej pogody ubrana w żółtą tiulową suknię, posłusznie opuściła grupę młodych ludzi, by spełnić polecenie matki. Jasne loki zafalowały wraz z jej ruchami. James w myślach porównywał ją z chińskimi lalkami swojej siostry, i z Caroline, która miała o wiele więcej wdzięku i dojrzałego piękna. Natychmiast wyrzucił ostatnią myśl z głowy i skłonił się dziewczynie.

- Miło mi znów pana widzieć, panie Ferrington - powiedziała sepleniąc. Ciarki przeszły mu po krzyżu.

- Wygląda pani uroczo, lady Leno - skłamał gładko.

- Dziękuję - odpowiedziała półuśmiechem na jego komplement.

Po raz pierwszy w życiu James zupełnie nie wiedział, co mówić dalej... ponieważ odkrył, że zupełnie nie ma jej nic do powiedzenia. O czym, w takim razie, będą rozmawiać po ślubie? Dotychczas się nad tym nie zastanawiał.

Lady Lavenham uratowała niezręczną sytuację.

- Leno, oprowadź pana i przedstaw innym gościom.

Na krótką chwilę w oczach dziewczyny pojawił się bunt. W końcu jednak spojrzała na matkę i grzecznie kiwnęła głową.

- Dobrze, mamó. - "Dobrze" brzmiało zupełnie jak "dobsze". - Pozwoli pan ze mną?

James podążył za nią. Poza lordostwem Dirnhurst, nie znał zbyt wielu

osób znajdujących się w salonie. Dirnhurst widocznie przestał wściekać się z powodu nie dostarczonych rejestrów, bo zapoznał Jamesa z kilkoma dżentelmenami, którzy wyrazili swoje zainteresowanie jego zmaganiem z Kompanią Wschodnioindyjską.

Lena posłusznie stała z boku, ale w ogóle nie zwracała na nich uwagi. Co więcej, cały czas wykręcała głowę w kierunku grupy młodych mężczyzn stojących w kącie pokoju, których musiała opuścić, by towarzyszyć Jamesowi. Wielu z nich było ubranych w mundury wojskowe.

Kolacja okazała się bardzo nudna. Nie kończąca się ilość dań, pogaduszki o niczym. Cały czas walczył z chęcią zerknięcia na zegarek. Lena pogrążona była w ożywionej dyskusji z jednym z młodych oficerów, a jej matka ignorowała go całkowicie. Co gorsza, siedząca po jego prawej energiczna Węgierka wraz z upływem czasu i ilością wypitego wina popadała w coraz bardziej romansowy nastrój. Właśnie kończyli danie rybne, gdy poczuł na nodze czyjś dotyk. Zdał sobie sprawę, że to jej stopa. Pochyliła się ku niemu, opierając rękę na jego udzie.

- Jakie mocne nogi - wyszeptła i głęboko zaczerpnęła powietrza, jak ogar czujący zapach zbliżającej się zdobyczy.

- Czy słyszeliście państwo, co dzieje się z Freddie Pearsonem? - usłyszał głos jakiegoś mężczyzny, dobiegający z drugiej strony stołu.

Natychmiast zapomniał o Węgierce i jej ruchliwej ręce i spojrzał na łysawego młodego kapitana Soane'a, siedzącego obok Leny.

- Freddie Pearsonem? - spytała zażywna, atrakcyjna blondynka, którą przedstawiono mu jako Elisabeth Andrews. - Czy to jakiś krewny Caroline Pearson?

Serce podskoczyło mu do gardła.

- Tak - odparł z wystudiowaną nonszalancją. Chrząknął. - Wydaje mi się, że są krewnymi. Czy zna ją pani?

- Razem chodziliśmy do szkoły panny Agathy. - Zarumieniła się uroczo. - Oczywiście, było to dawno temu.

- No cóż, wydaje się, że Freddie stracił cały swój majątek - oznajmił kapitan Soane.

- Myślałem, że już dawno zgrał się do cna, przegrał wszystko w karty, wliczając w to nawet dom swej szwagierki - powiedział lord Lavenham. - Z pomocą Ferringtona zresztą.

Wszystkie oczy zwróciły się w kierunku Jamesa.

- To prawda - odrzekł Soane. - Freddie wybiera się do Ameryki, by zająć się tam farmerstwem. Co o tym sądzicie?

- Uważam, że stracił ostatnią koszulę - odparł hrabia. - To skończony głupiec.

Lady Lavenham zacisnęła usta; co upodobniło ją do wysuszonej brzoskwini.

- Pearsonowie nie wyróżniali się niczym szczególnym. Nic dziwnego, że Freddie przepuścił cały majątek.

- A co z Caroline? - spytała lady Andrews. - Przecież prawdopodobnie od śmierci męża była na utrzymaniu jego rodziny. Chyba matka Freddiego jeszcze żyje?

- Tak, Lucinda Pearson żyje. Pewnie ma swoje pieniądze. - Lady Lavenham zwróciła się do mężczyzny siedzącego obok. - Lucinda pochodzi z Nevins-Melfordów. To dobra rodzina.

- To prawda - wymamrotał jej sąsiad.

- Caroline nie ma chyba już żadnej rodziny - powiedziała lady Andrews. - Rodzice umarli wkrótce po jej ślubie z Trumbullem, a nie miała rodzeństwa.

Była tak przejęta, że James odważył się powiedzieć:

- Wydaje mi się... że mieszka ze swoją ciotką... z rodziny męża, która nazywa się Minerva Pearson.

- Minerva Pearson! - Głos lady Lavenham zagrzmiął w całym pokoju. - Proszę mi powiedzieć, że źle pana usłyszałam. - Przyszpiliła Jamesa wzrokiem.

Zdając sobie sprawę, że uraził gospodynię, rzekł ostrożnie:

- Tak, powiedziałem Minerva Pearson.

Lady Lavenham westchnęła z wściekłością i zaczęła osuwać się na krzesło, jakby miała zaraz zemdleć. Dwóch lokai doskoczyło do niej i wachlowało ją chustkami. Goście przyglądali się temu przedstawieniu z otwartymi ustami, jedynie jej mąż nie przestał jeść. W końcu, gdy gospodyni zaczęła przychodzić do siebie, jedna z pań zdobyła się na odwagę.

- Czy zna pani Minervę Pearson?

- Wszyscy ją znali. - Lady Lavenham wyprostowała się. - I nikt jej u siebie nie przyjmował. - Spojrzała prosto na Jamesa. - Nikt o pewnej pozycji.

- Nikt - powtórzyła lady Dirnhurst. Wraz ze skinięciem zahuściły się kanarkowo żółte pióra zdobiące jej głowę.

- Kim jest ta Minerva Pearson? - spytał poważnie lord Grimsey, skinąwszy na lokaja, by dołączył mu wina.

- Była jedną z nas - powiedziała pani domu zimnym głosem, zdolnym zmrozić duszę. - Aż kiedyś zniesławiła rodzinę, uciekając z mężczyzną i ściągając na niego śmierć.

Uniesione brwi i dyskretny pomruk były odpowiedzią na jej oświadczenie.

- Pearsonowie się jej wyrzekli i nie chcieli mieć z nią do czynienia. Słyszałam, że nie tylko wróciła do Londynu, ale że jedno z Pearsonów z powrotem ją przyjęło. - Spojrzała na lady Dirnhurst. - Czy to prawda?

- Z tego, co wiem, nadal mieszka z Caroline Pearson. Rozmawiałam z nią po naszej dyskusji na ten temat, ale Caroline nie słucha rad. Jest taka niezależna. Uczy na pensji panny Elmhart, której jestem patronką, i często wykazuje te same wady charakteru, co jej ciotka. Proszę porozmawiać o niej z panem Ferringtonem, który jest jej kuzynem.

James poczuł, że oczy zebranych zwracają się na niego.

- Kuzynem? - spytała lady Lavenham. - Nie wiedziałam, że ma pan tu jakąś rodzinę, sir.

- Jesteśmy dalekimi krewnymi - wymruczał.

- Jak dalekimi?

Zanim James znalazł odpowiedź na jej pytanie, w sukurs przyszła mu lady Andrews, stającą w obronie przyjaciółki.

- Jeśli Caroline przyjęła do siebie osobę o takiej opinii, jestem pewna, że miała ku temu odpowiedni powód. Caroline Pearson, jaką znałam, była pełną współczucia dziewczyną o nieposzlakowanej opinii.

- Doprawdy? - Oczy lady Lavenham rozjaśniły się złośliwie. - W takim razie z pewnością będziemy mieli okazję zobaczyć ten wzór cnót na twoim jutrzejszym balu, moja droga.

Lady Andrews nie zareagowała na sarkazm kuzynki.

- Gdybym wiedziała, gdzie mieszka, na pewno bym ją zaprosiła.

Przez dłuższą chwilę obie kobiety mierzyły się wzrokiem. Wreszcie gospodyni zmieniła temat, pytając lorda Hogginsa, czy nadal bardzo męczy go podagra.

James nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie skończy się posiłek. Panie wyszły z jadalni, zostawiając panów na kieliszek portwajnu i cygaro. Czas męskich dyskusji o interesach zazwyczaj był dla Jamesa ulubioną częścią kolacji. Dzisiaj jednak z niecierpliwością czekał, aż hrabia zaproponuje, by przyłączyli się do pań.

Zręcznie omijając Węgierkę, odszukał lady Andrews, siedzącą w kącie pokoju.

- Czy mogę się do pani przysiąc?

- Czy na pewno ma pan na to ochotę? - Kobieta uśmiechnęła się. - Wyraźnie nie jestem dzisiaj w łaskach u Very.

- Ja również, i to od bardzo dawna. - James usiadł obok niej.

- Tak, zauważyłam to. - Oczy kobiety zalśniły wesoło. - Nie jest pan jej ulubionym kandydatem na zięcia.

- Skąd pani wie o moich oświadczeniach?

- Jesteśmy dalekimi krewnymi, a Vera nigdy nie należała do osób dyskretnych. Nie popiera pańskiej kandydatury.

- Daje mi to bardzo wyraźnie odczuć.

- Proszę jednak nie tracić wiary. Wierzę, że otrzyma pan rękę Leny. Prędzej czy później przyda się w tej rodzinie trochę świeżej krwi. Mówię to, oczywiście, jako jej kuzynka. James dopiero po chwili wyjawiał powód, dla którego ją odszukał.

- Muszę przyznać, że byłem zaskoczony słysząc, że zna pani Caroline Pearson.

- Ja również z zaskoczeniem usłyszałam, że jesteście spokrewnieni. Wydawało mi się, że nie ma już żadnych krewnych.

- Jesteśmy dalekimi krewnymi, bardzo dalekimi.

- Kiedyś byłyśmy bliskimi przyjaciółkami. - Spojrzała z gniewną rozpaczą. - Pragnęłabym ją zaprosić na mój bal, nie tylko po to, by zobaczyć minę Very. Chciałam przyjechać na pogrzeb Trumbulla, ale byłam wtedy w ciąży. Biedna Caroline.

- Czy dobrze znała pani jej męża? - Nie mógł powstrzymać się od wypytywania swej rozmówczyni.

- Wszyscy znaliśmy Trumbulla. Uważano, że to świetna partia; przystojny, czarujący, bystry, i to właśnie Caroline udało się wyjść za niego za mąż. Pewnie jest jeszcze pogrążona w żałobie po nim.

- Dlaczego tak pani uważa? - Doznał nagłego uczucia zazdrości.

- Ponieważ był cudownym mężczyzną - odparła po prostu. Nie taką odpowiedź chciał usłyszeć, zwłaszcza że Caroline nadal nosiła żałobę. - Chciałabym znów ją zobaczyć

Odłożył uczucie zazdrości na bok.

- Może zechciałaby przyjść na pani bal - powiedział dyplomatycznie.

- Być może - powiedziała z zadumą. - Świetnie się razem czułyśmy w szkole i podczas naszego pierwszego sezonu. Była o wiele lepszą uczennicą niż ja. Nie zdziwiłam się słysząc, że pracuje na pensji. Była taka inteligentna. - Westchnęła głęboko. - Wydaje się, że wszystko to działo się bardzo dawno temu. Potem wyszłam za mąż, urodziłam dzieci... miałam dużo obowiązków. - Dotknęła ręki Jamesa. - Niedawno obchodziła urodziny. Czy wie pan o tym? Skończyła trzydzieści lat. Jest młodsza ode mnie dokładnie o pięć miesięcy. Teraz, gdy robię się coraz starsza, zaczynam czuć potrzebę odwiedzenia tych przyjaciół, którzy mnie znali, gdy byłam młoda.

- Nadal jest pani młoda. - James chciał jeszcze dowiedzieć się czegoś o Caroline.

- Ale nie robię się coraz młodsza. Czy zna pan może jej adres? Chętnie odwiedzę ją jutro, mimo przygotowań do balu. Jeśli plotki o tym, że Freddie chce opuścić kraj, są prawdą, Caroline może potrzebować przyjacielskiego wsparcia.

Był szczęśliwy mogąc spełnić jej prośbę.

- Może powinna pani zaprosić ją na bal? - powiedział, zapisując adres na kartce papieru.

- I utrzyć w ten sposób Verze nosa? Z chęcią.

Miał jeszcze jedną prośbę, delikatniejszą niż poprzednia.

- Może znalazłaby pani jeszcze jedno zaproszenie dla mnie.

- Ależ wysłałam już panu. Dostałam pańskie potwierdzenie. - Uniosła z zaskoczeniem brwi.

Zaczął wymawiać się nadmiarem zajęć, z powodu którego umknęło mu to z pamięci, aż wreszcie uśmiechnęła się usatysfakcjonowana, podczas gdy on zaczął się zastanawiać, czy zbytnio nie pozwala Danielowi na ingerowanie w jego terminarz zobowiązań towarzyskich.

Lady Andrews skinęła głową w kierunku Leny. Młoda dama stała w innej części pokoju, dyskutując z przystojnym oficerem kawalerii.

- Lena miała wielkie szczęście, że taki dżentelmen, jak pan, poprosił o jej rękę. Lavenham na pewno się postara, żeby Vera zrozumiała, jak sensowny będzie wasz związek. Jestem pewna, że wkrótce będziemy bawić się na pańskim weselu.

- Dziękuję. - Przyszła mu do głowy nowa myśl, prawie nie słyszał, co do niego powiedziała. - Proszę nie mówić Caroline, że to ja dałem pani jej adres. Może nie spodobać się jej fakt, że o niej rozmawialiśmy.

- Rozumiem pana doskonale. Zawsze należała do osób skrytych. Skoro jest pan jej kuzynem, muszę pana ostrzec, że niechęć, którą Vera czuje do Minervy, to bardzo stare dzieje. - Schyliła się do niego, zniżając głos do szeptu. - Vera i Minerva razem debiutowały na dworze. Moja mama opowiadała, że wybuchł jakiś skandal dotyczący młodego mężczyzny, który był zaręczony z Verą. Uciekł razem z Minervą, zostawiając Verę niemal przed ołtarzem. Nikt o tym w rodzinie nie mówi, ja również o tym nie myślałam, dopóki w trakcie kolacji nie wspomniano o Minervie.

- Co się takiego stało?

Lady Andrews potrząsnęła głową.

- Moja mama nie zna szczegółów, wie tylko, że konkurent Very zmarł tragicznie. Chyba z tego powodu Minerva wyjechała z kraju. Czy to nie wstrząsające? Nie słyszałam o kobiecie, która musiała opuścić ojczyznę. Mówi się jedynie o mężczyznach, którzy uciekają, bo zabili kogoś w pojedynku albo uwikłali się w poważniejsze problemy, ale nigdy nie słyszałam o kobiecie. Biedna Caroline. I biedna Vera. Niech pan na nią spojrzy, panie Ferrington.

Popatrzył na gospodynię domu. Jej oczy błyszczały bardziej niż przed kolacją. Wyraz twarzy i ruchy stały się bardziej ożywione. Głośny śmiech wydawał się wymuszony.

- Odniosłem wrażenie, że dobrze wiedziała o powrocie Minervy Pearson do Londynu.

- Zapewne kilka osób wiedziało. Jednak większość, tak jak my obydwój, nie miała o tym pojęcia. Teraz pewnie wszyscy robią dokładnie to samo co my, próbują przypomnieć sobie powód, dla którego Vera tak nienawidzi Minervy Pearson. Ach, widzę, że mój mąż daje mi już znaki, że chce wracać do domu.

James uprzejmie, wstał, gdy lady Andrews zerwała się z krzesła: Podawała mu rękę.

- Miło było mi z panem porozmawiać, panie Ferrington. Dziękuję za adres mojej przyjaciółki. To będzie nasza wspólna tajemnica, ale wiem, że któregoś dnia Caroline podziękuję nam za to.

Skłonił się nad jej ręką, myśląc, że nie byłby tego taki pewien. Jednakże - przekonywał sam siebie - wszystko jest w rękach Boga. Przecież Caroline może nie przyjąć zaproszenia. A może je przyjmie?

Niedługo po wyjściu państwa Andrews on również opuścił dom Lavenhamów. Deszcz przestał już padać, a zza chmur wyłonił się księżyc w pełni. Blask jego światła odbijał się od mokrych murów i kamieni bruku.

Miał zamiar wrócić prosto do domu. Daniel czekał na niego, na pewno będzie chciał usłyszeć szczegóły dotyczące wieczoru i popracować nad raportami, które przygotowywali na piątek. Jednak, prawie nie zdając sobie z tego sprawy, znalazł się przed domem Caroline. Skąpany w srebrnym świetle księżycy budynek wydał mu się oddzielony od innych, niemal święty. W środku spała Caroline.

W mroku nocy James pojął, jak czuł się Romeo, czekając w ogrodzie Julii i modląc się, by mu się ukazała. Co będzie, jeśli Caroline stanie teraz w oknie? Czy jego serce zaśpiewa z radości? Ze zdziwieniem przyłapał się na tych myślach. Czemu zachowuje się jak głupiec?

Skierował konia w drogę powrotną.

Ukryta w dorożce Minerva obserwowała, jak Ferrington odjeżdża spod domu, który dzieliła z Caroline. To była ich pierwsza szpiegowska misja i wszystkie cztery bardzo chciały w niej uczestniczyć.

Dorożka ruszyła z miejsca i w bezpiecznej odległości podążyła, za jeźdźcem. Charlotte przez lornetkę teatralną patrzyła, jak Ferrington zsiada z konia i wchodzi po schodach.

Odwróciła się do swoich towarzyszek, stłoczonych w dorożce.

- Świetnie trzyma się w siodle. Bogaty, przystojny. Jaka szkoda, że Caroline nie przyjęła jego opieki. - Pokiwała głową i spojrzała wymownie na Minervę - Wiesz, co mówi się o dobrych jeźdźcach.

- Charlotte, nie zapominaj o naszym planie. - Minerva spojrzała na przyjaciółki. - No i jak sądzicie, czy nam się powiedzie?

- Poczekaj chwileczkę. - Violetta schyliła się nad chrapiącą lady Mary i potrząsnęła ją za ramię.

Kobieta obudziła się natychmiast i rozejrzała się całkiem przytomnie.

- Och, widzę, że już ruszyliśmy.

- Mais oui - odparła Charlotte. - Nie myślałaś chyba, że Ferrington spędzi u Lavenhamów całą noc.

- To robi się nudne, a dorożka jest bardzo niewygodna - Lady Dorchester poprawiła perukę i roztarła zdrętwiałą szyję.

- Tak mi przykro - zakpiła Charlotte. - Następnym razem weźmiemy mój powóz z herbami na drzwiach i służbą w liberii, żeby dokładnie wiedział, kto go śledzi.

- Błagam moje panie - powiedziała Violetta. - Przestańcie się kłócić. Pamiętajcie o naszej misji.

Minerva przerwała im.

- Czy uważacie, że nam się uda? - spytała ponownie.

- Porwać go? Absolutnie. - Charlotte posłała jej w ciemnościach uśmiech.

Lady Mary pokiwała głową.

- Według mojego bankiera, Ferrington postawił cały swój majątek, by przełamać monopol Kompanii Wschodnioindyjskiej na handel korzenny. Co więcej, mnóstwo poważnych inwestorów liczy na jego sukces. To bardzo wpływowi ludzie, którzy nie będą zbyt szczęśliwi, jeśli Ferrington uczyni coś nieodpowiedzialnego... na przykład nie pojawi się na spotkaniu.

- A spotkanie ma się odbyć w piątek? - spytała Minerva.

- Dokładnie w piątek o jedenastej. Jeśli go porwiemy, mogę się założyć o setki funtów szterlingów, że z chęcią zamieni akt własności domu na swoją wolność. Mój drogi Wilhelm uznałby to za wspaniały plan.

- Kiedy to zrobimy? - Oczy Violetty błyszczały z niecierpliwości.

- Im szybciej, tym lepiej. - Minerva nachyliła się ku nim.

- Pierre spędził pracowity dzień, próbując wywieźć się od służących Ferringtona o jego planach aż do piątku. Do jutra rano będzie wiedział o wszystkim.

- Zatem w porządku - podsumowała Minerva. - Spotkajmy się jutro u Charlotte o wpół do jedenastej. - Wyciągnęła rękę. - Za nasz sukces.

Pozostałe kobiety położyły dłonie na jej ręce.

- Czyż to nie cudowna przygoda? - zawołała z przyjemnością Violetta.

# 12

Caroline obudziła się, trzymając w objęciach poduszkę.

Wspomnienie nadal żywych snów o namiętnie całującym ją Jamesie Ferringtonie spowodowało, że aż skręciła się w pościeli. Wstrząśnięta wyskoczyła z łóżka i rzuciła poduszką przez pokój. Co ją napadło? Od kiedy napawała się takimi, takimi... próbowała znaleźć odpowiednie słowo, erotycznymi wyobrażeniami?

Trzęsącymi się rękami nalała z dzbanka wody do miski i zaczęła energicznie myć twarz, próbując przywołać się do porządku. Bicie serca stało się spokojniejsze. Usiadła na brzegu łóżka. Skąd brały się tak żywe sny?

Na pewno nie z czasów małżeństwa z Trumbullem. Caroline wręcz obawiała się tych nocy, kiedy mąż odwiedzał ją w sypialni. Kładł się wtedy obok niej i robił to, na co miał ochotę, bez okazywania jej jakiegokolwiek czułości. Nie marzyła o nim w ten sposób, w jaki wyobrażała sobie Jamesa Ferringtona. Namiętność wydawała się taka realna!

Gdyby wtedy w powozie nie pozwoliła mu się dotykać, zwłaszcza w tak intymne miejsca, nie trapiłyby ją te sny. Nawet teraz pamiętała smak jego pocałunków i dotyk szorstkiego od zarostu policzka na swojej skórze. Chociaż był silnym i umięśnionym mężczyzną, pieścił ją z wielką delikatnością, szczególnie kiedy wsunął rękę pod podwiązki, szukając jej najsekretniejszego miejsca...

Musi się trzymać od niego daleko. Ogarnęła ją bolesna tęsknota. Tak łatwo wczoraj poddała się jego pocałunkom.

Skoczyła na równe nogi. Jak może myśleć o nim w ten sposób? Przecież go nienawidzi. To arogancki, uparty i zarozumiały człowiek. Nikt jej jeszcze nie obraził tak jak on, kiedy zaproponował carte blanche.

No cóż, wreszcie się dowie, że ona nie ma zamiaru rzucać mu się w ramiona na każde kiwnięcie jego starannie wypielęgnowanych palców. Bez względu na jej marzenia!

Ubrała się z energią, której nie ujawniała przez ostatnich dziesięć lat. Im szybciej umówi się z prawnikiem, tym prędzej pozbędzie się kłopotliwego Jamesa Ferringtona ze swego życia. A tego pragnęła w tej chwili najbardziej!

Podniosła z podłogi poduszkę i posłała łóżko. Następnie zeszła na śniadanie. Minerva czekała już na nią w jadalni znajdującej się naprzeciwko salonu. Jasper usłyszał, jak Caroline schodzi na dół, i nalał jej filiżankę herbaty. Z wdzięcznością ją przyjęła.

- Cóż za błysk widzę w twoich oczach - zauważyła znad śniadania Minerva. - Czy dobrze spałaś?

Caroline zakrztusiła się herbatą. Od odpowiedzi uratowało ją pukanie. Jasper wyszedł właśnie do kuchni, więc wstała od stołu i poszła otworzyć. Przed drzwiami ujrzała piękną, młodą kobietę.

- Czy mnie poznajesz, Caroline?

- Elizabeth Leighton! - wykrzyknęła Caroline po chwili. Rzuciła się w objęcia przyjaciółki ze szkolnych lat. - Wejdz, proszę.

- Teraz Elizabeth Andrews - sprostowała młoda dama. - Nic się nie zmieniłaś.

- Ty również! Nie mogę uwierzyć, że po tylu latach przyszedł do mnie z wizytą. - Uszczęśliwione kobiety uściśniły się znowu. - Wejdz. Poznaj moją ciotkę Minervę. - Caroline zatrzasnęła drzwi i zaprowadziła Elizabeth do jadalni. - Zjesz z nami śniadanie?

- Nie mogę zostać długo. Wiem, że nie powinnam przychodzić tak wcześnie, ale mam dzisiaj do załatwienia mnóstwo spraw. Mam nadzieję, że mi wybaczysz tak wczesną wizytę.

- Wszystko ci wybaczam. Minerva, to jest Elizabeth Leighton, przyjaciółka, która uczyła się ze mną w szkole panny Agathy. Nazywa się teraz Elizabeth Andrews. Usiądź, moja droga, napij się z nami herbaty. Chyba że wolisz kawę?

Elizabeth usiadła, cały czas usprawiedliwiając się, że nie może zostać dłużej. Minerva stwierdziła, że nie ma już ochoty na herbatę. Obiecała Charlotte, że wpadnie do niej o dziesiątej.

- Tak wcześnie? - zdziwiła się Caroline. - Nie sądziłam, że baronowa wstaje przed jedenastą.

- Mamy teraz trochę zajęć. Przyśle po mnie powóz.



Jakby na potwierdzenie jej słów, rozległo się pukanie do drzwi. Tym razem otworzył je Jasper. Słychać było, jak rozmawia w holu ze stangretem baronowej. Minerva włożyła rękawiczki.

- Miło mi było poznać panią, lady Andrews. Mam nadzieję, że będziecie się dobrze bawiły. Wyszła z pokoju.

- A więc to jest ta zniesławiona Minerva Pearson - powiedziała Elizabeth ze zgrozą.

- Zupełnie inna, niż się tego spodziewałaś? Uwielbiam ją. Niebo mi ją zesłało po śmierci Trumbulla.

- Caroline, tak mi przykro, że nie zjawiłam się na pogrzebie. Byłam w tym czasie na wsi.

- Tak, wiem. Oczekiwałaś dziecka. Dostałam od ciebie wiadomość. Miałaś wystarczające usprawiedliwienie. - Caroline uśmiechnęła się. - Może trochę miodu do herbaty?

- Wszystko jedno. Nie mogę zostać długo. Chciałam ci tylko przekazać zaproszenie na bal, który dzisiaj wydaję. Wiem, że to trochę późno, ale obawiałam się, że jeśli nie zrobię tego osobiście, nie zechcesz przyjść. Dopiero wczoraj wieczorem dowiedziałam się, że jesteś w mieście. Nie wiem, dlaczego wydawało mi się, że mieszkasz po śmierci Trumbulla w jednym z jego majątków. Czy nie tam właśnie mieszkaliście cały czas?

- Prawie przez cały czas małżeństwa - odparła miękko Caroline. - Chociaż wolałam mieszkać w Londynie.

- Tak, wiem, że wolałaś miasto. Błagam, przyjdź na bal. To jedyna okazja, byśmy mogły porozmawiać. Pojutrze wyjadę na wieś. Nie wrócę przez kilka następnych miesięcy.

- Przez kilka miesięcy?

- Znowu jestem w ciąży. - Elizabeth zaczerwieniła się. - Douglas woli, żebym czas ciąży spędzała na wsi, ja również. Przecież nawet gdybym mieszkała w mieście, nie mogłabym nigdzie bywać.

- Znowu jesteś w ciąży? To cudownie, Lizzy. Ile masz już dzieci?

- Pięcioro. - Elizabeth uniosła żartobliwie oczy ku sufitowi. - Wszystkie są urocze, ale ciężę okropnie wpływają na moją figurę.

- Pięcioro dzieci i jedno w drodze. - Caroline nawet nie próbowała ukryć zazdrości. - Dziewczynki? Chłopcy?

- Cztery dziewczynki i jeden chłopiec. David, najstarszy, jest zupełnie rozpieszczony. To wykpany tata. Wszystkie jego siostry zażądały, bym teraz urodziła im braciszka. - Odłożyła łyżeczkę. - Czy

ty i Trumbull mieliście dzieci?

Caroline napiła się herbaty i odpowiedziała cicho: - Nie, Bóg nas nie pobłogosławił dziećmi.

Elizabeth położyła rękę na jej dłoni.

- Nie chciałam być wścibska.

- Uczciwie mówiąc, na początku byłam rozczarowana, ale potem jakoś się z tym pogodziłam.

Caroline potrząsnęła głową.

- Caroline, tak mi przykro. Nie powinnam ...

- Nie, nie przepraszaj - zaczęła. Nagle zdała sobie sprawę, że po policzkach płyną jej dwie wielkie łzy. - Nie mogę w to uwierzyć. Zazwyczaj nie płaczę, a tymczasem w ciągu kilku ostatnich dni zamieniłam się w fontannę. To pewnie z powodu moich trzydziestych urodzin. - Wysiliła się na nieco niepewny uśmiech i otarła łzy. - Skłamałam, Elizabeth - przyznała z brutalną szczerością. - Zazdroszczę ci. Ja też chciałabym mieć dzieci.

Przyjaciółka wstała z krzesła i pragnąc pocieszyć przyjaciółkę, objęła ją. Caroline pozwoliła na to. Jak dobrze było mieć znowu przy sobie kogoś z okresu młodości. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo w trakcie małżeństwa z Trumbullem oddaliła się od wszystkich. Najpierw na jego polecenie, potem - ponieważ nie miała sił, by się temu przeciwstawić.

- Zawsze chciałam mieć dzieci, ale kiedy odkryłam, że nie mogę...

- Och, kochanie. Nie przyszłam tutaj, by cię unieszczęśliwić.

- Ależ wprost przeciwnie, bardzo mnie ucieszyłaś swoją wizytą. - Caroline otarła łzy wierzchem dłoni.

Elizabeth również miała łzy w oczach.

- Właśnie to widzę. - Obydwie wybuchnęły śmiechem. - Proszę, kiedy wyjadę na wieś, przyjedź do mnie z wizytą. Może na wakacje. Nie ukrywaj się już więcej.

- Ależ ja się nie ukrywałam - skłamała.

- Nie... ? Byłaś w żałobie. Musiałaś bardzo kochać Trumbulla.

Caroline zmieszana się.

- Może już czas, by zrezygnować z żałoby - odparła wymijająco.

- W takim razie przyjdź do mnie wieczorem. Będzie wielu naszych wspólnych znajomych.

Pamiętasz Sarę Danieis?

Caroline kiwnęła głową.

- Jest teraz księżną.

- Naprawdę? Cicha, niepozorna Sara?

- Tak! Została księżną po drugim zamążpójściu.

Znów wybuchły gromkim śmiechem. Caroline zdała sobie sprawę, że śmiech dobrze jej robi.

Dotknęła ręki przyjaciółki.

- Chętnie przyjdę na twój bal.

- Cudownie. Twoja obecność uczyni tę noc zupełnie niezwykłą, jak w jednej z bajek. Tylko błagam, nie mów mi, że przyjdiesz w czerni. Sama przyznałaś, że masz ochotę pożegnać się z żałobą. A będą tam przecież tańce. Pamiętam, że zawsze uwielbiałaś tańczyć.

- Och, nie mogę. Nie tańczyłam od czasu wyjścia za mąż.

- Trumbull nie lubił tańczyć? Dziwne. Pamiętam, że tańczyłam z nim kilka razy.

Wtedy szukał żony, pomyślała cynicznie Caroline. Wiele rzeczy potrafił zrobić, by zadowolić narzeczoną, rzeczy, których nie robił potem dla żony. Od czasu ślubu nie miała sukni balowej, ponieważ Trumbull zdecydował, że to zbyt ekstrawagancki wydatek.

- Niestety nie mam się w co ubrać. Ale bardzo chcę przyjść.

- Nie możesz przyjść w żałobie. Będziesz musiała zasiąść wśród matron i zanudzisz się na śmierć. Może znajdę coś dla ciebie.

- Ależ nie mogę od ciebie pożyczyć sukni - zaprotestowała Caroline. Czula się zażenowana swym ubóstwem. Jaka szkoda, że Minerva jest od niej dużo niższa.

- Nie bądź śmieszna. Jestem pewna, że znajdę coś odpowiedniego dla ciebie. Z każdym dzieckiem coraz bardziej przybierałam na wadze, ale nie miałam serca pozbywać się starych sukien. Przejrzę garderobę, jeśli coś znajdę, przyślę ci przez służącą.

- Elizabeth, nie wiem, co powiedzieć ...

- Nie mów nic. Sprawi mi to przyjemność. Och, Caroline, kiedyś byliśmy bliskimi przyjaciółkami, byliśmy prawie jak siostry. Pamiętasz? Potrzebuję cię. Im bardziej się starzeję, tym bardziej czuję, że potrzebuję mieć przy sobie ludzi, którzy pamiętają mnie jako młodą, ładną dziewczynę.

- Ależ ty jesteś młoda i ładna.

- Tak uważasz?

- Oczywiście. Ale wiem, o czym mówisz. Tak dobrze jest z kimś się pośmiać. Tak mi brakowało śmiechu i przyjaźni. Bardzo za tym tęskniłam.

Elizabeth spojrzała na nią z zadumą.

- Wszystkie bardzo ci zazdrościłyśmy, gdy wychodziłaś za Trumbulla.

- Nie powinnyście.

- Tak, teraz to rozumiem. - Elizabeth zaczęła wkładać rękawiczki. - Douglas jest dla mnie bardzo dobry, darzymy się wzajemnym uczuciem. Gdyby było ono gwałtowniejsze, mielibyśmy dwa razy więcej dzieci, a nie wiem, czy mogłabym to znieść - powiedziała pogodnie.

- Czy to ci wystarcza? - spytała bez zastanowienia Caroline, przypomniawszy sobie salon pełen kwiatów i przytłaczającą obecność Jamesa Ferringtona.

- Oczywiście. Czego jeszcze miałabym pragnąć? Żarliwego pożądania? Gorącego romantyzmu? Nie sądzę, że potrafiłabym żyć w ciągłym napięciu. A ty?

- Nie - odparła szybko Caroline. - Zapewniam cię, że nie! Ale powiedz mi, czy uważasz, że gdzieś istnieje coś takiego jak miłość, nie romantyczna, ale taka, która trwa wiecznie?

- Oczywiście - odpowiedziała bez wahania Elizabeth, pochylając się nad stołem. - Ale zupełnie nie przypomina uczucia, o którym marzyłyśmy, będąc młodymi dziewczynami. Nie jest aż tak podniecająca. Jest spokojniejsza i rozczulająca. Kiedy widzę Douglasa, jak trzyma w ramionach nasze dziecko, wiem, że będę kochała go wiecznie. Ale są też takie chwile, kiedy wydaje mi się najbardziej upartym i denerwującym mężczyzną, bardzo mnie wtedy irytuje... ale sądzę, że kocham go nawet w takich chwilach. Mimo jego wad. - Uśmiechnęła się. - Wiesz, co kiedyś od niego usłyszałam?

Powiedział, że cieszy się, mogąc się starzeć razem ze mną. To brzmi raczej głupio, ale bardzo mnie tym wzruszył. Widzisz, prawda jest taka, że przy nim nie boję się starości. Może na tym właśnie polega miłość. Wiesz, że masz kogoś, kto zawsze będzie przy tobie, i chcesz, żeby tam był. - Nagle przypomniała sobie o upływającym czasie. - Muszę już iść - powiedziała, ruszając do drzwi. - Pamiętaj, obiecałaś przyjść.

- Oczywiście, że przyjdę. - Caroline odprowadziła przyjaciółkę do drzwi. - Nawet jeśli miałabym tylko siedzieć z matronami.

- Znajdę dla ciebie jakiś strój - obiecała Elizabeth. - Może powinnaś poprosić swojego kuzyna Jamesa, by przywiózł cię do mnie?

- Kuzyna Jamesa? - powtórzyła bezmyślnie Caroline. Nagle zatrzymała się, domyśliwszy się, że chodzi o Jamesa Ferringtona. Kłamstwo, którego dopuścił się Ferrington, zaczęło ją prześladować.

- To bardzo czarujący człowiek i taki przystojny. Masz wielkie szczęście, że jest w Londynie i może ci pomóc w razie kłopotów.

- W razie kłopotów! - Caroline niemal zadławiła się tymi słowami. Złapała Elizabeth za rękę. - Kto ci powiedział, że jesteśmy kuzynami? - Zdała sobie jednak sprawę, że pytanie to dziwnie zabrzmiało. - Chodzi o to, że nie rozpowiadamy o tym, zresztą nie widujemy się zbyt często. Nie utrzymujemy zbyt intensywnych kontaktów.

- Ależ, kochanie, nie chciałam cię zdenerwować. Powiedziała mi o tym lady Dirnhurst.

Uspokojona Caroline puściła rękę przyjaciółki.

- Przepraszam, że tak zareagowałam na twoje słowa. Zaskoczyłaś mnie. Niezbyt dużo osób wie o naszym pokrewieństwie.

- Obawiam się, że to się już zmieniło. - Elizabeth zmarszczyła czoło. - Lady Dirnhurst opowiedziała o tym wczoraj na kolacji u hrabiego Lavenhama. Było tam ponad dwadzieścia osób. Och, widzę, że jesteś tym zmartwiona. Nie przejmuj się... Jestem pewna, że nikt nie przywiązał wagi do tej informacji.

- Na pewno masz rację. - Caroline wysiliła się na słaby uśmiech.

- Na pewno. - Elizabeth cmoknęła przyjaciółkę w policzek i wybiegła do zgrabnego powoziku, stojącego przed domem. Po wieczornym deszczu niebo było teraz czyste i wiał lekki wietrzyk. Wymarzony dzień na przejażdżkę odkrytym powozem.

Caroline pomachała na pożegnanie, aż pojazd przyjaciółki skręcił za róg i zniknął jej z oczu. Nie wróciła od razu do domu, lecz stała jeszcze chwilę na progu. Ulica nadal była znajoma, ten sam widok, te same dźwięki, nawet te same zapachy, a jednak jakby coś się zmieniło. Jakby powietrze wypełniło się radosnym, pełnym oczekiwania podnieceniem. Czuła, że jest jej o wiele lżej na sercu niż przez ostatnie lata.

Wizyta Elizabeth to dobry znak. Nie miała zamiaru zamartwiać się, że lady Dirnhurst rozpowiada po całym Londynie, kto jest kuzynką Jamesa Ferringtona. Jak zauważyła Elizabeth, ta plotka nie miała żadnego znaczenia.

Wróciła do środka, by napisać list do prawnika, którego polecono jej rok temu, kiedy po raz kolejny poróżniła się z Pearsonami w sprawie aktu własności domu. Powinna już wtedy poświęcić trochę pieniędzy i załatwić tę sprawę, zamiast czekać bez końca. No cóż, nie ma zamiaru dłużej zwlekać.

Kiedy skończy list, odda go Jasperowi, by go doręczył, a sama przeszuka kufry i skrzynie na strychu, by znaleźć coś, co będzie się nadawało na bal u Elizabeth.

Ze świetnego punktu obserwacyjnego w zaułku w dole ulicy James patrzył, jak Caroline wchodzi do domu. Kiedy zamknęły się za nią drzwi, pospieszył za powozem lady Andrews. Kilka minut później natknął się na nią "przypadkowo".

- Dzień dobry, lady Andrews - powiedział, unosząc kapelusz.

- Panie Ferrington, co za niespodzianka! Będzie pan zadowolony, kiedy usłyszysz, skąd wracam.

- Nie mogę sobie tego wyobrazić - odparł uprzejmie, jadąc obok jej powozu.

- Oczywiście, od Caroline Pearson. Muszę jeszcze raz, panu podziękować. Powiedział mi pan o tym, że Caroline mieszka w Londynie. Znów mogę zaliczać ją do mych przyjaciółek.

- Miło mi, że mogłem pani pomóc.

Dopiero po chwili odważył się zadać pytanie, które cały czas go nurtowało.

- Czy zaprosiła ją pani na bal?  
- Tak. - Przechyliła głowę w zamyśleniu. - Po naszej wczorajszej rozmowie zastanawiałam się, czy Caroline nie ma panu za złe, że wygrał pan od Freddiego cały rodzinny majątek. James zobaczył, do czego doprowadziło jego kłamstwo.  
- Czy powiedziała dzisiaj coś takiego, co sugerowałoby, że ma do mnie żal? .  
- Kiedy zaproponowałam, żeby przyjechała razem z panem, nie podobał jej się ten pomysł. Nie była również szczęśliwa, że wiem o waszym pokrewieństwie.  
- Ale nie powiedziała jej pani, że to ode mnie ma jej adres?  
- Tak się umówiliśmy. Nic o tym nie wie. Domyślam się, że musiał pan zrobić coś, co się jej nie spodobało.  
- To prawda, nie była zachwycona, że Freddie przeze mnie stracił majątek - przyznał. - A Caroline to najbardziej niezależna kobieta, jaką kiedykolwiek spotkałem. Jednak musi wiedzieć, że ktoś powinien się zatroszczyć o jej dobrobyt. Mam zamiar się nią zaopiekować.  
- To się może okazać o wiele trudniejsze, niż się panu wydaje.  
- Ale udało się pani namówić ją, żeby przyszła na dzisiejszy bal? - spytał niespokojnie po chwili milczenia.  
- Tak. - Lady Andrews uśmiechnęła się. - Może nawet będzie mogła zatańczyć, jeśli znajdzie dla niej jakąś suknię, by nie musiała przychodzić w czerni.  
Caroline mogłaby zatańczyć? Wyobraził sobie, jak trzyma ją w ramionach i razem suną po sali balowej. Koń niemal stanął dęba, gdy odruchowo poruszył nogami.  
- Oczywiście muszę bardzo uważać. Nie chciałabym, by jakiś skandal zepsuł mój bal. Jak pan słyszał wczoraj wieczorem, miłość Caroline do jej ciotki może spowodować kłopoty.  
- Dlaczegoż to?  
- Pan nie docenia mojej kuzynki Very. Nienawidzi Minervy, a nienawiść ta może przenieść się na Caroline.  
- Dopilnuję, by nic złego jej nie spotkało.  
- Ja również, ja również. - Roześmiała się wesoło. - Dzisiejszy wieczór zapowiada się interesująco. Do widzenia, panie Ferrington. Mam jeszcze do załatwienia mnóstwo spraw. Zobaczymy się wieczorem.  
- Do widzenia pani - powiedział, uniósłszy kapelusz.  
Ściągnął lejce Trojana, spoglądając na odjeżdżający powóz. Zobaczy dzisiaj wieczorem Caroline. Serce zabiło mu mocniej. Promienie słoneczne świeciły jakby jaśniej, kolory stały się żywsze, a życie wspaniałe.  
Postara się, by Caroline wreszcie zdała sobie sprawę z tego, co ich łączy. Tak dalej już być nie może. Całą noc śnił o niej, obudził się podniecony i płonął z nie spełnienia.  
Tylko ona potrafiłaby ukoić dziką namiętność, która pulsowała w jego żyłach. Przekona ją do siebie i zdobędzie. Może już nawet dzisiaj. Jeśli zatańczy. Ale przecież nie zrobi tego ubrana na czarno.  
Wyciągnął zegarek i sprawdził, która godzina. Za piętnaście dziesiąta. Daniel na pewno czeka na niego, by popracować nad dokumentami przygotowywanymi na piątek.  
Miał jednak teraz coś ważniejszego do roboty. Musi się upewnić, że Caroline będzie miała co włożyć na bal. Im dłużej rozważał swój pomysł, tym bardziej się do niego zapalał. Nie znał się co prawda na sprawach damskiej mody, ale wiedział, w jakim kolorze będzie jej najlepiej. Wyobraził ją sobie w błękicie, żywym odcieniu szafirów i czystego jesiennego nieba. Kolor ten mógł najlepiej podkreślić rudy odcień jej włosów.  
Skierował konia ku pracowniom, ulokowanym wokół giełdy. Tam na pewno będą wiedzieli, gdzie mógłby kupić suknię na bal.  
Trzy godziny później był nadal w trakcie zakupów, zupełnie nie przejmując się oczekującym na niego Danielem. Tyle trzeba było rozważyć, wybierając damski kapelusz.  
Odwiedził trzy modystki, zanim wybrał aksamitny czepek w kolorze egipskiej lapis lazuli, ozdobiony strusimi piórami i wielką broszą z brylantem. Modystka zapewniła go, że to odpowiednie nakrycie głowy na bal. Podobało mu się. Cudownie będzie wyglądać na głowie Caroline.  
Idąc za radą specjalistki, dokupił rękawiczki, buty i wreszcie, obładowany pudłami, znalazł się w pracowni madame Bertrand, najlepszej krawcowej w Londynie. Modystka ostrzega go, że znalezienie gotowej sukni na bal będzie bardzo trudne. Kiedy więc znalazł się u madame Bertrand,

powiedział, że chce rozmawiać z samą właścicielką. Francuzka okazała się chudą, ale zgrabną kobietą o kasztanowych włosach i brwiach tak wydepilowanych, że nadawały jej wieczny wyraz lekceważenia. Wyłożył swoje żądania, wsuwając w rękę kilka banknotów.

- Ależ, monsieur - zaprotestowała. - To niemożliwe, by suknia była gotowa na dzisiaj wieczór.

- Potrzebuję jej o wiele wcześniej - powiedział, rozsądnie wsuwając jej do ręki kilka następnych banknotów. - Chcę ją mieć na czwartą.

- C' est impossible! - Rozszerzyła ze zdumienia oczy.

- Bzdura. Nie ma rzeczy niemożliwych. - Podał jej małą skórzaną sakiewkę, wypchaną monetami.

Madame Bertrand wzięła mieszek i zważyła go w rękę.

- Czasami cuda się zdarzają - powiedziała, mrucząc z zadowolenia.

- To prawda. A mnie potrzebny jest cud. I to w kolorze błękitnym.

- Bleu?

- Właśnie w tym odcieniu. - Wyciągnął z pudła zakupiony wcześniej czepek.

Zdziwiona kobieta uniosła brwi.

- Chce mi pan powiedzieć, monsieur, że kupił najpierw kapelusz i pragnie, bym dopasowała do niego suknię? I to wszystko ma być zrobione na czwartą?

- Tak - odparł po prostu.

- To będzie pana drogo kosztować - ostrzegła.

- Nie dbam o to.

Krawcowa ze znanstwem zmierzyła wzrokiem jego elegancki płaszcz i wspaniałe buty. Palce zacisnęła mocniej na sakiewce.

- Tiens! W takim razie dokonam cudu.

- Wierzyłem, że tak będzie - odrzekł ufny przede wszystkim we własne możliwości.

Madame zakręciła się energicznie i zaczęła wydawać polecenia swoim asystantkom. Wkrótce James siedział w przymierzalni i popijał wino, podczas gdy właścicielka przewracała do góry nogami pracownię, aby zrealizować jego zamówienie.

- Ma być dokładnie w kolorze kapelusza?

- Dokładnie.

- A rozmiar?

- Nie mam pojęcia.

Zacisnęła usta, tak jakby w myślach liczyła do dziesięciu, by się uspokoić.

- Czy mniej więcej taki? - spytała mimo to uprzejmie i popchnęła jedną ze szwaczek.

- Och, nie. Caroline jest wyższa i... szczuplejsza.

Madame za zasłoną i wróciła z następną dziewczyną. Potrząsnął głową.

- Za wysoka i ma za mało... - Nie zważając na trzymany kieliszek szampana, poruszył rękami, by zademonstrować pełne kształty Caroline.

- Szersza w biuście? I średniego wzrostu? - odczytała madame.

Skinął głową.

Francuzka znów zniknęła za zasłoną.

- Gdzie jest Suzanne? Potrzebna mi Suzanne.

Kilka minut później Suzanne, piękna szwaczka, została wepchnięta do pokoju.

- Jak ta, monsieur Ferrington?

- Tak. - Uśmiechnął się. - Właśnie. Ale nadal, za mało... jakby tu powiedzieć? Obfita w biuście?

- Rozumiem - odparła madame.

- I węższa w biodrach.

- Dobrze. - Madame wyszła i pokoju razem z pomocnicą.

Szczęśliwy James popijał wino. Jeszcze nie robił zakupów dla kobiety. Bardzo mu się to podobało.

- Pani Ferrington, tak myślałam, że to pański głos usłyszałam.

Zaskoczony odwrócił się i w drzwiach ujrzał lady Lavenham, ubraną w wieczorową suknię. W stał i lekko się uklonił.

- Pani?

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Pierwsza nie wytrzymała kobieta.

- Jestem zdziwiona, widząc pana u madame Bertrand.  
Omiotła spojrzeniem pudła piętrzące się obok na krześle.

- Nie wiedziałam, że lubi pan robić zakupy dla kobiet.

Nic nie odpowiedział. Mógł udać, że kupuje coś dla matki albo dla siostr, ale nagle odechciało mu się kłamać. Wolał nie mieszać w to Caroline. Wystarczy, że udawał jej kuzyna. Poza tym przestraszył się zachowania lady Lavenham. Stała wyprostowana, jej gniewne niebieskie oczy patrzyły na niego zimno.

- Nic pan nie mówi? Żadnych tłumaczeń? Wy, mężczyźni, zawsze macie jakieś kłamstwa do dyspozycji. Chciałabym usłyszeć, co ma pan do powiedzenia.

W tej samej chwili madame Bertrand wpadła do pokoju w otoczeniu Suzanne i innych szwaczek.

- Voila; monsieur Ferrington! Dokonałam cudu.

Lady Lavenham syknęła na intruzkę. Madame Bertrand zatrzymała się w miejscu.

- Czy przyszłam nie w porę?

- Nie - odparł James z niekłamaną ulgą.

Francuzka zobaczyła, jak dama z zaciekawieniem przygląda się przyniesionym sukniom.

- Może będzie lepiej, monsieur, jeśli wrócę za chwilę.

Kiwnęła na pomocnice, by ruszyły za nią, ale lady Lavenham zatrzymała ją.

- Nie, proszę nie wychodzić z mojego powodu. Przepraszam, że panu przeszkodziłam, panie Ferrington.

Przyglądając się jej ostrożnie, jakby miał do czynienia z kobłą, zmusił się do serdeczności.

- Ależ wcale mi pani nie przeszkodziła, madame.

Lady Lavenham uśmiechnęła się niemal miło.

- Zobaczymy się na balu u lordostwa Andrews?

- Mam zamiar tam przyjść.

- Dobrze. - Znów spojrzała na suknię. - Jestem pewna, że Lena nie będzie mogła się doczekać, żeby pana zobaczyć.

- Ja również - zapewnił uprzejmie.

- A zatem do wieczora - powiedziała, wychodząc z pokoju.

Zmarszczył brwi. Powinien potraktować ją z większą finezją, ale jej niespodziewane wejście zaskoczyło go zupełnie. Teraz będzie mogła posłużyć się tym spotkaniem jako wymówką, by odrzucić jego oświadczenia.

W zamyśleniu napił się wina. Przestał się tym już zupełnie przejmować. Co więcej, myśli, że stanie się wolny od zobowiązań, zaczęła mu się nawet podobać.

Jego zamyślenie przerwał głos krawcowej.

- Suknia była zamówiona przez księżnę Bedford, możemy dodać perełki, o tu, w tym miejscu.

- Przyłożyła sznur perełek do gorsu sukni. - Wtedy suknia nabierze wizytowego charakteru.

- Kolor jest idealny.

Madame zauważyła jeszcze, że trzeba wypruć rękawy i na ich miejsce wszyć nowe, z białej satyny, które teraz trzymała jedna z jej pomocnic. Przypinając je szpilkami, pokazała klientowi, jak wszystko będzie wyglądać. Wkrótce udało jej się przekonać go, że prostą suknię rzeczywiście można przemienić w strój balowy.

Caroline będzie wyglądała prześlicznie.

- Kiedy madame wyjdzie od pana Ferringtona, przyslij ją do mnie - zwróciła się do służącej lady Lavenham.

Wróciła do swej przymierzalni, kipiąc ze złości. Obserwowała Ferringtona, odkąd oświadczył się jej najmłodszej córce. Według informacji nie miał kochanki. Teraz wyglądało na to, że jednak się myliła. Żaden mężczyzna nie spędziłby tyle czasu na wybieraniu sukni dla własnej matki. Zupełnie nie zdziwiła jej ta nowina. Lavenham utrzymywał kochankę od lat.

Znów owładnęło ją jakże znane, gorzkie uczucie. Nie poślubiłaby Lavenhama, gdyby jedyny mężczyzna, którego kochała nad życie, nie zginął. Nadal bolała nad śmiercią Roberta, ból był ciągle żywy i świeży, jakby to zdarzyło się wczoraj, a nie trzydzieści lat temu. W oczach stanęły jej łzy. Ręce

zaczęły się trząść. Usiadła na wymoszczonym poduszkami krześle. Smutek nie opuszczał jej nigdy. Wzmagął się zwłaszcza wtedy, gdy ogarniały ją bolesne wspomnienia.

Przez te wszystkie lata pozwalała jej przetrwać świadomość, że kobieta winna śmierci Roberta, Minerva Pearson, cierpi za swój czyn. Ale czy naprawdę zapłaciła wystarczająco za to, co zrobiła? Wróciła do Londynu, wyglądając na młodszą i szczęśliwszą niż inne kobiety w jej wieku.

Pragnienie zemsty zajęło w sercu Very miejsce bólu i dodało jej sił. Nadejdzie dzień, gdy zniszczy Minervę Pearson.

Rozległo się ciche stukanie do drzwi. Głos wchodzącej do pokoju madame Bertrand rozproszył czarne myśli.

- Przepraszam, że musiała pani czekać. Chciała się pani ze mną widzieć?

Uśmiech lady Lavenham mógłby zmrozić wino.

- Dla kogo pan Ferrington zamówił suknię?

- Przykro mi, proszę pani, ale nie mogę tego powiedzieć.

- Madame uniosła głowę.

Lady Lavenham skierowała do niej rękę, w której spoczywało kilka banknotów.

- Chcę to wiedzieć. Koniecznie.

Madame uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- Oczywiście, proszę pani, powiem wszystko, co wiem.

Zabrała pieniądze, by po chwili przyznać się, że właściwie nie wie nic.

Lady Lavenham miała ochotę przyłożyć jej pięścią. Madame Bertrand wyczuwszy to, pospiesznie wyznała, że pan Ferrington kazał przesłać suknię i dodatki pod pewien adres, a umyślny miał przekazać, że to przesyłka od lady Andrews. Nie, do paczki nie załączono żadnego liściku.

- A to ciekawe! - odezwała się do siebie lady Lavenham.

- Czy powiedział, po co mu ta suknia?

Madame zmrużyła oczy i wzruszyła ramionami

- To wszystko? - spytała z niedowierzaniem lady Lavenham. - Radzę pani ze mną współpracować, albo hrabina Bedford dowie się, że zamówiona przez nią suknia dostała się innej kobiecie. Jaką wymówkę znajdzie pani, by usprawiedliwić, że suknia jeszcze nie jest gotowa? Zachorowała szwaczka? Materiał nie nadszedł?

Zachowanie madame Bertrand zmieniło się diametralnie.

- Ta suknia ma być gotowa na dzisiejszy bal. Mam tylko adres, pod który trzeba dostarczyć ubranie.

Dzisiejszy bal? Wszystko pasowało. Tylko jeden bal miał się odbyć tego wieczoru. U lorda Andrews. Pytanie brzmiało, dlaczego James Ferrington chciał wysłać suknię w imieniu Elizabeth Andrews.

- Proszę mi dać ten adres - zażądała. - Ogarnęła mnie nagła ochota na przejażdżkę.

- Nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie wrócić - zwróciła się Caroline do Minery i Charlotte, stając przed swoją sypialnią.

- Przecież dopiero po czwartej... - zaczęła Minerva. Urwała jednak, spojrzawszy na młodą kobietę. - Caroline, nie jesteś ubrana na czarno?

- Czy nie sądzisz, że już najwyższy czas? - Roześmiała się z zadowoleniem, widząc zaskoczoną minę ciotki. Prawdę powiedziawszy, sama ledwo się poznała, kiedy przymierzyła suknię przysланą przez Elizabeth. Tanecznym krokiem wróciła do pokoju. Minerva i baronowa weszły za nią do środka.

Caroline stanęła przed lustrem i krytycznie spojrzała na swoje odbicie.

- Co o niej sądzicie? Podoba się wam?

- Jeszcze nie widziałam cię w innym kolorze niż czerń. - Minerva nie mogła uwierzyć w tę zmianę.

- Wyglądasz w niej okropnie blade. Poza tym ten fason modny był jakieś siedem lat temu, a koronkowy tren jest zupełnie bez sensu. - Bezceremonialnie wypowiedziała swoją opinię baronowa.

- Charlotte - przywołała ją do porządku zdenerwowana Minerva.

- Przecież chciała wiedzieć, co o tym sądzę. - Baronowa spojrzała zdziwiona na niezadowoloną przyjaciółkę.

-Ale czy musisz być w tym aż tak francuska?

Baronowa otworzyła usta, by jej odpowiedzieć, gdy stanęła między nimi Caroline.

- Charlotte ma rację - powiedziała do ciotki. - Mam jednak do wyboru tylko czarną suknię. Nie mam nic więcej. Nawet szarego albo lawendowego. Przeszukałam kufry na strychu. Nie znalazłam nic, co by się nadawało na bal.

- A gdzie idziesz?

- Do Elizabeth Andrews, mojej szkolnej koleżanki, poznałaś ją rano. Zaprosiła mnie na bal, który odbędzie się już dzisiaj. Ach, prawie zapomniałam, czy możesz mi towarzyszyć?

- Och, nie. Tak mi przykro - powiedziała strapiona Minerva. - Mam inne plany.

- To niedobrze. - Przez chwilę Caroline rozważała, czy w takim razie w ogóle pójdzie.

- Ależ musisz iść - powiedziała, jakby czytając w jej myślach, ciotka. - Już czas, byś zrezygnowała z żałoby. Najwyższy czas.

- Oczywiście, że powinna pójść - zgodziła się Charlotte.

- Co może ją powstrzymać?

- Potrzebna jej przyzwoitka.

- Przyzwoitka? - powtórzyła baronowa, jakby pierwszy raz o czymś takim słyszała. - Caroline jest dorosłą kobietą, a nie dzieckiem.

- Charlotte, w Anglii żadna dama nie wychodzi w nocy bez opieki - wyjaśniła Minerva. - Po tylu latach pobytu tutaj powinno to do ciebie wreszcie dotrzeć.

- Co mi z waszych głupich angielskich zwyczajów? - Przez chwilę przyglądała się Caroline w zamyśleniu. - Czy może to być po prostu pokojówka?

- Może, jeśli jest w pewnym wieku i wygląda nobliwie.

- Czy odpowiada wam moja Mirabelle? Jest prawie w moim wieku i ma cnotliwy wygląd. Czasami aż za bardzo! Nigdy nie zawaha się, żeby mi dać do zrozumienia, gdy nie pochwała mojego zachowania.

- Będzie idealna. - Minerva klasnęła w dłoń. - Dzięki, Charlotte.

- Tak, dzięki - powtórzyła Caroline, głęboko wzruszona wspaniałomyślnością baronowej. Po raz pierwszy zrozumiała, o czym poprzedniego dnia mówiła Minerva. Baronowa, Violetta Mills i lady Mary były dla niej jak matki chrzestne. Ta myśl napełniła ją poczuciem bezpieczeństwa, którego nie zaznała od dnia swego nieszczęsnego ślubu. Niewiele myśląc, pocałowała baronową w policzek.

- Jestem szczęśliwa, że mogę ci pomóc, ma petite. - Spojrzenie kobiety złagodniało.

Caroline znów zerknęła na odbicie w lustrze.

- Lizzie pożyczyła mi tę suknię. Miała inne, ale pozbyła się ich kilka miesięcy temu. Została jej jedynie ta. - Skrzywiła się do lustra. - Jeśli jej nie włożę, będę musiała iść ubrana na czarno. Wolalabym zrezygnować, zamiast przesiedzieć cały wieczór z matronami. - Podniosła fałdy sukni.

Baronowa miała rację. Suknia już dawno miała za sobą swoje dobre dni, a koronka, którą obszyto stanik, była za ciasna.

- Zrezygnować! - wykrzyknęła baronowa. - Musisz iść. Nie mogę powiedzieć, ile czasu czekałam, byś wreszcie zaniechała tej bezsensownej żałoby. Może ja znajdę coś odpowiedniego.

Minerva i Caroline spojrzały jednocześnie na jej suknię z jaskrawego aksamitu, obszytą wiśniową satynową taśmą.

- To bardzo miło z twojej strony, moja droga Charlotte, ale twój gust jest nieco za ekstrawagancki jak na bal w Anglii.

- Tak? A co w nim jest nie w porządku? Dzięki takiej sukni zauważą ją wszyscy i będą podziwiać jej urodę. - Końcem palca podniosła podbródek młodej kobiety. - Wszyscy mężczyźni będą chcieli z tobą tańczyć, a kobiety zje zazdrość.

- No tak, pamiętaj jednak, że to pierwsze wyjście Caroline od lat. Może nie chciałaby ubrać się tak... śmiało. - Minerva próbowała znaleźć odpowiednie słowo.

- Ach, wy Anglicy. - Baronowa uniosła oczy ku sufitowi. - Masz rację. Caroline nie może wyglądać zbyt światowo. - Spojrzała na suknię. - Zobaczmy więc, co da się zrobić.

Minerva usiadła na krzeselku stojącym obok łóżka Caroline i potarła palce.

- Popatrz, moja droga, znów zaczynasz bywać. A to dopiero. To już drugi raz w ciągu trzech dni. Przez ostatnich sześć lat nie spędziłaś poza domem dwóch wieczorów.

- A więc najwyższy czas, by wreszcie zaczęła się udzielać. - Baronowa zarzuciła tren sukni na głowę Caroline, by



zobaczyć, jak skrojono stanik.

- To prawda - zgodziła się Minerva.

Caroline odrzuciła tren z powrotem i zdmuchnęła loczek, który wymknął się jej z koka.

- Mówicie tak, jakbym była pustelnicą. Przecież wychodzę z domu, robię różne rzeczy.

- O tak, kochanie. Chodzisz do wypożyczalni książek i na pensję.

- Albo do kościoła - przypomniawszy baronowa. - Równie dobrze mogłabyś wyjść za tego księdza, skoro tyle czasu tam spędzasz.

- On jest pastorem - wyjaśniła Caroline. - Nie księdzem.

- Quelle difference? Jest nieżonaty i bardzo pobożny.

Minerva ciągnęła, jakby nie słysząc jej słów:

- Mam pięćdziesiąt trzy lata, a moje życie jest o wiele bardziej ekscytujące niż twoje, Caroline. Ale od kiedy poznałaś pana Ferringtona...

- Proszę, nie wspominaj jego nazwiska w mojej obecności. - Caroline przerwała jej, gniewnie wymachując palcem.

Baronowa obróciła ją twarzą do lustra. Caroline zauważyła, że kobiety wymieniają między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

- Jakiego nazwiska? - spytała niewinnie baronowa.

- Dobrze wiecie, jakiego. To rozpustnik i łajdak, ale poczekajcie tylko. Jeszcze z nim nie skończyłam. Już on się dowie, że nie może lekceważyć kobiety tylko dlatego, że mieszka sama.

Usłyszały pukanie do drzwi. Gdy baronowa otworzyła je, do pokoju wszedł Jasper, uginający się pod stosem pakunków w czerwono-białe paski. W ręku trzymał list.

- Paczki i list przysły do pani, madame. Poślaniec powiedział, że paczki są od pani Andrews. A ten list został dostarczony przez gońca od pana Ashwortha.

Było to nazwisko prawnika, do którego zwróciła się rano. Caroline dała znać Jasperowi, by odstawił pudełka na łóżko, i wzięła list. Kiedy służący wyszedł, złamała pieczęć i zaczęła czytać.

- Czy coś nie tak? - Minerva zerwała się z krzesła.

Caroline skrzywiła się, jakby połknęła coś gorzkiego.

- Pan Ashworth nie może się ze mną zobaczyć wcześniej niż w przyszłym tygodniu. - Westchnęła głęboko, by się uspokoić. - Napisałam, że to bardzo pilne. - Podeszła do okna, zgmiotła list i rzuciła go na podłogę. - Mogę się założyć, że gdyby to James Ferrington poprosił o spotkanie, pan Ashworth pospieszyłby do niego w ukłonach. Podczas gdy ja, wdowa... - Gniew przeszkodził jej dokończyć słowa.

- Caroline, nie trać nadziei. - Minerva podeszła do niej. - Jest wiele sposobów, by odzyskać dom.

- O, tak - odparła gorzko Caroline. - Jestem pewna, że gdybym tylko przyjęła carte blanche od pana Ferringtona, w okamgnieniu dostałabym z powrotem akt własności.

- Gdybyś została jego kochanką, chérie, dostałabyś o wiele więcej niż jeden skromny domek - powiedziała szybko baronowa.

- Charlotte! - zawołała Minerva. Baronowa wzruszyła ramionami.

- Już mnie potępiłaś, że jestem za bardzo praktyczna. Czy pantera może się pozbyć swych cętek? Mężczyźni zawsze byli dla mnie hojni.

- Ale to nie znaczy, że Caroline musi iść naszymi śladami.

- Oui - zabrzmiała wymijająca odpowiedź.

Caroline zdenerwowała się tą wymianą zdań, tym bardziej że czuła, jakby ją kuszono. Mogła pójść prostą drogą, ale dobrze wiedziała, ile razy w ciągu dnia wraca myślami do Jamesa Ferringtona i do - niebios ratujcie! - pocałunków w powozie.

Jakby chcąc zaprzeczyć uczuciom, zaczęła deptać list. Niech piekło pochłonie tego Ferringtona, razem z jej rozszalałymi zmysłami. Spojrzała na obie kobiety i podniosła zdecydowanie podbródek.

- Nie poddam się. Nawet jeśli miałoby mi to zabrać tydzień, miesiąc, rok. Wygram.

Minerva wzięła ją za rękę.

- Charlotte i ja zrobimy wszystko, by ci pomóc. Obiecuję ci to. Nie będziesz musiała czekać aż tydzień.

- Niestety muszę, skoro jestem zdana na pomoc pana Ashwortha.

Minerva wyglądała, jakby miała coś powiedzieć, ale baronowa szturchnęła ją łokciem. Zamknęła szybko usta. Przez chwilę obie kobiety patrzyły na siebie w niemym porozumieniu. Zdrowy rozsądek ostrzegł Caroline, że coś jest nie w porządku.

- Czy coś się stało?

- Stało, wielkie nieba, oczywiście, że nie. - Minerva uniosła brwi w udanym zaskoczeniu. Zwróciła się do baronowej. - Charlotte?

- Rien. Nic, o czym bym nie wiedziała - powiedziała Francuzka, wzruszając ramionami. - Jestem za to niezmiernie ciekawa, jaką suknię przysłała tym razem lady Andrews. Mam nadzieję, że kolor będzie odpowiedniejszy.

- Dobrze, że była tak miła, że w ogóle mi ją pożyczyła - wymruczała Caroline nadal zaintrygowana dziwną obietnicą Minervy.

- Ale lepiej byłoby, gdyby okazała się nieco bardziej na czasie. - Nie czekając na zaproszenie, baronowa otworzyła pudło. Okrzyk radości przerwał rozmyślenia Caroline na temat zachowania ciotki. - C'est magnifique! - Wyciągnęła ze środka błękitny czepek ozdobiony pięknym białym piórem, przypiętym za pomocą broszy z brylantem. - Chyba prawdziwy? - spytała, patrząc na klejnot.

- Za duży jak na prawdziwy - oceniła Caroline. Baronowa spojrzała na nią z wyższością.

- Cherie, nic nie jest zbyt duże, by było prawdziwe.

- Podniosła broszkę do światła. Popołudniowe słońce rozbłysło w niej silnym blaskiem. - Ten kamień jest śliczny i prawdziwy.

- Daj obejrzeć. - Minerva wzięła czepek z rąk przyjaciółki. Dotknęła aksamitnej powierzchni materii. - Jest piękny. Kolor jest wspaniały. Przymierz go.

- O, nie. Nie mogę.

- Dlaczego? - spytała baronowa. - Przecież ci przysłano, byś to nałożyła: - Nie czekając na odpowiedź, rozwiązała wstążki na pudle z suknią i podniósłszy wieko, znowu wydała z siebie okrzyk zachwyty.

Minerva rzuciła nakrycie głowy na łóżko i sięgnęła po suknię. Była uszyta z tak delikatnego jedwabiu, że fałdy spódnicy spływały na dół jak kaskada wodna. Małymi perełkami obszyto dekolot w kształcie litery V i pasek wysoko uniesionej talii. Powoli, jak we śnie, Caroline dotknęła bufiastych rękawów. Materiał wyglądał świeżo i czysto, jakby był nowy.

- Jest piękna.

- Przymierz. - Minerva przerwała milczenie.

- Nie mogę.

- A właśnie, że możesz. - Ciotka przyłożyła do niej suknię. - Spójrz w lustro. Wyglądasz cudownie.

Caroline odważyła się spojrzeć i zabrakło jej tchu w piersiach. Nigdy nie miała równie eleganckiego stroju. Baronowa uniosła tren sukni, którą Caroline miała na sobie. Zanim zorientowała się, co się dzieje, Charlotte zdjęła z niej suknię, a Minerva przerzuciła jej przez głowę błękitny jedwab. Suknia z cichym szelestem opadła na dół.

- Wyglądasz jak księżniczka - wyszeptła baronowa, wkładając jej na głowę aksamitny czepek. - Jedna spinka tutaj oraz jedna tutaj, i gotowe.

- Suknia leży prawie idealnie.

Caroline niemal z czcią dotknęła perełek przyszytych do sukni. Przypomniały się jej perły, które chciał jej podarować James Ferrington. Pasowałyby idealnie. Uświadamiając sobie jednak, o czym myśli, z wysiłkiem wyrzuciła go ze swych wspomnień.

Dotknęła materiału u góry sukni.

- Leży idealnie, tylko jest trochę za szeroka.

- Kilka zaszewek i będzie dobrze. - Baronowa machnęła lekceważąco ręką.

- Znalazłam je na dnie pudełka z kapeluszem. - Minerva wyciągnęła parę długich kremowych rękawiczek. - Zobacz, czy są dobre.

- Jeśli znajdziesz nitkę i igłę, cherie, zajmę się tą przeróbką.

- Naprawdę? - Caroline wsunęła na ręce luksusowe rękawiczki.

- Oczywiście. Pracowałam jako szwaczka, zanim baron zabrał mnie do siebie. - Oczy kobiety rozjaśniły się na samo wspomnienie. - Chodź. Mamy dużo roboty i mało czasu.

- Poszukam nitki i powiem Jasperowi, by zaczął ci grzać wodę na kąpiel. - Minerva ruszyła ochoczo do drzwi.

- Bon, dzisiaj pojedziesz moim powozem.  
Minerva przystanąła.

- Twoim powozem, Charlotte? Ale myślałam, że Pierre... - Zamilkła, spoglądając z miną winowajcy na Caroline.

- Mam przecież kilku stangretów. Pierre będzie z nami. Pojedziemy powozem Mary albo wynajmiemy jakąś dorożkę. Damy sobie radę.

- Macie zamiar jeździć wynajętym powozem? Po co?

- To taka zabawa - odparła gładko baronowa. - Nie martw się o nas. Myśl tylko o tym, jak cudownie będziesz wyglądała, kiedy pojawisz się w sali balowej. Musisz pojechać późno i zrobić grande entree. Mężczyźni padną ci do stóp. Będą walczyć o twoje względy. Może nawet staniesz się powodem jakiegoś pojedynku. - Uśmiechnęła się. - Szkoda, że pan Ferrington nie będzie tego widział.

Słowa Charlotte znów zaniepokoiły Caroline, niepewną, co zamierzają obie starsze panie.

- Ależ on tam będzie. Co gorsza, Elizabeth myśli, że jesteśmy kuzynami. Zaproponowała nawet, by mnie do niej zawiózł.

- Kuzynami! - krzyknęła Minerva. - Dlaczego miałyby tak myśleć?

Caroline jęknęła z rozpaczą.

- Ponieważ on tak powiedział. Och, Minervo, odkąd spotkałam tego człowieka, moje życie stało się pasmem kłopotów. Nie daje mi to zupełnie spokoju.

Ale baronowa w ogóle nie słuchała. Caroline ujrzała w lustrze, jak znów szturcha Minervę łokciem.

- Będzie na balu - powiedziała cicho. - A więc wybiera się tam.

Minerva uniosła porozumiewawczo brew, a potem obydwie wybuchnęły śmiechem.

- Co w tym takiego śmiesznego?

- O, to taki prywatny żart. Nie musisz sobie nim zawracać głowy.

- Minerva ma rację, zupełnie sobie tym nie zawracaj głowy. - Rozradowana baronowa odwróciła młodą kobietę do lustra. Błękitny jedwab zafalował wraz z jej ruchem. - Myśl tylko o tej nocy i pamiętaj... na balu może zdarzyć się wszystko. Nawet cud.

Przyglądając się swemu odbiciu Caroline poczuła, jak ogarnia ją radosne uniesienie. Tak, dzisiaj zapomni o swych troskach i będzie udawała, że baronowa ma rację.

Wszystko może się zdarzyć.

# 13

Lady Lavenham zaskoczyła Elizabeth Andrews, przybywając na bal jako pierwsza. Towarzyszący jej mąż i córka gorzko narzekali, że zmusiła ich do przyścia o tak nieprzyzwoicie wczesnej porze. Vera zignorowała ich zupełnie. Przed sobą miała zadanie specjalne, a mianowicie odnaleźć kobietę ubraną w błękitną suknię od madame Bertrand.

Po południu pojechała pod adres wskazany przez krawcową, ale nie dowiedziała się niczego na temat mieszkających tam osób. Dom położony był w niezbyt ciekawej, dość porządnej okolicy, ale nie wyglądał jak typowe gniazdko kochanków.

Po powrocie do domu zobaczyła się z mężem i poinformowała go, że ma spore wątpliwości co do związku Leny z panem Ferringtonem. Odpowiedział jej, że dał temu dżentelmenowi słowo honoru. Powtórzyła, że pragnie dla córki kogoś z tytułem. Na co oświadczył jej, że są na skraju bankructwa. Przyznał, że stracił majątek w wyniku złych inwestycji.

Odparła, że jego obawy są na pewno bezpodstawne. Przecież po śmierci jej ojca odziedziczyli cały majątek. Co więcej, jakie znaczenie mają pieniądze, jeśli nie towarzyszą im tytuły? Słyszając ten argument, wściekł się tak, że wybiegł z jej pokoju i przez cały dzień nie zamienił z nią nawet dwóch słów.

Nie obeszło jej to wcale. Mąż może jej nie kochać, ale to tylko słaby człowiek. Zrobi, co mu się każe, albo już ona postara się zamienić jego życie w piekło.

Lena z radością przyjęła oświadczenie matki. Po raz pierwszy od sześciu miesięcy, odkąd oznajmiła, że jest zakochana w najmłodszym synu księcia Allvery, matka spędziła z nią przyjemne pół godziny bez łez i wzajemnych oskarżeń.

Kiedy przyznała się, że jest zakochana, ojciec tylko przyspieszył swoją decyzję wydania jej za mąż. Rodziny Lavenhamów i Allverych dzieliła kilkusetletnia waśń i hrabia gotów był raczej wbić sobie nóż w serce niż pozwolić córce poślubić jednego z wrogów. Very ta waśń zupełnie nie obchodziła. Bardziej zmartwił ją fakt, że najmłodszy syn księcia ma przed sobą marne widoki na przyszłość, skoro jest zmuszony na siebie zarabiać. Służył jako zwykły kapitan straży.

Poruszenie przy drzwiach oderwało ją od rozmyślań. Przybywali kolejni goście. Noc była przyjemna, więc Elizabeth postanowiła oczekiwać gości w holu. Wchodzący do środka witali się z gospodarzami wieczoru i dwiema zamieszkałymi z nimi ciotkami, a potem udawali się na drugie piętro do sali balowej.

Vera ustawiła się u szczytu schodów, skąd miała świetny widok na każdego pojawiającego się gościa. Szukała obszywanej perełkami ciemnobłękitnej sukni z bufiastymi rękawami. Albo Jamesa Ferringtona, ponieważ intuicja podpowiadała jej, że może przybyć w towarzystwie kobiety, która będzie tak ubrana.

Kilka osób spośród gości, mijając ją w drodze do sali balowej, popatrzyło na nią z ciekawością. Tym, których znała, kiwała głową. Innych ignorowała całkowicie. Słyszała, jak na sali balowej muzycy zaczynają stroić instrumenty. Setki płonących świec sprawiało, że w wielkim pomieszczeniu było jasno jak za dnia. Śmiech mieszał się z rozmowami. Na bal przybyło mnóstwo osób. Zjawił się każdy, kto liczył się w towarzystwie... ale Verę interesowała tylko jedna kobieta.

Wreszcie gospodarze odeszli z miejsca, gdzie przyjmowali gości, i lady Andrews ruszyła na górę, by dołączyć do reszty towarzystwa. Przy drzwiach została jedynie służba, która miała witać spóźnionych gości. Stłumiwszy ziewanie, Vera nadal trwała na swym posterunku.

Pojawiła się spora grupa spóźnialskich. Muzycy zaczęli przygrywać do pierwszego tańca. Kilku młodych oficerów w czerwono-złoto-białych mundurach przeszło po schodach, zabrzęcały wiszące u ich boków szable.

Vera odeszła wreszcie od drzwi i zmierzyła wzrokiem tłum, by odnaleźć córkę. Tak jak myślała, Lena dostrzegła młodych oficerów i wkrótce stała otoczona ich wianuszkami. Jej oczy błyszczały, a policzki zarumieniły się. Szczęście malujące się na jej twarzy tylko podtrzymało decyzję Very, dotyczącą małżeństwa z Ferringtonem. Jej starsze dzieci powychodziły świetnie za mąż i pożeniły się. Nie będzie trudno znaleźć dla Leny kogoś utytułowanego. Przecież nosiła szanowane nazwisko i była młodą, zdrową dziewczyną.

- Dobry wieczór, lady Lavenham.

Odwróciła się zaskoczona i ujrzała Jamesa Ferringtona. Nie zauważyła, jak wchodził.

- Witam, panie Ferrington. - Jej głos był rozmyślnie zimny. Odwróciła wzrok.

James bynajmniej nie był obrażony tym wyraźnym zlekceważeniem jego osoby. Co więcej, poczuł się nawet zadowolony, żeby nie powiedzieć szczęśliwy. Widocznie ich krótka rozmowa w pracowni madame Bertrand przyniosła efekty, jakich się spodziewał. Już nie mógł się doczekać, kiedy Lavenham powiadomi go, że odmawia mu ręki córki.

Przeszedł obok wyniosłej matrony i zaczął się rozglądać. Zobaczył Lenę w otoczeniu młodych oficerów, ale Caroline nie mógł dojrzeć.

Kilka minut później natknął się na zaniepokojonego Lavenhama.

- Ferrington, muszę z tobą porozmawiać.

- Oczywiście, milordzie. Może znajdziemy jakiś pusty pokój na dole.

- Nie, nie tutaj. Nie mogę o tym mówić na balu. Wpadnij do mnie jutro. Powiedzmy o czwartej.

- Dobrze, przyjdę.

- Świetnie. - Lavenham odwrócił się na pięcie, jakby się obawiał, że James będzie chciał z nim o czymś jeszcze porozmawiać.

Ten tymczasem domyślił się, że hrabia chce mu powiedzieć, że nie przyjmie jego oświadczeń. Nie miał więc żadnych zobowiązań wobec Leny.

Pragnął zatańczyć ze szczęścia.

- Panie Ferrington!

Odwrócił się słysząc głos lady Andrews. Pochylił się nad jej dłonią.

- Bal wydany przez panią jest bardzo udany, madame. Zdaje się, że cały Londyn tu przybył.

- Z wyjątkiem pańskiej kuzynki. Gdzie ona jest? Przyznam, że zaproponowałam jej, by przyjechała razem z panem.

- Jest bardzo niezależna - odparł zgodnie z prawdą.

Minęła ich lady Lavenham.

- Dobrze się bawisz, Vero? - zwróciła się do niej gospodyni. - Widziałam, że przez dłuższy czas czekałaś na kogoś.

- Tak, ale już mnie to znudziło. Idę teraz pograć w karty.

- Daj mi znać, jeśli będę mogła coś dla ciebie zrobić. - Lady Andrews z wysiłkiem starała się zachowywać wobec kuzynki jak wzorowa gospodyni.

Lady Lavenham kiwnęła głową, spojrzała ponad Jamesem i odeszła do stolików z kartami.

Lady Andrews skrzywiła się.

- Przepraszam, panie Ferrington. Nieuprzejme zachowanie Very stało się już przysłowiowe. Przykro mi tylko, że spotyka ono pana pod moim dachem.

- Proszę się tym nie przejmować. Lady Lavenham nigdy nie była dla mnie zbyt miła.

- Cóż, popełnia błąd. Byłby pan wspaniałym mężem dla jej córki.

- Być może. - Nie miał ochoty rozwijać tego tematu.

Będąc dżentelmenem, nie mógł oświadczyć, że jego małżeńska propozycja nie została przyjęta, dopóki hrabia sam tego nie ogłosi. Nie mógł również się przyznać, z jaką radością oczekuje tej chwili.

- Mam nadzieję, że nic się nie stało i Caroline nadal ma zamiar do nas dołączyć - powiedziała lady Andrews, próbując jakoś przerwać jego milczenie. - Czy ma pan ochotę napić się wina? - Kiwnęła na służącego niosącego tacę z trunkami.

James wziął podany kieliszek.

- Dziękuję.

- Och, widzę moją przyjaciółkę Sarę. Pozwoli pan, że go opuszczę. A może zechce pan, bym go przedstawiła?

- Może później.

Lady Andrews odeszła, zostawiając gościa pogrążonego w myślach. W oczekiwaniu przemierzył całą salę. W końcu stanął z boku i zaczął przyglądać się tańczącym. Czuł się zawiedziony. Caroline powinna już dawno przyjść. Może jednak się nie zjawi.

Kątem oka dostrzegł lorda Dirnhursta, machającego ręką, by przyłączył się do grupy mężczyzn pogrążonych w gorącej dyskusji. Odstawił nie napoczęte wino na tacę, którą niósł służący, i ruszył w kierunku panów, ale nagle stanął w miejscu.

Przyszła! Nie widział jej jeszcze, ale wyczuł już jej obecność. Powoli odwrócił się do wejścia. Dostrzegł ją stojącą w drzwiach.

Ubrana była w suknię, którą jej kupił.

Wielki Boże, wyglądała prześlicznie! Błękitny jedwab cudownie współgrał z kolorem jej włosów i szarych oczu. Brosza z brylantem połyskiwała w blasku świec, a pióro zdobiące czepek falowało wdzięcznie wraz z jej ruchami. Suknia pasowała idealnie, tak jak to sobie wyobraził. Była najpiękniejszą kobietą na balu.

Jeszcze nie widział takiego blasku w jej pełnych podniecenia i oczekiwania oczach. Policzki miała zaróżowione i cała promieniowała energią.

Lady Andrews ruszyła z otwartymi ramionami, by ją powitać. Kobieta, której wcześniej nie widział, powiedziała coś do Caroline i poszła w kąt sali, by zasiąść między innymi przyzwoitkami, Lady Andrews powitała przyjaciółkę i poprowadziła ją przez salę. Głowy odwracały się w ich kierunku. Uświadomił sobie, że większość mężczyzn na sali widzi Caroline po raz pierwszy w życiu. Nagle atmosfera ożywiła się, wyczuwało się zainteresowanie panów, któremu towarzyszył podniecony ruch wachlarzy kobiet widzących w niej rywalkę.

Jakaś zaskoczona dama krzyknęła. Rozpoznał w niej księżną, którą mu kiedyś przedstawiono.

- Caroline!

- Sara! - Ucałowały się serdecznie w policzki.

Kilka osób podeszło, by się przywitać z przybyłą; niektóre z nich rozpoznały Caroline Pearson, inne, zwłaszcza panowie, prosili o przedstawienie. Kiedy Caroline witała się ze starymi przyjaciółmi i poznawała nowych ludzi, lady Andrews rozejrzała się, jakby kogoś szukała. Kiedy jej spojrzenie padło wreszcie na Jamesa, uśmiechnęła się. Pomachała do niego, by się do nich przyłączył.

Ale James nie ruszył się z miejsca. Po prostu nie był w stanie. Po raz pierwszy w życiu doznał uczucia strachu. On, który nie bał się tygrysów rzucających się na ludzi, walczył z piratami i śmiał się w obliczu tajfunów. Wszystkie te wyczyny okazały się niczym w porównaniu z koniecznością przemierzenia sali, by złożyć uszanowanie Caroline Pearson. Widząc, jak jest witana przez członków najlepszych rodzin w Londynie, zdał sobie sprawę, że straszliwie ją obraził proponując carte blanche. Pewnie jest tak wściekła, że nie będzie chciała z nim mieć do czynienia.

Nagle, niepewny, cofnął się o krok i wpadł na jakąś matronę w turbanie, która właśnie przechylała do ust kieliszek z szampanem. Krzyknęła zaskoczona, gdyż płyn rozlał jej się po sukience. Zażenowany wymamrotał przeprosiny i podał jej swoją chusteczkę, by starła plamę. Kobieta nazwała go niezdarnym niedołągą i machnęła ręką, by zszedł jej z oczu.

Wycofał się z chęcią. Schował się w bezpiecznym miejscu, wśród dżentelmenów, dołączając do lorda Dirnhursta i jego znajomych bankierów. Otoczony męskim towarzystwem, ledwo przysłuchiwał się rozmowie, patrząc, jak wysoki, przystojny mężczyzna, niejaki lord Wamsey, pochyła się nad ręką Caroline. Najwyraźniej zaprosił ją do tańca, ponieważ wkrótce obydwójce stanęli wśród innych par zajmujących miejsca na parkiecie.

Ostra, kłująca zazdrość opanowała go, kiedy zaobserwował, że Caroline odchyła głowę i śmieje się z czegoś, co powiedział jej partner. Jeszcze nie doznawał tak gwałtownych uczuć wobec kobiety. Ale Caroline nie była jakąś tam kobietą. Była jego kobietą.

Jego kobietą.

Te słowa zapadły w nim głęboko. Uczucie było o wiele głębsze niż pragnienie, by pójść z nią do łóżka. Chciał, aby stała się częścią jego życia. Przestał się wreszcie bać, co mu powie albo uczyni, kiedy go zobaczy. Czekał, aż taniec się nareszcie skończy. Muzycy zagrali ostatni akord. Wamsey znów pochylił się nad jej dłonią i odprowadził ją do grupy ludzi stojących wokół lady Andrews.

James przeprosił lorda Dirnhursta i innych rozmówców. Ze wzrokiem utkwionym w Caroline przepchał się przez tłum i stanął za nią.

- Witaj, kuzynko Caroline.

Uwolniła rękę z uścisku Wamseya i odwróciła się do niego. Jej szare oczy rozszerzyły się z zaskoczenia. Nie wiedział, czy mu się tak wydawało, czy naprawdę wyglądała, jakby była zadowolona z jego obecności. Przez chwilę atmosfera wokół nich zgęstniała, jak przed nadchodzącą burzą.

- Czy zechcesz ze mną zatańczyć? - usłyszał, jakby z dalekiej odległości, własne słowa.

Wyciągnął do niej rękę.

# 14

Od chwili, gdy tylko znalazła się w sali balowej, Caroline wiedziała, że James Ferrington już tu jest. Pomieszczenie zdawało się przepełnione jego obecnością. Przypomniała sobie o postanowieniu, że musi trzymać się od niego z daleka. Nie powinna się z nim zadawać. Jeśli to zrobi, zachęci go do równie obraźliwego zachowania, jakie okazywał jej przez ostatnie dwa dni.

Teraz jednak stał przed nią, wysoki, muskularny, przystojny i tak niepewny. Widziała niepokój malujący się w jego oczach i zaciśnięte usta. Na ten widok runęły wszelkie wątpliwości. Zapomniała zupełnie o swej decyzji.

Po raz pierwszy zobaczyła w nim nie dominującego mężczyznę, który ją onieśmiela, ale człowieka przepełnionego wątpliwościami, słabością, a nawet - o tak - pragnieniem, którego sama doznawała. Jak we śnie podała mu dłoń.

Jego usta przyozdobił szeroki, radosny uśmiech. W głębi serca poczuła się dumna, że mogła go tak ucieszyć. Zaciśnął rękę wokół jej palców i prowadził na parkiet, gdy naraz ktoś ich zatrzymał.

- Przepraszam, lady Pearson, ale mnie pani obiecała ten taniec.

Odwróciła się do łysawego mężczyzny w średnim wieku, którego jej przed chwilą przedstawiono. Rzeczywiście! Obiecała mu następny taniec. Zakłopotana zwróciła się do Jamesa.

- Przykro mi, ale to prawda. Obiecałam już... - Nie mogła sobie przypomnieć nazwiska stojącego obok mężczyzny.

- Lordowi Kenyonowi - podpowiedział.

- A, tak. Lordowi Kenyonowi. Zapomniałam pańskiego nazwiska. Przepraszam. - Próbowała wysunąć rękę z uścisku Jamesa.

Nie puścił jej.

Lord Kenyon niecierpliwie tupnął nogą o podłogę.

- Taniec się zaraz zacznie. - Wyciągnął rękę.

- Tak, wiem. - Próbowała znów delikatnie uwolnić swą dłoń, drugą podając lordowi Kenyonowi.

James trzymał ją coraz mocniej.

Zażenowana tą krępującą sytuacją, spróbowała go poprosić o zrozumienie.

- Panie Ferrington.

- Kuzynie Jamesie - wyszeptał.

- Słucham? - spytała zakłopotana. Przypomniała sobie o kłamstwie wymyślonym na użytek lady Dirnhurst. To niewinne oszustwo zaczęło ją prześladować. Próbowała wyszarpnąć dłoń, ale nadal nie chciał jej puścić.

Wysiliła się na uśmiech do zniecierpliwionego lorda Kenyona.

- Kuzynie Jamesie, proszę puścić moją rękę.

James uwolnił dłoń, ale jednocześnie zastąpił jej drogę do lorda Kenyona.

- Proszę mi obiecać następny taniec.

- Przepraszam, pana, ale po lordzie Kenyonie ja będę tańczył z lady Pearson.

Skrzywił się, patrząc na intruza.

- W takim razie zamawiam kolejny taniec - powiedział, zanim odeszła ze swym partnerem.

- Ten został obiecany mnie - oznajmił rudowłosy lord Givens.

- A ja mam obiecany ostatni taniec przed kolacją - dodał gładko lord Wamsey.

- Ależ pan już z nią tańczył - zaprotestował James. - Nie może pan tańczyć dwa razy.

Wamsey uniósł brwi. Znany był jako wspaniały strzelec i mężczyzna o krewkim charakterze. Mało kto miał ochotę z nim zadzierać.

- Mogę i zrobić to. Lady Pearson mi to obiecała.

Wściekłość walczyła w nim ze zdrowym rozsądkiem. Nie powinien dać się ponieść emocjom. To mogłoby skompromitować Caroline.

- Dobrze - odparł. - W takim razie, czy mógłbym poprowadzić cię na kolację?

- Chciałabym ... - zaczęła.

- Pani pójdzie na kolację ze mną - przerwał jej Wamsey.

Mężczyźni zmierzili się wzrokiem, atmosfera zgęstniała. Caroline położyła Jamesowi rękę na ramieniu. Uspokoił się, nie chcąc wywoływać zamieszania. Cofnął się. Lady Andrews westchnęła z ulgą i podeszła do niego.

- To pańska wina - powiedziała, patrząc, jak lord Kenyon prowadzi jej przyjaciółkę do tańca. - Wszyscy mężczyźni w tym pomieszczeniu zaczęli się do niej cisnąć, kiedy tylko przyszła. - Poklepała go wachlarzem. - Skoro jest pan wolny, pozwoli pan, że znajdę mu partnerkę.

Zanim zaczął się taniec, lady Andrews przedstawiła go debiutującej na tym balu lady Marcie z Yorkshire. James tańczył więc z lady Martą, potem z panną McKay, potem z lady Alaną, ale cały czas ścigał wzrokiem Caroline. Tańczyła świetnie, wdzięcznie ukrywając niezdarność swoich partnerów. Kiedy tylko taniec się skończył, lady Andrews czekała na nią, otoczona wianuszkami dzentelmenów proszących o przedstawienie.

Zaczął żałować, że doprowadził do tego, że Caroline pojawiła się na balu. Kiedy Wamsey prowadził ją znów w jakimś skoczonym wiejskim tańcu, James miał już dosyć balu, dobrych manier i dzielenia się nią z kimkolwiek.

Ten dandys zasługiwał, by pokazać mu, gdzie jego miejsce. Stał pod ścianą, przyglądając się tańczącym. Ze wszystkich jej partnerów, Wamsey zachowywał się najbardziej swobodnie. Jego zachowanie wobec Caroline doprowadziło go do irytacji. Wamsey tańczył zbyt blisko niej. Do tego flirtował z nią otwarcie i próbował rozśmieszać. W pewnym momencie, gdy panowie znaleźli się w kółeczku z paniami, złapał ją w tali i uściśnął. James po raz drugi usłyszał jej śmiech. Miał tego dosyć. Nie pozwoli, by Wamsey poprowadził ją na kolację.

Zaczekał na moment, gdy partnerzy się rozdzielili, i zaczął działać. Z gracją wszedł między tańczących, klepnął Wamseya po ramieniu, a gdy ten zaskoczony nie zdążył nawet zareagować, porwał jego partnerkę.

Wreszcie trzymał ją w ramionach. Nie zamierzał jednak na tym poprzestać. Miał już dosyć przepelnionych tłumem sal balowych, uprzejmego towarzystwa i kolejki mężczyzn czekających, by zostali jej przedstawieni. Porwał ją z sali i poprowadził ku otwartym drzwiom prowadzącym na mały balkonik, wychodzący na ogród.

Gdy się tam znaleźli, uwolnił ją z objęć i zatrzasnął drzwi. Zaskoczona, patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Panie Ferrington, nie powinien pan tego robić.

- Taniec się skończył. - Popatrzył przez szyby na Wamseya, który rozglądał się po sali w poszukiwaniu swej partnerki i ruszył z wściekłością do lady Andrews.

James spojrzał na Caroline.

- Muzycy mają teraz przerwę. Wszyscy zaczynają schodzić na kolację.

- Obiecałam, że zejść z panem Wamseyem.

Błękitna suknia lśniła w świetle księżyca. Brylant w broszy zabłysnął jasno jak gwiazdy na niebie. Jasno wyobraził ją sobie jako boginię... księżyca.

Jego boginię.

- Zaryzykuję gniew Wamseya.

- Panie Ferrington, proszę...

- Prosiłem tylko o jeden taniec - powiedział cicho.

- Tylko jeden taniec? - Potrząsnęła głową. - Czyżby pańskie potrzeby zmniejszyły się aż tak bardzo od wczoraj, kiedy to ofiarował mi pan carte blanche?

Odszedł od drzwi i stanął przed nią gotowy, aby przekonać ją o szczerych intencjach.

- Wiem, że postąpiłem źle. Nie powinienem wyciągać zbyt pochopnych wniosków. Błagam, aby mi pani przebaczyła, że ją obraziłem.

Przez dłuższą chwilę przyglądała mu się w ciemności.

- Przyjmuję pańskie przeprosiny. Minerva opowiedziała mi wszystko. Przyznała, że nieco pana zachęciła do uczynienia tej propozycji. Zapewne uważa pan teraz moją ciotkę za osobę... - przerwała, starając się znaleźć odpowiednie słowo - ekscentryczną.

- Nazwałbym ją raczej osobą... barwną - powiedział z ulgą, że mu przebaczyła.

- To również jest odpowiednie określenie. Bardzo ją kocham.

- Rozumiem to - Był w tym momencie szczerzy.

Oparła rękę na kamiennej balustradzie i głęboko westchnęła. Jej następne słowa mocno go zaskoczyły.



- Moje zachowanie przedwczoraj również pozostawiało sporo do życzenia. - Kiedy spojrzała na niego, w jej oczach odbiło się światło księżyca. - Przepraszam pana za tamten wieczór i to, do czego wtedy doszło.

Położył rękę obok jej dłoni, najbliżej, jak tylko mógł się odważyć.

- Caro... lady Pearson, chciałbym, aby pani wiedziała, jak bardzo panią szanuję. Prawdą jest, że nigdy nie czułem do żadnej kobiety tego, co czuję do pani.

Rozchyliwszy usta, spojrzała na niego z zaskoczeniem.

Przeklął się w duchu za brak wyczucia, zwłaszcza że nic mu nie odpowiedziała. Cofnął się o krok i popatrzył w ciemność.

- Nie powinienem tego mówić. Proszę mi wybaczyć.

Nadal nic nie odpowiedziała. Patrzyła na niego szeroko otwartymi, czujnymi oczami. Poczul się zakłopotany jej milczeniem. Daniel miał rację. Od czasu, gdy ją spotkał, zachowywał się jak głupiec. Gdyby był mądrzejszy, odwróciłby się na pięcie i zostawił ją na tym balkonie.

- Czy zdarzało się pani patrzeć w gwiazdy i marzyć?

Wyglądała na zaskoczoną jego pytaniem.

- Ja nie... - Głos jej się załamał.

- Ja robiłem to często. Zwłaszcza jeśli czegoś bardzo pragnąłem. Wtedy, patrząc na gwiazdę, wypowiadałem życzenie. - Spojrzał na nią z zażenowaniem. - To bardzo skuteczny sposób. Czyniłem tak przez wiele lat. Gwiazdy nigdy mnie nie zawiodły.

Przechyliła głowę.

- Nigdy? - wyszeptła.

- Tak - odparł uroczyście.

Uniosła wzrok na tysiące gwiazd błyszczących na niebie.

- O co pan prosił?

- O świat.

- O świat?

- Tak. - Oparł się o balustradę, napawając się pięknem nocy i urodą stojącej obok kobiety. - Już od najmłodszych lat wiedziałem, że nie zostanę w Kencie, aby jak mój ojciec i jego ojciec prowadzić gospodarstwo.

- Nie lubi pan życia na wsi?

- Lubię, ale pragnąłem czegoś więcej. Rodzice zawsze uważali mnie za lekkoducha. Uwielbiałem podejmować wyzwania, lubiłem dreszcz towarzyszący ryzyku. Oczywiście teraz, gdy jestem starszy, znalazłem sobie nowe pole działania.

- To znaczy Londyn?

Skinął głową.

- Nie mogę się doczekać, kiedy uda mi się przytrzeć nosa kierownictwu Kompanii Wschodnioindyjskiej. Grozi mi utrata całego majątku, ale z przyjemnością obserwuję, że podjęło moje wyzwanie. A pani, lady Pearson? Czy lubi pani wyzwania?

Zaśmiała się lekko, jakby rozbawiona niedorzecznością pytania.

- Nie, panie Ferrington, zapewniam pana, że nie należę do osób, które lubią wyzywać los.

- Dlaczego?

- Zawsze robiłam to, co mi kazano. Być może czyni mnie to najbardziej godną pożałowania istotą na ziemi. Przed wyjściem za mąż słuchałam poleceń rodziców. Potem, po ślubie byłam pod władzą męża.

- Czy to pani nie odpowiadało? - spytał, ostrożnie poruszając temat mężczyzny, którego uważał za rywala do jej uczuć, człowieka, po którym od tak dawna nosiła żałobę.

Zesztywniała. Opuściła oczy. Widział cień jej długich rzęs na policzkach. Wstrzymał oddech, czekając na odpowiedź.

- Nie miałam innego wyjścia. Tak naprawdę zaczęłam myśleć o sobie, o tym, czego rzeczywiście pragnę, dopiero po jego śmierci. - Potrząsnęła głową, między jej brwiami zarysowała się maleńka zmarszczka. - Czasami wyrzucam sobie, że kiedyś nie zachowywałam się mądrzej, że nie byłam odważna i śmiała... tak jak pan.

Jak pan! Czyżby właśnie powiedziała mu komplement?

- Ale mężczyznom jest o wiele łatwiej - dodała spokojnie. - Są z natury przyzwyczajeni do życia, które ma jakiś cel. - Oparła się biodrem o balustradę i przechyliła głowę. - Skąd brał pan odwagę, gdy zdecydował się wyruszyć w świat? Zostawił pan Kent, rodzinę, wszystko, co było znane i bezpieczne. Skąd ktoś czerpie taką siłę,?

- Z marzeń, lady Pearson.

Uniosła brew.

- Spodziewa się pan, że uwierzę, że cały pański majątek zrodził się z marzeń?

- Moje pragnienie, by zobaczyć jak najwięcej świata, zrodziło się wraz z tymi gwiazdami. - Pokazał głową w stronę nieba. - Kiedy razem z braćmi dorastaliśmy, czekaliśmy, aż rodzice zasną, a potem wymykaliśmy się z domu i spaliliśmy na polach. - Uśmiechnął się na wspomnienie tamtych czasów. - Uwielbiałem leżeć w stogu siana i patrzeć na gwiazdy. Kiedy bracia zasypiali, zaczynałem marzyć. Gwiazdy, które świecą nad nami, to te same ciała niebieskie, które wiodły Marco Polo do Chin i ukazywały Kolumbowi drogę do Nowego Świata. Jeszcze zanim wysłano mnie do szkoły, wiedziałem, że będę za nimi podążał. Dla mnie gwiazdy oznaczały przygody, niebezpieczeństwo, wyzwania. Były świadkami śmierci Chrystusa, bitew krzyżowców i zwycięstw Karola Wielkiego. Czuję się taki mały w ich obecności.

- Jakoś sobie nie wyobrażam pana jako człowieka małego formatu. - Uśmiechnęła się. - Nie takie słowo przychodzi mi do głowy, gdy o panu myślę.

- A często myśli pani o mnie?

Otworzyła szeroko oczy, słysząc tak bezpośrednie pytanie.

- Częściej, niż powinnam - wyznała.

Krew zawrzała mu w żyłach. Miał ochotę wziąć ją za rękę, ale powstrzymał go jej słowa.

- A jednak nie mogę panu ofiarować niczego więcej poza przyjaźnią.

- Dlaczego pani tak twierdzi?

Zaczynała rozumieć, jakim człowiekiem jest James Ferrington. Wiedziała, że jeśli ten mężczyzna czegoś zechce, nic go nie powstrzyma, dopóki tego nie dostanie. Ale jej nie będzie miał. Jest bezpłodna. Żaden mężczyzna nie chciałby kobiety, która nie może urodzić mu dzieci.

Zamknęła oczy modląc się, by potrafiła od niego uciec.

- Muszę wracać do towarzystwa. Powinnam przeprosić lorda Wamseya.

- Nie! Dopóki nie usłyszę pani wyjaśnienia. Cokolwiek pani uczyniłem, przepraszam. Wszystko naprawię.

Uniosła rękę, nie chcąc, aby się obwiniął.

- Nie chodzi o pana. Moja odpowiedź byłaby taka sama wobec każdego mężczyzny. Nie powinnam była przychodzić na bal do Elizabeth, ale przyznam, że nie żałuję. Dzisiejszy wieczór był specjalny. Jak w jednej z tych irlandzkich bajek, w których spełniają się życzenia. Ale to nieprawda. To zupełnie niepodobne do pańskich gwiazd. Bardzo mi przykro.

Uniosła rąbek sukni i odwróciła się do drzwi. Odważnie wziął ją za rękę.

- Panie Ferrington...

- Nie wymyśliła pani życzenia.

- Życzenia? - powtórzyła.

- Patrząc na gwiazdy. Jeśli wierzy pani w irlandzkie baśnie, powinna pani wiedzieć, że w taką magiczną noc jak ta spełni się każde pani życzenie.

Popchnął ją delikatnie z powrotem do balustrady.

- Proszę spojrzeć. Wszystkie gwiazdy czekają na panią. Nie może pani odejść. Jeszcze nie teraz.

Jego głos był hipnotyzujący. Kiedy stał tak blisko niej, Caroline nie miała sił, by mu się przeciwstawić. Spojrzała w górę i zagubiła się w blasku gwiazd i aksamitnej ciemnej nocy. Na niebie świecił księżyc w pełni, ale jego światło przy blasku gwiazd nie znaczyło nic.

- Proszę wymyślić życzenie.

Stał tak blisko, że czuła ciepło jego ciała. Zadrżała lekko, bardziej z powodu swych myśli niż chłodu nocy. Jakby chcąc ją ogrzać, otoczył ją opiekuńczo ramionami. Ogarnęła ją pokusa, by oprzeć się na jego piersi i odprężyć się. Wyprostowała się.

- A pan? Czy nie wypowie pan swego życzenia?

- Zróbmy to razem. Proszę wybrać gwiazdę.

Spojrzała na tysiące gwiazd i wybrała tę, która błyszczała mocniej niż inne.

- Ta - wskazała.  
- Dobry wybór. To Gwiazda Północna, która zawsze prowadzi zagubionych. A teraz proszę zamknąć oczy i wymyślić życzenie. Gotowa?  
Skinęła głową.  
- Raz. Dwa. Trzy.  
Miała życzenie. Pragnęła powiedzieć mu, że nie może mieć dzieci. Chciała, aby jej bezpłodność nie miała dla niego żadnego znaczenia.  
- O czym pani pomyślała?  
Zmusiła się do śmiechu.  
- Nie mogę panu powiedzieć. Jeślibym to uczyniła, życzenie by się nie spełniło.  
- Czy to kolejna irlandzka bajka?  
- Proszę mi powiedzieć, jakie było pańskie życzenie.  
Natychmiast spowaźniał.  
- Chciałbym, aby mi pani zaufała. - Pocałował ją w rękę.  
Caroline chciała uwierzyć, że mężczyzna potrafiłby ją pokochać i zaakceptować fakt, że nie może dać mu dzieci.  
Ogarnęło ich wszechpotężne, prawdziwe uczucie. Powoli pochylił głowę. W niemej reakcji uchylła usta, czekając na jego pocałunek.  
Nagle drzwi otworzyły się. Pojawił się w nich jakiś mężczyzna, ale zdziwiony, że zastał kogoś na balkonie, wymruczał przeprosiny i wrócił na salę. Urok chwili prysnął.  
- Musimy wracać. - Zrobiła krok w kierunku sali, ale złapał ją za rękę.  
- Jeden taniec. Tylko o to proszę.  
Spojrzała na niego, skąpanego w świetle księżyca. Wyglądał tak ujmująco. Trudno było mu odmówić. Lekki powiew wiatru zatańczył w fałdach jej sukni i poruszył piórami czepka. Poczwała, jak ogarnia ją gorączka.  
- O nie, panie Ferrington, pan żąda o wiele więcej.  
- Prosiłem, by mi pani zaufała.  
Przez szklane drzwi słyszała, jak muzycy zaczynali znów grać. Dobiegały do niej również zduszone śmiechy gości. Dzięki małżeństwu poznała ból, jaki towarzyszy kobiecie, gdy zaufa nieodpowiedniemu mężczyźnie. Kiedyś niczym ćma podfrunęła zbyt blisko ognia i spłonęła. Teraz czuła, że znów ma ochotę wzbic się do lotu.  
- Jeden taniec - wyszeptwała.  
Uśmiechnął się szeroko.  
- W takim razie przyłączmy się do reszty towarzystwa.  
Nie uwolnił jej ręki, dopóki nie znaleźli się w sali balowej. Wtedy podał jej ramię. Tancerze poczęli zajmować swoje miejsca. Chciał zaprowadzić ją na parkiet, ale nagle zatrzymała się zmieszana.  
- Muszę odnaleźć lorda Wamseya i przeprosić go, że nic poszłam z nim na kolację.  
Westchnął niecierpliwie.  
- To nie jest konieczne. - Rozejrzał się. - Nie widzę go. Pewnie znalazł inną partnerkę.  
- James... - zaczęła zdenerwowana i zamilkła.  
Otworzył ze zdumienia usta, jego oczy rozjaśniły się radośnie.  
- Jak powiedziałaś?  
Zasłoniła dłońmi usta.  
- To znaczy, panie Ferrington.  
- Ależ nie, usłyszałem moje imię. I to bez nalegań.  
- To nie ma sensu.  
- Nieprawda. Czekałem na tę chwilę, odkąd się spotkaliśmy. Przyznaj, Caroline, że zabrzmiało to w twoich ustach zupełnie naturalnie. - Nie czekając na odpowiedź, wziął ją za rękę. - Chodźmy, razem przeprosimy lorda Wamseya. Jeszcze mnie wyzwie na pojedynek za to, że mu cię porwałem. Umrę jednak szczęśliwy, bo zwróciłaś się do mnie po imieniu.  
Zanim Caroline zdołała odpowiedzieć, poprowadził ją w kierunku wyjścia. Musiała bardzo się spieszyć, by dotrzymać mu kroku.  
W drzwiach wpadli na Elizabeth.  
- Panie Ferrington, lord Wamsey nie jest zbyt zadowolony z pana postępków.

- Wyobrażam to sobie. Właśnie szliśmy, by go przeprosić.  
- Nie sądzę, żeby był gotowy przyjąć pańskie przeprosiny. - Gospodyni potrząsnęła głową.  
- Ależ na pewno jest - powiedział pewnym siebie tonem. - Porozmawiam z nim. Gdzie jest?  
- Zszedł na dół, do jadalni, ale nie sądzę...  
- Proszę się nie obawiać, lady Andrews. Postaram się ułagodzić lorda Wamseya. - Zwrócił się do Caroline. - Może powinnaś w tym czasie zostać z lady Andrews.  
- Ależ ja również powinnam go przeprosić.  
Elizabeth powstrzymała ją ruchem ręki.  
- Pan Ferrington ma rację. Czasami lepiej jest, jeśli panowie załatwiają pewne sprawy między sobą.

James uwolnił rękę wahającej się Caroline.

- Poczekał tutaj. Za chwilę będę z powrotem. Wtedy będziesz miała okazję go również przeprosić. Ale dopiero po naszym tańcu - dodał i zuchwale puścił do niej oko.

Caroline obserwowała, jak idzie po schodach. Był taki odważny i pewien siebie.

- Masz bardzo szarmanckiego kuzyna, Caroline - zauważyła Elizabeth.

Caroline pokiwała w zamyśleniu głową, obserwując oddalającą się sylwetkę. James skinął głową lady Dirnhurst i kobiecie, która jej towarzyszyła. Lady Dirnhurst pozdrowiła go, natomiast druga dama skrzywiła się i odwróciła głowę.

Elizabeth szybko otworzyła wachlarz i ukrywając się za nim, powiedziała:

- O, masz ci los, kuzynka Vera, to znaczy lady Lavenham, idzie po schodach. Błagam, udawajmy, że jesteśmy pogrążone w dyskusji, może nas minie bez słowa.

Caroline z chęcią jej posłuchała. Już wcześniej przywitała się z lady Dirnhurst i nie miała ochoty spędzać ani chwili dłużej w towarzystwie tej kobiety.

- O czym będziemy rozmawiać?

- O czymkolwiek. Po prostu mówmy coś.

Roześmiały się dyskretnie. Caroline miała właśnie pochwalić bal wydany przez przyjaciółkę, kiedy lady Lavenham wykrzyknęła:

- To ta suknia!

- Nie zważaj na nią - szepnęła Elizabeth. - Jest trochę dziwna. Powinnaś widzieć ją wcześniej. Wydawało mi się, że kontroluje moich gości.

- Hej, ty tam! - zawołała obcesowo lady Lavenham. - Kim ty jesteś?

Zapadła cisza. Caroline dopiero po paru chwilach zdała sobie sprawę, że kobieta mówi do niej.

- Słucham panią?

Elizabeth stanęła między kuzynką i przyjaciółką.

-Vero, czy poznałaś już lady Pearson? - spytała ostrożnie. - Caroline, to moja kuzynka, lady Lavenham.

Kobieta otworzyła szeroko usta. Obawiając się, że zaraz dostanie ataku apopleksji, Caroline spytała ją:

- Lady Lavenham, czy źle się pani czuje?

W odpowiedzi hrabina zwróciła się do lady Dirnhurst.

- Millie, czy to nie ta Caroline Pearson, o której rozmawialiśmy wczoraj? Ta, która mieszka z Minervą Pearson i uczy na pensji, którą mam dofinansowywać?

Lady Dirnhurst spojrzała niespokojnie na salę, jakby chciała uciec jak najdalej.

- Lady Pearson uczy na pensji panny Elmhart - wyjaśniła niechętnie. - Ma tylko jedną lekcję tygodniowo. Nie mylę się, lady Pearson?

Zanim Caroline zdołała odpowiedzieć, przerwała jej lady Lavenham.

- Nawet jedna lekcja to za dużo. Kobieta z takim charakterem nie powinna mieć kontaktu z młodymi, niewinnymi dziewczętami.

- Przepraszam, ale kim pani jest, żeby kwestionować mój charakter? - spytała wstrząśnięta tym atakiem Caroline.

- To nieprawda - rzekła Elizabeth. - Znam Caroline od lat. Postępuje zgodnie z zasadami damy z towarzystwa.

- Obawiam się, że wystrychnięto cię na dudka. - Twarz kobiety szpetnie wykrzywiła się w gniewie. - To kochanka Jamesa Ferringtona!

Caroline dosłownie zatrzęsła się z gniewu, słysząc to oskarżenie. Zdając sobie sprawę, że grupka ludzi obserwuje ich gorącą wymianę zdań i zaczyna się przysuwać bliżej, by lepiej słyszeć, zmusiła się do opanowania. Kiedy przemówiła, jej głos brzmiał pewnie i godnie.

- Dopiero panią poznałam, madame, i nie wiem, co takiego zrobiłam, by usłyszeć od pani to kłamstwo. Dla dobra Elizabeth proszę jednak, byśmy zakończyły tę rozmowę w bardziej stosownym miejscu.

Lady Lavenham cofnęła się.

- Kłamstwo! Ja nigdy nie kłamię. Ferrington zapłacił za tę szmatę, którą masz na sobie, i mogę się założyć, że to dzięki jego pieniądzom masz tę błyskotkę na głowie. Może zaprzeczysz?

- Oczywiście! - Pożyczyłam tę suknię od lady Andrews - przyznała, zapominając na chwilę o dumie. - Proszę, Elizabeth, wyjaśnij to nieporozumienie.

Ale Elizabeth nie odpowiedziała od razu. Zaskoczona jej milczeniem, Caroline spojrzała na przyjaciółkę. Ta potrząsnęła głową; oczy miała bardzo smutne.

- Nie przysłałam ci tej sukni - wyszeptwała. - Moja była żółta. Słyszając jej słowa, Caroline poczuła, jak skręca ją w żołądku.

James na pewno nie przysłał jej tej sukni. Nie mógł tego zrobić! Dama nigdy nie przyjęłaby takiego prezentu od mężczyzny.

Elizabeth przemówiła uspokajająco do kuzynki:

- Jestem pewna, że się mylisz. Pan Ferrington i lady Andrews są kuzynam ...

- Kuzynami! Już to widzę! Lady Pearson nie ma żadnej rodziny. To zupełna niedorzeczność.

A więc ich kłamstwo zostało odkryte. Caroline nie chciała nadal oszukiwać. Zwłaszcza że wplątała w swe kłamstwo kogoś tak miłego jak Elizabeth.

- Nie jesteśmy kuzynami - przyznała.

Lady Dirnhurst głośno westchnęła. Robiła wrażenie, że zaraz zemdleje. Wydawane przez nią dźwięki spowodowały jeszcze większe zainteresowanie gości. James, który właśnie nadszedł, przyłączył się do otaczającego ich tłumu. Widziała, jak przepycha się między gośćmi i podchodzi do niej.

Ucieszyła się z jego obecności. Chciała, żeby wyjaśnił lady Lavenham, że jej oskarżenia są bezpodstawne, ale kiedy stanął koło nich, jego groźna mina świadczyła o czymś zupełnie innym. To on kupił suknię!

- Caroline... - zaczął.

Nie chciała go słuchać. Odwróciła się do niego plecami i powiedziała do lady Lavenham:

- Chyba ma pani rację. Najwyraźniej to pan Ferrington kupił tę suknię. - W jej oczach pojawiły się łzy, ale nie chciała się rozplakać. - Elizabeth, bardzo mi przykro, ale muszę już iść. Czy byłabyś tak dobra i odnalazła moją przyzwoitkę? Powiedz, że będę czekała przy drzwiach.

- Och, Caroline, tak mi nieprzyjemnie - wyszeptwała Elisabeth i poszła spełnić prośbę przyjaciółki.

Caroline skinęła jedynie głową. Miała ściśnięte gardło i nie mogła wymówić słowa. Z godnością, na jaką ją było w tej chwili stać, ruszyła w kierunku schodów.

James stanął jej na drodze. Wyciągnął do niej rękę.

- Caroline, mogę to wyjaśnić...

- Nie! - Powoli zdjęła z głowy aksamitny czepek. Na chwilę brylant zaśnił jakby własnym blaskiem. Caroline wcisnęła nakrycie głowy w rękę Jamesa. - Nie chcę mieć z panem więcej do czynienia! - Jak trudno było jej to mówić! - Proszę zostawić mnie w spokoju.

Podeszła do niej Mirabelle. Caroline bez słowa minęła Jamesa i zaczęła schodzić na dół. W połowie schodów z jej oczu popłynęły gorące łzy. Nachyliła głowę i szła dalej.

James zmiął aksamit i cisnął go na ziemię. Nie może pozwolić jej, by odeszła! Nie teraz!

Krzyknął za nią, nie zważając na gości.

- Caroline!

Wybiegł na klatkę schodową. Zobaczył ją w holu.

- Caroline, zaczekaj!

Gdy spojrzała przez ramię, napotkała wzrok Jamesa. Potem odwróciła się i zniknęła w drzwiach otworzonych przez lokaja.

James rzucił się za nią. Musi ją powstrzymać.

Grupka mężczyzn wracających z kolacji weszła po schodach i zastąpiła mu drogę. Przepchnął się między nimi, nie zważając na uwagi dotyczące jego złego wychowania. Musi dognać Caroline. Usłyszał, jak stangret pospiesza krzykiem konie. To na pewno rusza powóz, którym przyjechała. Rzucił się wzdłuż pojazdów z nadzieją, że zdąży ją zatrzymać.

Minęła chwila, zanim zorientował się, że już za późno. Powóz właśnie wyjeżdżał na ulicę. Woźnica popędził konie trzaśnięciem bata. James zatrzymał się, ale nie miał zamiaru zrezygnować z wyjaśnień.

Caroline na pewno wróci do domu. To jedyne miejsce, do którego może się udać. Pojedzie~ tam i wszystko jej wytłumaczy. Wcześniej czy później będzie musiała z nim porozmawiać. Będzie dotąd walił w jej drzwi, aż go wreszcie wpuści.

Nagle usłyszał, jak ktoś woła jego nazwisko. Odwrócił się. Nikogo nie zauważył. Ktoś znów go zawołał. Głos dochodził prawdopodobnie spomiędzy dwóch stojących opodal powozów. Zaciekawiony zrobił kilka niepewnych kroków. Nikogo tam nie było.

Pewnie umysł płata mu jakieś figle. Zawrócił, gdy nagle ktoś zarzucił mu na głowę ciemny płócienny kaptur. Silne ramiona opasały jego dało, inne unieruchomiły nogi. Zaczął krzyczeć, lecz w tym momencie poczuł uderzenie w głowę.

Otoczyły go ciemności.

# 15

W głowie łomotało mu, jakby ktoś walił w środku młotem kowalskim. Ból przekonał go jednak, że jeszcze żyje. Powoli zaczęło powracać uczucie.

Okazało się, że leży na zimnej, twardej i brudnej podłodze. Instynktownie spróbował podnieść rękę do głowy, by dotknąć bolącego miejsca, kiedy okazało się, że nie jest w stanie ruszyć ramieniem.

Znów próbował unieść rękę, podnieść nogę, ale okazało się, że jest związany. Wstrząśnięty wpadł w panikę i zaczął szarpać więzy, napinać je, ale wreszcie się poddał.

Spokojnie. Musi to przemyśleć.

Bicie serca powróciło do normalnego stanu. Wpatrywał się w świecę stojącą na podłodze jakieś dwie stopy od niego. Reszta pogrążona była w mroku ciemnym jak smoła. Powietrze przesycone było zapachem... czego? Ziemniaków, cebuli i... ciężkich perfum.

A więc został związany i leży na podłodze jakiegoś pomieszczenia, służącego prawdopodobnie za magazyn. Co za diabelska sztuczka!

Zorientował się, że jeszcze musi być noc, że niewiele czasu upłynęło, odkąd ktoś uderzył go w głowę. Domyślił się także, że znajduje się gdzieś pod ziemią, ponieważ powietrze było wilgotne i zimne. U słyszał lekki szmer i ciche szepty. Wyteżył wzrok, próbując dojrzeć, co się dzieje poza zasięgiem światła świecy. Znów doznał wstrząsu.

W mroku stało kilka postaci w kapturach. Doliczył się czterech osób. Wyglądały jak czarne stogi siana z powodu okrywających ich sylwetki peleryn i... spódnic? Czyżby to były kobiety?

Zamknął oczy i otworzył je ponownie. Wizja nie zniknęła.

Nagle zasłoniła ją postać wielkiego, dobrze zbudowanego mężczyzny w kapturze. Olbrzym wkroczył w krąg światła.

- Jak to dobrze, że wreszcie pan do nas dołączył. - Mówił z francuskim akcentem i przeciągał sylaby, smakując brzmienie swego głosu. Kucnął na piętach, by więzień mógł go lepiej widzieć.

Jamesowi nie podobało się, że leży związany, jak cielę przeznaczone na rzeź. Próbował usiąść i wyprostować się. Ku jego wściekłości, nie dało to żadnych rezultatów, ledwie udało mu się przesunąć kilka centymetrów.

- Proszę poczekać, pomogę panu. - Wielkolud przytrzymał go za łokieć i wyprostował. - Nie chcielibyśmy, by leżał pan tu jak marny robak.

Jamesowi stanowczo nie podobało się to porównanie. Pozwolił się mężczyźnie przytrzymać, dopóki ten nie posadził go na podłodze. Teraz wyszarpnął się z jego ręki. Siedzenie na piętach ze związanymi rękami i nogami było bardzo trudne, ale balansując dla utrzymania równowagi, nie miał ochoty okazać słabości.

Spojrzał w dziury wycięte w czarnym kapturze i powiedział najzimniejszym, najbardziej aroganckim głosem, na jaki mógł się zdobyć:

- Kim jesteście? Czego chcecie?

James wyczuł, że mężczyzna się uśmiecha.

- Chcielibyśmy, by czuł się pan jak najlepiej, monsieur Ferrington. Pragniemy również, żeby pan wiedział, że to tylko sprawa interesów. - Wielkolud posługiwał się miłym dla ucha, poprawnym językiem.

James spojrzał na zakapturzone kobiety, stojące w ciszy jak duchy Inkwizycji.

- Kim jesteście?

- Na to pytanie nie odpowiemy, monsieur Ferrington, co więcej, to my mamy wobec pana pewne żądania. Proszę nas uważnie słuchać.

Po raz pierwszy w życiu James poczuł się zupełnie bezsilny. Nie podobała mu się taka sytuacja.

- Popelniacie straszną pomyłkę - powiedział spokojnie. - Potrafię być trudnym przeciwnikiem.

Wielkolud pokiwał głową, jakby ważył jego słowa, potem skinął w kierunku postaci stojących w ciemnościach.

- Pan także ma trudnych przeciwników.

W głosie mężczyzny brzmiało tak głębokie przekonanie, że James doszedł do wniosku, że mówi on prawdę. A jedynymi jego wrogami, którzy mogliby być na tyle bezwzględni i zdesperowani, by uciec się do szantażu, ba, nawet do morderstwa, byli udziałowcy Kompanii Wschodnioindyjskiej.

Jeślioby obydwaj z Danielem wygrali swoją sprawę i dostali na piątkowym spotkaniu licencję, ci łotrzy straciliby kontrolę nad handlem z Indiami i monopol dający miliony funtów rocznie.

Przez wiele lat dochodziły do niego pogłoski, jak daleko członkowie Kompanii potrafią się posunąć, by chronić swoje interesy. Próbowali już przekupywać jego pracowników i zrobili wszystko, by zachwiać jego pozycją w towarzystwie i zdyskredytować go w kręgach politycznych. Zeszłego miesiąca podłożono w jednym z jego magazynów ogień. Ale czy posunął się do tego, by popełnić morderstwo? Niech ich piekło pochłonie! Udając znużonego, powiedział:

- Nie jestem zainteresowany waszymi żądaniem.

- Lepiej niech pan się zainteresuje nimi, monsieur, bo inaczej uderzymy pana mocno po kieszeniach. Czy to prawda, że ma pan zaplanowane na piątek bardzo ważne spotkanie?

Słowa te potwierdziły podejrzenia Jamesa. Nie odpowiedział. - Jeśli nie stawi się pan na to spotkanie, monsieur Ferrington, straci pan wszystko. Chyba się nie mylę?

- Wygląda na to, że dużo o mnie wiecie? - odparł zimno. Następne słowa zachwiały jednak jego przekonaniem, że stał się ofiarą Kompanii.

- Nie będzie pan mógł być obecny na tym spotkaniu, monsieur, dopóki pan nie odda lady Pearson aktu własności jej domu.

Zaskoczony tym oświadczeniem, otworzył ze zdumienia usta. Zamknął je natychmiast.

- Czy to lady Pearson nasłała was na mnie?

- Żadnych pytań, monsieur. Maintenant, czy jest pan gotów oddać akt własności, czy też ma pan ochotę dłużej pobyc w naszej piwnicy?

Caroline go szantażowała!

Chciało mu się krzyknąć i rwać więzy. Przegrzłby je, jeśli to byłoby możliwe. W czasie gdy on zachowywał się jak zakochany głupiec, ona planowała przyłożyć mu w głowę, związać go jak świnię i zagrozić całemu jego majątkowi, byle tylko odzyskać dom. Pewnie stoi tam teraz razem z innymi i czeka na odpowiedź. A to prawdopodobnie była piwnica w tym cholernym domu!

- Nie mam zamiaru układać się z pośrednikami. - Niemal zasyczał. - Jeśli lady Pearson chce odebrać swój dom, niech sama ze mną rozmawia.

Jego jadowita odpowiedź spowodowała dramatyczne poruszenie wśród ukrytych pod kapturami kobiet. Usłyszał szelest spódnic i ściszone szept. Próbował natężyć słuch, by wyłowić wśród nich jej głos.

Wielkolud wstał i przyłączył się do grupy. Szept stawał się coraz bardziej gniewny. Mężczyzna nic nie mówił i wyglądał jak ktoś, kto wypełnia jedynie polecenia.

Podejrzenia te potwierdziły się, gdy wrócił i klęknął przy Jamesie.

- Monsieur Ferrington, moja pani uważa, że najlepiej zrobimy, jeśli pana na razie zostawimy, by miał pan czas na przemyślenia. Prosi, by pan dobrze się zastanowił, co wchodzi w grę, i zgodził się zamienić swoją wolność i przyszłość swojej firmy na akt własności domu.

- Mogę tu zgnić, ale zapewniam was, że odpowiedź będzie taka sama.

- A jak ona brzmi, monsieur?

- Idźcie do diabła! - odparł bez skrępowań.

Wielkolud wzruszył lekko ramionami. Spojrzał na czekające kobiety. Najwyższa z nich, dużo wyższa niż Caroline, skinęła głową. Odwrócił się do Jamesa, by przetłumaczyć ten znak.

- Co innego będzie pan mówił rano, monsieur.

- Nie jestem tego taki pewien - rzekł spokojnie James.

Mężczyzna wstał, zabierając świecę.

- Mam nadzieję, że pobyt w piwnicy nieco pana utemperuje.

- Zostaw świecę! - zawołał za nim James.

Jedna z kobiet odezwała się. Jej głos wydawał mu się znany.

- Przykro mi, panie Ferrington, ale nie możemy spełnić pańskiej prośby, dopóki nie zechce pan oddać lady Pearson jej domu.

Rozpoznał ten głos! To była Minerva Pearson! .

Na jej polecenie wielkolud zabrał świecę i przyświecał zakapturzonym postaciom, gdy wychodziły.



- Wsadzą cię do więzienia - zagroził. - Słyszysz mnie, Caroline? Sprowadzę tutaj policję, kiedy tylko mnie uwolnicie.

Kobiety zatrzymały się. Zaczęły cicho szeptać. Ucieszył się, że udało mu się w ten sposób powstrzymać intrygę Caroline.

- Nie myśl sobie, że możesz mnie szantażować - powiedział zadowolony, że udało mu się je zatrzymać. - Nie uda ci się to, do cholery! Znajdziesz się w więzieniu... - Wielkolud oddał świecę jednej z kobiet. - ... nawet gdybym miał sam cię szukać. Nie uda ci się z tego wyplątać - mówił dalej James. Mężczyzna podszedł do wściekłego więźnia. James chciał tak zdenerwować Caroline, by przestała się ukrywać pod maską i pokazała mu twarz. - Nie po to własnymi rękami zbudowałem moją firmę, by jakaś jędza mi ją zabrała. Słyszysz?

Jędza. Kobieta, która zdolna jest do złośliwości, kłamstw i zdrady... Bez zbędnych ruchów wielkolud wcisnął mu w usta knebel i wrócił do kobiet. Zostawili więźnia w ciemnościach; zakneblowanego, związanego i wściekłego. Było mu już wszystko jedno. Nagle stracił równowagę, zachwiał się i upadł na bok.

Leżąc na zimnej, twardej podłodze, jeszcze kilka minut walczył beznadziejnie, zanim się opanował. Węzły były mocne i ciasne. Nie mógł przeboleć, że wyprowadzano go w pole. Szczególnie, że zrobiła to kobieta. Musi pozbierać myśli. Bez względu na to, jak atrakcyjna jest Caroline Pearson, zemści się na niej. Będzie przeklinała dzień, w którym postanowiła go zdradzić i zamknęła w tej piwnicy. Na pewno uda mu się ją przechytryć i zdążyć na spotkanie.

Nie miał jednak zamiaru zwracać jej aktu własności domu.

Kiedy wrócili na górę i weszły do kuchni, Violetta pierwsza zdjęła kaptur.

- No, i jak myślicie? - wyszeptwała do reszty.

- Myślę, że zmięknie przez noc i przemyśli wszystko od nowa. - Lady Mary ściągnęła kaptur i usiadła ciężko na krześle. Pudrowana peruka przekrzywiła się na jej głowie.

- Dziękuję, Pierre - powiedziała Charlotte do wielkoluda, gdy postawił świecę na stole. Zdjęła kaptur i poprawiła swą kunsztowną fryzurę. - Nie wiem, jak wy, ale ja mam ochotę iść do łóżka.

-A co z nim? - spytała Violetta.

- Z nim? On raczej nigdzie się nie wybiera.

- Ale on uważa, że to Caroline zorganizowała to porwanie - przypomniała Violetta.

- Poza tym jest wściekły - dodała lady Mary. - I to do szaleństwa. Wolałabym raczej powstrzymać atakującego nieprzyjaciela niż jeszcze raz zejść na dół. Łatwo się nie podda, a kiedy to uczyni, nie będzie nam zbyt wdzięczny za to, co zrobiliśmy.

- Uważasz, że może nie oddać domu? - spytała Violetta.

- Przecież sama powiedziałaś, że nie ma innego wyboru.

- Zanim zobaczyłam, jaki jest wściekły. James Ferrington należy do mężczyzn, którzy pod wpływem złości potrafią rzucić się w ogień armatni. Zupełnie jak mój zmarły Wilhelm.

- O Boże. - Violetta zmarszczyła brwi, ponieważ "szalony" Wilhelm Dorchester zginął właśnie od kuli armatniej.

- Gadacie bzdury - przerwała im Charlotte. - Wszyscy mężczyźni zaczynają zachowywać się jak szaleńcy, kiedy zagrożą ich kieszeniom. W taki sposób stworzył ich le Bon Dieu. - Włożyła rękawiczki. - Bez względu na to, co ceni sobie mężczyzna, żaden nie oprze się pieniądзом. Monsieur Ferrington opamięta się i będzie się chciał z nami ułożyć, nawet jeśli to oznacza, że będzie musiał zapomnieć o dumie. Nie ma wyboru, gdyż grozi mu strata wielkiej sumy.

- Olbrzymiej - powiedziała lady Mary. - Jednak nadal uważam, że nie podda się tak łatwo.

- Do rana nabierze chęci do pertraktacji - stwierdziła baronowa.

- Zakładasz się o dziesięć funtów? - zapytała lady Mary.

- A ty, co o tym myślisz? - Violetta zwróciła się do Minery przysłuchującej się wymianie zdań.

Wzięła ze stołu świecę.

- Sądzę, że pora spać. Klamka zapadła. Nie ma co oglądać się do tyłu. Niedobrze, że pan Ferrington obwinia Caroline, ale jestem pewna, że uda nam się wybić mu to z głowy. Na pewno wymyślimy coś, by wyprowadzić go z błędu.

- Minerva ma rację. Każda kobieta warta pudru, którego używa, potrafi dać sobie radę z mężczyzną - stwierdziła Charlotte.

- Mhm, puder nie jest zbyt wiele wart - zauważyła lady Mary.

- Odłóżmy tę dyskusję do rana - zaproponowała Minerva.

- Masz rację. - Violetta włożyła rękawiczki i kapelusz.

- Jesteś pewna, że nic ci z nim nie grozi? - Spojrzała spłoszona na drzwi prowadzące do piwnicy.

- Jasper zajmie się wszystkim - zapewniła ją Minerva.

- Zostawię również na straży Pierre'a. - Charlotte skinęła na wielkiego służącego.

- To niepotrzebne... - zaczęła Minerva.

- Ależ tak. - Wszystkie trzy odezwały się zgodnie, po raz pierwszy tego wieczoru.

Charlotte na pożegnanie pocałowała Minervę w oba policzki. Nagle wpadło jej coś do głowy.

- Mogłybyście we dwie zanocować dziś u mnie - zwróciła się do lady Mary i Violetty. - W ten sposób nie będziemy jutro traciły czasu i zjawimy się tu rano.

- Nie przyjeżdżajcie zbyt wcześnie - rzekła Minerva, zanim odpowiedziały na zaproszenie. - Caroline może zacząć coś podejrzewać.

- Kiedy wszystko odkryje, będzie tylko zadowolona, że to zrobiliśmy - uspokoiła ją Charlotte.

- Bardziej niż reakcji Caroline, powinnyśmy się obawiać tego, co zrobi potem pan Ferrington - zauważyła Minerva.

- W takim razie musimy czekać do dziesiątej.

Uznały, że to dobry pomysł. Pierre rozpoczął dyżur przy drzwiach prowadzących do piwnicy. Wyjął z kieszeni książkę Rousseau, by spędzić noc na lekturze. Minerva obiecała, że Jasper zmieni go nad ranem.

- Charlotte, skąd pochodzi twój służący? - spytała w holu przyjaciółkę. - Nie mogę uwierzyć, że Pierre czyta Rousseau. Wydaje mi się, że nasz Jasper potrafi co najwyżej się podpisać.

- To przez rewolucję. - Charlotte wzruszyła ramionami. - Dzięki niej każdy Francuz stał się filozofem. Ja nie wpadłabym na to, by czytać Rousseau, chyba że potraktowałabym lekturę jako środek nasenny.

Po chwili wyszły wszystkie i w domu zapanowała cisza. Ze świecą w dłoni, napawając się spokojem, Minerva oparła się o drzwi. Bywały chwile w jej życiu pełne takich burzliwych nocy. Nie pozwoli, by ogarnęły ją jakiegokolwiek wątpliwości dotyczące porwania. Nie dawało jej jednak spokoju, że pan Ferrington uwierzył, że Caroline jest w to wmieszana.

- Minervo, to ty? - usłyszała cichy głos Caroline dochodzący z góry.

Podskoczyła i omal nie upuściła świecy.

- Caroline, tak prędko wróciłaś? - Minerva ruszyła po schodach.

- Wysłałam wcześniej z balu. Czy jesteś sama? Zdawało mi się, że słyszałam czyjeś głosy.

- To Charlotte i reszta. Właśnie wyszły do domu.

- Nie słyszałam, jak wchodziły.

- Byłyśmy w kuchni - powiedziała Minerva, znalazłszy się na górze.

Korytarz na piętrze był krótki i wąski. Caroline stała w drzwiach. W jej sypialni paliły się świece. Ubrana w białą flanelową koszulę i uczesana w warkocz spadający jej na plecy, wyglądała bardziej na dziecko niż na niezależną młodą kobietę. Serce Minervy przepełniły matczyne uczucia. Położyła rękę na jej ramieniu.

- Czy coś cię gryzie?

Caroline skinęła głową.

- Chcesz o tym porozmawiać?

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu?

Minerva poczuła się wzruszona nieoczekiwaną prośbą.

- Oczywiście, że nie. - Weszła za nią do sypialni. Caroline usiadła na łóżku pokrytym zmiętoszoną pościelą, podciągając kolana pod brodę. Pościel wyglądała tak, jakby Caroline próbowała bezskutecznie usnąć. Minerva postawiła świecę na stole. Ogień płonący w kominku nie ogrzewał wystarczająco tego starego domu.

- O co chodzi?

Caroline zaczęła bawić się stopą, próbując ją schować pod fałdami koszuli. Wreszcie zgarbiła plecy i wyznała: - Jestem zgubiona.

- Zgubiona? Dlaczego tak uważasz?

W oczach Caroline pokazały się wielkie łzy. Zamrugła. Minerva myślała, że serce jej pęknie na ten widok. Usiadła na łóżku i przytuliła swą podopieczną.

- Cokolwiek to jest, na pewno nie jest aż tak straszne.

- Ależ jest!

- Opowiedz wszystko.

- Chodzi o pana Ferringtona. Tego Szczura, drania, tego... rozpustnika!

Minerva zastygła w bezruchu.

- Co takiego zrobił? - spytała, oczekując najgorszego.

- Kupił mi suknię!

- Caroline, mówisz zupełnie bez sensu. Jak możesz nazywać go draniem, skoro kupił ci suknię?

- Chodzi o tę suknię, w której poszłam na bal. To nie była suknia Elizabeth. James Ferrington przysłał mi ją tak, jakby była od niej. Ale lady Lavenham...

- Lady Lavenham? - powtórzyła ciotka, niepewna, czy dobrze usłyszała. - Masz na myśli Verę Stanbury, hrabinę Lavenham?

Caroline kiwnęła głową.

- Co takiego zrobiła? - Minerva dobrze wiedziała, do czego jest zdolna Vera.

- Widziała, jak James... to znaczy pan Ferrington, kupował tę suknię, i zrobiła mi scenę na balu. Powiedziała wszystkim, że jestem jego kochanką.

- Czy wspomniała moje nazwisko? - Minervę ogarnęło złe przeczucie.

- Tak - przyznała zmieszana Caroline. - Dlaczego mnie zaatakowała w obecności tylu ludzi i zepsuła przyjęcie Elizabeth? Zachowała się podle. Nawet lady Dirnhurst wydawała się zażenowana jej zachowaniem, chociaż nie stanęła w mojej obronie.

- Mała ploteczka nie może zepsuć balu - pospieszyła z zapewnieniem Minerva. - Poza tym, nie jesteś jego kochanką. Jeśli pan Ferrington jest dżentelmenem, wyjaśni to nieporozumienie. - Jej myśli pobiegły ku mężczyźnie uwięzionemu w piwnicy. Ostrożnie powróciła do tematu. - Być może kupił ci tę suknię, ale ty o niczym nie wiedziałaś. Zdarzają się jeszcze gorsze rzeczy.

- Och, Minervo, nie rozumiesz albo nie pamiętasz, jak wiele zależy od konwenansów. Ludzie poddają drobiazgowej analizie każdy niuans, każdy błąd, który mógłby zdyskredytować człowieka, a wdowa zawsze będzie podwójnie podejrzana. Panie w kółku zachowują się tak, jakby nie mogły się doczekać, kiedy zaczną uganiać się za mężczyznami. Co zrobię, kiedy o tym wszystkim usłyszy panna Elmhart? Lady Dirnhurst już zdołała ją namówić, by zmniejszyła mi liczbę lekcji. Panna Elmhart powiedziała mi w poniedziałek rano, że ma zamiar znów zwiększyć liczbę moich zajęć, kiedy tylko wyjaśni kilka spraw z lady Dirnhurst. Teraz pewnie będzie zmuszona pozbyć się mnie w ogóle.

- Nie robi tego. Jesteś jedną z jej najlepszych nauczycielek.

- Może to zrobić, i robi na pewno, zwłaszcza jeśli zostanie do tego skłoniona przez lady Dirnhurst. Lady Lavenham dosłownie wykrzyczała mi dzisiaj, że nie jestem osobą, która powinna kontaktować się z dziećmi. To było bardzo żenujące. Słuchał tego tłum ludzi. Moja matka zawsze, mawiała, że kobieta ma tylko jedną wartościową rzecz, jest nią reputacja.

- Caroline...

- A teraz ją straciłam.

- Słuchaj mnie uważnie i zapamiętaj moje słowa. Niektórzy pomyślą o tobie, że jesteś najgorsza, ponieważ tacy już są. A inni zrozumieją i wybaczą błąd.

- Czy to właśnie przydarzyło się tobie? Popełniłaś błąd?

Pytanie zaskoczyło Minervę.

- To znaczy, że nic nie wiesz? - spytała ostrożnie. - Wydawało mi się, że moja obłudna rodzinka zdążyła ci opowiedzieć całą historię.

- Nie mówili o tobie. Po raz pierwszy dowiedziałam się o twoim istnieniu, kiedy wróciłaś z Włoch, krótko przed śmiercią Trumbulla.

Minerva wzięła ją za rękę i trzymała przez chwilę. Kiedy wróciła z Włoch, oplakując Bernarda, niebiosy zesłały jej tę dziewczynę, której prawie nie знаła, a która powitała ją z otwartymi ramionami. Bez pytań. Bez zobowiązań. Była szczęśliwa, mogąc to przyjąć. Teraz Minerva zdała

sobie sprawę, że nie chce powiedzieć niczego, co spowodowałoby, że straciłaby w jej oczach. Ale czy ma ukryć prawdę?

- Popeliłam błąd? Nie, ja uciekłam.

- Dlaczego? Co cię skłoniło do ucieczki?

- Dobrze wiem, co masz na myśli, mówiąc o potędze plotki. Wiele lat temu złamałam reguły obowiązujące w towarzystwie. Uciekłam z mężczyzną, którego przyrzeczno innej. W drodze do granicy szkockiej nasz powóz się wywrócił. Mój ukochany zmarł.

Przez chwilę Minerva nie mogła wydobyć głosu. Znowu odczuwała cierpienie i stratę, jakby wypadek miał miejsce zaledwie wczoraj, a nie trzydzieści lat temu.

Widząc smutek malujący się na twarzy ciotki, Caroline objęła ją.

- Tak mi przykro.

- Mnie również. Miałam wtedy złamane nogi. Obydwie. Dlatego czasami odczuwam ból na zmianę pogody.

- Kim on był?

- Robert Edwards był synem markiza St. Justa. Dla mnie zrezygnował ze swego dziedzictwa. - Zesztywniała. - Spędziliśmy wspólnie jedną noc w czasie drogi. Chociaż uszanował moje dziewictwo, moja reputacja legła w gruzach. Nie byłam dziedziczką wielkiej fortuny, która pozwoliłaby ewentualnemu kandydatowi na męża zapomnieć o moim postępkach. Mój ojciec, dziadek Trumbulla, stwierdził, że nie mam szans na małżeństwo. Chciał wysłać mnie do jednego ze swych przyjaciół, żebym pracowała tam jako guwernantka. Nie chciałam tego. - Uśmiechnęła się do Caroline. - Przestałam mu być uległą. Zaczęłam się buntować. Prowokowałam go swym zachowaniem, chciałam, by mnie wygnał z domu, aż pewnego dnia to zrobił. Nastąpił szalony okres w moim życiu. Nie liczyłam się ze swoim pochodzeniem, nie dbałam o dobre wychowanie, reputację. Chciałam się zniszczyć. - Potrząsnęła głową. - Och, Caroline, przez wiele nocy leżałam i błagam Boga, by mnie zabrał z tego świata, żeby pozbawił mnie życia. Nie rozumiałam, dlaczego zabrał mojego Roberta i chciał bym dalej żyła.

- Co się wtedy stało?

- Spotkałam Charlotte. - Minerva uśmiechnęła się. - Nie sądzę, by była zadowolona, że stała się w pewnym sensie osobą, którą sobie wymodliłam. Zaopiekowała się mną - Minerva wywróciła oczami. - Spotkałyśmy się tu, w Londynie. Baron, mąż Charlotte, zmarł, zostawiając ją bez grosza przy duszy. Miała dopiero osiemnaście lat, przez trzy lata była jego żoną. Ja przechodziłam od jednego mężczyzny do drugiego. - Zmusiła się, by spojrzeć na Caroline. - Było to okropne, a ona wiedziała, że nie jestem do takiego życia stworzona. Ofiarowała mi przyjaźń i nauczyła szacunku do samej siebie. Charlotte uważa, że cały świat pełen jest niezwykłych rzeczy, miejsc, ludzi i... kochanków - dodała ze skrucą. - Potem poznałam Bernarda i moje życie stało się normalniejsze. Żyliśmy tak, jak dwoje ludzi, którzy się kochają. Poczulałam się z nim szczęśliwa.

Caroline słuchała słów ciotki ze zmarszczonym czołem.

- Muszę ci coś wyznać - powiedziała w końcu. - Obawiam się, że uznasz mnie za hipokrytkę.

- Caroline, nie wyobrażam sobie, bym mogła tak o tobie myśleć. Wierz mi, nie zawiodę twojego zaufania.

- Przyszło mi do głowy, że może nie byłoby tak źle, gdybym zdecydowała się... "popęnić błąd" z Jamesem Ferringtonem.

Minerva o mało nie spadła z łóżka.

- Przy nim czuję się... rozpalona i jednocześnie zimna, szalona i zupełnie normalna. - Caroline wstała z łóżka i zaczęła przemierzać pokój. - Kiedy jestem daleko od niego, nie potrafię przestać o nim myśleć. Kiedy znowu jestem przy nim, choćbym nie wiem, jak bardzo się starała, potrafi zburzyć mój spokój. Wtedy zapominam nawet o sprawie domu. Chciałam porozmawiać o tym dzisiaj i nie zrobiłam tego. Nie byłam nawet zła na niego... Prawdę mówiąc, cieszyłam się, że go widzę. - Potrząsnęła głową. Policzki się jej zaróżowiły. - Śnię o nim często, a kiedy się budzę, jestem tak niespokojna, że nie mogę zasnąć. Odkąd go spotkałam, nie zaznałam spokoju.

- Mogłabym przysiąc, że go nienawidzisz. Dzisiaj po południu zachowywałaś się tak, jakby to był twój największy wróg.

- Widzisz więc, jaka ze mnie hipokrytka. - Caroline zatrzymała się w pół kroku. - Chcę, by oddał mi dom, ale wtedy nie zobaczę go już nigdy. Nie wiem, czy potrafiłabym to znieść.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że chciałabyś się zobaczyć z panem Ferringtonem? Że nie jesteś na niego zła? - spytała skonfundowana Minerva.

- Ależ jestem! Nie powinien kupować tej sukni. Przez to moja reputacja legła w gruzach. A jednocześnie bardzo go pragnę. - Zakryła twarz dłońmi. - Straciłam zdrowy rozsądek. Powiedz mi, że powinnam o nim zapomnieć. - Nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej: - Dzisiaj wieczorem błagał mnie, bym mu zaufała. Ale jak mogę mu ufać po tym, co zrobił z tą suknią?

- Czy okłamał cię?

- Nie. Ale też nie powiedział, że to zrobił. - Skrzyżowała ręce na piersiach.

- W takim razie, nie dostrzegam tu żadnego kłamstwa.

Caroline opuściła ręce w zdenerwowaniu.

- Powinien przecież wiedzieć, że jego czyn może mnie skompromitować.

- Czasami, moja droga, mężczyźni nie potrafią myśleć logicznie. Może to, co zrobił, nie było najlepszą rzeczą, ale na pewno nie najgorszą.

Caroline przełożyła warkocz przez ramię i odruchowo zaczęła się nim bawić, gładząc jedwabiste włosy.

- Ostatnim mężczyzną, do którego coś czułam, był Trumbull, i proszę, jak to się skończyło? Nie chcę znów popełnić identycznego błędu.

- James Ferrington to nie Trumbull Pearson - powiedziała stanowczo Minerva. - Trumbull był, jak jego ojciec, słaby i egoistyczny. Nie chowaj się przed miłością tylko dlatego, że miałaś jedno złe doświadczenie. Jesteś teraz starsza i mądrzejsza. Potrafisz się obronić przed następnym Trumbullem.

Caroline odrzuciła warkocz do tyłu i wyprostowała się.

- Pewnie masz rację. Jutro zobaczę się z panem Ferringtonem, poproszę o zwrot domu i... może porozmawiamy o innych sprawach.

Minervę zaskoczył jej pełen tęsknoty głos.

- Mówisz to poważnie? Naprawdę masz zamiar związać się z panem Ferringtonem?

- Czy to źle?

- Nie, cara. Co więcej, uważam, że nie mogłaś podjąć słuszniejszej decyzji. Jednak, jeśli poważnie myślisz o związku z panem Ferringtonem, powinnaś się pośpieszyć.

- Dlaczego?

- Ponieważ leży teraz związany w piwnicy i nie jest w najlepszym humorze...

Caroline spojrzała na ciotkę, jakby ta zaczęła mówić bez sensu.

- Co ty powiedziałaś?

Minerva westchnęła.

- Razem z lady Mary, Violetą i Charlotte porwałam dzisiaj pana Ferringtona, gdy wracał z balu. Uwięziliśmy go w piwnicy, grożąc, że jeśli nie zwróci ci aktu własności domu, nie stawi się na ważne spotkanie, które ma się odbyć pojutrze. - Nagle spojrzała na zegarek i dodała: - A raczej jutro. Właśnie minęła pierwsza.

Okazało się, że mówi sama do siebie. Caroline wybiegła pośpiesznie, by uwolnić Jamesa Ferringtona.

# 16

Caroline zeszła do ciemnej piwnicy, stąpając boso po wąskich drewnianych schodach. W rękę trzymała latarnię, którą wzięła od Pierre'a. Piwnica miała nie więcej niż dwanaście na dwanaście stóp. Używano jej do przechowywania ziemniaków, cebuli i starych mebli, pozostawionych przez poprzednich właścicieli.

Dojrawszy więźnia, krzyknęła. Pomyśleć, co zrobiła jej ciotka! I na dodatek zostawiła go na noc w tym pomieszczeniu! Leżał na boku na brudnej podłodze, z rękami związanymi z tyłu, z nogami unieruchomionymi w kostkach i ogromnym kneblem w ustach. W jego oczach czaiła się furia.

Ostrzeżenie Minervy, że nie jest w najlepszym humorze, okazało się jak najbardziej prawdziwe.

Caroline podeszła do niego ostrożnie.

- Panie Ferrington, tak mi przykro... - zaczęła, stawiając latarnię i uklękła obok niego.

Użyła wszystkich sił, by przywrócić go do pozycji siedzącej. Wyszarpnął się i omal znów nie runął na podłogę, ale w ostatniej chwili udało mu się utrzymać równowagę.

- Rozumiem, że jest pan bardzo zdenerwowany - powiedziała pospiesznie. - Proszę jednak zrozumieć, moja ciotka działała pod wpływem najlepszych intencji, chciała mi pomóc.

Posłał jej piorunujące spojrzenie, co wywołało komiczny efekt z powodu tkwiącego w jego ustach knebla.

- Proszę, niech pan zachowuje się rozsądnie, panie Ferrington. Zanim panu wyjmę z ust knebel, musi mi pan przyrzec, że nie zrobi krzywdy mojej ciotce.

Zmrużył oczy, wyraźnie nie zadowolony z jej warunku. Pomyślała jednak, że nie ma innego wyjścia i musi go spełnić. Chwilę później skinął głową.

Westchnęła z ulgą.

- Dziękuję. Nie jest pan w stanie zrozumieć, jaka byłam zaszokowana, gdy dowiedziałam się, co się stało. Dzięki, że potrafi pan to docenić.

Powiedział coś, ale słowa zostały stłumione przez knebel.

- A tak, przepraszam. Wyjmę go, zanim zacznę przecinać sznury.

Wyciągnęła knebel. Zakaszła sucho.

- Zaraz pobiegnę do kuchni po coś do picia, by mógł pan wypłukać gardło. I po nóż. - Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nie wzięła niczego do przecięcia krępujących go więzów.

Zaczęła podnosić się z podłogi, gdy powiedział coś do niej chrapliwym głosem. Nachyliła się.

- Co pan powiedział? Nie usłyszałam.

Przełknął kilka razy ślinę i powtórzył gwałtownie.

- Będę miał pani głowę podaną na tacy.

Opadła na podłogę, wstrząśnięta intensywnością jego gniewu.

- Panie Ferrington...

- Myśli pani, że dam się szantażować? Że może pani wynająć jakichś osiłków i zmusić, bym spełnił jej żądania? No cóż, wybrała pani niewłaściwego człowieka, lady Pearson. Kiedy się tylko stąd wydostanę, nie uda się pani przede mną uciec. Będę panią tropił aż po krańce ziemi, jeśli to będzie konieczne.

Rozsądny i zawsze opanowany James Ferrington, którego znała dotychczas, zniknął. Zastąpił go wściekły, szorstki mężczyzna.

- Obiecał pan - przypomniała. - Dał pan słowo, że nie zrobi nam nic złego.

- Zostałem do tego zmuszony. Obietnica złożona pod przymusem nie liczy się w obliczu prawa. Proszę się jednak nie obawiać. Zostawię pani ciotkę w spokoju. To na pani mi zależy. Pani zapłaci mi za wszystko.

- Ja? - Caroline wstała. - A co ja takiego zrobiłam? Przyszłam jedynie po to, by pana oswobodzić.

- Czy uważa mnie pani za głupca? No cóż, czemu nie? - powiedział sarkastycznie. - Jestem nim. Jestem cholernym głupcem. - Spojrzał na nią przymrużonymi oczami. Wyczuwała jego straszny

gniew. - Powiedz mi, Jezabel, jak to jest, że dla ciebie byłem niemal gotów całować ziemię, po której stąpałaś, a ty cały czas planowałaś tę zdradę.

- Jezabel? Panie Ferrington...

- O, następna sztuczka? - Jego twardy wzrok ześliznął się z jej twarzy ku miękkiej flanelowej koszuli i spoczął na pełnych piersiach. Wyraz jego oczu zmienił się raptownie i stał się jeszcze bardziej niebezpieczny.

Nagle poczuła się zupełnie bezbronna. Powinna narzucić coś na koszulę, powinna o tym pomyśleć, zanim pobiegła bez namysłu, by go uwolnić.

Zacisnął szczęki.

- Czy ma pani zamiar zrobić ze mnie jeszcze większego głupca, madame? - powiedział ochryplym głosem. Tym razem nie knebel był powodem zmiany jego głosu. O, tak, tym razem powód był zupełnie inny. Zaczęła się domyślać jaki.

- Nie uważam pana za głupca.

- Ależ jestem nim, madame - stwierdził gorzko. - Jestem strasznym głupcem, ponieważ zakochałem się w takiej kobiecie jak pani!

Zakochałem się? Słowa zadudniły w jej głowie. Usiadła, gapiąc się na niego, czekając, aż się cofnie. Nie zrobił tego. Sprawiał wrażenie, jakby przestał zupełnie oddychać. Słuch musiał ją chyba mylić.

Zakochałem się? James nie mógł uwierzyć, że wypowiedział te słowa. Nie wierzył w miłość. Miłość była tylko fantazją potrzebną poetom, by mieli o czym pisać wiersze, jeśli nic poświęcali ich kwiatom, ptakom i innym tego typu bzdurcom. Nie opierała się na mocnych faktach, które rozumiał.

Powoli nabrał powietrza w płuca, cały czas nie spuszczać z niej oczu. Zdał sobie sprawę z najgorszego. Nic mu nic odpowiedziała. Patrzyła tylko na niego szeroko otwartymi oczami, siedząc nieruchomo, jakby nie wzruszyły jej zupełnie jego słowa. Nie odwzajemniała jego uczuć! Odrzuciła go, Jamesa Ferringtona, człowieka, który zdobywał wszystko, czego zapragnął.

Gniew, wstyd, ból, wszystko razem zmieszało się w uczucie wściekłości.

- Co za ironia losu - powiedział, by nie zauważyła, jak bardzo zraniło go jej milczenie. - Mogłaby mieć pani tysiące funtów na wydatki, a nie tylko ten marny walący się domek. A teraz nie dostanie

pani nic. Czeka panią jedynie więzienie...

- Panie Ferrington, pan nic nie rozumie... - Przyklękła znowu, by go rozwiązać.

Wyszarpnął się, jakby jej dotyk go obrażał.

- Doprawdy, madame? Czy to znaczy, że nie leżę teraz związany w pani piwnicy? Że nie jestem przez panią szantażowany?

- Nie groziłam panu i nie szantażowałam. Mogę wszystko wyjaśnić. Moja ciotka wraz ze swymi przyjaciółkami pragnęły mi jedynie pomóc. Zabrał pan akt własności mojego domu i odmówił jego zwrotu, chociaż dom należy do mnie...

- Dlaczego więc nie oddała pani sprawy do sądu, zamiast pakować mnie związanego do swej piwnicy? Lepiej niech pani znajdzie dobrego prawnika. Dopilnuję, by nasza sprawa skończyła się w sądzie. Kiedy z panią skończę, nie będzie już pani trzymała tak wysoko uniesionej głowy.

Caroline przestała nad sobą panować. Wstała gwałtownie.

- Dostyc tego! Przyszłam, by pana uwolnić, ale widzę, że nie ma pan ochoty wysłuchać moich wyjaśnień. Wystarczają panu zupełnie te nieprzemysłane wnioski.

Udało mu się sprowokować ją do wybuchu gniewu. To dało mu okazję, by wyładować złość.

- Czyż nie zostałem związany, madame? Czy w mojej głowie nie dudni od uderzenia, którym mnie dzisiaj poczęstowano? To są fakty, moja pani, a nie nieprzemysłane wnioski.

Caroline zacisnęła pięści. Cała trzęsła się z wściekłości.

- Jest pan najbardziej denerwującym, aroganckim i zarozumiałym człowiekiem, jakiegokolwiek spotkałam w życiu...

- Jakie znaczenie może mieć dla mnie opinia takiej harpii...

- Panie Ferrington... - zaczęła. Ton jej głosu zdradził mu, że jego słowa trafiły w cel.

- Jezabel - rzekł, wysuwając wyzywająco podbródek.

- Proszę przestać!

- Dalila - powiedział powoli.  
- Nie pozwolę...  
- Jęcza.

Zerwała się jak burza. Pomyślał, że wychodzi, ale zatoczyła koło i stanęła przed nim. Jej oczy błyszczały gniewem; wyglądała jak zła bogini... jego bogini księżycy.

Pomyślał przekornie, że nigdy nie wyglądała wspanialej niż teraz, z włosami zaplecionymi w warkocz opadający przez ramię i we flanelowej koszuli nocnej.

Koszula. Nagle jego ciało zaczęło opanowywać zupełnie inne uczucie niż gniew. Nic nie szkodzi, że była okryta od szyi po czubki palców u stóp. Nagich stóp.

Caroline nie miała nic pod spodem. Nic. Widział, jak delikatny materiał opina jej pełne piersi. Potrafił sobie wyobrazić ich kształt i ciężar. Gorące, silne pożądanie owładnęło nim z siłą, jakiej nie odczuwał od czasów, gdy jako czternastolatek zobaczył piersi służącej. Cholerne pożądanie. Cierpiał z dzikiego podniecenia.

Spojrzał na jej usta, na kształtne zęby i przypomniał sobie noc w powozie. Miał ją wtedy pod sobą. Pieścił ją...

Dlaczego, do licha, tak ze sobą walczą? Nie musi dbać o to, że Caroline go nie kocha. Ważne, żeby wreszcie udało mu się uśmierzyć to dzikie pożądanie, które pulsowało w żyłach głośno jak bębny.

Wielkie nieba, jak on jej pragnie!

Powoli, jak przez mgłę uświadomił sobie, że Caroline coś do niego mówi. Zaczęły do niego docierać jej słowa.

- Jest pan egoistą! I to wyrachowanym... Rozumiem już, jak udało się panu zdobyć tak wielki majątek. Zabierając innym ich własność. Ale ja jestem kobietą, której pan nie dostanie. Wyzywa mnie pan? Proszę bardzo, ja też mogę coś na pana znaleźć. Jest pan... jest pan... rozpustnikiem!

Była to najgorsza obelga, jaka jej przyszła do głowy.

Droga, cudowna Caroline. Jak pięknie wygląda, gdy się tak na niego gniewa. Uśmiechnął się do niej.

To był błąd!

- Śmieje się pan ze mnie? - powiedziała z furią. - Ja mówię, co o panu myślę, a pan się ze mnie śmieje? - Naraz zakręciła się na pięcie i odeszła od niego, jakby potrzebowała, by rozdzieliła ich większa przestrzeń.

Patrzył na nią zafascynowany, jak wyraźnie walczy ze sobą, by nie dać ponieść się wybuchowi gniewu. Doświadczenie nauczyło go, że kobiety dzielą się na dwie kategorie. Są albo bardzo namiętne, albo rozważne. Caroline była cudownym połączeniem obu typów. Wiedział o tym. Czuł to. Nic dziwnego, że ją pokochał.

Kocha ją! Tym razem nie czuł się zakłopotany tymi słowami. Brzmiały dla niego jak muzyka.

Trzymając wysoko głowę jak królowa, powiedziała do niego zimnym, wyniosłym tonem:

- Nie, nie zniżę się do pańskiego poziomu. Tym razem ja wygram. Nie może mieć pan wszystkiego, czego tylko zechce. Może pan sobie gnić w piwnicy do sądnego dnia, albo zwróci mi pan akt własności mojego domu. - Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się na pięcie i wymaszerowała poza krąg światła.

Zniknęła w ciemnościach. Usłyszał jej bose stopy na schodach. Trzasnęły drzwi. Dobrze, że przynajmniej zostawiła światło. Zdawał sobie jednak sprawę, że wiele stracił w jej oczach. Musi teraz zabiegać o zmianę jej nastawienia do siebie.

Naraz przyszła mu do głowy pewna myśl. Caroline Pearson nie będzie mogła go ignorować. Będąc w jej domu, ma jej niepodzielną uwagę, skorzysta z tego i rozkocha ją w sobie zupełnie i dziko.

Potrafi tego dokonać. Potrafił namówić sułtana, by otworzył dla niego szlaki handlowe, to potrafi również zdobyć serce kobiety. Nigdy tego nie próbował, ale to nie powinno być trudne.

Kilka minut później drzwi do piwnicy otworzyły się ponownie. Rozległy się ciężkie kroki i z ciemności wyłonił się wielkolud. James niespokojnie przyglądał się, jak mężczyzna nachyla się, by położyć na podłodze gruby materac.

- Madame Pearson powiedziała mi, abym zadbał o pana wygodę. Obawia się, że spędzi pan tu sporo czasu. - Mówiąc to, olbrzym podniósł Jamesa za ramiona i rzucił na materac. Potem odwrócił się i wyszedł.



James uznał, że to dobry początek. Miał materac, światło, a przy odrobinie szczęścia będzie miał również Caroline. Po raz pierwszy zapadł w głęboki spokojny sen. Śniła mu się Caroline w białej koszuli nocnej.

Caroline usnęła dopiero z nastaniem świtu. Na myśl, że James jest pod jej dachem, czuła się dziwnie zdenerwowana. Z jednej strony z przyjemnością myślała o jego bliskości, z drugiej jednak czuła się wzburzona. Dobrze, że leżał w piwnicy poza zasięgiem jej wzroku.

Wstała dopiero przed południem. Niespokojna, co spotka ją na dole, sięgnęła po czarną suknię i znieruchomiała. Suknia balowa nadal wisiała na haku. Musnęła palcami błękitny jedwab. To była najpiękniejsza kreacja, jaką w życiu miała na sobie.

Gwałtownie odsunęła ją na bok i włożyła żałobny strój. Ubrała się szybko i zeszła do kuchni, gdzie spotkała lady Mary, Violetę, baronową, Minervę i Jaspera. Zastłuchani siedzieli wokół drzwi do piwnicy.

- Co wy wyrabiacie? - Caroline najczęściej o tej porze nie była w dobrym nastroju.

Violetta Mills uciszyła ją, a inne panie zupełnie zignorowały. Przysunęła się bliżej drzwi. Z piwnicy wydobywał się śpiew w wykonaniu męskiego barytonu.

Cofnęła się.

- Czy on śpiewa? - Rozpoznała melodię, popularną balladę o straconej i odzyskanej miłości.

- Tak - odparła Violetta. - Uwielbiam męski baryton. Pan Ferrington mógłby śpiewać nawet w chórze.

Baronowa podniosła wymownie brew.

- Czy wiecie, co mawiają o mężczyźnie, który dobrze śpiewa?

- Nie. Co takiego? - zaciekała się lady Mary.

- Mężczyzna, który jest dobrym śpiewakiem, jest też dobrym kochankiem.

- Nie słyszałam o tym. - Violetta zamruwała ze zdziwienia. - Czy to prawda?

Caroline wydała z siebie zniecierpliwiony pomruk.

- Popatrzcie tylko na siebie. Ten człowiek jest naszym więźniem. Nie powinien śpiewać ballad i dobrze się bawić.

Jakby dla przeciwstawienia się jej słowom, Ferrington z całych sił zaczął wyśpiewywać żeglarską balladę.

- Zamiast podziwiać go jak tenora w operze, powinniśmy mu powiedzieć, żeby przestał tak wyć.

Minerva spojrzała na Caroline.

- Widzę, że nie spałaś zbyt dobrze. Słyszałam u siebie w pokoju, jak przewracałaś się w łóżku prawie przez całą noc.

Pod ostrzałem wnikliwego wzroku ciotki kuchnia stała się zbyt mała dla Caroline.

- Trochę się z nim pokłóciłam w nocy. Powiedział, że nie ma zamiaru zwrócić mi domu.

Violetta Mills machnęła lekceważąco ręką.

- W nocy nadal odczuwał skutki uderzenia w głowę. Teraz jest we wspaniałym humorze. Czy wiedziałaś, że zna język rosyjski?

- Byłyście już na dole i rozmawialiście z nim?

Minerva skinęła głową.

- Zjadłyśmy z nim śniadanie. - Zamknęła oczy, by przywołać wspomnienie z rana. - Taki mężczyzna potrafi ściąć kobietę z nóg.

- I zaciągnąć ją do łóżka - dodała baronowa.

Caroline poczuła, że musi usiąść. Dyskutowanie z przyjaciółkami ciotki to dla niej zbyt wiele. W kuchni nie było jednak ani jednego krzesła.

- A gdzie są krzesła? Co się stało ze stołem?

- Kazałyśmy Pierre'owi, by zaniósł je na dół - wyjaśniła baronowa. - Musiałyśmy przecież na czymś siedzieć, gdy jadłyśmy z nim śniadanie.

Caroline zrobiła kilka kroków po pustej kuchni.

- Nie mogę w to uwierzyć. Dochodzę do wniosku, że powinno się nas zamknąć w Beldham.

- Dlaczego? - spytała lady Mary. - Ponieważ podoba nam się jego śpiew?

- Dlatego, że go porwałycie, że jeśli uda mu się stąd wyjść, wsadzi nas wszystkich za kratki. A wreszcie, ponieważ wy wszystkie, mimo to, odwiedzacie go i gapicie się w niego jak sroka w gnat.

Minerva dotknęła Jaspера w ramię.

- Wydaje mi się, że Caroline powinna napić się herbaty. Wiesz, że dopóki nie wypije herbaty, nie jest w najlepszym humorze.

- Wcale się na niego nie gapiliśmy. - Lady Mary z oburzeniem uniosła głowę. - Podziwialiśmy go.

- Tak, podziwialiśmy go - zgodziła się Violetta.

- Ja się gapiałam - przyznała baronowa.

Caroline uśmiechnęła się szeroko. Może to ona nadaje się do domu wariatów.

- Kochanie, on chciałby z tobą porozmawiać - powiedziała Minerva.

Caroline wzięła filiżankę herbaty, którą podał jej Jasper. Połknęła orzeźwiający łyk.

- Niemożliwe.

- Wyznał nam, że zeszłej nocy powiedział kilka niemiłych rzeczy. Ja to rozumiem, był nieco wytracony z równowagi.

Wiedząc, że wszystkie oczy zwrócone są na nią, Caroline demonstracyjnie odstawiała filiżankę na skrzynkę.

- Nie chcę mieć z nim do czynienia.

- Ale on chce z tobą mówić. Może chce cię przeprosić - powiedziała z nadzieją w głosie zawsze romantyczna Violetta.

- Jeśli chce to zrobić, powinien oddać mi mój dom. To będą wystarczające przeprosiny.

- Ale on powiedział, że jeśli chcesz dostać z powrotem dom, musisz z nim najpierw porozmawiać.

Caroline poczuła, że jeszcze chwila, i wybuchnie.

- W takim razie sytuacja jest bez wyjścia. Mam nadzieję, że będzie mu wygodnie w mojej piwnicy.

W kuchni zapadła cisza. Słysząc było jedynie męski głos śpiewający zagrzewającą do boju piosenkę wojskową. Rzeczywiście ma świetny głos, przyznała niechętnie Caroline. Mógłby się wreszcie zamknąć. Łyknęła herbaty. Ciszę przerwała baronowa.

- W takim razie mamy problem. - Spojrzała po wszystkich. - Co zrobimy, jeśli nie zwróci domu?

- Ugotujemy go we wrzącym oleju - zasugerowała Caroline.

Zignorowała jej uwagę.

- Może powinniśmy go wypuścić - zaproponowała miękko Violetta Mills. - Za bardzo go lubię, by go doprowadzić do ruiny.

- Nic z tego. - Caroline stanęła naprzeciwko grupki konspiratorek. - Przyznaję, że potrafi być czarujący, kiedy mu to odpowiada, ale diabeł również bywa taki. Ten człowiek leżący w piwnicy groził mi i składał nieprzyzwoite propozycje...

- Nieprzyzwoite. - Oczy baronowej rozjaśniły się z zadowolenia. - Kiedy?

- Kiedy go spotkałam po raz pierwszy.

Charlotte, nagle olśniona, kiwnęła głową.

- Ach, tak, wtedy, kiedy wróciłaś taka zarumieniona. Czy tak strasznie z nim walczyłaś, chérie?

Caroline spiorunowała ją wzrokiem.

- Słuchajcie - przerwała im Violetta. - Śpiewa mój ulubiony hymn.

Kobiety zastęły słuchając. Violetta zamknęła oczy i westchnęła z zadowoleniem.

- Tak się cieszę, że go porwałycie.

- A ja nie! - odparła Caroline. - Ale teraz, kiedy go już mamy w rękach, nie puścimy go, dopóki nie zwróci domu. Jeśli tego nie robi, jego firma może iść do... do... - Próbowwała przypomnieć sobie odpowiednie słowo. - Do Hadesu. - By podkreślić wagę słów stanęła dokładnie w tym miejscu, gdzie w piwnicy znajdowała się głowa Ferringtona, i tupnęła nogą.

Z włosów wysunął się luźny kosmyk. Jej zachowanie było głupie, niedojrzałe, nie pasujące do dorosłej kobiety, ale Caroline nie myślała teraz rozsądnie. Jeszcze raz tupnęła ze wszystkich sił.

- Co takiego narobiłyście? - Nagły głos Freddiego przywołał ją do rzeczywistości.

Wsunęła luźny kosmyk pod upięcie i odwróciła się do drzwi.

- Freddie, co za niespodzianka! - Spojrzała nerwowo na pozostałe kobiety. - Nie przypuszczałam, że to ty.

Freddie oddał kapelusz Jasperowi.

- Mama nalegała, żebym tu przyszedł. Doszły do nas niepokojące wieści na twój temat.

- Od kogo? - spytała Caroline, bojąc się usłyszeć odpowiedź.

- Kogo porwałyście?

- Nikogo - odparła szybko.

- Pana Ferringtona - powiedziała bez wahania Minerva. - Leży związany w piwnicy.

Caroline zmierzyła ją druzgoczącym spojrzeniem.

- To ma być żart? - Freddie spojrzał na ciotkę. Kiedy nikt się nie roześmiał, niepewnie powtórzył pytanie. - Żartujecie, prawda?

- Nie, nie żartujemy - odparła niemal wesoło lady Mary. - Związałyśmy go jak królika, żeby skruszał.

- Związałyście go? - Freddie spojrzał na szwagierkę. - Dlaczego zrobiliście coś tak szaleńczego? Słuchaj, Caroline, jeśli popsujesz mi reputację, t ... -Nie skończył, ale jego zaczerwieniona twarz i wybałuszone oczy mówiły same za siebie.

Caroline stała nieruchomo z podniesioną głową.

- Próbuję odzyskać mój dom. Przypominasz sobie? Ten, który przegrałeś z nim w karty.

- Caroline, dom należy teraz do niego. Wygrał go. - Zamilkł i zmrużył oczy. - Rozumiesz to, mam nadzieję? - powiedział takim tonem, jakby strofował małe dziecko. - Nie wiem, po co ja tu tracę czas. - Ruszył w kierunku piwnicy.

Caroline stanęła mu na drodze.

- A gdzie ty się wybierasz?

- Idę uwolnić Ferringtona.

- Nie możesz tego zrobić,. Freddie. - W miejsce gniewu pojawiła się panika. - Postawi nas przed sądem. Zagroził mi w nocy. Musisz nam pomóc.

Przez ułamek sekundy Freddie wydawał się rozważać taką możliwość i jej konsekwencje.

- Nie pozwolę, byś wplątała w to mnie i mamę. Co więcej, skoro zawsze twierdziłaś, że chcesz być wolna, by o sobie decydować, będziesz musiała zapłacić za ten czyn.

Zaczął schodzić do piwnicy.

W strząśnięta rozwojem wydarzeń Caroline odwróciła się do Minery.

- Dlaczego powiedziałaś mu prawdę?

- Ponieważ uznałam, że tak będzie najlepiej. - Ciotka zacisnęła usta.

- Myślałaś, że tak będzie najlepiej? - powtórzyła z niedowierzaniem Caroline. - W takim razie, powiedz, co będzie najlepsze teraz?

Zanim Minerva zdążyła wymyślić odpowiedź, w holu zabrzmiał majestatyczny głos.

- Lady Pearson, czy jest pani w domu? Drzwi były otwarte. Pozwoliliśmy sobie wejść do środka.

- Och, nie - wyszeptała Caroline.

- Kto to? - spytała lady Mary.

Caroline dała znak Jasperowi, by wyszedł na spotkanie następnych gości.

- To panna Elmhart.

- Panna Elmhart? - powtórzyła lady Mary. Najwyraźniej nie znała tego nazwiska.

- Jest właścicielką pensji, gdzie uczy Caroline - wyjaśniła Minerva.

- Aha, a ja myślałam, że to ktoś ważny.

- Na przykład sędzia? - spytała sarkastycznie Caroline. - Błagam, lady Mary, pani Mills, baronowo, idźcie do domu. Minerva skontaktuje się z warni, jak uporamy się z tym zamieszaniem.

- Mamy pozbawić się udziału w tak ekscytujących wydarzeniach? - spytała Violetta Mills. - O nie, moja droga, nie ma mowy.

- Absolutnie nie - dodała lady Mary.

- Zostaniemy do końca - powiedziała baronowa.

W oczach Minery zabłyśły łzy. Objęła przyjaciółki.

- Czyż one nie są kochane? Takie lojalne. Takie honorowe.

- I takie głupie - wymruczała pod nosem Caroline.

- Co powiedziałaś? - spytała ciotka. Caroline nie musiała jej jednak odpowiadać, z sytuacji wybawił ją Jasper.

- Panna Elmhart i wielebny Tilton chcą się z panią zobaczyć, lady Pearson. Twierdzą, że to sprawa niezwyklej wagi. Zaprowadziłem ich do salonu.

Caroline nie miała ochoty opuszczać kuchni. Chciała tu być, kiedy Ferrington i Freddie wyjdą z piwnicy. Nie mogła jednak lekceważyć panny Elmhart.

- Minervo, musisz zatrzymać tutaj pana Ferringtona, dopóki nie uda mi się pozbyć moich gości. Zrób cokolwiek, ale nie pozwól, by Freddie i pan Ferrington opuścili ten dom, dopóki nie wyjdzie panna Elmhart. - Myślisz, że mogę na ciebie liczyć?

- Zrobię, co będę mogła.

Caroline wysiliła się na pewny siebie uśmiech.

- Chodźmy więc, Jasper, przywitaj się z gośćmi. Gdy dochodziła do drzwi, dobiegł ją głos Minervy: - Sądzę, że on nas nie zdradzi.

- Kto taki?

- Pan Ferrington. Nie zdradzi nas na pewno.

Reszta kobiet skinęła uroczyście głową. Caroline nic na to nie odpowiedziała.

Gdy weszła do salonu, panna Elmhart i wielebny Tilton pogrążeni byli w przyciszonej rozmowie. Pełne kwiatów wazony nadal zdobiły stoły, biurko i kominek, nadając pomieszczeniu odświętny wygląd i napełniając go intensywnym zapachem. Caroline dyskretnie zakaszła. Goście odwrócili się nagle, jakby przyłapani na jakimś niecnym uczynku.

- Panna Elmhart, pastarze Tilton, miło mi państwa widzieć. - Weszła do pokoju, wyciągając do gości ręce.

Wielebny, jej jedyny konkurent, spojrzał na nią, jakby miał ochotę przyjąć podaną dłoń, ale panna Elmhart zmroziła go wzrokiem. Wycofał się więc, mrużąc coś bez związku. Zazwyczaj był bardzo rumiany, ale teraz jego twarz przybrała barwę buraka. Wsunął na nos okulary.

Panna Elmhart, wysoka koścista kobieta, która wyglądała jak typowa guwernantka, skrzyżowała ręce na piersiach.

- W zasadzie nie chcieliśmy pani, składać tej wizyty wspólnie, lecz kiedy spotkaliśmy się u pani na schodach, okazało się, że przyszliśmy w tym samym celu.

Caroline we wdowiej żałobie, która nadawała jej wygląd osoby wysoce moralnej i pobożnej, uśmiechnęła się z udawanym spokojem.

- Tak? Przykro mi to słyszeć. Niestety, nie mogę państwa teraz przyjąć z bardzo ważnego powodu. Czy pozwolą państwo, że złożę im wizyty dzisiaj nieco później? - Śmiało ujęła gości za ręce i zaczęła prowadzić do wyjścia.

Panna Elmhart zapała się w pół kroku.

- Chodzą pewne plotki - powiedziała bez wstępu.

- Tak - dodał nerwowo wielebny. - Lady Dirnhurst przyszła do mnie dzisiaj rano...

- I do mnie - weszła mu w słowo panna Elmhart.

- Jest bardzo zaniepokojona - ciągnął pastor.

Caroline otworzyła szeroko oczy, udając zdziwienie.

- Zaniepokojona? Co takiego mogło ją zaniepokoić?

Nagle z głębi domu dobiegł kłótlivy głos Freddiego.

- Caroline? Caroline, gdzie jesteś, do licha?

- Kto to taki? - Panna Elmhart zachowywała się jak chart wyczuwający zdobycz.

- Mój szwagier - wyjaśniła uprzejmym tonem przez zaciśnięte zęby.

Słyszała, jak Minerva mówi coś do niego; dźwięk ich głosów rozbrzmiewał po całym holu. Nie zwlekając dłużej, poprowadziła wielebnego i pannę Elmhart do drzwi, wyrzucając z siebie pospieszne słowa.

- Przykro mi, że państwa tak ponaglam, ale to nie jest najlepsza pora na wizytę...

- Nie dam się zbyć. - Panna Elmhart zaczęła się wyrwać.

Caroline usłyszała, że Freddie idzie do holu.

Do salonu. Musi zatrzymać gości w salonie. Puściła ich w tej samej chwili, w której panna Elmhart próbowała się jej wyrwać. Nauczycielka z krzykiem potoczyła się do tyłu. Zaczepiła łokciem wazon z kwiatami i przewróciła go, potracając jednocześnie kałamarz. Atrament wylał się na sekretarzyk i bibularz.

- Panno Elmhart, czy nic się pani nie stało? - spytała przestraszona Caroline.

- Atrament - wybełkotała kobieta. - Wszędzie atrament i woda.

- Zaplamiła sobie pani rękę - zauważył wielebny. - I suknię. Proszę uważać.

Panna Elmhart wrzasnęła z wściekłości.

- Skąd pani ma te wszystkie kwiaty? Nie można logicznie myśleć w tym pokoju.

- Proszę poczekać, zaraz przyniosę jakąś szmatkę, by mogła pani zetrzeć plamy. - Caroline odwróciła się na pięcie, by pobiec do kuchni.

Ale w drzwiach stał Freddie z poczerwieniałą twarzą i dzikim wzrokiem. Caroline rozłożyła ręce, jakby chciała go ukryć przed oczami gości. Freddie zmierzył ich wzrokiem.

Potem, jakby dopiero rozpoznał szwagierkę, rzucił piskliwie:

- Czy wiesz, co on mi powiedział?

Caroline nie musiała pytać, co za on. Freddie skrzywił się i przybrał wściekłą minę.

- Ten cholerny Ferrington zagroził, że jeśli go rozwiążę, to przyłoży mi w szczękę tak, że połknę wszystkie zęby. Dodał także, że w ogóle nie jestem mężczyzną. Że nie jestem godzien, żeby nosić tytuł. - Oczy Freddiego z wielkiej wściekłości niemal wyszły z orbit. - Kiedy go postraszyłem pojedynkiem, powiedział, żebym tylko spróbował.

Pojawił się Jasper z jego kapeluszem: Zdenerwowany Freddie trzęsącymi się rękoma wcisnął kapelusz na głowę.

- Może sobie zgnić w waszej piwnicy, nic mnie to nie obchodzi. Cholerny parweniusz. Za kogo on się uważa, do licha? - Zamilkł dramatycznie i wyprostował się dumnie. - Ja jestem lord Freddie Pearson. Niech sobie siedzi na tyłku i rozważy moje słowa. - Po tym buńczucznym oświadczeniu wyszedł.

Caroline miała wrażenie, jakby jej dom nawiedziła trąba powietrzna. Chwilę później została otoczona przez przyjaciółki Minervy. Wszystkie zaczęły mówić naraz.

- Próbowałyśmy go powstrzymać - rzekła Violetta Mills.

- To zupełnie niezrównoważony człowiek - stwierdziła Minerva.

- Dawno się tak nie ubawiłam. - Baronowa śmiała się. - Mój Wilhelm potraktowałby tego człowieka tak samo jak pan Ferrington - zachwycała się lady Mary.

- W pani piwnicy leży związany człowiek? - wśród zgłębku zabrzmiał głos panny Elmhart.

Caroline zamarła. Spojrzała na Minervę i obydwie odwróciły się do gości.

- Proszę, nie wińcie państwo za to Caroline - powiedziała Violetta. - To my go porwałyśmy.

- Pani Mills! - krzyknęła przerażona Caroline.

- Porwałyście? - Panna Elmhart wyglądała tak, jakby była bliska apopleksji. - Porwałyście kogoś?

Violetta Mills miała właśnie skinąć głową, gdy przeszkodziła jej Minerva.

- Violetto, pozwól, że Caroline to sama wyjaśni.

- Violetta... - Wielebny Tilton powtórzył to imię, jakby złożył właśnie brakujący element układanki, której nie potrafił rozwiązać. - Violetta Mills!

Kobieta spojrzała na niego uważnie.

- Czy ja pana znam?

Pastor odskoczył do tyłu, gdy na niego spojrzała.

- Nie! Ale ja znam panią. - Wskazał na nią oskarżycielsko palcem. - Byłem w kościele, gdy uciekła pani ze swym... ze swym... - Głos załamał mu się, jakby nie potrafił zmusić się, by wymówić odpowiednie słowo.

- Kochankiem? - podpowiedziała mu zyczliwie baronowa.

Jej francuski akcent nadał temu słowu głębsze, jeszcze bardziej erotyczne zabarwienie.

Wielebny cofnął się, onieśmielony słowem wypowiedzianym przez tę wysoką Francuzkę, ale baronowa jeszcze nie skończyła.

- Proszę mi powiedzieć, co w tym złego, że kobieta ma kochanka? Czy to pana przeraża? - Gdy zaakcentowała słowo "przeraża", wielebny jeszcze raz odskoczył do tyłu i niemal wpadł na pannę Elmhart.

- Charlotte, zostaw go w spokoju. - Violetta położyła rękę na ramieniu przyjaciółki.

- On cię obraził, cherie.

- Po prostu nie zna całej prawdy...

- Ha! - przerwała jej baronowa. - Taki człowiek jak on nie zrozumie, jak wygląda życie z mężczyzną, który znęca się nad tobą, maltretuje cię...

- Wielebny Mills jest dobrym człowiekiem - powiedział pastor, ukrywając się za panną Elmhart.

- Powinno się go wysmagać biczem! - powiedziała lady Mary.

- To człowiek noszący duchowną szatę.

Głos panny Elmhart przebił się przez ogólny zgiełk.

- Chcę wiedzieć, dlaczego w piwnicy lady Pearson jakiś człowiek leży związany. Lady Dirnhurst oczekuje na odpowiedź jeszcze dzisiaj.

- Jeśli pan Ferrington zachowywałby się rozsądnie, nic musiałybyśmy walić go po głowie - wyjaśniła Violetta Mills.

- Uderzyliście pana Ferringtona w głowę? - zdumiała się panna Elmhart. - Jamesa Ferringtona? Człowieka, który ofiarował tysiąc funtów na moją pensję? Lady Pearson, jak pani mogła...

- Lady Pearson nie ma z tym nic wspólnego - oświadczyła Violetta Mills.

Caroline wzięła wazon, teraz już bez wody i kwiatów, i z całej siły uderzyła nim o podłogę.

Rozległ się brzęk i zapadła cisza. Wszystkie oczy zwróciły się na nią.

- Wnocha. - Caroline ze zdziwieniem usłyszała swój spokojny głos.

- Caroline? - Minerva nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Tak, ty również. Odwieź baronową i weź ze sobą Jaspera. Chcę, żeby wszyscy opuścili ten dom.

- Caroline... - zaczęła Minerva, ale Caroline ostrzegawczo uniosła rękę.

- Błagam, Minervo, muszę to zrobić sama.

- Co zrobić? - spytała ostrożnie ciotka.

- Rozwiązać problem pana Ferringtona.

- Nie sądzę, żeby lady Dirnhurst się to spodobało - powiedział wielebny Tilton.

Panna Elmhart kiwnęła zgodnie głową.

- Nie obchodzi mnie, co o tym sądzi lady Dirnhurst. Ani teraz, ani nigdy mnie nie obchodziło. Jeśli ma o mnie najgorsze zdanie, nie będę z nią pracowała w dobroczynności i robiła tych wszystkich bezsensownych głupot, które ona i jej przyjaciółki uważają za zbyt upokarzające dla siebie. - Wzięła od Jaspera kapelusz pastora. - Do widzenia panu, pastorze, i pani, panno Elmhart, i pani Mills. - Poprowadziła ich do wyjścia. - Baronowo, mam nadzieję, że spędzi pani z Minervą uroczy dzień. Lady Mary, do widzenia, dziękuję za pani odwiedzin. Co za dzień! Jasper, masz dzisiaj wolne.

Mówiąc to, wyprowadziła zszokowany tłum przed dom i zatrzasnęła za nimi drzwi. Przekręciła klucz w zamku. Po raz pierwszy od chwili, kiedy wstała rano z łóżka, w domu zapanował spokój. Oparła się o drzwi. Cisza. Błogosławiona cisza.

Nagle, gdzieś z daleka, usłyszała przytłumiony głos mężczyzny, wyśpiewującego sprośną piosenkę o hożej dziewczoi, która ma niezły apetyt.

Powoli wróciła do kuchni. Drzwi do piwnicy nadal były szeroko otwarte, baryton Ferringtona niósł się szeroko po całym pomieszczeniu.

I co z nim zrobić?

Miała tylko jedno wyjście. Wyjęła z szuflady nóż ruszyła do piwnicy. Zatrzymała się na chwilę, nasłuchując. Żaden mężczyzna, nikt nie zrobił większego zamieszania w jej życiu niż James Ferrington.

A poprzedniej nocy powiedział, że ją kocha.

Przez chwilę zaczęła sobie wyobrazać, jak by to było, gdyby taki mężczyzna jak on pokochał ją naprawdę.

Zmienił melodię. Zaczął śpiewać włoską piosenkę o samotnym pasterzu, który tęskni za ukochaną. Piosenka była przesycona tęsknotą, pożądaniem, namiętnością.

Wzruszyła ją. Tak jak kilka miesięcy temu, gdy usłyszała ją w operze. Nie wiedziała, że arogancki, pewny siebie Ferrington również ją polubi, i to na tyle, by nauczyć się jej słów. Śpiewał, jakby uczucia pochodziły prosto z serca.

Caroline nie dowierzała jednak swemu sercu. Miłość to tylko iluzja. Co powiedział jej ktoś wkrótce po śmierci Trumbulla? Mężczyźni nie kochają tak mocno jak kobiety. Miłość jest dla nich czymś w rodzaju umowy handlowej.

A teraz jej więzień śpiewał pieśń o cierpieniu pasterza, który umiera, tęskniąc za utraconą miłością. Słowa te wzruszyły ją głęboko, a w jej oczach pojawiły się łzy. Nic z powodu pasterza i jego ukochanej. Chciała po prostu choć przez krótką chwilę uwierzyć, że taka miłość istnieje naprawdę.

Wierzchem dłoni otarła łzy z oczu.

- Jesteś głupia - powiedziała do siebie i zeszła do piwnicy. Nawet o tej porze dnia pogrążona była w ciemnościach.



Jednak kobiety rozwiązały Jamesowi nogi. Siedział teraz na jednym z kilku krzeseł ustawionych wokół kuchennego stołu. Obok małej latarni stała na nim patera z owocami, talerzyk i butelka wina. Zamilkł ujrawszy Caroline w świetle świecy. Wstał z krzesła.

Był taki dumny, przystojny, wzór tego wszystkiego, co może sobie wymarzyć kobieta.

- Przyszłam pana uwolnić. - Pokazała mu nóż. Zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy. Nawet w mglistym blasku świecy dostrzegała ich siłę i intensywność spojrzenia. Nie mogąc tego wytrzymać, opuściła wzrok na nóż. - Zdaję sobie sprawę, że ma pan prawo zwrócić się do stróżów prawa. Może mnie pan zaskarżyć, ale błagam, by oszczędził pan Minervę i pozostałe panie.

- Caroline, nie zamierzam ich tu sprowadzać.

Te słowa zostawiły w jej duszy smutek i pustkę. Poczwała, że coś boleśnie ścisła ją w gardle. Już go nie zobaczy. Powoli podszedł do niej.

- Spójrz na mnie.

Potrząsnęła głową. Nie powinna, nie może. Kiedy nachylił się nad nią, zrobiła krok do tyłu.

- Proszę pozwolić mi przeciąć sznury.

Boże, jak jej było trudno, ale musiała to zrobić. Podniosła nóż, lecz cofnął się przed nią.

- Nie chcę, byś mnie uwolniła.

Walczyła ze sobą, by nie wybuchnąć histerycznym śmiechem.

- Wydawało mi się, że Minerva oszalała, gdy powiedziała mi, że pana porwała, ale obawiam się, że to pan stracił rozum.

- Nie, straciłem serce.

Spojrzała na niego. Był tak blisko niej. Przypomniała sobie ich wspólne chwile. Jak obejmował ją w pokoju pełnym kwiatów, albo śmiał się, gdy bąbelki w szampanie łaskotały ją w nos... albo gdy całował ją, obejmował ją, szeptał jej imię.

Zakochała się w Jamesie Ferringtonie.

- Caroline.- W jego głosie wyczuła taką samą tęsknotę, jaka ją ogarnęła.

- Ja nie... - zaczęła, ale przerwała, jakby nie dowierzając swemu głosowi.

- Co nie?

Znów poddawała się czarowi, który roztaczał wokół siebie.

Nie musiał jej nawet dotykać. Ale czuła się dotknięta, czuła się, jakby została przez niego naznaczona. Czy kiedykolwiek spotka kogoś, kto będzie na nią działał tak mocno jak on? Nie mogła sobie wyobrazić, że już nigdy nie zobaczy jego roześmianych oczu, nie będzie mogła obserwować, jak zmieniają barwę od szmaragdu po kolor leśnych drzew.

- Nie chcę tego uczucia - powiedziała rozpaczliwie.

- Ale czujesz to co ja, prawda?

Bała się odpowiedzieć.

- Caroline, już ci powiedziałem, co do ciebie czuję ...

Odwróciła się, obawiając się tych uczuć, obawiając się, że tak bardzo pragnie tego, co jej zaoferował. Powinna stąd odejść. Pobiec po schodach i uciec jak najdalej. W tej jednak chwili poczuła, jak James zagradza jej drogę.

- Caroline, kocham cię.

Próbowała go ominąć.

- Proszę. Proszę mnie puścić.

- Zaufaj mi.

- Nie wiem, czy potrafię.

- Pozwól, bym ci w tym pomógł. Nie możesz całego życia spędzić w żałobie. Jesteś namiętą kobietą. Kobieta, która wierzy, że powozy mogą unosić się w powietrzu jak bańki mydlane... która oddaje pocałunki z takim zapamiętaniem i zmysłowością...

- Nie powinnam...

- Nie mów tak! Nie ma nic bardziej właściwego niż ty w moich ramionach. Caroline, pragnę cię.

Ona również go pragnęła. Ale co by z tego wyszło? Nie mogła go poślubić. Nie chciałby jej, gdyby tylko się dowiedział, że nie może dać mu dzieci. A wtedy, tak jak w tej piosence o samotnym pasterzu, jej serce pękłoby, gdyby ją opuścił.

- Nic nie może być między nami. - Zabrała się do przecinania więzów.

- Caroline? - Próbował wyrwać ręce, ale je przytrzymała.

Nie powinna była go dotykać. To był błąd. Poczula jego mocne dłonie. Miał rację, musi komuś zaufać, uwierzyć, że mężczyzna może ją kochać z taką samą szczerością i poświęceniem jak ona.

Ale czy po doświadczeniach z Trumbullem się na to zdobędzie? Czy będzie w stanie znów uwierzyć w miłość?

- Caroline, nie pozbędziesz się mnie tak łatwo.

Nóż wypadł jej z rąk.

- Muszę - wyszeptła, uściskawszy jego dłonie.

- Nie mogę. Nie rozumiesz tego? Nie chcę żyć bez ciebie.

Pieczołowicie budowany mur, którym się otaczała przez lata, zaczął się kruszyć. Miała już dosyć samotności. Pragnęła Jamesa Ferringtona.

Po raz pierwszy poddała się pożądaniu bez strachu i wreszcie przyznała przed sobą otwarcie, że go kocha. Kocha na tyle, by mu zaufać, by uwierzyć, że nie opuści jej, gdy się dowie, że jest bezpłodna.

Kawałki sznura upadły na podłogę. Był wolny. Zamiast odwrócić się od niego i uciec, przechyliła głowę do tyłu i spojrzała mu w oczy.

- Caroline, nie mam zamiaru stąd wyjść - powiedział stanowczym głosem, który tak pokochała. - Musisz się z tym po prostu pogodzić.

W odpowiedzi stanęła na palcach, objęła go za szyję i pocałowała. Ze zdziwienia rozchylił usta. Następnie poczuła, jak otoczył ją ramionami i pocałował. Z westchnieniem poddała się pieścizocie. Tym razem nie działała pod wpływem szampana... lub niezliczonych fantazji, które ogarniały ją w czasie bezsennych nocy.

Pocałunek działał cuda. Rozbudził jej zmysły i zapragnęła jeszcze więcej. Stawał się stopniowo coraz głębszy. Bardziej śmiały i zaborczy. Nie mogła utrzymać się na nogach. Przytuliła się, czując przy sobie jego mocne ciało, silne ramiona i wyraźny dowód podniecenia...

Nagle zdała sobie sprawę, że z jej ust wydobywają się ciche westchnienia. Próbowała przywołać się do porządku. Naprawdę próbowała. Przerwała pocałunek, chwytając powietrze, jakby wydobyła się na powierzchnię wody. Przycisnął usta do pulsującego miejsca na jej szyi.

Zdawało jej się, że zaraz zapłonie od jego dotyku.

- Panie Ferrington...

- James - przerwał jej głębokim, zachrypniętym głosem. Najwyraźniej, tak samo jak jej, brakło mu tchu w piersiach. Powiódł ustami w kierunku jej ucha, szepcząc: - Powtórz. Wymów moje imię.

Potrząsnęła głową, poczuwszy nagle wstyd. Uniósł ją bez wysiłku, i posadził na brzegu stołu. Przynal się do niej i spojrzał prosto w oczy.

- Powiedz - szepnął. Patrzyła, jak porusza ustami, wymawiając te słowa, i uśmiecha się. Miał piękne usta. Silne, pełne, Zmysłowe. Znów pragnęła go pocałować, ale wyszeptła: - James.

Jej usta same złożyły się do uśmiechu. Zawahała się i powiedziała cicho:

- James. - Jak cudownie było wymawiać jego imię. Powtórzyła je jeszcze raz, napawając się siłą i radością, jaka ją przepelniała. - James.

Kiedy całował ją w czoło, uśmiechała się.

- Nie chcę słyszeć więcej, że mówisz do mnie panie Ferrington. Słyszysz. Nigdy więcej.

Uniosła dłoń i dotknęła jego policzka.

- Ogoliłeś się.

- Ależ oczywiście. - Naśladował akcent baronowej. - Jasper mnie ogolił. Panie powiedziały, że nie chcą, byś znów przeze mnie miała zaczerwienione policzki. Zapewniły, że do mnie przyjdiesz, jeśli będę cały czas śpiewał.

Wybuchnęła śmiechem. Oplótł wokół niej ramiona i śmiali się oboje, aż wreszcie znów zamknął jej usta pocałunkiem.

Ach, co to był za pocałunek!

A może po prostu Caroline wreszcie przestała obawiać się wielbego Tiltona, panny Elmhart i surowej lady Dirnhurst. Stare lęki zbladły i zamarły, kiedy żarliwie odpowiedziała na jego pieszczotę. Była tym tak zaabsorbowana, że ledwo zauważyła, kiedy zaczął odpinać guziczki sukni.

- James... - zaczęła.

Odsunął się nieco i zaczął powoli wysuwać z jej włosów spinki.

- James... - Próbowała przytrzymać suknię. - Nie powinieneś.

Wysunął ostatnią szpilkę. Ciężkie włosy rozsypały się wokół jej ramion.

Zmierzył je dłonią i wziął kosmyk między dwa palce.

- Są takie jedwabiste i delikatne. - Spojrzał jej poważnie w oczy. - Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem. Nie tylko ze względu na wygląd, ale również dzięki wewnętrznej sile ducha. I właśnie dlatego cię kocham.

Palcem zsunął suknię z jej ramienia. Pochylając się pocałował wgłębienie między szyją i ramieniem.

Nie potrafiła zebrać myśli. Zabrakło jej tchu w piersiach. Wstrząśnięta, zaskoczona i zadowolona, wsparła się na jego ramionach. Wsunął palce we włosy Caroline i przyciągnął do siebie jej głowę. Zębami zsunął obręb sukni i powędrował ustami w kierunku jej serca, coraz bliżej i bliżej.

Przestraszyła się, że zaraz umrze z rozkoszy. Chciała się z nim kochać. Drzemiące gdzieś głęboko uczucia wręcz ją rozsadzały. Czuła pragnienie, gorące, słodkie pożądanie, potrzebę spełnienia.

Odchyliła głowę i delikatnie muskała, a potem całowała jego uszy. Zareagował natychmiast. Ustami przykrył jej wargi i całował mocno i zaborczo. Gdy położył ją na stole, usłyszała huk spadającej butelki i patery z owocami. Nie potrafiła już myśleć o niczym innym.

Udami otoczyła jego biodra. Wpił się ustami między jej piersi. Zaskoczona poczuła, że wargami dotyka jej sutek. James uniósł poły jej sukni, usuwając ostatnią przeszkodę, która ich dzieliła.

Nagle do Caroline dotarło, że zaraz będzie się z nim kochała na stole kuchennym.

- James!

Uniósł głowę jedynie po to, by zacząć pieścić drugą pierś. Potem poczuła, że dotyka wypukłości jej pośladków.

- James - powtórzyła z większą siłą. Gdy całował szyję, oburącz przytrzymała, a potem uniosła jego głowę. - James, nie możemy się kochać na kuchennym stole.

- Możemy - odparł. Jego oczy aż pociemniały z pożądania.

Zaczęła się śmiać.

- Nie, nie możemy.

Spoważniał.

- Caroline, nie odmawiaj mi. Nie wytrzymam tego dłużej.

Aby jej to uzmysłwić, przytulił ją tak mocno, że poczuła nabrzmiąły członek. Rzeczywiście wyglądało na to, że dłużej tego nie wytrzyma. Niemal krzyknęła pragnąc, aby znalazł się w niej. Bardzo go pożądała. Tak jak nikogo dotąd. Miał rację. Połączyło ich coś niewytłumaczalnego, tajemniczego, obezwładniającego...

- Możemy iść na górę - wyszeptała. - Do mojej sypialni.

- Na górę?

Skinęła głową.

- A twoja ciotka i reszta towarzystwa?

- Wyrzuciłam ich z domu i zamknęłam drzwi.

- A gdzie klucz?

- W mojej kieszeni.

Porwał ją w ramiona.

- James, co ty wyprawiasz? Zaczekaj, jeszcze się w coś uderzysz. - Zarzuciła mu ramiona na szyję

- Gdzie są sypialnie? - Uśmiechnął się.

- Na piętrze.

- Weź lampę.

Złapała za uchwyt lampy i przytrzymała ją tak, by oświetlała drogę.

- To nie jest dobry pomysł - powiedziała, gdy wspinał się po schodach. - Możesz mnie upuścić.

- Tak myślisz? - wymruczał, udając, że wypuszcza ją z rąk.

Krzyknęła ze strachu i chwyciła go wolną ręką. Przytuliła policzek do jego szyi. Zauważyła, że się roześmiał, czuła szybkie bicie jego serca. Jej serce odpowiadało tym samym rytmem.

Z łatwością wniósł ją po schodach. Na górze postawił na podłodze, odstawił lampę i zgasił świecę. Kuchnię wypełniało teraz popołudniowe słońce. W blasku dnia Caroline nagle zdała sobie sprawę, jaki rewolucyjny krok właśnie stawia. Wyczuł jej wahanie.

- Nie musimy tego robić. - Objął ją.

Caroline wysłuchiwała uważnie tych słów. Policzkiem dotykała sztywno wykrochmalonych fałd jego koszuli. Naprawdę tak uważał. Cały czas czuła, jak bardzo jej pragnie, ale naprawdę był gotów z tego zrezygnować. Jeśli zmieniłaby zdanie, uszanowałby jej życzenie. Powróciło do niej złe wspomnienie pewnej nocy, po której zmieniła opinię na temat Trumbulla.

Nagle zadrżała.

- Caroline? - Chciał się od niej odsunąć, ale złapała go za ramię.

- Sypialnia jest tam. - Odwróciła się i ruszyła szybko przez kuchnię.

James miał inny pomysł. Nadepnął na ciągnący się za nią skraj sukni. Przód, który przytrzymywała rękoma, opadł niebezpiecznie. Odwróciła się, próbując wyjąć tren spod jego stopy, ale usłyszała jedynie śmiech Jamesa.

Chwilę później jak nieposłuszny uczeń pociągnął ją za włosy. Kiedy odwróciła się, by dać mu klapsa po rękę, objął ją i pocałował. Całował przez całą drogę do holu, aż oparła się o balustradę schodów.

- Suknia mi opada - szepnęła, gdy zaczerpnęli powietrza.

- Niech opada - powiedział prowokująco.

Jego sugestia podziałała na nią podniecająco. Podjęła wyzwanie; opuściła ramiona i suknia opadła na podłogę.

Spojrzał na nią wygłodniałym wzrokiem, zdejmując krawat i rozpinając koszulę. Wstępując na schody, zaśmiała się, prowokując go, by poszedł w jej ślady. Powoli, jakby z namysłem, zdjął zakiet i rzucił go na stopnie.

- Czy chcesz zdjąć coś jeszcze?

- Na przykład co? - Zaczynała jej się podobać ta zabawa.

- Na przykład buty. - Uchwycił ją za kostkę. Krzyknęła zaskoczona i roześmiała się, kiedy delikatnie ją popchnął. Wylądowała na poślądkach. Zsunął ze stopy jeden pantofelek, potem drugi i rzucił je niedbale za siebie.

- I pończochy.

- Pończochy? - powtórzyła i straciła zupełnie rozsądek, kiedy schylił głowę i zębami rozwiązał tasiemki przytrzymujące pończochy. Zanurzyła palce w jego włosach, podczas gdy on pocałunkami znaczył jej nogę do kostek. Potem nachylił się nad drugą nogą. Przeraziła się, że jeśli się temu nie sprzeciwi, wszystko zakończy się na schodach.

- James.

Uniósł głowę. Jego włosy były potargane. Ześliznęła się o jeden stopień na dół, by spojrzeć mu prosto w oczy.

- Kocham cię. - Pocałowała go z całą pasją. Teraz ona zaczęła go rozbierać. Wyszarpnęła ze spodni koszulę. Pomógł jej ściągnąć ją przez głowę. Próbowali robić to, nie przerywając pocałunków. Śmiali się lekko i radośnie jak dzieci. Nagle ich śmiech umilkł. Przez dłuższą chwilę siedzieli, wpatrując się w siebie.

Podał jej rękę. Caroline położyła na niej palce i po prowadziła do swej sypialni.

Tutaj była u siebie. Proste umeblowanie pokoju napełniało ją radosną dumą. Muślinowe zasłony tańczyły pod wpływem wiatru dostającego się przez okno, wychodzące na wiąz, pełen złocistych jesiennych liści. Wyczuła, że jemu również się tu podoba.

Najpierw z wahaniem, potem coraz śmielej położyła mu dłonie na piersiach, czując pod palcami ciepło jego twardych mięśni i bicie serca. Palcami musnął jej policzek, zarysował linie podbródka i niemal z czcią pochylił głowę, by złożyć na jej ustach pocałunek. W piwnicy pocałunki przepełnione były namiętnością i pragnieniem. Na schodach były radosne i wesołe. Ale w jej sypialni stały się pełne czci. Nadal jednak Caroline była niepewna. Chciała mu wierzyć. Chciała uwierzyć komuś, kto potrafi docenić jej miłość.

- James?

- Ummmm? - wyszeptał, zbyt zajęty całowaniem jej szyi.

- Czy nie będziemy później żałować?

Uniósł głowę i poważnie spojrzał jej prosto w oczy.

- Caroline, ja nigdy nie żałuję. Jeśli jednak chcesz, abyśmy przestali...

Potrząsnęła głową, teraz już pewna.

- Nie.

Uśmiechnął się nagle, ukazując piękne zęby. Jego uśmiech był jak promień słońca wydostający się spoza chmury. Z radosnym pomrukiem porwał ją w ramiona i rzucił na łóżko.

Podniecona, zarumieniona Caroline roześmiała się; zawtórował jej. Śmiech w miłości to było dla niej zupełnie coś nowego, ale wydawało się jak najbardziej na miejscu.

Nie marnowali zbyt wiele czasu na dalsze rozbieranie. Pośpiech i namiętność zmieszały się. Caroline zdjęła mu buty, gdy mocował się z jej gorsetem.

- Nie rozumiem, po co to nosisz - wyszeptał.

- Z tego samego powodu, dla którego ty nosisz swoje niewymowne - odparła zuchwale. Nagle westchnęła głęboko, gdy odpiął guziki i okazało się, że pod obcisłymi spodniami nie ma nic.

Zaśmiał się z jej zaskoczenia i ściągnął spodnie. Spoważniała, widząc jego mocne męskie ciało.

Nie widziała męża nagiego, a przynajmniej nie całkiem. Trumbull zawsze przychodził do niej po ciemku albo ubrany w długą nocną koszulę. Pomysł kochania się w środku dnia wstrząsnąłby nim do żywego, na pewno uznałby go za nienormalny. James Ferrington wyglądał pięknie; przystojny, silny, męski, leżał obok niej na łóżku skąpanym w popołudniowym świetle.

- Caroline? Czy oprócz nas ktoś jeszcze jest w tym pokoju? Rozejrzała się zaskoczona jego pytaniem. Nikt tutaj nie wchodził.

- Czy myślałaś o swoim mężu? - wyjaśnił miękko. Zamilkła widząc, z jaką łatwością czyta w jej myślach. - Pewnie bardzo go kochałaś - dodał poważnie.

Czy kochała kiedyś Trumbulla? Być może coś do niego czuła, ale nie była to miłość. Teraz wiedziała to z całą pewnością.

- Nie.

- W takim razie dlaczego jest tutaj z nami? - Zmarszczył brwi.

- Nie ma go - odparła gwałtownie.

- Przez tyle lat nosiłaś żałobę. Pewnie chciałaś w ten sposób uczcić jego pamięć.

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Nosила ją jedynie po to, by nie zapomnieć.

- Zapomnieć? Czego? - Przyciągnął ją i objął ramionami. Po raz drugi w tym tygodniu zaczęła mówić o swoim małżeństwie. Tym razem nie było to takie trudne jak podczas rozmowy z Minervą.

Co więcej, gdy mówiła, łatwiej było jej akceptować wspomnienia. Zaczynała myśleć o mężu bez głębokiego gniewu, który płonął w niej przez długi czas.

James słuchał opowieści o tym, że była wręcz więźniem we własnym domu, o drobnych upokorzeniach, o okrutnym zabiciu Wagsa.

- Przecież byłaś panią domu.

- Nie, moja teściowa nie zgodziła się zrezygnować z kontroli nad domem, a Trumbull pozwalał jej na to. Czułam się bezużyteczna. Mogłam umrzeć i nikt by się tym nie przejął...

Przerwała nagle. Położyła się na boku i spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie chcę tego zapomnieć.

- Ja nie jestem Trumbullem.

- Wiem o tym, teraz wiem.

Nie odpowiedział. Wziął ją w ramiona i mocno przytulił. Podziałało to na nią kojąco. Poczula się wzruszona tym gestem, łzy stanęły jej w oczach.

Usiadła powoli. Nieśmiało zsunęła ramiączka koszuli i ściągnęła ją wzdłuż piersi, potem bioder i nóg. Została tak samo naga jak on.

- Jesteś piękna - powiedział z głębokim uczuciem. Widziała to w jego oczach, w rysunku warg.

- Ty także. - Roześmiała się. W chwili gdy go poznała, nie zaryzykowałaby takich słów bez odczuwania strachu przed złamaniem tabu i dezaprobatą.

Dotknęła go odważnie, tak jak zazwyczaj robi to kobieta, gdy dotyka kochanego mężczyzny, któremu ufa. Położył się na poduszkach i poddał się jej pieszczotom, zachęcając ją delikatnymi

słowami. Nachyliła głowę i pocałowała go tak, jak on pocałował ją wcześniej, smakując pulsujące miejsce na szyi, potem sutki i wewnętrzną stronę ud. Kiedy poczęła całować twardego członka, wyszeptał jej imię, drżąc z pożądania.

Przyciągnął ją do siebie i przywarł do jej warg. Czują przepelniającą go namiętność. I coś jeszcze.

Pod zaborczymi pocałunkami kryła się niewypowiedziana obietnica. Przekręcił ją na łóżku i nakrył swym mocnym ciałem. Powoli rozwarł jej uda i wpatrując się intensywnie w jej oczy wszedł w nią głęboko. Przez chwilę pozostali bez ruchu.

- Jesteśmy teraz jednością - powiedział ochryple.

- Tak - odparła wzruszona. Przyciągnęła go jeszcze bliżej.

Zaczęli się kochać.

Jeszcze nie zaznała takiej miłości. Noce z Trumbullem okazały się zupełnym rozczarowaniem, a potem stały się jedynie obowiązkiem małżeńskim.

Z Jamesem kochanie się było czymś więcej niż fizycznym aktem. Robił to bardzo powoli. Pieścił ją, dotykał, szeptał pełne obietnic i miłości słowa. A Caroline reagowała. Ledwo rozpoznawała siebie wśród krzyku rozkoszy i czułych słów. Kochała go rękami, uwielbiała ustami.

I wtedy zdarzyło się coś niespodziewanego. Coś, czego nie zaznała wcześniej. Jakby w jej wnętrzu zapłonęły coraz gorętsze płomienie słońca. Nagle zdało jej się, że słońce rozpada się na tysiące gwiazd błyszczących w niej i wokół niej.

Krzyknęła i usłyszała, jak jego krzyk miesza się z jej głosem, jakby pochłaniała go z każdym ruchem ożywcza siła biegnąca ku niemu z jej ciała.

Potem leżeli razem, oplótnięty nogi i ręce, zbyt przejęci, by mówić.

Ciszę przerwał James.

- Czy przeżyłaś kiedyś coś takiego?

Chciała się roześmiać, słysząc to niedorzeczne pytanie. Potrząsnęła tylko głową, nadal zbyt zmęczona, by odezwać się choć słowem. Roześmiał się z dumą, jakby właśnie wykrzyczała mu, co czuje, i przycisnął ją mocniej do piersi.

- Mnie także jeszcze się to nie zdarzyło.

Zapadli w sen.

Kiedy Caroline obudziła się, ujrzała wpatrującego się w nią Jamesa. Odgarnął z jej twarzy kosmyki włosów.

- Dzień dobry, śpiochu.

Usiadła, tym razem zupełnie nie onieśmielona i wyjrzała przez okno. Na niebie pokazały się chmury wróżące deszcz. Wyczuła, że jest dopiero wieczór.

- Głodna?

- Trochę - odparła. Zaśmiał się, gdy rozległo się w jej brzuchu burczenie. - Nic dzisiaj nie jadłam powiedziała usprawiedliwiając się. - Miałam co innego do zrobienia, na przykład starałam się pozbyć z piwnicy pewnego człowieka.

Pocałował ją w czoło.

- Nie martw się, znajdę coś do jedzenia.

- Nie, nie musisz. Ja pójdę do kuchni...

Położył ją z powrotem na łóżku.

- Znajdę coś. To zajęcie dla mężczyzny. To my, mężczyźni, zawsze polowaliśmy i zdobywaliśmy żywność.

- Mam nadzieję, że nie będziesz musiał splądrować całego kraju.

Schowwał twarz pomiędzy jej piersiami.

- Chyba nie. Nie chciałbym odchodzić zbyt daleko.

Znów zaburczało jej w brzuchu.

- Już idę.

Wyszedł nago do kuchni. Przyniósł kawałek sera, butelkę czerwonego wina i bochenek chleba, który został ze śniadania. Usiedli na łóżku i zabrali się do skromnego posiłku.

Z każdą chwilą czuła, że coraz bardziej go kocha. Tym razem jednak nie obawiała się tego uczucia, wręcz przeciwnie, czuła się silniejsza.

- Kocham cię.

Oczy rozbłyły mu z dumą.

- Ja ciebie też kocham - wyszeptał i nachylił się, by ją pocałować.

Caroline o mało nie wylała wina z kieliszka; kilka kropli prysnęło na jej ciało. Na szczęście nie poplamiała pościeli. Przestała zresztą zawracać sobie tym głowę, gdy James nachylił się i zaczął zlizywać wino z jej ciała, powoli wędrując językiem w kierunku ud.

Tym razem kochali się szybko i gwałtownie.

- Czuję, że mogłabym ci wszystko powiedzieć. - Usiadła na łóżku ze skrzyżowanymi nogami, przyglądając się swemu odbiciu w lustrze. Siadł za nią, oplótłszy ją nogami i zaczął czesać jej długie, proste włosy spadające na ramiona. Oboje byli nadzy, jednak nie odczuwali jeszcze ochoty, by się ubierać. W blasku świec pokój wydawał się mniejszy i bardziej intymny. Przesunęła ręką po mocnym muskularnym udzie Jamesa.

Przeciągnął szczotką jej włosy, potem zanurzył w nich palce.

- Nigdy bym cię nie zdradził.

Spotkała jego wzrok w lustrze.

- Wiem.

Uśmiechnął się. Uwielbiała jego uśmiech.

- Kiedy cię spotkałam, wydałeś mi się okropnie wyniosły.

- Nadal taki jestem, poza tym strasznie chrapię.

Roześmiała się i radośnie uszczypnęła go w udo.

- Miałam okazję, by się o tym przekonać.

Podniósł jej włosy i pocałował za uchem. Zareagowała gwałtownie, wyprężyła się. Otoczył dłońmi wypukłość jej piersi.

Widząc ich wspólne odbicie w lustrze, znów owładnęło ją podniecenie.

- Powiedz mi w takim razie, jakie masz tajemnice - szepnął jej ochryple w ucho.

- Nie mam żadnych tajemnic.

- W takim razie, powiedz mi, czego pragniesz najbardziej. - Musnął wargami jej szyję.

Oparła się o jego pierś. Niemal zaczęła wierzyć w to, że wszystko, czego pragnie, może się spełnić. Chciała kochać i być kochaną. Ale...

- Dziecka.

Podniósł głowę. Znów ich wzrok spotkał się w lustrze. Uśmiechnął się ze szczęścia.

- Ja również tego pragnę.

Naraz straciła pewność siebie.

- Naprawdę?

- Mhmm. - Odrzucił szczotkę i troskliwie otoczył ją ramionami. - Pragnę dziedzica. Spadkobiercy, który pewnego dnia przejmie moje sprawy. Chłopca, którego mógłbym wprowadzać w świat, tak jak zrobił to mój ojciec ze mną i moimi braćmi. Albo dziewczynkę. Dziewczynki również pragnę.

Siedziała nieruchomo. Przez chwilę nie oddychała. Wreszcie udało jej się wydobyć z siebie głos.

- Tego więc pragniesz? Dziecka?

- Tego i ciebie.

Przekonała się o tym, wyczuwszy jego twardą męskość. Powinna się przyznać, że jest bezpłodna. Chciała mu to powiedzieć. Jednak w tym momencie nakrył jej piersi rękami i przewrócił ją na łóżko. Przestała myśleć o swoich wątpliwościach, o wyrzutach sumienia. Tym razem ona przejęła inicjatywę.

Spodobało mu się to. Zareagował jeszcze bardziej intensywnie niż do tej pory. Caroline pomyślała, że jeśli nawet nie może dać mu dziecka, może dać mu siebie.

Tak, da mu siebie.

# 19

Minerva przekroczyła próg domu.

Kiedy do wpół do dziewiątej Caroline nie dała znaku życia, postanowiła wracać. Charlotte chciała jej towarzyszyć, ale Minerva uparła się, że wróci sama. Już raz zawiodła dzisiaj Caroline. Nie zrobi tego po raz drugi.

Na widok ciemnego domu poczuła się zaniepokojona. Obracając klucz w zamku, skarciła się w myślach, że nie wróciła wcześniej. W domu nie paliło się światło, nie było go nawet w żadnej sypialni. Obawiając się najgorsze go, otworzyła drzwi i po ciemku podeszła do stołu, na którym powinny leżeć świece i zapalki.

Chwilę później z sykiem błysnął płomień i Minerva zapaliła świecę. Cicho dała znać Pierre'owi, żeby poczekał kilka minut.

Niemal krzyknęła, natrafiwszy nogą na jakiś przedmiot leżący na podłodze. Uniosła świecę i zobaczyła damski pantofel. W jej blasku ujrzała również materiał leżący u stóp schodów. Podniosła go i rozpoznała suknię Caroline. Obok leżał krawat. A nieco dalej na schodach męski żakiet, z rękawami wywróconymi na wierzch. Na schodach natknęła się na pończochę, a potem niedbale rozrzuconą koszulę męską. Powoli weszła na piętro, niepewna, czy się cieszyć, czy niepokoić.

Drzwi do sypialni Caroline stały otworem. Trzymając świecę w ręku, zajrzała do środka.

Na łóżku, wśród pomiętej pościeli zakrywającej ich nagość, leżeli James Ferrington i Caroline. Ona wsparła rękę na jego piersi. On obejmował ją opiekuńczo.

A więc wszystko w porządku, pomyślała Minerva. Wyszepiała modlitwę dziękczynną za kochanków i zgasiła świecę. W ciemnościach z łatwością znalazła drogę powrotną, zadowolona, że kazała czekać Pierre'owi. Charlotte z pewnością przyjmie ją na noc pod swój dach.

Najpierw obudził się James. Nadchodził świt. Już miał przytulić się do Caroline, gdy nagle zdał sobie sprawę, że jest piątek.

Spotkanie!

Musi iść... Daniel i reszta inwestorów liczą, że poprowadzi ich w batalii przeciwko Kompanii.

Cicho przeszedł przez dom, zbierając porzucane ubrania. Mocował się, próbując zawiązać krawat, gdy dojrzał w lustrze odbicie Caroline. Spała spokojnie pośród zmiętej pościeli, z łóżka spływały jej włosy. Była piękna.

Nagle do jego uszu dotarło cichutkie, delikatne pochrapywanie. Omal nie wybuchnął śmiechem. Byłby to pogodny śmiech, pełen radości życia.

Pochylił się nad łóżkiem i zbudził ją pocałunkiem. Uśmiechnęła się jak leniwy, zadowolony kociak. Zobaczyła, że jest ubrany.

- Wychodzisz. - Zmarszczyła czoło. Usiadł na brzegu łóżka.

- Tylko na kilka godzin. Mam spotkanie z bankierami.

- Ważne spotkanie. - Roześmiała się.

- Bardzo ważne spotkanie - zgodził się. Strząsnął z jej twarzy kilka luźnych kosmyków. - Zobaczymy się później?

-W mojej sypialni? - zażartowała.

Roześmiał się i pocałował ją w nos.

- Właśnie tutaj. - Wstał z łóżka, ale zatrzymał się jeszcze, opierając o framugę drzwi. - Kocham cię.

Zadowolona, uśmiechnęła się sennie.

- Ja też cię kocham. - Zamknęła oczy. Patrzył, jak zapada powoli w sen, a następnie wyszedł.

Caroline obudziła się kilka godzin później. Spojrzawszy przez okno, gotowa była przysiąc, że nie widziała jeszcze tak słonecznego dnia. I tak pięknego. Siadając, ujrzała swe odbicie w lustrze. Tym razem nie czuła się zażenowana nagością. Mogłaby żyć jak Ewa, nie potrzebując ubrań. Może uda im się razem stworzyć rajski ogród?



Po raz pierwszy przepełniało ją poczucie spełnienia i spokoju. Po raz pierwszy od kilku dni była wypoczęta. I nie miała zamiaru powracać do żaloby. Była gotowa włożyć nawet błękitną suknię balową, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Na szczęście we wnęce garderoby znalazła suknię w kolorze lawendy, którą Minerva kupiła jej kilka miesięcy wcześniej. Przyszedł czas, by zaczęła ją nosić. Może dzisiaj pójdzie do sklepu tekstylnego i wybierze kilka kuponów materiału. Uszyje sobie mnóstwo kolorowych strojów, suknie we wszystkich odcieniach tęczy.

Prawie godzinę pochłonęło jej ubieranie się, ścielenie łóżka i sprzątanie pokoju. W trakcie tych czynności często przystawała, przypominając sobie minioną noc.

Powiedział, że zobaczą się później. Nie wiedziała kiedy, nie wiedziała, co się stanie, ale nagle poczuła, że cały świat przepełniony jest mnóstwem możliwości: Gdzieś umknęły problemy nie do pokonania. Teraz, wobec jednego faktu, wydawały się bez znaczenia.

Kocha Jamesa Ferringtona.

Usłyszała za sobą jakiś dźwięk. Odwróciła się i zobaczyła Minervę, stojącą w drzwiach sypialni. Ciotka była zupełnie niepodobna do siebie. Wyglądała delikatnie i blado, jakby otrzymała straszne wieści.

- Czy coś się stało? Źle się czujesz?

Minerva nie zmieniając wyrazu twarzy wyciągnęła w jej kierunku egzemplarz „Morning Post”.

Caroline podeszła do niej i wzięła gazetę z jej ręki. Ciotka odwróciła się. Zdenerwowana Caroline szybko przebiegła wzrokiem tekst. Gazeta otwarta była na stronie z kolumną towarzyską. Wydawało się, że nie znajduje się tam nic, co by ją zainteresowało... aż wzrokiem natrafiła na nazwisko „James Ferrington”.

Podniosła gazetę do okna, by lepiej widzieć, co czyta.

W rubryce z zapowiedziami hrabia i hrabina Lavenham ogłaszali zaręczyny swojej córki z Jamesem Ferringtonem.

Usiadła na łóżku. Przeczytała pięć razy zawiadomienie, myśląc, że to musi być jakaś pomyłka. Na pewno źle zrozumiała. To na pewno nie chodzi o jej Jamesa. Nie o człowieka, z którym się kochała i który powiedział, że ją kocha.

Za każdym razem ogłoszenie brzmiało tak samo.

- Caroline? - dobiegł do niej od drzwi głos zaniepokojonej Minervy.

A ona mu zaufała.

- Czy dobrze się czujesz?

Caroline wydawało się, że głos ciotki słyszy z bardzo daleka.

- Tak. Wszystko będzie dobrze - wyszeptwała.

Na myśl o jego zdradzie opanował ją ból. Przez chwilę nie była zdolna nic powiedzieć, nawet oddychać. Zmiała gazetę w dłoni. - Jakoś to zniosę - postanowiła. - Nie potrzebuję go. I dopilnuję, by to zrozumiał.

- Gdzie byłeś?

James zerknął znad rozłożonych na biurku papierów na współnika stojącego w drzwiach gabinetu.

- A, dzień dobry, Danielu. Dobrze, że cię widzę. - Spojrzał uważniej. - Danielu, powinieneś pogadać ze swym krawcem. Wyglądasz, jakbyś spał w ubraniu albo włożył się po najgorszych miejscach Londynu.

Daniel stanął przy biurku i zaczął zawiązywać pomiętoszony i brudny krawat.

- Bo tak było! Myślę, że nie ma sensu cię wypytywać, gdzie byłeś przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny.

- Owszem - odparł, nie odrywając wzroku od papierów.

- Cały wczorajszy dzień. i całą noc spędziłem szukając cię wszędzie. Udało mi się także przygotować te dokumenty - rzekł Daniel, ignorując odpowiedź przyjaciela.

- Zrobiłeś kawał dobrej roboty. - James przerzucił kilka kartek. Musiał zapamiętać przed spotkaniem jak najwięcej danych.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat Korona nie była szczególnie zadowolona z agresywnej działalności Kompanii Wschodnioindyjskiej na Mauritiusie i Jawie. Od początku pobytu w Londynie James zwracał się do parlamentu, by rozpatrzono problem nowego systemu kierowania handlem z Indiami. Proponował, by wydawano licencję tylko statkom określonego tonażu. Taki system dawałby komisji większe możliwości nadzoru i kontrolowania finansów Kompanii. Poparło go wiele osób zainteresowanych osłabieniem jej wpływów.

- Zaczęłam już sobie wyobrażać, że twoje ciało pływa w Tamizie - powiedział nadal naburmuszony Daniel. Odwrócił się i podszedł do drzwi. - Mam na górze czyste ubranie. Zaraz wracam... Nie odchodź nigdzie. - Z tymi słowami opuścił pokój, zostawiając Jamesa z liczbami i zestawieniami, które mieli przedstawić dzisiaj rano.

James w ogóle nie był zaniepokojony. Czuł, że mógłby podbić cały świat. Z powodu Caroline.

Wszystkie informacje, które zdążył zapamiętać, utkwily gdzieś w zakamarkach umysłu, a na ich miejscu pojawił się obraz Caroline, takiej jaką rano widział w łóżku; nagiej, zaróżowionej od miłości.

Siedział marząc na jawie, gdy wrócił Daniel.

- W czasie twojej nieobecności miały miejsce nowe wydarzenia, o których chciałbym ci powiedzieć - rzekł, zawiązując świeży, sztywny krawat. - Collins, ten z banku, jedzie z nami na spotkanie. Właśnie wrócił z Jawy i chętnie zezna, co Kompania tam wyczynia. Ustanowiła nowy rząd, i to wbrew tutejszym władzom. Dyrektorzy w Londynie chcieli, by władzę sprawowali tubylcy. - Daniel aż zatarł ręce z radości. - Nie mogę się już doczekać, kiedy ten gnojek, Waitley z Kompanii, zobaczy, jak pojawimy się z Collinsem. - Agent Kompanii do tej pory skutecznie torpedował ich wysiłki. - Wczoraj dwa razy próbował odwołać spotkanie. Pewnie usłyszał, że gdzieś zniknąłeś. - Spojrzał ponuro na przyjaciela.

James uśmiechnął się do niego, nie okazując najmniejszej skruchy. Zaczynała dochodzić dziewiąta.

- Chyba już na nas czas. - Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie rozpocznie się zebranie. Marzył o tej chwili, gdy wyjeżdżał z Anglii w poszukiwaniu fortuny w handlu wschodnim.

- Jak tylko zjawi się Collins...

W tej samej chwili w drzwiach ukazał się Calleo.

- Sahib, pan Collins czeka w pokoju recepcyjnym. - Skłonił się z szacunkiem.

James spojrział na Daniela.

- Nie martw się o nic. - W stał i zaczął układać dokumenty w równy stosik. - Siedziałem nad papierami od świtu.

- Świetnie się spisałeś, Danielu. Sądzę, że nam się uda.

- Lavenham skontaktował się wczoraj ze mną i powiedział, że oficjalnie ogłosił, że na nas zagłosuje.

To były dobre wieści. James ruszył do drzwi.

- A więc dzisiejsze spotkanie to tylko formalność.

- James, uważam, że jest coś, o czym powinieneś wiedzieć...

- Czy to jest ważniejsze od naszego spotkania?

Podążający za nim Daniel spojrział zaskoczony.

- Nic nie jest ważniejsze od naszego spotkania.

- W takim razie pozwól, bym skoncentrował się na tym, co nas czeka. Nie bądź tak zmartwiony. Nie przegramy.

Calleo otworzył drzwi do westybuli. James wkroczył za nim i wyciągnął na powitanie rękę.

- Collins! Dobrze, że pan idzie tam dzisiaj z nami.

- Rozumiem, że należą się panu gratulacje. Decyzja Lavenhama jest nam na rękę.

- Lavenham zawsze potrafi wykorzystać nadarzącą się okazję. Proszę się jednak wstrzymać z gratulacjami do spotkania. Pracownicy Kompanii to przebiegli ludzie. Jeszcze mają czas, aby zastopować otrzymanie przez nas licencji.

- Nie teraz, gdy mamy po naszej stronie Lavenhama.

- Sahib, powóz już czeka - oznajmił Calleo.

James wziął z rąk służącego kapelusza i puścił przodem Collinsa.

Dzień był pogodny i słoneczny. Jadąc w powozie, James przypomniał sobie przejażdżkę tej nocy, gdy poznał Caroline. Wspomnienie to sprawiło, że gdy zajechali do Banku Angielskiego, gdzie miało odbyć się spotkanie, był w jeszcze lepszym nastroju.

Większość najważniejszych osób już się zebrała. W sali banku siedzieli: sir Charles Chaney i sir Victor Francis, znani oraz szanowani bankierzy, lord Handley i lord Montleith zasiadający w Komisji Kontroli i reprezentanci Kompanii Wschodnioindyjskiej. Każda z grup otoczona była urzędnikami, którzy mieli robić zapiski i wykonywać wszystkie polecenia.

Waitley stanął z boku z dwoma mężczyznami wyglądającymi na prawników. Byli otoczeni grupką młodych mężczyzn. James roześmiał się, kiedy Daniel na ich widok niemal zawarczał.

Dobrze wiedział, że wygra, ale ze zdziwieniem zauważył, że inni również dzielają jego pewność. Bankierzy i posłowie do parlamentu podchodzili, by składać mu życzenia.

- Gratulacje, Ferrington - powiedział do niego lord Handley.

- Właśnie, gratulacje, Ferrington - przyłączył się sir Charles.

Życzenia padały od wielu innych osobistości znajdujących się na sali, z wyjątkiem reprezentantów Kompanii.

Przedwcześnie gratulacje oszołomiły go. Uważał za zupełnie niezwykle to, że panowie ujawniają swoje poparcie jeszcze przed głosowaniem, ale z radością przyjmował gratulacje, zwłaszcza że zauważył posępną minę Waitleya.

Nie mógł się doczekać, kiedy opowie Caroline o swym zwycięstwie.

Lord Handley poprosił zebranych, by zajęli miejsca wokół mahoniowego stołu ustawionego pośrodku pokoju. Sir Charles rozpoczął zebranie.

Jak przewidywali obydwaj z Danielem, Kompania nie zamierzała się poddać i pozwolić im na zdobycie licencji. Podjęła walkę. Jej reprezentanci wyłożyli swój punkt widzenia z wielką swadą. Bardzo dobrze się przygotowali. Okazali dokumenty i zeznania dotyczące charakteru Jamesa, jego kontaktów w interesach. Ukazali go w najgorszym świetle. Ciekaw był, ile kosztowało ich zdobycie tych informacji.

Posłowie z parlamentu, którzy reprezentowali komisję, słuchali uważnie. Obydwaj byli bliskimi przyjaciółmi lorda Lavenhama.

James schylił się do Daniela.

- Jesteś pewien, że będą nas popierać?

- Oczywiście. - Daniel uśmiechnął się pod nosem.

James rozsiadł się wygodnie.

Kiedy przyszła jego kolej, szybko i zręcznie rozprawił się ze wszystkimi zarzutami, potem z łatwością przekazał zebrany dane, z którymi zdążył rano się zapoznać. Firma stanowiła dla niego radość i dumę. Wiedział to lepiej niż wszyscy zebrani, łącznie z Danielem, a jego pewność siebie sprawiła, że zyskał nad przeciwnikami przewagę.

Po zeznaniach Collinsa dotyczących nadużyć, których nawet nie aprobowali dyrektorzy Kompanii, Komisja Kontroli nie traciła zbędnego czasu na podjęcie decyzji. James otrzymał licencję na pięć lat. W ten sposób Kompania Wschodnioindyjska straciła ponad dwustuletni monopol w handlu ze Wschodem.

Pełen triumfu James uściśnął rękę przyjaciela. Potem ścisnął ręce bankierów i członków rady. O mały włos nie podał prawicy temu "cholernemu" Waitleyowi, zanim przedstawiciele Kompanii zdążyli wyjść szybko jak niepyszni. Daniel przyglądał się im, jak opuszczają salę. .

- Obawiam się, że ten cholerny Waitley wyleci na pysk - wycedził, unosząc brew. Potem roześmiał się równie szczęśliwy jak jego współnik.

Bankierzy, Collins, sir Charles i sir Victor podeszli do nich.

- Czeka mnie trochę papierkowej roboty. - Collins zbierał się do wyjścia.

James również miał ochotę natychmiast zobaczyć się z Caroline, ale wiedział, że nie wypada tego zrobić od razu.

- Nie, jedźmy razem do klubu uczcić zwycięstwo. - Zwrócił się do lorda Handleya i lorda Montleitha. - Proszę dołączcie do nas panowie. Nalegam.

Nikt nie odmówił. James poprowadził więc wszystkich do White' a. Chciał, aby cały Londyn wiedział, że dostał licencję, że on, James Ferrington, osiągnął wielki sukces. Dzisiejszy dzień był dla niego dniem przełomowym. Przestał być zwykłym, chociaż bardzo bogatym handlowcem.

Dostał licencję i zdobył inwestorów, a jego majątek prawdopodobnie potroił się w ciągu tych kilku godzin. Przez następnych dziesięć lat, jeśli wszystko pójdzie dobrze, stanie się najbogatszym człowiekiem w Londynie, może w całej Anglii. A za dwadzieścia lat, kto wie, może na całym świecie?

James chciał, by każdy, kto liczy się w rządzie i w towarzystwie, wiedział, że odniósł zwycięstwo. Klub White'a doskonale nadawał się do tego celu.

Ragget, właściciel klubu, wyszedł mu naprzeciw aż do drzwi. Poprzedniego roku, kiedy James wrócił z Indii, Ragget nie znał nawet jego nazwiska. Teraz kłaniał mu się nisko.

- Miło pana dzisiaj widzieć, panie Ferrington. Gratulacje.

- Dziękuję - powiedział, oddając lokajowi kapelusz. - Zdziwiałem się, jak szybko rozchodzą się wieści - odezwał się półgłosem do Daniela. - Nie wiedziałem, że to możliwe.

Daniel zerknął na niego. Podczas gdy reszta mężczyzn oddawała kapelusze, odciągnął przyjaciela na bok.

- James, czy wiesz naprawdę, z jakiego powodu wszyscy ci gratulują?

Zaintrygowany James wzruszył ramionami.

- Z powodu dostania licencji, oczywiście.

Daniel zaśmiał się, potrząsając głową.

- Bynajmniej. Winszują ci z powodu twoich zaręczyn z córką Lavenhama.

- Co? - James poczuł się, jakby rozstała się pod nim podłoga. Chwycił przyjaciela za klapy marynarki i przyciągnął do siebie. - Coś ty powiedział?

Daniel odtrącił jego ręce i odciągnął do wnęki, znajdującej się z dala od wzroku innych.

- Powiedziałem ci dzisiaj rano, że Lavenham będzie nas popierał. Zjawił się u mnie wczoraj, gotowy zawrzeć układ. Z jakiegoś powodu, którego nie potrafił wyjaśnić, jego żona zdecydowała się przyjąć wreszcie twoje oświadczenia. Wydaje się, że jest zachwycona tym pomysłem.

- Mani poślubić córkę Lavenhama? - powiedział powoli.

- Przecież tego właśnie chciałeś. Próbowałem cię wczoraj znaleźć, ale przepadłeś bez wieści. Lavenham chciał ogłosić zaręczyny, zanim żona się rozmyśli. Czy wiesz, że korzysta z usług lichwiarzy? Biedny stary, musi tkwić po uszy w długach.

- Więc wszyscy gratulują mi z powodu zaręczyn? - nie dowierzając, spytał cicho.

- Tak. - Daniel klepnął go po plecach. - To dobra partia, nawet jeśli będziesz musiał znosić jej seplenienie. Dzięki twojemu doświadczeniu w interesach i kontaktom Lavenhama nikt nie będzie w stanie nas powstrzymać. Popatrz, jak łatwo nam dzisiaj poszło.

- Skąd ludzie wiedzą, że jestem zaręczony? - spytał James, obawiając się odpowiedzi.

- Czyś ty postradał rozum? - spytał Daniel. - Właśnie ci powiedziałem, że Lavenham chciał, by ogłoszono zaręczyny jak najprędzej. Pomyślałem, że zechcesz, aby wydrukowano informację o nich w gazetach jeszcze przed spotkaniem. Miało ukazać się w "Post" i w "Gazette". Pewnie do wieczora wszyscy w mieście będą o tym wiedzieli.

Wszyscy. James obrócił się na pięcie w kierunku drzwi. Służący ruszył, by je otworzyć, a lokaj rzucił się, by mu oddać kapelusz. James wziął go i wypadł na ulicę.

Daniel ruszył za nim.

- A gdzie się wybierasz?

- Muszę iść do Caroline.

- Caroline?

James machnął gniewnie ręką, lecz Daniel nadal szedł za nim.

- A bankierzy? Twoi goście? - Złapał go za ramię.

- Sam sobie z nimi radź. - James otrząsnął się gwałtownie.

- Nie mogę bez ciebie.

James zatrzymał się nagle.

- Musisz.

Przez chwilę Daniel przyglądał mu się, jakby zobaczył go po raz pierwszy. Dopiero teraz zaczął rozumieć. Ręce mu opadły.

- Zobaczymy się później?

- Może - odparł krótko. Wybiegł na ulicę, mówiąc do siebie: - Jeśli przeżyję.

Bez chwili odpoczynku biegł do domu Caroline. Zatrzymał się dopiero na schodach i zaczął walić w drzwi.

Chwilę później otworzył je wiekowy lokaj. Zmierzył Jamesa od stóp po czubek głowy. Wraz z tym ruchem zsunęła mu się peruka. Uniósł wysoko brwi, okazując jawną dezaprobatę.

- Czym mogę panu służyć? - spytał sztywno.

- Chcę się zobaczyć z lady Pearson.

- Proszę podać mi swoje nazwisko.

- Dobrze, do cholery, wiesz, kim jestem, tak jak ja wiem, że nazywasz się Jasper. Jadłeś ze mną wczoraj śniadanie po tym, jak spędziłem noc w waszej piwnicy.

Jasper uniósł brwi, wstrząśnięty jego gniewnym tonem, ale nawet nie drgnął.

- Ferrington - warknął przybyły. - James Ferrington.

- Chwileczkę, sir, sprawdzę, czy lady Pearson może pana przyjąć. - Zatrzasnął mu drzwi przed nosem.

James nie był przyzwyczajony, by wyczekiwać przed cymikolwiek drzwiami, ale postanowił, że zrobi to dla Caroline. Na pewno już przeczytała ogłoszenie. Nic innego nie wyjaśniałoby nieuprzejmego zachowania służącego. Wyobraził sobie jej reakcję. Na pewno jest wstrząśnięta, czuje się zraniona. Może nawet wściekła. Musi się do niej dostać, musi przekonać Caroline, że szczerze ją kocha.

Zaczął już tracić cierpliwość i miał zamiar ponownie załomotać do drzwi, gdy otworzyły się nagle. Jasper skłonił się, niemal opuściwszy perukę.

- Tędy, sir.

James wszedł i podał mu kapelusz.

- Jest w salonie. - Jasper skinął w stronę zamkniętych drzwi.

James ruszył we wskazanym kierunku, tracąc pewność siebie. Do tej pory nie widział zamkniętych drzwi w domu Caroline.

- Słuchaj - zwrócił się do lokaja, który zaczął znikać w holu. - Czy lady Pearson czytała dzisiaj gazety?

Jasper spojrzał na niego z najwyższą pogardą, co u osoby o tak niskiej pozycji dawało komiczny efekt.

- Lady Pearson czyta wszystkie londyńskie gazety - odparł i obrócił się na pięcie. Jego oświadczenie nie wróżyło najlepiej. Nagle Jamesowi przestało się spieszyć, by ją zobaczyć.

Jasper zdążył ująć jedynie kilka kroków, gdy w drzwiach gabinetu ukazała się głowa Minery.

- Zapowiedz go - syknęła.

Zaskoczony służący zawrócił w kierunku salonu.

- Zapowiedzieć. Racja, miałem go zapowiedzieć.

Minerva zniknęła za zamkniętymi drzwiami. Podeszła do ściany łączącej gabinet z salonem. Stały przy niej Charlotte, Violetta i lady Mary, przystawiając do ściany kryształowe szklanki, by lepiej słyszeć, co się dzieje w sąsiednim pomieszczeniu.

- Te ściany są stanowczo za grube - wyszeptała Violetta.

- To prawda - zgodziła się Minerva, biorąc szklankę.

Przykucnęła obok lady Mary.

James stał przed zamkniętymi drzwiami salonu, nerwowo poprawiając krawat. Wyprostował się, wreszcie gotów nacisnąć klamkę, gdy uprzedził go Jasper.

- Zapowiem pana. - Spojrzał groźnie na gościa. Chwycił za klamkę, lecz zdał sobie sprawę, że nadal trzyma w ręku jego kapelusz. Przez moment był zakłopotany, nie wiedział, co z nim zrobić, więc odwrócił się i zatknął go na balustradzie schodów.

Zadowolony nacisnął klamkę, wszedł do pokoju i powiedział donośnym tonem, pasującym bardziej do pomieszczenia wielkości sali balowej:

- Pan James Ferrington.

Ruchem głowy wskazał przybyłemu, że może wejść.

Ale James nawet nie ruszył się z miejsca. Z otwartymi ustami wpatrywał się w scenę rozgrywającą się przed jego oczami. Caroline siedziała na kanapie. Kwiaty, które kupił, nadal zajmowały każdy skrawek pokoju. Ale to nie była jego Caroline, ta, która nosiła wdowią żałobę i pracowała w kółku charytatywnym. Prawdę mówiąc, nie był pewien, czy ta zmysłowa istota jest w ogóle jego ukochaną.

Włosy miała zaczesane do tyłu i zakręcone w urocze loczki, luźno spadające na gołe ramiona. Welwetowa suknia w kolorze ostrej czerwieni z głębokim dekoltem przylegała do jej ciała, tak jakby

była na nim namalowana. Spojrzawszy na drzwi, by zobaczyć gościa, wstrzymała oddech. James również przestał oddychać, pewien, że Caroline zaraz wysunie się z dekoltu.

Jednak jego uwagę przykuł przede wszystkim mężczyzna klęczący przed nią na kolanach i malujący jej paznokcie u stóp. Dwaj opierający się o kanapę młodzieńcy wyglądali, jakby spodziewali się, że kobieta zaraz wyskoczy z sukni, i nie mogli doczekać się tego momentu.

- James! - powiedziała radośnie. Jej oczy żywo błyszczały. - Chodź, usiądź razem z nami. - Wskazała miejsce obok siebie i zaczęła się śmiać, kiedy mężczyzna klęczący na podłodze musnął ją palcem w podeszwę. Gdy pisnęła, młodzieńcy wstrzymali oddech, wpatrując się w jej dekolt.

Była umalowana. Jeszcze tego brakowało, pomyślał gniewnie James, gdy złapała żartownisia i karminowymi ustami wycisnęła na jego policzku pocałunek.

- O, nie - zbesztła go i cmoknęła w nos. Jamesowi zaczęła się powoli burzyć krew.

Mężczyzna, którego obdarzyła pocałunkiem, rzucił się na podłogę i złapał się za serce jak rażony.

Caroline zachichotała rozkosznie.

James dotychczas nie był świadkiem takich głupot. Już miał jej to powiedzieć, gdy nagle rozpoznał mężczyznę leżące na podłodze.

Devon Marshall! Największy łajdak w całym Londynie! Ten człowiek miał nieślubne dzieci chyba we wszystkich miejscowościach między Londynem a Edynburgiem i ani grosza przy duszy. Jeśli cokolwiek się poruszało, a było rodzaju żeńskiego, próbował to uwieść. Przy tym był czarującym gałganem, na tyle sprytnym, by w porę się wymigać od odpowiedzialności.

- Wstawaj, człowieku. Robisz z siebie głupca.

Lord Marshall podniósł głowę. Wyglądał komicznie, ale Jamesowi nie było do śmiechu.

- Czy to ty, Ferrington? Cholernie mi miło, że cię widzę.

James usiadł sztywno na brzegu kanapy i skrzyżował ręce.

- Nie przeklinaj, do cholery, w obecności damy.

- Nie przeklinałem.

- Ależ tak. Powiedziałeś cholernie.

- Ty też tak powiedziałeś.

- Nie powiedziałem.

- Ależ tak!

- Ależ nie!

- Powiedziałeś, Ferrington - wtrącił się jeden z dżentelmenów stojących za kanapą. - Słyszałem.

James odwrócił się i zmierzył go wzrokiem. Był to młodzieniec o błękitnych oczach i ciemnych kręconych włosach. Typ, dla jakiego kobiety tracą głowę.

- Kim pan jest?

Caroline roześmiała się rozbawiona.

- To Alex... to znaczy hrabia Thierry. - Odchyliła się i położyła rękę na ramieniu drugiego młodego, bardzo młodego mężczyzny, opierającego się o kanapę. - A to jest Bannastre Lynnford, przyjaciel Alexa. Od niego dostałam te cudowne róże.

James w końcu zauważył, że nie wszystkie kwiaty znajdujące się w salonie są kupione przez niego.

Caroline sięgnęła do wazy pełnej róż, stojącej na sąsiednim stoliku, i wyjęła przepiękny kremowy kwiat na długiej łodyżce. Uniosła go do nosa.

- Ma niebiański zapach. - Przeciągnęła się jak rozleniwiony kot wygrzewający się na słońcu. - Skąd wiedziałeś, Bannastre, że uwielbiam róże?

James uświadomił sobie, że on o tym nie wie. Gdyby wiedział, kupiłby ich setki.

- Podoba mi się ich zapach i kształt. - Uśmiechnęła się i zamachała lekko kwiatem. - Są takie świeże, takie gładkie, takie zmysłowe. - Dla podkreślenia słów dotknęła różą wzgórka unoszącej się wysoko piersi, potem musnęła drugą.

Głowy mężczyzn poruszały się razem z ruchem jej ręki.

Caroline powiodła różą wzdłuż szyi, aż po policzki, drogą, którą zeszłej nocy James wyznaczał pocałunkami. Zaszło mu w ustach. Cały zeszytniał. Czuł, jak w żyłach szaleńczo pulsuje mu krew.

Nie był jedynym, który zareagował w ten sposób.

- Czuję, jak rodzi się w mojej duszy nowy poemat - powiedział młody Bannastre. Jego głos stał się ochrypły z powodów, które Jamesowi były aż nadto znane.

Caroline odwróciła się do młodzieńca.

- Dla mnie?

- Dla twych róż - zapewnił żarliwie.

James dobrze wiedział, że młodzieniec wcale nie myśli o kwiatach!

- Gdzie jest papier i pióro?

- Na sekretarzyku. - Caroline uśmiechnęła się i wskazała małe biurczko, do którego James przyparł ją poprzedniego dnia. Przed oczami zamajaczyła mu nagle wizja młodego człowieka kochającego się z Caroline ułożoną na kartkach jego poematów.

James nie potrafił pisać wierszy. Nienawidził poezji. Nienawidził poetów.

- A ja? - przypomniał o sobie lord Marshall. Usiadł na podłodze, podpierając się jednym kolanem. W butach z wykładanymi cholewami i w dopasowanych spodniach wyglądał niezwykle elegancko.

- Jestem niewolnikiem u twych stóp, pani. Śmiertelnie ranionym. Pocałuj mnie, Caroline. Błagam cię.

Pocałuj mnie, Caroline. Czy nie takie słowa powiedział do niej James, gdy brał ją zeszłej nocy w ramiona, wzniciając w niej namiętność? Nie mógł znieść myśli, że inny mężczyzna mógłby dowiedzieć się, jak namiętną, wspaniałą kobietą potrafi być Caroline.

Już miał warknąć na Marshalla, gdy roześmiała się.

- Nie mogę cię pocałować.

- Dlaczego? - Czarujący uśmiech Marshalla zamienił się w grymas rozczarowania.

- Ponieważ nie skończyłaś malować moich paznokci - powiedziała słodko.

Marshall zerwał się w mgnieniu oka.

- Pozwól mi, pani. Będę zcił cię na kolanach. Pomaluję twoje paznokcie językiem ...

- Językiem? - warknął James. Czuł, że dłużej tego nie znieśie. W tej samej chwili młodzieńki

Bannastre chrząknął i przeczytał zapisane naprędce słowa.

- Westchnienie róży spoczywającej na piersi mojej pani ...

- To śmieszne. - James skrzyżował na piersiach ramiona. - Róże nie oddychają.

- James - upomniała go Caroline. - To licentia poetica.

James ledwo ją słyszał. Całą uwagę skupił na Marshallu, który wsparty na rękach i kolanach wsadzał małeńki pędzelek do słoiczka z farbą. Ujął stopę Caroline takim samym ruchem jak James, kiedy poprzedniej nocy zdejmował jej pantofle na schodach, i podniósł ją do ust.

Ogarnęła go zazdrość. Zaciśnięta pięści.

- Caroline, muszę z tobą porozmawiać. Sam. Na osobności. - Nawet nie starał się mówić cicho.

Miał ochotę wywalić za drzwi całe to towarzystwo. Marshall uśmiechnął się łagodnie do obu młodzików.

- Nie możesz jej mieć tylko dla siebie, Ferrington.

- A niby dlaczego? - spytał obcesowo.

- Dla niej jestem gotów pojedynkować się z tobą. Caroline to niezwykła kobieta. - Marshall podkreślił swe słowa, uderzając lekko w podbicie jej stopy.

James zerwał się z kanapy gotów do walki. Jeszcze chwila i rozerwie go na strzępy! Marshall również wstał, by odpowiedzieć na to nie wypowiedziane wyzwanie. Atmosfera w pokoju zrobiła się gorąca.

Caroline stanęła pomiędzy mężczyznami.

- James. Devon. Proszę, to niepotrzebne. - Spojrzała na nich roześmianymi oczami. - Zaraz rozstrzygnę wasz spór. Devon pomalował mi paznokcie u jednej nogi, teraz kolej na Jamesa.

Wicehrabia głośno westchnął.

- Miałem nadzieję, że pozwolisz zrobić to mnie.

Zastanawiała się przez chwilę.

- Jeśli James nie zechce, zgódzę się, żebyś to zrobił.

- Czy jesteście gotowi, by wysłuchać pierwszej linijki? - zawołał poeta.

- A już jest napisana?

Bannastre przycisnął papier do piersi.

- Przy tak inspirującej urodzie jak twoja, pani, nie potrzebuję całego dnia, by napisać wiersz. Niepotrzebna mi nawet godzina.

Caroline roześmiała się. Najwidoczniej pochlebiło jej to idiotyczne gadanie.

- Czy chcesz więc pomalować mi paznokcie, James, czy też zrezygnujesz z tego zaszczytu na rzecz mojego drogiego wicehrabiego?

Do tej chwili James znał określenie, że kogoś krew załaza, jedynie ze słyszenia. Dumny był z tego, że potrafi się kontrolować, trzeźwo myśleć i dokładnie planować swoje posunięcia. Ale teraz po prostu zawrzała w nim krew naprawdę. Porwał Caroline w ramiona i wyniósł ją z salonu do małej jadalni. Bezceremonialnie postawił ją na nogi i kopniakiem zatrzaskał drzwi.

- A teraz sobie porozmawiamy.

- O czym mamy rozmawiać? - Caroline odwróciła się do niego. Rąbek sukni zawirował wokół jej kostek.

Dobry Boże, nie mógł znieść myśli, że ją utraci.

- O moich zaręczynach.

Wzruszyła ramionami.

- Czyżbyś był zaręczony? Przykro mi, nie słyszałam o tym.

- Nie umiesz dobrze kłamać.

- Niestety, ty również nie.

Trafiła w sedno. Cofnął się o krok, naraz straciwszy pewność siebie.

- Caroline...

- Nie musisz mi się tłumaczyć.

- Owszem, muszę.

- Nie, nie musisz. - Odsunęła się od niego, jakby potrzebowała dystansu. - Poza tym, nie mam najmniejszej ochoty tego słuchać. Chcę jedynie, byś oddał mi akt własności mojego domu.

- Przyślę ci go.

- Tak? To bardzo miło z twojej strony - powiedziała kpiąco. - A teraz, wybaczone, mam gości.

Stanął przed nią, nie pozwalając jej wyjść.

- Moje małżeństwo to wyłącznie wynik układu w interesach, jedynie to...

Uniosła rękę, by przerwać.

- Nie. - Przez krótką chwilę w jej oczach widział ból, do którego się przyczynił. Mrugnęła oczami i pojawił się w nich chłód. - Między nami skończone.

- Błagam, nie mów tak.

- Dlaczego nie? Przecież to prawda. A może myślisz, że zgodzę się zostać twoją kochanką? Jeśli tak, to czym była ta noc? Próbą?

- Ta noc nie ma nic wspólnego z tym, co się teraz stało. Kiedy widziałem się na balu z lady Lavenham, poinformowała mnie, że odmawia mi ręki córki.

- Najwidoczniej zmieniła zdanie - powiedziała Caroline łamiącym się głosem.

- Ale ja o tym nie wiedziałem. Cały czas od wyjścia z balu spędziłem tutaj. Dopiero dzisiaj dowiedziałem się, że nasze zaręczyny zostały ogłoszone oficjalnie.

- Dlaczego mi o nich nie powiedziałeś? Miałeś mnóstwo okazji, aby poinformować, że poprosiłeś już kogoś o rękę. Powinieneś mnie ostrzec.

Miała rację. Powinien był jej o tym powiedzieć.

- Nie pomyślałem o tym. - Wyjaśnienie nawet dla niego zabrzmiało nieprzekonująco, ale taka właśnie była prawda. - Wszystko zdarzyło się tak szybko.

Popatrzyła na niego uważnie, a potem potrząsnęła głową.

- Wierzę ci. Nadal jestem na tyle zaślepiona, że ci wierzę. Czy to nie śmieszne? Naprawdę muszę być zakochana, mam taki straszny zamęt w głowie.

- Nie, to tylko moja wina, to ja wszystko zepsułem. Caroline, Lena zupełnie nic dla mnie nie znaczy. Nawet mnie nie lubi. Kocham cię. Na pewno jest jakieś wyjście z tej sytuacji. Lena może nosić moje nazwisko, ale ty masz moją miłość.

- James, czy chcesz uczciwie przyznać, że mógłbyś mieć żonę i jednocześnie mnie?

- Nie chcę z ciebie zrezygnować - wyszeptał. Cofnęła się o krok. Uniosła dumnie głowę.

- Decyzja nie należy do ciebie. Nie zgodzę się zostać twoją kochanką. Musiałabym wyprzeć się wszystkiego, w co nauczono mnie wierzyć. Czy myślisz, że tylko mężczyźni wiedzą, co to poczucie honoru?



- Caroline...

- Nie. Daj mi skończyć. Przyznaj uczciwie. Przybiegłeś tutaj, oczekując, że zobaczysz mnie omdlewającą i całą pogrążoną we łzach z powodu twojej zdrady. Jak widzisz, tak nie jest. - Wyprostowała się. - Może to, co zrobiłam zeszłej nocy, nie jest powodem do dumy, ale to był mój wybór. Jestem odpowiedzialna za to, co zdarzyło się między nami ... Jednak w moim życiu nie ma dla ciebie miejsca. Jeśli kiedykolwiek jeszcze poświęcę się komuś, na pewno nie będzie to mężczyzna, który kłamie.

- Caroline, nie okłamałem cię.

- Ale też nie powiedziałaś mi całej prawdy. A to się liczy przede wszystkim. To się liczy... - dodała miękko głosem. Skrzyżowała ręce, jakby chciała w ten sposób uchronić się przed zimnem. - Może stracę posadę na pensji panny Elmhart i nie będę mile widziana u Świętego Marka, ale przynajmniej zachowam do siebie szacunek. Mam też przyjaciółki, takie jak Minerva, której mogę zaufać i na którą mogę liczyć. Jakoś to przeżyję. Wcale cię nie potrzebuję. - Oparła ręce na biodrach. - Nie, nie będę się tobą dzieliła z twoją żoną. Nigdy.

Gdzieś w domu zegar wybił godzinę, jednak dla nich czas jakby przestał się liczyć.

Całe jego życie legło w gruzach.

- Tak, rozumiem to. - Stanął z boku, by ją przepuścić. Nie namyślała się ani przez chwilę. Minęła go, otworzyła drzwi i zobaczyła za nimi uśmiechniętego głupekowato Marshalla, który stał niedbale oparty o framugę drzwi salonu. Za nim dwaj młodzi mężczyźni przestępowali z nogi na nogę, zakłopotani, że przyłapano ich na podsłuchiwanie. James walczył z chęcią, by przyłożyć pięścią w uśmiechniętą gębę Marshalla.

Uśmiech na twarzy tego ostatniego stał się jeszcze szerszy.

- Czy wszystko w porządku, Caroline?

James nie mógł uwierzyć własnym uszom. Pozwoliła mu zwracać się do siebie po imieniu.

- Tak, Devon. - Jej odpowiedź wznieciła w nim jeszcze silniejszą zazdrość.

Rozczarowanie zmieszało się z gniewem. Miał ochotę rozwalić coś, by rozładować dławiącą go wściekłość, a pod ręką miał akurat wyszczerzone zęby Devona Marshalla. Zacisnął pięść, zrobił dwa kroki w kierunku tego bubka i walnął go prosto w szczękę. Głowa Marshalla odskoczyła do tyłu. Nieszczęśnik poleciał na podłogę i padł u stóp dwóch młodzieńców.

Wstrząśnięta Caroline krzyknęła i podbiegła do leżącego.

Kłękawszy, położyła jego głowę na swych kolanach. James miał ochotę podnieść go z podłogi i przyłożyć mu jeszcze raz. Zwłaszcza kiedy zobaczył, jak ten bezczelny rozpustnik opiera głowę na piersiach Caroline.

Zaskoczył go tupot stóp. Do pokoju wpadły Minerva, baronowa, pani Mills i lady Mary.

- Co się stało?

Caroline spojrzała na Jamesa, jej wzrok płonął oskarżycielsko.

- Panie Ferrington, muszę pana poprosić, by opuścił pan ten dom.

- Caroline... - zaczął, powstrzymał się jednak. Do licha, jest przecież mężczyzną, a nie jakimś miauczącym dworakiem. Jeśli byliby w Malacce albo Kantonie, a nie w salonie londyńskim, zabiłby tego łajdaka i nikt by nawet nie zareagował.

Wyprostował się. Starsze panie patrzyły na niego oczami pełnymi zdumienia. Dwaj młodzieńcy drżeli ze strachu, a Marshall tak nieudolnie udawał jęki, że nawet Caroline powinna przejrzeć jego grę.

A jednak nie. Wprost przeciwnie, przytuliła go jeszcze mocniej do piersi.

James nie mógł jej powstrzymać. Nie miał przecież prawa. Był zaręczony z inną kobietą. W oczach opinii publicznej Lena w zasadzie już była jego żoną. Czuł, jak kodeks towarzyski zaciska się wokół niego tak mocno, że zaczyna się dusić.

Skądś pojawił się stary służący i podał mu kapelusz. Włożył go na głowę i nie spojrzawszy nawet na Caroline, czule pocieszającą jego ofiarę, wyszedł z domu.

Na ulicy czekał na niego powóz. Kazał woźnicy, by się przesiadł, i sam złapał za lejce. Chciał poprowadzić sam, chciał poczuć, że nad czymś panuje, skoro nie potrafił wpłynąć na swoje przeznaczenie.

Kiedy już siedział na koźle, doszedł do wniosku, że właściwie nie ma gdzie się udać. Powinien wrócić do klubu i dżentelmenów, których zostawił, wybiegając do Caroline, ale nie chciał

żadnego towarzystwa. Poranny sukces przestał mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie, kiedy porównał go ze stratą ukochanej kobiety.

Szarpnąwszy lejce, ruszył, nie bacząc zupełnie, gdzie jedzie.

Przejeżdżając ulicami Londynu, przypomniał sobie, jak przyjechał tutaj rok wcześniej. Był pewien, że zdobędzie całe miasto, i on, syn właściciela ziemskiego z Kentu właśnie tego dokonał. Teraz każde drzwi stały przed nim otworem. Wkrótce zostanie zięciem samego hrabiego Lavenhama. A któregoś dnia kupi sobie albo dostanie tytuł pasujący do wielkiej fortuny, jaką zdobył. Nie było granic, których nie potrafiłby przekroczyć.

A jednak przestało to już mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie. Wyjechał na przedmieścia. Zmęczony bezcelową jazdą, dostrzegł szyld pubu. Ściągnął lejce i oddał je woźnicy.

- Jedź do klubu i sprawdź, czy Daniel cię nie potrzebuje.

- Czy chce pan, bym tu wrócił?

James zeskoczył na ziemię.

- Nie.

- A jak się pan dostanie do domu, sir?

- Dam sobie radę.

- Co mam powiedzieć panu Harveyowi, jeśli będzie o pana pytał?

- Powiedz mu, że tym razem nie chcę, by mnie odnalazł - rzucił przez ramię, wchodząc do pubu.

## 20

W chwili, gdy za Jamesem zamknęły się drzwi, Caroline zrzuciła głowę Marshalla na ziemię. Wylądował tam z hukiem.

-Au! - krzyknął.

- Jak śmiesz? - wysapała wstając.

- Śmie co? - spytała Minerva.

Caroline już miała powiedzieć ciotce: Wcisnąć nos za mój dekolt. Zrezygnowała jednak i skrzyżowała ramiona na piersiach, odsunęła się od Marshalla.

- Ten Ferrington potrafi nieźle przyłożyć - przyznał wesoło, siadając i rozcierając szczękę.

- Ty się z tego śmiesz? - powiedział wicehrabia. - Uderzył tak, że poleciałeś do tyłu.

Marshall skoczył na równe nogi.

- Zdarzało się, że leciałem jeszcze dalej. - Spojrzał na młodzieńca. - To ryzyko związane z życiem uwodziciela. Kiedyś jeden mąż zrzucił mnie z drugiego piętra. To mnie trochę rozłożyło. Ale jakoś się pozbierałem. - Uśmiechnął się czarująco do Caroline.

Zignorowała go. Zniknęło uczucie gniewu i pragnienie zemsty. Odszedł. Tak, po prostu James Ferrington zniknął z jej życia.

- Wyglądasz tak, że powinnaś chyba usiąść. - Marshall wziął ją pod rękę i poprowadził do krzesła.

- Dziękuję - wyszeptła.

Poklepał ją po ramieniu, tym razem zachował się po prostu jak uprzejmy człowiek, a nie jak bezczelny rozpustnik.

Minerva nalala jej kieliszek wina z karafki stojącej na sekretarzyku.

- Dobrze się czujesz? Nic nie słyszałyśmy.

- Błagał cię o wybaczenie? - wypytywała baronowa.

- Nie to jest najważniejsze - zauważyła lady Mary. - Co ci powiedział? Co ty powiedziałaś?

Caroline potrząsnęła głową. Wydarzenia ostatnich kilku minut sprawiły, że w jej głowie powstał okropny mętlik, za którym czaiła się pustka. Czuła się tak jak wtedy, gdy straciła rodziców, niepewna, czy to wszystko prawda, i obawiająca się chwili, kiedy wreszcie pojmie, co się stało.

- Wszystko skończone - udało jej się powiedzieć.

- Och - westchnęła rozczarowana lady Mary.

- Zostawmy ją na chwilę samą. - Minerva przyszła Caroline z pomocą.

- Czy to znaczy, że wypełniliśmy już nasze zadanie, ciociu - zwrócił się do lady Mary stojący w drzwiach salonu wicehrabia.

Spojrzała zaskoczona, jakby dopiero teraz odkryła, że siostrzeniec i jego przyjaciel jeszcze tu są.

Zbyła go machnięciem ręki.

- Idźcie już, wy hultaje. Dobrze się sprawiliście. Mój Wilhelm byłby z was dumny.

- Nie zapomnisz, jaki był układ? Obaj mamy dostać po nowej parze butów. Pamiętasz?

- Pamiętam, pamiętam. Idźcie już. Przyślijcie mi rachunki.

- Nie chcę butów - powiedział cicho Bannastre. Podeszedł do Caroline i podał jej kartkę z zapisanym wierszem. - Moje zachowanie nie było udawane, proszę pani. Naprawdę myślę tak, jak napisałem w moim wierszu. Byłbym pani niewymownie wdzięczny, gdyby pozwoliła mi pani kiedyś złożyć sobie wizytę.

Zaskoczyła ją jego szczerość. Spojrzała na kartkę, ale litery zaczęły zamazywać się jej przed oczami. W zamyśleniu ujęła młodzieńca za rękę.

- Jestem wzruszona pańską uprzejmością, panie Lynnford... ale, nie teraz, błagam...

Zarumienił się i opuścił rękę.

- Oczywiście. Co za niezdarą ze mnie.

Caroline nie chciała, aby poczuł się zażenowany, ale nie potrafiła się zdobyć na inne zachowanie.

Był taki młody.

- Chodźcie już obydwaj. - Lady Mary przysła jej w sukurs. Wzięła młodzieńców za ręce. - Zawieźcie mnie do domu. Muszę się nieco zdrzemnąć. Tutaj nic się już nie będzie działo. Siostrzeniec i jego przyjaciel posłusznie poszli za nią. - Idziesz, Violetto? - zawołała przez ramię lady Mary.

- Tak, już idę. - Violetta ruszyła za nimi, ale zatrzymała się jeszcze przy Caroline. - Przykro mi, że nic z tego nie wyszło. Chciałam, żeby stało się inaczej. - Uścisnęła ją lekko i opuściła dom.

- Pamiętaj, najlepszym lekarstwem na nieszczęśliwie zakończony romans jest rozpoczęcie nowego. - Caroline usłyszała głęboki męski głos.

Zaskoczona odwróciła się i ujrzała wpatrzona w nią ciemnoniebieskie oczy Devona Marshalla. Przynął podnózek do jej krzesła i usiadłszy na nim, delikatnie musnął jej ramię. Pozostała niewzruszona jego gestem. Potrząsnęła głową w niemym proteście.

Krzywy uśmiezek mężczyzny zamienił się w grymas smutku.

- Ten Ferrington to szczęściarz.

- Był szczęściarzem - poprawiła go baronowa. - Był. Chodź, daj spokój biedaczce. Nie jest stworzona z tego samego materiału co ty i ja.

- Wielka szkoda. - Marshall wstał. Delikatnie dotknął włosów Caroline. - Jeśli będziesz mnie potrzebowała, daj znać Charlotte.

- Tak - powiedziała nieco zdziwiona baronowa. - Zawsze do mnie przychodzi, na każde moje zawołanie.

Podał ramię starszej pani.

- Ach, Devon, zawsze jesteś taki szarmancki. Jaka szkoda, że inni Anglicy są pozbawieni twojej fantazji.

- To dlatego, że nie wszystkie Angielki doceniają mnie tak jak ty.

- A może zrobiło to już zbyt wiele - odparła lekko. Chwilę potem już ich nie było.

Jasper zamknął za nimi drzwi i wrócił do salonu.

- Czy mogę coś jeszcze zrobić, lady Pearson? - Rzadko zwracał się do Caroline w obecności Minervy; był wyraźnie zasmucony rozwojem wypadków.

- Nie, na razie to wszystko - odparła Minerva. Caroline nie miała wystarczająco dużo sił, by mu odpowiedzieć.

Służący skłonił się i zostawił je same. Milczenie przerwała Minerva.

- Wszystko się jakoś ułoży, Caroline. Z czasem.

- Tak. - Caroline spojrzała na ręce spoczywające na kolanach.

Sekundy płynęły powoli. W jednej chwili żałowała, że w ogóle spotkała Jamesa Ferringtona i przez to teraz wiedziała, co straciła w życiu, w następnej myślała zupełnie inaczej. Byłoby okropne, gdyby resztę życia musiała spędzić, nie poznając tej cudownej słodczy, której zaznała w jego ramionach.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić? - Zrozpaczony głos Minervy odbił się echem głęboko w duszy Caroline.

- Nie.

- Czy poprosiłaś go, by zerwał zaręczyny?

Caroline po raz pierwszy spojrzała na ciotkę.

- Nie mogłabym tego zrobić. Dżentelmen nigdy tak nie postępuje. To by zrujnowało jego reputację. Przyniósłby wstyd... nie tylko sobie, ale również córce Lavenhamów.

- Nienawidzę towarzystwa i wszystkich konwenansów.

Minerva powtarzała to już wiele razy, ale teraz Caroline się z nią zgadzała. Wstała.

- Muszę zdjąć tę sukienkę, żeby oddać ją baronowej.

- To może poczekać. Nie musisz tego robić już zaraz. Nie nosiła jej od lat.

Po raz pierwszy Caroline udało się lekko uśmiechnąć.

- Od chwili, kiedy uwiodła niemieckiego księcia...

Minerva odwzajemniła uśmiech.

- Niemieckich książąt uwodzi się łatwo. Tę nosiła dla greckiego króla.

- Pomyliłam się - powiedziała Caroline pogodnie, chociaż wcale się tak nie czuła. - No cóż, lepiej będzie, jak ją zdejmę. Ledwo mogę oddychać. Muszę też zetrzeć tę farbę z paznokci. - Spojrzała na krwistoczerwone paznokcie u stóp, wystające spod sukni. - Skąd baronowa ma tę farbę?

- Od mandżurskiego wodza.

- Powiedz mi, Minervo, czy ty też prowadziłaś takie awanturnicze życie jak ona?

Minerva zaśmiała się szczerze.

- Nie. Charlotte jest jedyna w swoim rodzaju.

Caroline pokiwała głową i zaczęła zbierać się do wyjścia, gdy ciotka złapała ją za ramię.

- Kiedyś ktoś inny pojawi się w twoim życiu .

Caroline westchnęła głęboko, czując, że szwy sukni puszczają wraz z jej oddechem.

Potrząsnęła głową.

- Nie. Nikt taki jak on. Mam wrażenie, jakby zabrał ze sobą część mojej duszy.

Minerva opuściła rękę. W jej oczach zabłyśły łzy.

- Moje biedne dziecko. Chciałabym móc ci tego zaoszczędzić.

- Czy kiedykolwiek żałowałaś, że wybrałaś życie, które wiodłaś?

Minerva znieruchomiała z zaskoczenia. Powoli potrząsnęła głową.

- Wiele lat temu, kiedy byłam młodsza i żyłam z innymi mężczyznami, ale nie z moim Bernardo. Jednak nasza miłość zawsze miała posmak słodko-gorzki. Żonaty mężczyzna nie może ci poświęcić całej swojej miłości. Gdybym mogła wybierać, nie stałoby się tak, jak się stało.

Caroline zacisnęła zęby. W środku cała była roztrzęsiona. Wreszcie chciała schronić się w swoim pokoju, ale jeszcze zatrzymała się na schodach.

- Wiem, że to zabrzmi śmiesznie, ale pomyślałam dzisiaj rano o tym, jak Trumbull i James są do siebie podobni.

- Trumbull i James różnią się krańcowo

Caroline uśmiechnęła się słysząc, jak ciotka broni zagorzale Jamesa.

- Ależ wcale nie. Trumbull, tak jak James, był twardy, lubił stawiać na swoim i był wyniosły. Jednak u męża ledwo znosiłam te cechy, podczas gdy u Jamesa działały na mnie ożywczo, ośmielająco. Nie bałam się mu przeciwstawić albo okazywać złego humoru. Przy nim mogłam być po prostu sobą. Bardzo będę za nim tęskniła - dodała cicho.

Kiedy znalazła się na górze, w swoim pokoju, zdjęła suknię i włożyła koszulę nocną. Siedząc na brzegu łóżka, spojrzała na poruszające się za oknem gałęzie dębu. Straciła rachubę czasu. Minerva zapukała raz i spytała, czy Caroline zejdzie na kolację. Nie odpowiedziała ciotce. Znużona smutkiem, nie była w stanie ani mówić, ani myśleć.

W końcu, zdając sobie sprawę, że musi się ruszyć, wsunęła się pod kołdrę. Prześcieradła przesycone były męskim, ciepłym zapachem Jamesa. Objęła poduszkę i zapadła w sen, czekając na łzy, które nie chciały nadejść.

# 21

Coś ją wyrwało ze snu. Zdezorientowana, leżała przez chwilę w łóżku. Ponownie usłyszała dziwny dźwięk. Coś, jakby grad, uderzyło o szyby okienne.

Usiadła. To nie mógł być grad. Widziała przecież wyraźnie w blasku księżyca gałęzie drzewa rosnącego za oknem.

Szyby zabrzęczały znowu.

Wstała i podeszła do okna. Tonie grad. Kiedy szyby znów zadźwięczały, domyśliła się wreszcie, że coś się od nich odbija. Otworzyła okno i wyjrzała na ulicę.

- Caroline. - W ciszy nocnej rozległ się męski głos. Przestraszona, rozejrzała się; pod drzewem na małym podwórku stał jakiś mężczyzna. Jego biała koszula widniała w blasku księżyca. Nie jakiś mężczyzna. To był James Ferrington. Serce przestało jej bić.

- Caroline, muszę z tobą porozmawiać.

Powinna zamknąć natychmiast okno. I to z wielkim hukiem. Ona tymczasem oparła się o parapet.

Nie chciała, by odszedł. Jeszcze nie teraz.

- Błagam, Caroline.

Potrząsnęła głową. Nie była w stanie wydobyć z zaciśniętego gardła ani jednego słowa. Nie chciała jeszcze bardziej cierpieć.

- Poczekaj chwileczkę, Caroline.

Księżyc schował się za chmurami. Chwilę później usłyszała szelest liści na drzewie. Wyjrzała przez okno.

- Co ty wyprawiasz? - wydusiła wreszcie.

- Wspinam się do ciebie - odparł nieśmiało.

- Wspinasz się po drzewie? James, zejdź na dół. Spadniesz i złamiesz sobie nogę albo stanie się coś jeszcze gorszego.

Zaśmiał się lekko.

- Jako chłopak bardzo często wspinałem się po drzewach, a potem po takielunku na statkach. - Chmura przepłynęła dalej. Ze zręcznością akrobaty wspiął się na gałąź znajdującą się prawie na poziomie okna i rozsiadł się na niej, zwieszając nogi i opierając się o pień. Zniknął gdzieś jego krawat. W rozpiętej koszuli wyglądał jak pirat. - Nie martw się. Nie mam zamiaru stąd skakać. - Uśmiechnął się szeroko, białe zęby zabłyśły w mroku. - Chyba że mnie do tego zmusisz.

- Czy ty nie jesteś czasami pijany? - spytała podejrzliwie.

- Ciutkę - wyznał dobrodusznie. - Okazało się jednak, że na dnie butelek nie znalazłem tego, czego szukałem. - Uśmiech zniknął z jego twarzy. - Caroline, tak mi przykro - rzekł ze smutkiem.

Cofnęła się.

- Żeby to powiedzieć, mogłeś wejść przez frontowe drzwi.

- Czy wpuściłabyś mnie do środka, gdybym chciał to zrobić?

- Nie.

- W takim razie zrobiłem słusznie, wspinając się na drzewo.

- Być może - odparła wolno, podpierając się na parapecie.

- Ale to wszystko nie ma znaczenia.

- Owszem, ma. Nie mów tak.

- W takim razie powiem, że to ma zbyt duże znaczenie.

Westchnęła głęboko.

-Tak.

Przez długą chwilę patrzyli na siebie.

- Musiałem cię zobaczyć jeszcze raz. Muszę ci powiedzieć...

- James, to nie jest konieczne - przerwała mu nagle, przestraszywszy się tego, o co mógłby ją poprosić.

-Ależ to jest konieczne. Najpierw, kiedy opuściłem twój dom, czułem się wściekły i zraniony. I okropnie zazdrosny. Potem dopiero doszedłem do wniosku, że ten cały bezsens z Marshalllem i innymi był tylko przedstawieniem na mój użytek. Czy tak nie było?

Zesztywniała.

- Oczywiście, że nie... - zaczęła zaprzeczać. - Tak. Skąd o tym wiesz?

Potrząsnął głową.

- To było zupełnie do ciebie niepodobne.

- Sądzisz, że nie byłabym dobrą kochanką?

- Sądzę, że byłabyś wspaniałą kochanką, ale wiem, że tak łatwo nie obdarzasz kogoś względami. Zachowałem się dzisiaj jak głupiec. - Pochylił się do niej. - Caroline, oświadczyłem się córce Lavenhamów wiele miesięcy temu, zanim cię spotkałem.

- James...

- Nie, pozwól mi dokończyć. Dotąd nie byłem zakochany w żadnej kobiecie. Nie wytrzymam myśli, że mógłbym cię stracić.

Wiedziała, że jego słowa są przepelnione bólem takim samym, jak ból, który ona odczuwała.

- To tylko interesy. Interesy i nic więcej. Oświadczyłem się, by Lavenham poparł moje starania o licencję. Ale odkąd cię spotkałem, zapomniałem o Lenie... zapomniałem o całym świecie.

- A czy to małżeństwo pozwoli ci zdobyć wszystko, o czym marzyłeś? - spytała zimno, jakby pragnęła znaleźć powód, by móc go znienawidzić.

- Tak - odparł szczerze. - Poparcie Lavenhama pomogło mi zdobyć licencję. - Zaśmiał się gorzko -Widzisz, odmieniłem się zupełnie. Mówię samą tylko prawdę. Jestem mężczyzną, który nie kłamie. Dzięki temu małżeństwu zdobędę wszystko, czego kiedykolwiek pragnąłem. - Pochylił się w jej stronę. - Ale okazało się, że bez ciebie to nie ma żadnego znaczenia.

Nie mogąc wydobyć z siebie słowa, wyciągnęła rękę i oparła ją o gałąź, na której siedział.

- Jakie proste było nasze życie, dopóki się nie spotkaliliśmy. Dwoje ludzi, którym wydaje się, że nic im nie trzeba.

- Ale czy czułaś się wtedy szczęśliwsza?

- Nie.

- Caroline, ucieknijmy.

Jego słowa wstrząsnęły nią.

- Wyjedziemy z Londynu i po drodze na wybrzeże weźmiemy ślub.

- James...

- Błagam. Zdałem sobie dzisiaj sprawę, jak puste jest moje życie bez ciebie. Nie potrafię w obliczu Boga przysiąc miłości innej kobiecie.

Przez chwilę ogarnęła ją pokusa, by zgodzić się na propozycję. Ale przypomniała sobie o rzeczywistości.

- Nie możemy.

- To jedyny sposób. Widziałem się dzisiaj z Lavenhamem. Gotów jest pozwolić mi, bym wykupił się z naszego układu, ale hrabina nie chce nawet słyszeć o tym, by zwolnić mnie z danego słowa. Nagle doszła do wniosku, że jestem jedynym zięciem, jakiego sobie życzy. Caroline, jeśli chcemy być szczęśliwi, nie mamy wyjścia. Przed świtem bylibyśmy daleko stąd.

- Gdzie mielibyśmy jechać?

- Do Ameryki. Na Wyspy Korzenne. Wszystko jedno, byle być razem. Udało mi się zbić majątek, na pewno potrafię to zrobić jeszcze raz.

Wydawał się tak pełen entuzjazmu i pewności siebie.

- Poświęciłbyś wszystko dla mnie?

- Tak.

Powoli potrząsnęła głową.

- Nie. Nie możemy. Poświęciłbyś marzenie swego życia. Nie mogę ci na to pozwolić.

- Marzenia już się nie liczą.

- Ależ tak, gdybyś nie podjął ryzyka dla spełnienia swych marzeń, nie byłbyś tym człowiekiem, którym jesteś dzisiaj. - Przesunęła palcem po parapecie i dodała: - Minerva została wydziedziczona właśnie dlatego, że uciekła z mężczyzną. Ucieczka doprowadziła do wypadku. Zapytałam ją dzisiaj po twoim wyjściu, czy żałuje decyzji, którą wtedy podjęła. Odpowiedziała, że

tak. - Znów oparła się na parapecie. - Myślę, że gdybyśmy wyjechali, gdybyś poświęcił wszystko dla mnie, pewnego dnia mógłbyś tego pożałować.

Chciał zaprzeczyć, ale potrząsnęła głową.

- Wiem, co chcesz powiedzieć, i zawsze będę się zastanawiać, ale... Nie, James, nie wyjadę z tobą.

- A więc zostaniemy tu razem.

- I spowodujemy skandal?

- Tak.

Był pełen nadziei, ale ona nazbyt dobrze wiedziała, jaką cenę musieliby zapłacić.

- To by cię zrujnowało. Nawet nie wiesz, jak złośliwa potrafi być opinia publiczna. Nie tylko my bylibyśmy potępieni, w skandal wpłątana zostałaby młoda niewinna dziewczyna. Nie ma żadnego honorowego wyjścia dla nas, kochany. Tylko Lavenham mógłby cię zwolnić z przyrzeczenia.

- Nie chciałem cię skrzywdzić - powiedział smutno. Jego ochryple głos przepełniony był tłumionymi uczuciami. - Bez ciebie wszystko traci sens.

Dla niej również. Liczył się tylko on. Kochała go. I właśnie dlatego powiedziała:

- To jedyny sposób...

- Nie.

- Tak.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni.

- James, ja nie mogę mieć dzieci. Jestem bezpłodna. Nie mogłabym dać ci tego, czego najbardziej pragniesz. Nie dałabym ci dziecka.

- Skąd o tym wiesz?

- Ponieważ Trumbull i ja próbowaliśmy. Chciał dziedzica. Ale nie udało mi się zająć w ciążę. Zarumieniła się.

Przez chwilę milczał. Potem pochylił się nad gałęzią, wyciągnął daleko rękę, aż dotknął opuszkami palców jej dłoni. Zamknęła oczy.

- Caroline, pragnę cię bardziej, niż pragnęłam dziecka. Jesteś częścią mnie.

Uwierzyła mu. Powinna mu powiedzieć, żeby już poszedł, ale nie mogła, jeszcze nie. Błagam, Boże, wybacz mi, pomyślała.

- Chodź do mnie.

Nie czekał, by powtórzyła zaproszenie. Ze zwinnością kota wspiał się po gałęzi na okno. Wyciągnęła do niego ręce i wzięła w objęcia. Ich usta spotkały się. Pod osłoną nocy mogli stanowić jedność.

Caroline patrzyła, jak na niebie pojawiają się pierwsze promyki świtu. Leżała przy Jamesie, dotykając jego piersi. Złapał ją za rękę i pocałował opuszki palców.

- Musisz już iść.

- Caroline ...

Położyła mu palec na ustach, by powstrzymać dalsze słowa.

- Proszę, nie mówmy już o tym. Podjęliśmy taką decyzję. Nie pogarszaj jeszcze sytuacji.

Nachylił się nad nią i delikatnie odsunął włosy, zakrywające jej twarz.

- Gdybym tylko mógł nazywać cię żoną, każdego dnia dziękowałbym Bogu za tak wielkie szczęście. Niełatwo obdarzam kogoś miłością. Kocham cię.

Objęła go za szyję i przytuliła, pragnąc zapamiętać dotyk jego ciała, zapach skóry, bicie serca.

- Nie wiem, czy potrafię bez ciebie żyć - wyszeptwała.

- Chciałabym, by zatrzymał się czas, byś potrafił powstrzymać jego upływ.

- Nadal mamy czas, by stąd uciec. Wyjedziesz ze mną?

- Nie mogę. - Potrząsnęła głową.

Wiedziała, że to nie jest odpowiedź, której oczekiwał. Wyglądał tak, jakby miał ochotę coś jeszcze powiedzieć, w końcu jednak zrezygnował. Wstał cicho z łóżka i zaczął się ubierać. Zwinęła się w kłębek w pościeli na brzegu łóżka. Czuliła jeszcze jego ciepło.

Już nie będą ze sobą sam na sam w ten sposób. Nagle zobaczyła przed sobą czekające ją długie, puste dni. Ależ nie żałowała. Nie żałowała, że pokochała Jamesa Ferringtona.

Chwilę później materac ugiął się pod jego ciężarem. Usiadła przytrzymując na piersiach prześcieradło zakrywające nagie ciało.



Uśmiechnął się. Wzruszona dotknęła opuszkami palców jego ust.

- Kocham twój uśmiech.

- Uściśnij mnie jeszcze raz, kochana.

Zarzuciła mu ręce na szyję i uściśniła tak, jakby nie chciała, by wyszedł, a potem puściła go i popchnęła lekko do wyjścia, bojąc się, że straci nad sobą kontrolę.

Westchnął głęboko.

- Jeśli kiedykolwiek będziesz mnie potrzebowała, daj mi znać. Zjawię się tak szybko, jak to będzie w mojej mocy. Przyrzeknij, że będziesz o tym pamiętała.

Nie mogła tego obiecać. Połykając łzy, nie była w stanie odpowiedzieć. Kiwnęła tylko głową.

- Dobranoc, moja kochana - wyszeptał. Pocałował ją szybko. Przez ułamek sekundy jego dłoń spoczęła na jej głowie, potem szybko ruszył do okna. Zsunął się po gałęziach. Po chwili usłyszała, jak skacze na ziemię. Jego kroki rozległy się na podwórku, szczerknęły zawiasy furtki, a potem... zapadła cisza.

Położyła się z powrotem na łóżku i przykryła prześcieradłem.

- Niczego nie żałuję - wyszeptwała.

Nadeszły wreszcie łzy.

## 21

W sąsiednim pokoju na krześle stojącym przy oknie siedziała Minerva. Usłyszała szepczących kochanków. Ta rozmowa przypomniła jej inną, tę, która wiele lat temu odbyła się pomiędzy nią i Robertem, mężczyzną bardzo podobnym do Jamesa Ferringtona. Mężczyzną, którego kochała.

Teraz dochodził do niej cichy przytłumiony płacz. Wiedziała jednak, że za kilka godzin Caroline zejdzie na śniadanie zimna i zrównoważona jak zawsze. Nie przyzna, choćby nie wiem co, że ma złamane serce.

Trzeba coś zrobić, by nie dopuścić do ślubu Jamesa Ferringtona i córki Lavenhamów. Minerva nie miała już wątpliwości, że James kocha Caroline. Żaden mężczyzna nie potrafiłby tak mówić o miłości i nie zrozumiałby, co znaczy jej utrata.

Właśnie to powiedziała przyjaciółkom, kiedy rozmawiały o tym, co stało się w nocy.

- Caroline ma rację. Ucieczka nie jest najlepszym pomysłem - przyznała Violetta, przykładając chusteczkę do zapłakanych policzków.

- Ale co my możemy na to poradzić? - spytała lady Mary.

- Nie my - poprawiła ją Minerva. - Tylko ja tu mogę pomóc. Charlotte, czy możesz pożyczyć mi swój powóz?

- Oczywiście, chérie, ale powiedz najpierw, jaki masz plan.

- Mam zamiar, moje przyjaciółki, złożyć wizytę jedynej osobie, która jest w stanie położyć kres tej farsie.

- A kto to taki? - spytała Violetta.

- Hrabina Lavenham - odparła Minerva naciągając rękawiczki.

Hrabina i hrabia Lavenham mieszkali we wspaniałym pałacu w jednej z najstarszych i najbardziej elitarnych dzielnic Londynu. Minerva obrzuciła wzrokiem wdzięczne linie klatki schodowej, spojrzała na sufit ozdobiony obowiązkowym malowidłem przedstawiającym cherubiny w lesie. Wyglądało, że owo "dzieło sztuki" wykonano całkiem niedawno. Uśmiechnęła się. Najwyraźniej gust Very Forbes Stanbury nie poprawił się z wiekiem.

Ubrany w różową liberię lokaj zszedł ze schodów.

- Lady Lavenham przyjmie panią. Proszę iść za mną.

Nie zaproponował, że weźmie od niej kapelusz lub szal, i zachowywał się lodowato. Jego nieuprzejmość nie zrobiła na niej żadnego wrażenia. Nie miała ochoty się spoufalać ze źle wychowanymi służącymi Very.

Podążając za nim labiryntem korytarzy, zauważyła, że gdy tylko minęli oficjalną część domu i znaleźli się w części rodzinnej, pojawiły się wytarte dywany i zniszczone ściany. Ciemne prostokątne ślady ukazywały miejsca, gdzie kiedyś wisiały obrazy.

Lokaj skręcił w następny korytarz, prowadzący do innego skrzydła domu. Znowu zmienił się wystrój. W tej części chodnik był gruby, a obrazy na ścianach nowe i bardzo kiczowate. To pewno było skrzydło zajmowane przez Verę.

Służący zatrzymał się przed podwójnymi białymi drzwiami ze złoceniami, przed którymi stał inny lokaj, ubrany w identyczną różową liberię.

Gdy zapukali, drzwi otworzyła pokojówka w jeszcze bardziej jaskrawej różowej sukni.

- Lady Minerva... - zaczął głośno lokaj.

- Panna Minerva Pearson - poprawiła go.

- Panna Minerva Pearson - zaanonsował.

- Panna? - W pokoju rozległ się zrzędlawy głos. - Jak można tak nisko upaść.

Minerva potraktowała tę złośliwość jako zaproszenie do wejścia. Nie przejęła się ani zachowaniem służących, ani całą tą ceremonialnością. Niedługo Vera dowie się, że jej również się nie boi.

W przygnionym świetle przegrzanego pokoju Vera Forbes, obecnie hrabina Lavenham, leżała w wystudiowanej pozie na otomanie, która miała ten sam kolor, co liberia służby. Nawet kotary, zasłaniające popołudniowe słońce, miały tę samą barwę, tak że cały pokój był skąpany w różu. Na kolanach hrabiny siedziały dwa spaniele, których uszy przyozdobiono różowymi wstążkami, takimi

samymi jak wstażki przy czepku ich właścicielki. Wielki perski kocur z różową kokardą na szyi rozparł się na stojącym opodal krześle.

- Minerva, co za niespodzianka. - Vera wzięła z tacy cukierek i przełamawszy go na pół nakarmiła psy. - Czy zawsze składasz wizyty tak wcześnie?

- To nie jest wizyta towarzyska, Vero.

Gospodyni odprawiła służących nonszalanckim ruchem ręki. -Wiem o tym. - Zaczekała, aż zostaną same. - Czy masz ochotę usiąść? Och, jak mi przykro. Mój kot zajął jedyne wolne miejsce. Jaka szkoda. - Wepchnęła sobie do ust cukierka.

- W ogóle się nie zmieniłaś - stwierdziła bez emocji Minerva. - Minęło ponad trzydzieści lat i proszę, nie zmieniłaś się nawet trochę.

Vera wyprostowała się, spychając psy z kolan.

- Ależ oczywiście, że zmieniłam się od naszego ostatniego spotkania. Mam męża i cieszę się szacunkiem i podziwem całej rodziny i przyjaciół. Podczas gdy ty nie masz nikogo. Ja zajmuję wybitną pozycję w towarzystwie, ty jesteś nikim, jesteś w niełasce. - Wyraźnie widać było, że wypowiada te słowa z przyjemnością. - Dziękuję Bogu, że dożyłam tego dnia.

- To z mojego powodu zgodziłaś się na małżeństwo swej córki z panem Ferringtonem? Dowiedziałas się, że jest zainteresowany Caroline?

Vera podrapała swego ulubieńca za uchem.

- Doszłam do wniosku, że będzie doskonałym zięciem. Jest taki bogaty... przystojny... dobrze ustosunkowany. Mój mąż mówi, że będzie jeszcze bogatszy. - Pocałowała psa w nos. - Mój mąż za bardzo przejmuje się pieniędzmi, ale uważa, że mając Ferringtona w rodzinie, mamy zapewnioną fortunę. - Uśmiechnęła się do Minervy. - Czy martwisz się o pieniądze? Musi być ciężko bez pieniędzy i komfortu, jakie zapewniali ci mężczyźni. Życie zdrowo ci dopiekło.

Minerva aż zatrzęsała się z wściekłości.

- Jak śmiesz przeszkadzać szczęściu dwojga ludzi tylko dlatego, że chcesz się w ten sposób odegrać na mnie?

- Tylko odegrać? O, nie. Ja żyłam dla tego dnia. Czekałam, na niego. Marzyłam o nim. I pomyśleć teraz, że w ten sposób będę mogła odwdziaczyć ci się za to, co zrobiłaś mi wiele lat temu.

- Nic ci nie zrobiłam. - Minerva nie miała zamiaru ustąpić.

- Ależ tak! - Vera zmrużyła oczy.

- Robert nie był twoją własnością. - Minerva wypowie- działa dobitnie każde słowo.

- Mnie był obiecany. Wszyscy o tym wiedzieli.

- Wszyscy tak uważali, bo ty im to wmówiłaś. On sam niczego ci nie obiecywał.

- Powinien postąpić tak, jak należało...

- Ale kochał mnie. I naprawdę dręczy cię właśnie to. Wybrał mnie.

- Nie! - Hrabina zerwała się na równe nogi, zaciskając pięści. - Był pod twoim złym wpływem. Miłość nie miała z tym nic wspólnego.

- Och, miłość miała z tym wiele wspólnego. - Minerva pomyślała o mężczyźnie, którego kochała wiele lat temu, gdy uważana była za ozdobę całego towarzystwa. - Wszystko dla niego poświęciłam, bez wahania zrobiłabym to jeszcze raz dzisiaj. Kochał mnie, a ja kochałam jego. Gdyby nie zły los, ożeniłby się ze mną.

Policzki Vero zapłonęły żywą czerwienią.

- Nie! Na pewno mnie by się oświadczył, gdybyś się nie pojawiła. Był moim narzeczoną. Wszyscy o tym wiedzieli. Zatańczył ze mną dwa razy na balu u księżnej Stirling. Nasi rodzice byli już po słowie.

- To wydarzyło się, zanim jeszcze się pojawiłam. - Minerva potrząsnęła głową. - Vera, nie można mieć na własność człowieka. Robert i ja nie mogliśmy powstrzymać tego, co zdarzyło się między nami, nawet gdybyśmy tego chcieli. Od chwili naszego spotkania wiedzieliśmy, że musimy być razem.

Vera rzuciła się w kierunku byłej rywalki.

- Dotrzymywał mi towarzystwa. Każdy wiedział, że jest moim narzeczoną, dopóki nie zjawiłaś się ty i nie postąpiłaś wbrew zasadom.

- Miłość nie kieruje się żadnymi zasadami, Vero...

- To przez ciebie zapomniał o swojej obietnicy!

- Obietnicę złożył nie Robert, a jego ojciec. - Minerva strzeliła palcami czując, że ogarnia ją gniew. Odsunęła się, opierając się ciężko na lasce., Odwróciła się do Very. - To zdarzyło się tyle lat temu. Wiem, że zależało ci na Robercie... ale on nie odwzajemniał twojego uczucia.

- Zniszczyłaś go! Zabiłaś go!

- Robert zginął w wypadku...

- Który ty spowodowałaś!

- Jeśli ktoś go spowodował, tym kimś byłaś ty. - Minerva nie wytrzymała. Przestraszony jej krzykiem kocur zeskoczył z krzesła i skrył się pod otomaną. - Ty! Swymi chorobliwymi oskarżeniami i egoistycznym zachowaniem. To ty nie chciałaś zwolnić go z obietnicy, którą dali jego rodzice.

- Zniszczyłaś całe moje życie. - Hrabina usiadła na brzegu otomany.

- Nie. Nie zrobiłam tego. Ani też nie jestem odpowiedzialna za śmierć Roberta. - Minerva wsparła się mocniej na lasce. - Przyznam, że przez wiele lat uważałam się za winną jego śmierci. Ból i poczucie winy sprawiły, że opuściłam Londyn.

Vera zmierzyła ją złośliwym spojrzeniem.

- Wyjechałaś z Londynu, bo nikt nie chciał cię przyjmować po tym, jak rozpowiedziałam wszystkim, co zrobiłaś. Wszystkie drzwi się przed tobą zamknęły i tak będzie dopóty, dopóki będę żyła.

- Nie jesteś w stanie mnie zranić. - Minerva potrząsnęła głową. - Nie możesz zmienić prawdy. Nieważne, co albo komu powiesz. Obydwe wiemy, że to mnie wybrał Robert.

- Przez ciebie umarł!

- Zginął w wypadku. - Minerva wyprostowała się. Nie lubiła wspominać tego wydarzenia. - Ale to prawda, uciekaliśmy, kiedy zdarzył się ten wypadek. Trzymałam go w ramionach, kiedy wydawał ostatnie tchnienie. I wiesz Vera, jakie były jego ostatnie słowa? Powiedział do mnie: Kocham cię.

Z oczu hrabiny popłynęły łzy. Usiadła na otomanie i pochyliła głowę.

- Nie chcę tego słuchać. Nie wierzę ci.

- Przestałam się już przejmować tym, czy mi wierzysz, ponieważ nie masz już na mnie żadnego wpływu. Wtedy udało ci się mnie stąd wypędzić, ale tym razem tego nie zrobisz. Nie jesteś w stanie mnie zniszczyć. Zaznałam w życiu wiele miłości. Czy możesz to samo powiedzieć o sobie?

- Zaznałaś miłości? - powiedziała sarkastycznie hrabina. Obszyty koronką czepek podskoczył wraz z ruchem jej głowy. - Wiem dokładnie, co robiłaś. Zadałam sobie trochę trudu, by się o tym dowiedzieć.

- Ależ oczywiście. - Minerva uśmiechnęła się dwuznacznie. - Niczego innego się po tobie nie spodziewałam.

- Kiedy mieszkałaś we Włoszech, miałaś kochanka; żonatego mężczyznę. - Oczy Very pojaśniały z satysfakcji. - Nie uda ci się mnie nabrać, Minervo Pearson. Dobrze wiem, jaka z ciebie dziwka.

Minerva wzięła głęboki oddech, potem wybuchnęła śmiechem.

- Co cię tak rozśmieszyło?

- Ty. Nie mogę zrozumieć, że mając męża, dom i dzieci, nie potrafiłaś lepiej spędzać czasu, niż pielęgnując nienawiść do mnie. Nie wiem, czy powinnam czuć się zaszczyczona, czy raczej obrażona.

- Nie powinnaś była przeżyć. - Vera wypowiedziała te słowa jak sędzia odczytujący sentencję wyroku. - To ty powinnaś była zginąć w tym wypadku, a nie mój Robert.

Minerva skinęła głową.

- Myślałam, że wraz ze śmiercią Roberta skończył się dla mnie cały świat. Sama obwinałam się bardziej, niż robili to inni. Wszystko to było bez sensu. Mówiłam sobie, że gdybym od razu zgodziła się na ucieczkę, wyjechalibyśmy noc wcześniej, ale byłam głupia. Zamartwiałam się tym, co powie moja rodzina i moi przyjaciele. Pomyśl, gdybyśmy wyjechali dzień wcześniej Robert by jeszcze żył. - W jej oczach pojawiły się łzy. Zamrugała kilka razy, by je odpędzić. Smutek, który przeżywała, był jej osobistą sprawą. - Minęło kilka lat, zanim wreszcie doszłam do wniosku, że nie mogłam mieć wpływu na przeznaczenie. Żałuję jedynie, że pozwoliłam tobie i innym wygnać się z Londynu. Nawet moja rodzina się mnie wyrzekła. - Zaciśnęła rękę na lasce, zmuszając się do szczerości wobec wroga. - W ciągu tych lat zrobiłam parę rzeczy, z których wcale nie jestem teraz dumna. Ale potem poznałam Bernarda Danesiego i wróciłam do życia. Tak, zostałam jego kochanką. Rodzice zaaranżowali jego

małżeństwo, kiedy miał zaledwie kilka lat. Obydwoje z żoną się nienawidzili. Tak właśnie mogło wyglądać twoje życie, małżeństwo z mężczyzną, który cię nie kochał i nie mógłby wytrzymać z tobą w jednym pokoju.

W geście obronnym Vera przytuliła do siebie obydwu spaniele.

- Robert kochał mnie, zanim cię poznał.

- Proszę bardzo, możesz to sobie wmawiać. Popatrz jednak na siebie. Siedzisz cała w koronkach i opychasz się słodyczami, obdarzając uczuciem psy. Czy Robert kochałby cię teraz? Czy naprawdę wierzysz, że był człowiekiem, który byłby dumny z twoich intryg skierowanych przeciwko mnie?

Trafiła w sedno. Hrabina zatrzęsała się z gniewu.

- Jestem dobrą żoną, poważaną osobą. Każdy mnie podziwia. Dzieci się bardzo o mnie troszczą.

- A ty tak o nie dbasz, że gotowa jesteś sprzedać swoją córkę mężczyźnie, który jej nie kocha.

- W słowach Minervy zabrzmiał gniew.

- Lena uwielbia pana Ferringtona!

Minerva cofnęła się o krok. Wiele lat temu nie czuła wyrzutów sumienia, gdy Robert nie odwzajemnił uczuć Very, teraz jednak widziała w pełni, do czego to doprowadziło.

Nie chciała, by cała historia się powtórzyła.

- Przykro mi to słyszeć, ponieważ on jej nie kocha. Gdybyś poślubiła Roberta, byłabyś jeszcze bardziej rozczarowana i zła, niż jesteś teraz. Nie wybiera się osoby, którą się obdarza miłością. Poeci mają rację. Czasami miłość przychodzi ni stąd, ni zowąd. Gdyby tak nie było, Robert wybrałby ciebie. Byłaś piękniejsza, bogatsza... miałaś do zaoferowania więcej niż ja. Błagam, jeśli zależy ci na córce, nie pozwól, by to, co stało się wiele lat temu, zaważyło na tym, co ma miejsce teraz. Małżeństwo bez miłości jest jak więzienie.

Przez chwilę Minervie wydawało się, że jest bliska zwycięstwa. Twarz Very złagodniała, zamgliły się jej oczy; naraz jednak wyprostowała dumnie głowę. Przycisnęła do policzka jednego z ulubieńców.

- Wiesz, Włosi mają rację.

- W jakiej sprawie? - Minerva wiedziała już, że przegrała bitwę.

- Że zemsta to danie, które najlepiej smakuje na zimno. - Hrabina pochyliła się do przodu, jej oczy pałały żądzą zemsty. - Nie. Nie zwolnię Ferringtona z jego obietnicy.

Minerva uniosła dumnie głowę.

- Nie będę beczynną stała i przyglądała się, jak ranisz Caroline. Nie dopuszczę do tego, dopóki żyję.

Vera wybuchnęła śmiechem.

- Nie jesteś w stanie przeciwstawić się małżeństwu. Ogłoszenie o zaręczynach zostało wydrukowane we wszystkich gazetach. Nie sądzę, by pan Ferrington i ta cała Caroline zdecydowali się na ucieczkę. W ten sposób znieważiliby mego męża, a on już doprowadziłby do tego, że Ferrington straciłby wszystko, co posiada.

- Jeszcze zobaczymy. - Minerva nie chciała przyznać się do porażki. Odwróciła się i skierowała do drzwi. Zanim nacisnęła klamkę, zatrzymał ją głos Very.

- Jeszcze jedno, Minervo. Nigdy już nie przychodź do mego domu. - Nie usłyszawszy odpowiedzi, dodała: - Jeśli to uczynisz, poszczuję cię psami.

Minerva zatrzymała się i spojrzała na nią. Zaczerwieniona i zalana łzami Vera przyciskała psa do swej piersi tak mocno, że zaczął wyrywać się z całych sił.

- Jesteś zgorzkniałą kobietą. Ale pamiętaj, że jeszcze możesz zmienić zdanie. Nie zmuszaj pana Ferringtona, aby poślubił twoją córkę. - Nie czekając na odpowiedź, otworzyła drzwi. Zatrzaszkując

je, usłyszała krzyk Very.

- Nie! - Rozległ się trzask tacy ze słodyczami rzuconej o drzwi.

Lokaj stojący obok podskoczył. Szybko uspokoił się i spojrzał na Minervę z wyrazem podziwu na twarzy.

- Czy mogę odprowadzić panią do wyjścia, madame?

Minerva już miała się zgodzić, gdy nagle podeszła do nich młoda pokojówka.

- Czy mogę panią odprowadzić?

Lokaj zmarszczył brwi.

- To chyba niezbyt mądre - rzekł. Dziewczyna położyła mu rękę na ramieniu.

- Tylko ten jeden raz, Lester. Nic się przecież nie stanie.

- Stanie się, jeśli ona się o tym dowie. - Spojrzał na drzwi salonu lady Lavenham.

- Nie dowie się, jeśli jej o tym nie powiesz.

W tej samej chwili w pokoju rozległ się dźwięk dzwonka.

- Widzisz - powiedziała pokojówka. - Wzywa cię. Ja odprowadzę tę panią.

Lokaj spojrział niezdecydowanie. Znów rozległ się dzwonek. Wzruszył ramionami i machnął ręką.

Minerva, czując w kolanie nawrót bólu reumatycznego, oparła się ciężko na lasce i poszła za pokojówką. Myślni jednak była zupełnie gdzie indziej. Wróciła wspomnieniami do czasów, kiedy przeżywała pierwszą miłość. Robert. Śmiały, pewny siebie Robert. Jak bardzo przydałaby się jej teraz siła ukochanego.

- Co my teraz pocniemy, Robercie? Przecież nie możemy pozwolić, by tak to się skończyło. - Westchnęła.

- Słucham? .

Minerva potrząsnęła głową.

- Takie tam bajanie starej kobiety. - Spojrzała na hol.

Podłoga znów wyłożona była zniszczonymi chodnikami, ale nie był to korytarz, którym lokaj prowadził ją, gdy przyszła zobaczyć się z Verą. - Przepraszam, ale czy my idziemy w stronę wyjścia?

Dziewczyna dygnęła grzecznie.

- To nie potrwa długo, proszę pani.

Minerva szła za nią zaciekawiona. Nagle zatrzymały się przed jakimiś drzwiami. Pokojówka zastukała słabo, potem mocniej i znów dwa razy słabo. Najwyraźniej był to jakiś umówiony znak, ponieważ po chwili otworzyła drzwi.

- Proszę wejść, madame.

Pomieszczenie, w którym się znalazły, tonęło w takich samych różowościach jak pokój Very, ale efekt był nieco złagodzony dzięki żółtym akcentom. Nagle zamarła w bezruchu, gdy podbiegła do niej młoda kobieta. Z jasnymi włosami i okrągłymi niebieskimi oczami wyglądała zupełnie jak Vera w czasach młodości.

- Przepraszam panią - powiedziała, lekko sepleniąc. - Nie chciałam pani wystraszyć. Chciałam tylko, aby poświęciła mi pani trochę czasu. - Na jej polecenie pokojówka zamknęła drzwi. - Jestem Lena Stanbury. Córka Very.

- Och - westchnęła Minerva.

Jakby czytając w jej myślach, Lena pospieszyła z wyjaśnieniami.

- Tak, słyszałam, o czym mówiliście. w salonie mamy. Dom został zbudowany w czasach restauracji, jest w nim mnóstwo skrytek i tajemnych przejść. Schowałam się w jednym z nich, obok salonu.

- Muszę usiąść, jeśli ci to nie przeszkadza, moje dziecko \_ powiedziała spokojnie Minerva, choć jej myśli biegały w głowie jak oszalałe.

Pokojówka podsunęła jej krzesło; starsza pani usiadła na nim z wdzięcznością. Lady Lena przyklęknęła obok.

- Zasmuciłam panią, a nie miałam takiego zamiaru. Naprawdę nie miałam.

- W takim razie, czego ode mnie oczekujesz? Słyszałaś, o czym rozmawialiśmy?

- Tak, wszystko.

Minerva dotknęła policzka młodej kobiety.

- Tak mi przykro. To nie były słowa przeznaczone dla twych uszu. Gdybym wiedziała, że tam jesteś, nigdy bym tego nie powiedziała.

Lena potrząsnęła niecierpliwie głową.

- Nie, bardzo się cieszę, że to usłyszałam. Nie chcę poślubić pana Ferringtona.

- Słucham? - spytała zaskoczona Minerva.

- Jest dla mnie za stary - wyznała Lena szczerze. - Nie chcę poślubić tak starego człowieka.

Minerva spojrzała jej prosto w oczy.

- Nie chcesz poślubić pana Ferringtona? - powtórzyła oniemiała.

Lena potrząsnęła głową.

- Kocham Rogera Thampsona.  
- Thampsona?  
Młoda kobieta wyrwała z irytacją oczami. - Sampsona - powtórzyła z wysiłkiem.  
- A kto to taki?  
- Kapitan straży. Najmłodszy syn księcia Allvery. Czy słyszała pani o waśni pomiędzy hrabiami Lavenham a książętami Allvery?  
Minerva potrząsnęła głową.  
Lena przysunęła się bliżej, by wyjawić rodzinną tajemnicę.  
- No więc sto pięćdziesiąt lat temu Sampsonowie byli, tak jak rodzina Stanbury, jedynie hrabiami. Przed bitwą pod Naseby, hrabia Lavenham oddał bardzo ważną przysługę Karolowi I. Jednak jego lojalność nie została wynagrodzona, ponieważ zwyciężył Cromwell, a Karol został ścięty.  
- Jaką przysługę oddał hrabia Lavenham?  
- Nie mam pojęcia - przyznała Lena. - Roger również tego nie wie. Prawdę mówiąc, obydwójce podejrzewamy, że nikt w rodzinie tego nie wie. Kiedy zdobył tron Karol II, na Sampsonów spłynął cały splendor wynikający z tej przysługi i zostali wynagrodzeni tytułem książęcym. Od tego dnia obydwie rodziny nienawidziły się... i nienawidziły się do czasu, gdy poznałam Rogera. - Z uśmiechem wymówiła imię ukochanego. Chwilę później zaskoczyła Minervę, wybuchając płaczem.  
- Lady Leno, co się stało? - Minerva zdążyła zadać pytanie, gdy młoda kobieta skryła głowę na jej kolanach i zaczęła rozdzierająco szlochać.  
Wstrząśnięta Minerva zauważyła, że pokojówka również płacze, a wielkie łzy spływają jej po twarzy. Położyła rękę na ramieniu Leny.  
- Już dobrze, dobrze, moja droga: Nie wiem, o co chodzi, ale na pewno nie jest to aż tak poważne.  
Młoda kobieta uniosła głowę.  
- Ależ jest. Panno Pearson, zrobiłam coś strasznego. Minerva pogłaskała ją pocieszająco.  
- Jesteś zbyt młoda, by zrobić coś złego. Uspokój się. Otrzyj łzy i powiedz, co cię niepokoi.  
Podbródek Leny zatrzęsł się, jakby próbowała powstrzymać płacz. Pokojówka wyciągnęła z szuflady dwie chusteczki. Jedną podała swojej pani, a drugą zostawiła dla siebie.  
Starając się opanować, lady Lena otarła oczy. W końcu usiadła.  
- A teraz zaczerpnij głęboko powietrza i wypuść je powoli - nakazała jej Minerva.  
Lena wypełniła polecenie.  
- Wspaniale. Czy czujesz się lepiej?  
- Tak. - Odchyliła głowę i jeszcze raz głęboko odetchnęła.  
- Cztery miesiące temu, w czasie wizyty u kuzynki w Aylesbury, poślubiłam Rogera Sampsona.

Minerva omal nie spadła z krzesła.

- Co zrobiłaś?

Gdy podbródek młodej kobiety znów zaczął się niepokojąco trząść, Minerva pożałowała swego wybuchu.

- Przepraszam cię, moja droga, ale to dla mnie spora niespodzianka. Jak to się stało?

- Otrzymałam specjalne pozwolenie, pomogła nam moja kuzynka. Powiedzieliśmy ciotce, że jedziemy zobaczyć jakieś stare ruiny, gdzie ludzie często urządają pikniki. Tymczasem pojechaliśmy do Waddesdon i tam się pobraliśmy. Och, panno Pearson, to było takie romantyczne. Wynajął pokój w małej gospodzie i, no cóż... - Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Wydaje mi się, że rozumiem - powiedziała powoli Minerva.

Lena uścisnęła jej rękę.

- To najodważniejszy, najprzystojniejszy i najwspanialszy mężczyzna na świecie.

- Przepraszam cię, moja droga, ale jeśli wasze rodziny pozostają w takiej nienawiści, to w takim razie, jak się spotkaliście?

- U tej samej ciotki, u której byłam z wizytą. Ciocka Jane uważa, że ta waśń jest śmieszna. Jej syn, Stephen, służy w tym samym regimencie co Roger. Zaprzyjaźnili się. W poprzednie wakacje Stephen przywiózł Rogera ze sobą, podczas gdy ja byłam tam z wizytą. - Wzruszyła ramionami. - Zakochaliśmy się w sobie. Nie chcieliśmy wcale, aby tak się stało.

- Zawsze tak jest, moja droga - powiedziała ironicznie Minerva.

Lady Lena wstała z miejsca.

- Jednak nasze małżeństwo nie jest legalne, ponieważ skłamał mi pastorowi, że mam dwadzieścia jeden lat. Nie mogłam poprosić rodziców o pozwolenie. Nie zgodziliby się na to!

- To dlaczego uznałaś, że później się zgodzą?

- No cóż, mama nie uważa Rogera za złego człowieka tylko dlatego, że pochodzi on z rodziny Sampsonów. Poza tym, wydawało mi się, że jakoś uda mi się nakłonić rodziców. Nie dawniej jak w zeszłym tygodniu mama przyrzekła mi, że nie będę musiała poślubić pana Ferringtona, który nie ma żadnego tytułu.

- Hmm. Ale nie wydaje mi się również, żeby aprobowała twojego kapitana. Czy się mylę?

- Może zmieniłaby zdanie - rzekła z nadzieją Lena. - Wprawdzie jest on najmłodszym z synów, ale gdyby jego pięciu braci zmarło, zostałby księciem.

- Cóż za wspaniała perspektywa - wymruczała pod nosem Minerva.

- I nagle wczoraj rano mama wezwała mnie do siebie i oznajmiła, że zmieniła zdanie. Powiedziała, że muszę poślubić pana Ferringtona. Teraz już wiem dlaczego. - W jej oczach znów pojawiły się łzy.

Minerva podniosła leżącą na podłodze chusteczkę i podała ją młodej kobiecie.

- Proszę, lady Leno, płacz nic nie pomoże. Mamy jeszcze jakąś szansę.

- Nie, nie ma już żadnej nadziei. Pan Ferrington chciał wykupić się od małżeństwa, ale mama nie chciała o tym nawet słyszeć.

- Skąd o tym wiesz?

- Podśluchiwałam. Obok gabinetu taty jest także tajemne pomieszczenie.

- Ach, tak.

- Jest gorzej, niż pani myśli. Gdyby mama się zgodziła, tata pozwoliłby wykupić się panu Ferringtonowi od małżeństwa. Kiedy jednak Roger przeczytał w gazecie ogłoszenie o naszych zaręczynach, przyszedł do nas, by zobaczyć się z papą, i to wkrótce po wyjściu pana Ferringtona. Powiedział, że jesteśmy po ślubie. Papa wpadł we wściekłość i krzyknął, że małżeństwo zostanie unieważnione, ponieważ nie jestem pełnoletnia. Ojciec Rogera zgodził się z moim. Książe pojawił się u nas w domu, gdy już był tu Roger. Zaczęły się wrzaski. W końcu ojciec wyrzekł się Rogera. - Otarła chusteczką łzy. - Aż do ślubu z panem Ferringtonem mam siedzieć zamknięta w domu. Rogerowi udało się jednak przesłać mi wiadomość. Napisał, że nie ma zamiaru przyglądać się, gdy poślubia mnie inny mężczyzna. Odebrał rozkazy wyplynięcia do Indii. Za dwa dni opuszcza Londyn, by w



końcu miesiąca popłynąć na Wschód. - Po policzkach dziewczyny popłynęły kolejne łzy. - Już go nie zobaczę.

- A to wszystko z powodu zemsty starej kobiety - powiedziała pod nosem Minerva.

- Panno Pearson, co mam teraz począć? Uciekłabym, gdybym wiedziała, jak wymknąć się z domu, ale rodzice ostrzegli całą służbę, że mam stąd nie wychodzić. Jediną osobą, która mi pomaga, jest moja pokojówka Molly.

Minerva schyliła się, by podnieść laskę, która upadła na podłogę. Zaczęła przechadzać się po pokoju.

- Musimy ich jakoś przechytryć.

- Musimy to zrobić bardzo szybko ...

- Tak, zanim twój ukochany wyruszy do Indii - powiedziała z roztargnieniem Minerva, rozmyślając, jak rozwiązać problem.

- Przede wszystkim dlatego, że noszę jego dziecko. Minerva o mało nie wpadła na kolumnę podtrzymującą baldachim znajdujący się nad łóżkiem.

- Jesteś tego pewna?

- Wszystkie objawy na to wskazują, madame - odparła zamiast niej Molly.

Minerva powoli spoczęła na krześle stojącym obok łóżka. Przybyła do tego domu, szukając rozwiązania problemu Caroline, i oto ma je przed sobą. To jasne, że pan Ferrington nie poślubi Leny Stanbury, skoro ona jest w ciąży i w zasadzie jest już mężatką. Trzeba tylko podać to do publicznej wiadomości.

Ale jakim kosztem?

Dziewczyna stała obok, wpatrując się w nią szeroko otwartymi oczami, gniotąc niespokojnie w rękę chusteczkę... Minerva wiedziała, że nie może zawieść jej zaufania. Och, Robercie, musi być jakiś inny sposób, pomyślała. Wyobraziła sobie dwóch mężczyzn, których najbardziej w życiu kochała, Roberta i Bernarda, jak śmieją się z tego nie przewidzianego rozwoju wypadków.

- Błagam: niech mi pani pomoże - wyszeptwała Lena, lekko sepleniąc. - Umrę, jeśli nie będę mogła być z Rogerem.

Nagle Minerva wpadła na świetny pomysł. Wręcz wspaniały w swej prostocie. Powoli na jej twarzy pojawił się uśmiech. - No, proszę już nie płakać. Chyba przyszedł mi do głowy plan, który ma szansę powodzenia.

Lena przestała szlochać i lekko czknąwszy spytała: - Co trzeba zrobić?

- Zostaniesz po prostu porwana.

Usłyszawszy to słowo, Lena zrobiła oczy wielkie jak u sowy. - To zupełnie niemożliwe - wyszeptwała. - Rodzice wydali polecenie, że pod żadnym pozorem nie mogą opuszczać domu.

Minerva zmarszczyła brwi i oparła dłonie na łasce. Zaczęła rozmyślać, jak by tu rozwiązać ten problem.

- Nie powiedziałaś jeszcze rodzicom, że oczekujesz dziecka Rogera? - spytała w końcu.

Lena zbladła.

- Nie śmiałam nikomu się do tego przyznawać. Tylko Molly wie o wszystkim. Nie mam pojęcia, co zrobią rodzice, gdy się o tym dowiedzą.

- A więc nawet Roger o tym nie wie.

Lena potrząsnęła głową.

- Chciałam się najpierw upewnić, a teraz nie pozwoliliby mi wysłać listu. Jeden z oficerów przekazał Molly list od Rogera. Ten, w którym pisze, że opuszcza Anglię. To ostatnia wiadomość, jaką od niego dostałam.

- Przez Molly? Mhmm. - Minerva zmrużyła oczy i wpatrywała się w pokojówkę. Nagle wpadł jej do głowy pewien pomysł. Może się uda. Molly i jej pani były tego samego wzrostu i budowy ciała. Wprawdzie pokojówka miała rude włosy, ale... Gdyby Lena skryła swoje pod czepkiem Molly i gdyby ubrała się w ten okropny różowy strój...

- Molly, zdejmuj swoją suknię. Służąca otworzyła szeroko oczy. - Słucham?

- Ty również, Leno, zdejmij suknię.

Żadna z kobiet nawet nie drgnęła.

- Nie patrzcie tak na mnie, jakby wyrosły mi rogi i ogon - powiedziała z niecierpliwością Minerva. - Lady Lena włoży strój pokojówki, a potem odważnie poprowadzi mnie do drzwi.

- Chyba pani oszalała.

- Bynajmniej. Jestem zupełnie zdrowa. - Minerva oparła się na lasce. - W tak wielkim domu jak ten nikt nie zwróci uwagi na służącą. Ani żaden ze służących nie będzie patrzył na wszystkich wchodzących i wychodzących. Ubrana w strój pokojówki odprowadzisz mnie do wyjścia. Pod czepkiem Molly ukryjesz włosy. A ty, Molly, musisz w tym czasie udawać, że lady Lena nadal jest w swoim pokoju.

- Ależ oczywiście, madame.

- Nie, nie zgadzam się na to - powiedziała Lena. - Jeśli rodzice się zorientują, wyrzucą cię ze służby bez żadnych referencji.

- Ale co innego możemy zrobić, madame? Jeśli nie pomogę w tym porwaniu, pani mąż wyjedzie do Indii nie dowiedziawszy się o dziecku, które pani nosi.

- Molly ma rację. Nie macie innego wyboru. Kiedy wyjeżdża twój mąż?

- Napisał, że niedługo. - Oczy Leny znów się zaszkliły.

- Proszę nie ronić łez - powiedziała stanowczo Minerva. - Płacz nic nie pomoże. Poza tym w brytyjskiej armii "niedługo" może oznaczać zarówno dwa dni, jak i dwa lata. Czy więc zaryzykujemy?

- Nie uda się nam. Złapią mnie, zanim dojdziemy do schodów.

- Czy macie jakiś lepszy pomysł?

Lena potrząsnęła głową.

- Proszę, niech pani spróbuje. - Molly ujęła jej dłoń. - Jeśli nie zobaczy pani męża przed jego wyjazdem, proszę pomyśleć, co się stanie, kiedy rodzice dowiedzą się o dziecku.

Lena zatrzęsała się na samą myśl o tym.

- W porządku. Zrobię to.

- W takim razie szybko wyskakujcie z ubrań.

Pokojówka i jej pani zamieniły się strojami. Niepewne, czy plan się powiedzie, stanęły przed lustrem. Każda wyglądała teraz inaczej. Minerva podeszła do nich i uzupełniła strój Leny, nakładając jej na głowę czepkę.

- Zdumiewające - wyszeptwała Lena.

- Nie uwierzyłabym, gdybym nie zobaczyła - zawtórowała jej Molly.

- Nawet mama by mnie w tym nie poznała.

- I, mam nadzieję, lokaj. - Minerva zwróciła się do Molly. - Nie mamy czasu do stracenia. Dasz sobie tutaj radę?

Molly skinęła głową.

- Zostanę tutaj do kolacji, a potem wymknę się do siebie. Ochmistrzyni trzyma w swym pokoju zapasową garderobę dla służby. Kiedy zejdzie do kuchni pomagać przy usługiwaniu, przebiorę się i zawiadomię, że lady Lena nie czuje się dobrze i życzy sobie, by zanieść jej kolację do pokoju.

- Robię tak zawsze od czasu, gdy zostałam zamknięta.

- Dobrze. Wyśmienicie.

- Ale to się na pewno nie uda. - Lena spojrzała w lustro. - Ktoś mnie rozpozna...

- Nie, jeśli wykażesz odwagę - przerwała jej niecierpliwie Minerva. - Musisz wierzyć, moja droga, że nam się uda. W moim życiu były takie chwile, kiedy bałam się okropnie, ale starałam się nie dać nikomu tego po sobie poznać. Co więcej, miej na uwadze, że Molly dla ciebie się poświęca. A to może pójść na marne, jeśli stracisz odwagę, zanim jeszcze zaczniemy działać. A teraz, śmiało w drogę.

Lena skinęła głową, ale nie ruszyła się z miejsca. Minerva wzięła ją za rękę i pociągnęła do drzwi.

- Odwagi - szepnęła.

Lena wyprostowała się. Minerva odwróciła się do pokojówki, wyglądającej teraz zupełnie jak dama z towarzystwa.

- Powodzenia.

Molly skłoniła się.

- Pani również tego życzę, madame. Proszę się o nic nie martwić, lady Leno. Trochę tutaj pohłasuję, żeby wszyscy myśleli, że nadal siedzi pani w pokoju pogrążona w smutku. Może pani na mnie liczyć.

Lena odwróciła się na pięcie i podbiegła do służącej.

- Dziękuję, Molly. Wynagrodzę ci to, jeśli będę mogła.

- Powodzenia - wyszeptała pokojówka.

Młoda kobieta podeszła do drzwi. Łzy zniknęły, a na jej twarzy pojawiła się determinacja.

- Idźmy więc. Najlepiej będzie, jeśli pójdę przodem, tak jak to robi zazwyczaj służba.

- Bardzo dobrze - powiedziała z aprobatą Minerva.

Lena otworzyła drzwi. Nagle przeistoczyła się w zupełnie inną osobę. Zniknęła wyprostowana pewna siebie panna, a na jej miejsce pojawiła się zgięta w pokłonach, powłócząca nogami służąca, która odprowadza gościa do drzwi.

- Tędy, panno Pearson. - Skłoniła się nisko.

- Widzę, że lubisz szarady i zabawę w teatr.

- Mama uważa, że mam wielki talent.

- Może oprę się na twoim ramieniu, wszyscy pomyślą, że mam trudności z chodzeniem. Nikt nie będzie się dziwił, jeśli podprowadzisz mnie do powozu.

- Bardzo dobry pomysł. - Lena ujęła Minervę pod rękę, jakby opiekowała się kaleką albo zupełnie załamana kobietą. Verze spodobałby się ten widok. Bez przeszkód dotarli do miejsca, gdzie przecinały się dwa korytarze.

- No, jesteście już tutaj.

- Tak - powiedziała Minerva. - Mam nadzieję, że dopisze nam szczęście.

Nie miały zbyt wielu kłopotów. Spotkały tylko kilku służących, którzy mijając Minervę nie zwracali zupełnie uwagi na prowadzącą ją drobną pokojówkę. Nawet lokaj nie rozpoznał swej pani. Wiedząc, że Minerva nie jest mile widzianym przez hrabinę gościem, odwrócił oczy, gdy go mijały, strzelając jedynie palcami na odźwiernego, by zamiast niego otworzył im drzwi. Minerva obdarzyła go najśladźszym ze swych uśmiechów.

Udało się! U stóp schodów czekał na nie powóz baronowej.

- A teraz jeszcze tylko mała scenka do odegrania - wyszeptała Minerva. - Musisz zachować się tak, jakbyś chciała wyminąć powóz, prędko nachylić się, kiedy znajdziesz się po drugiej stronie i wsunąć się do środka. Udaj, że upuściłam laskę. Wszyscy więc będą patrzeć na mnie, a nie na ciebie.

- Nie wierzyłam, że uda nam się dojść nawet tutaj.

- Uwierz...

Lena skinęła głową.

Pierre zeskoczył z kozła i ruszył w ich stronę, ale Minerva odprawiła go ruchem ręki. Zaskoczony wrócił do powozu i otworzył drzwiczki, czekając, aż obydwie zejdą.

Minerva szła po schodach bardzo powoli. Nie chciała zrobić żadnego nagłego ruchu, by służba Lavenhamów nie zaniepokoiła się zbyt wcześnie. Gdy znalazł się na ostatnim stopniu, upuściła z cichym krzykiem laskę. Odepchnęła dziewczynę i chwyciła się za krzyż.

- Och, mój Boże. Pierre! Pomóż mi. Żle się poczułam. Chodź tutaj. - Osunęła się na kamienny podjazd.

Pierre podskoczył, by ją przytrzymać. Spoczęła w jego ramionach, modląc się, by Lena zdołała wykorzystać sposobność.

- Co się tutaj dzieje? - rozległ się krzyk zaniepokojonej kobiety. To była Charlotte.

Minerva zerknęła ponad ramieniem Pierre'a. Baronowa wychodziła właśnie z powozu. W środku niespokojnie wierciły się Violetta i lady Mary. Minerva błyskawicznie uniosła głowę.

- A co wy tutaj robicie?

- Jak to co? Sądziś, że zostawiłybyśmy cię samą? - spytała Charlotte. - Podjechałyśmy powozem lady Mary. I widzę, że dobrze się stało. Pierre, pomóż Minervie.

Zanim ta zdążyła zaprotestować, Pierre podniósł ją i przeniósł kilka kroków do powozu. Violetta i lady Mary przesiadły się i nagle zamarły w bezruchu.

Z drugiej strony pojazdu otworzyły się drzwiczki i stanęła w nich osłupiała Lena; najwyraźniej nie wiedziała, co robić dalej.

- Wpuśćcie ją. Wpuśćcie ją! - zawołała Minerva, kiedy Pierre posadził ją wreszcie. Wszystkie spojrzały na siebie w zdumieniu, nie ruszywszy się nawet o centymetr. Minerva nachyliła się więc nad Violettą i złapawszy Lenę za suknię, wciągnęła ją do środka. Dziewczyna wylądowała na podłodze między starszymi paniami.

- Zamknij drzwi - poleciła Violetcie Minerva.

Charlotte podała jej laskę i już, przy pomocy Pierre'a, miała wejść do środka, gdy ujrzała Lenę.

- A kto to taki? - spytała pogardliwie.

- To lady Lena. Wsiadaj szybko, musimy stąd żwawo ruszać. - Minerva wyjrzała przez okno i zamarło w niej serce.

Do przedsiönka wyszedł lokaj i jeden z kamerdynerów, wyraźnie zainteresowani tym, co dzieje się we wnętrzu pojazdu.

- Szybko, wchodź do środka - pospieszyła przyjaciółkę.

Baronowej nie trzeba było powtarzać dwa razy.

- Vite! - krzyknęła do Pierre'a i zatrzasnąwszy drzwiczki, opadła na siedzenie obok lady Mary, która zdążyła właśnie zasłonić okna. Cała czwórka siedziała ściśnięta jak gąsienice we wspólnym kokonie. Lena zmuszona była do pozostania na podłodze.

Powóz ruszył z turkotem.

- Zostań tam na dole - poleciła Lenie Minerva.

- Nie mogłabym wstać, nawet gdybym chciała - wyszeptwała w odpowiedzi dziewczyna.

- Czy ktoś mi wreszcie wyjaśni, o co w tym wszystkim chodzi? - spytała Charlotte. - I po co te szepty.

Minerva, zmuszona bezpośrednim pytaniem przyjaciółki, wyjaśniła normalnym tonem:

- A co wy tutaj robiłyście? Mówiłam, żebyście poczekały na mnie u Charlotte. Gdzie zostawiłyście drugi powóz?

- Nie chciałyśmy czekać u Charlotte - wyjaśniła lady Mary.

- Straciłybyśmy wtedy całą zabawę - dodała Violetta.

- Przyjechaliśmy za tobą tutaj, a potem doszliśmy do wniosku, że przesiądziemy się do powozu, którym przyjechałaś, a powóz lady Mary odesłaliśmy do domu. Zostałyśmy, ponieważ wiedziałyśmy, że będziesz nas potrzebować.

Minerva już miała na końcu języka, że wcale tego nie potrzebowała, gdy przerwało jej pytanie Charlotte:

-A teraz powiedz nam, dlaczego porywamy lady Lenę? I dlaczego jest ubrana w liberię Lavenhamów? - Skrzywiwszy się, zmierzyla wzrokiem dziewczynę. - Ten kolor jest okropny.

- To ulubiony kolor mamy - zasepleniła Lena.

- W takim razie twoja maman ma zły gust.

- Naprawdę? - Lena spojrzała na suknię. - Mnie się podoba.

-W takim razie ty masz zły... - zaczęła Charlotte, ale przerwała jej Minerva.

- Lady Leno, chciałabym, by poznała pani moje przyjaciółki. To jest baronowa de Severin-Fortier. Po drugiej stronie siedzi lady Mary Dorchester, żona świętej pamięci pułkownika Dorchestera, a obok niej, pani Violetta Mills. Moje panie, a to jest lady Lena... - Zamilkła na chwilę. - Sampson. Lady Lena Sampson.

Dziewczyna uściśnęła jej rękę, wyrażając tym gestem wdzięczność.

- Teraz, kiedy mamy już za sobą oficjalne grzeczności, przejdźmy do rzeczy. Musimy ukryć lady Sampson.

- Taaaak... - powiedziała lady Mary. - Ale o co w ogóle tutaj chodzi?

Minerva już miała odpowiedzieć jej na pytanie, gdy nagle usłyszała, że Pierre zatrzymuje konie.

Uniosła zasłonki i wyjrzała na zewnątrz.

- Co się stało? - spytała Charlotte.

- Nie wiem. - Minerva potrząsnęła głową. - Dojechaliśmy dopiero do podjazdu Lavenhamów.

- Złapali nas - jęknęła Lena.

- Jeszcze nie! - Minerva opuściła zasłonkę. - Szybko, Violetto, nakryj Lenę swoim szalem.

Usłyszały, jak na zewnątrz jakiś mężczyzna rozmawia z Pierre'em.

W chwili gdy Violetta rozłożyła szal, rozległo się pukanie do drzwi.

Wszystkie zamarły w bezruchu. Minerva chrząknęła.

- Tak? - spytała najbardziej wyniosłym tonem, na jaki było ją stać.

- To ja, James Ferrington. Czy mogę zamienić z panią słowo?

Minerva z ulgą uniosła rękę do piersi.

- Panie Ferrington, nie wyobraża pan sobie, jaka jestem zadowolona, że pana widzę.

- Pan Ferrington! - rozległ się piskliwy głos z podłogi.

- Lena, wszystko w porządku - wyszeptała Minerva do trzęsącej się pod szalem młodej kobiety. - Wierz mi. - Nie czekając na odpowiedź, odsunęła zasłonkę i opuściła okno. Przez chwilę nie mogła w ogóle rozpoznać Jamesa. Zniknęła jego pewność siebie i energia. Przed nimi stał cień człowieka, którym kiedyś był James Ferrington. Skinął baronowej i pozostałym paniom, ale nie zauważył drżącego szala na podłodze.

- Jak czuje się Caroline? - spytał.

- Chyba tak samo jak pan - odparła Minerva. Kiedy oparł dłoń na krawędzi okna, dotknęła jej. - Panie Ferrington, chciałabym, żeby pan wiedział, że żywię do pana głęboką przyjaźń.

Unióś jej rękę i pocałował końce palców.

- Doceniam to, panno Pearson. I jeśli pani, albo... lady Pearson ... - jego głos zmiękł, gdy wypowiadał to nazwisko -... będziecie mnie kiedykolwiek potrzebowały, proszę dać mi tylko znać.

Minerva pochyliła się do niego, ściskając mu dłoń.

- Proszę być dobrej myśli. Nie wszystko jeszcze stracone.

- Jakoś nie jestem w stanie sobie tego wyobrazić. Właśnie przyjechałem, by sformalizować umowę z Lavenhamem i podpisać dokumenty dotyczące kontraktu ślubnego. - Zacisnął rękę spoczywającą na oknie. - To tak, jakby już było po wszystkim.

- Nie! - rozległ się krzyk.

Zaskoczony James Ferrington spojrział na lady Mary, Charlotte i Violetę. Siedziały nieruchomo jak posągi. Szal unióś się i spod niego wychylił się różowy czepek.

- Nie chcę za pana wychodzić!

- Lady Lena? - Oczy Jamesa rozszerzyły się ze zdumienia.

Młoda kobieta skinęła nieszczęśliwie głową, a potem odwróciła wzrok, jakby nie mogła znieść jego widoku.

James spojrział ironicznie na cztery kobiety siedzące w powozie.

- Czy znów organizujecie porwanie?

- Panie Ferrington - powiedziała Minerva. - W powozie panuje już duży ścisk, ale uważam, że powinien się pan do nas przyłączyć. Na pana miejscu nie martwiłabym się o spotkanie z Lavenhamem, dopóki nie usłyszy pan całej historii lady Sampson.

- Sampson? - powtórzył.

- Jestem mężatką, panie Ferrington, nie chcę wyjść za pana - oświadczyła bez ogródek młoda kobieta.

Patrzył na nią przez chwilę, a potem powoli uśmiechnął się.

- Z przyjemnością przysiadę się do pań.

## 23

Pierwszy list do Caroline przyszedł krótko po dziewiątej.

Był od panny Elmhart. Najwyraźniej po tym, jak Caroline pokazała jej drzwi, Minerva i pozostałe panie wytłumaczyły nauczycielce, że one, i tylko one są odpowiedzialne za to, że pan Ferrington został porwany i związany w piwnicy. Jednakże, jak wyjaśniła panna Elmhart w liście, skoro była to piwnica należąca do Caroline, musi ona ponieść odpowiedzialność i krótko mówiąc...

*Lady Dirnhurst i ja zgodziliśmy się co do tego, że porywaczki nie nadają się do pracy w szkole.*

Caroline została zwolniona ze swych obowiązków na pensji, i to w trybie natychmiastowym.

Następny list przyszedł wkrótce po pierwszym. Został wysłany przez Freddiego. Szwagier napisał, że Caroline może przenieść się do jego matki albo gdziekolwiek sobie życzy. Kasa Pearsonów świeci pustkami i on, Freddie, jest zmuszony wyjechać na kontynent, i to zaraz po wysłaniu tego listu.

Caroline zgmiotła pismo w dłoni i cisnęła je do kominka.

Ucieczka była w stylu Freddiego. Broń Boże, by próbował jakoś oddać swe długi albo, co gorsza, zaczął pracować na swe utrzymanie, tak jak ona musiała to robić. Oczekiwała właśnie na list od wielbnego Tiltona, gdy zastukano do drzwi. Jasper pospieszył, by je otworzyć. Chwilę potem Caroline usłyszała głos pastora. No cóż, przynajmniej on miał odwagę, by stanąć przed nią osobiście. Wysła mu naprzeciw.

- Pastorze Tilton, miło mi, że pana widzę.

Spojrzał jej w oczy i szybko uciekł wzrokiem w bok.

- Czy mogłaby mi pani, lady Pearson, poświęcić trochę czasu?

Przez głowę przemknęła jej myśl, że zaraz zostanie przez niego wykluczona z kościoła, i poczuła gniew.

- Oczywiście - powiedziała bez emocji. - Jasper, weź płaszcz od wielbnego Tiltona. - Gdy gość oddał wierzchnie okrycie, poprowadziła go do salonu. - Zechce pan spocząć?

Spojrzał na nią niezdecydowanie.

- Tak, chyba tak będzie lepiej.

Caroline wskazała mu ruchem głowy miejsce na sofie, sama spoczęła na krześle stojącym naprzeciwko. Wielbny uprzejmie zaczekał, aż usiądzie, i zajął miejsce. Zauważyła, że włożył czarny elegancki żakiet i wykończony koronką żabot, który nosił jedynie w niedziele.

Położyła ręce na kolanach i czekała.

Westchnął głęboko i zapatrzył się w ogień płonący na kominku. Nie powiedział ani słowa. Właśnie miał westchnąć po raz trzeci, gdy Caroline me wytrzymała, zaciekawiona celem jego wizyty.

- Czy chciał pan coś powiedzieć, pastorze?

Spojrzał zaskoczony i nadal milczał.

W końcu Caroline miała już dosyć.

- Pastorze Tilton, zjawił się pan tutaj najwyraźniej w jakimś konkretnym celu. Chciałabym, by był pan tak uprzejmy i powiedział, z czym pan przychodzi, wtedy będziemy mieli to już za sobą. Rozumiem pańskie wahanie, sir, ale proszę mi wierzyć, słowa wcale nie stają się z czasem łatwiejsze do wymówienia.

Zaskoczyła go jej bezpośredniość. Powoli zaczerwienił się, jakby nagle kołnierzyk koszuli stał się za ciasny.

Mimo wszystko Caroline współczuła mu. Miała już zlitować się nad nim i powiedzieć, że nie może, niestety, nadal poświęcać się pracy w dobroczynności, kiedy padł przed nią na kolana.

- Lady Pearson, czy wyświadczyłaby mi pani wielką łaskę i zgodziła się zostać moją żoną?

Caroline spojrzała na niego, jakby postradał rozum.

- Pastorze Tilton, jestem zaskoczona. Nie wiem, co powiedzieć.

- Proszę się zgodzić. - Przynurzył się bliżej.

Odchyliła się do tyłu. Przez ostatnie sześć miesięcy oświadczał jej się co tydzień, ale żadne z jego oświadczeń nie miały tak dramatycznego przebiegu. Rozejrzała się i zadała mu pytanie, które przyszło jej do głowy:

- Dlaczego?

- Dlaczego, co? - Mrugnął zażawionymi niebieskimi oczami.

- Dlaczego ciągle ponawia pan swe oświadczyzny? - Nachyliła się ku niemu. - Wczoraj dał mi pan do zrozumienia, że lady Dirnhurst skarżyła się na mnie. Dzisiaj proponuje mi pan małżeństwo. Wydawałoby się, że po tym, co powiedziała lady Dirnhurst, będzie mnie pan uważał za kiepską kandydatkę na żonę pastora. Czy nie mam racji?

Wielebny Tilton przysiadł na piętach.

- No cóż, lady Dirnhurst będzie nieco niezadowolona.

- Nieco. Nie wspominając o innych paniach działających w kółku. Nie sądzę, by uznały mnie za dobrą partnerkę dla pana.

Wielebny zdjął okulary.

- Nie słucham plotek, jeśli to mi pani sugeruje. Wiem również, że panie z kółka narzucają mi swoją wolę, ale dam sobie z nimi radę. Po prostu od śmierci żony aż do tej pory nie musiałem tego robić. Łatwiej mi było podporządkować się ich życzeniom i wymaganiom, ale nie pozwoliłbym im pani skrzywdzić.

Caroline poczuła się wzruszona jego szczerością. Głęboko wzruszona: Wiedziała, że nie należy do mężczyzn lubiących sytuacje konfliktowe.

- Dlaczego pan to robi? - spytała miękko. Zmarszczył brwi.

- Nie będzie pani miała nic przeciwko temu, jeśli powrócę na miejsce?

- Nie - zapewniła go.

Wstał i usiadł niespokojnie na brzegu kanapy. Wyciągnął z kieszeni kawałek materiału i wyczyścił nim okulary.

- Bo mogę z panią rozmawiać - powiedział wreszcie.

- Ze mną?

Potwierdził skinieniem głowy i założył okulary z powrotem na nos.

- Zdaję sobie sprawę, że większość ludzi tego nie rozumie, ale kierowanie parafią wiąże się z zupełną samotnością. - Spojrzał na swe dłonie, spoczywające na kolanach. Zaczerwienił się i dodał: - Pani zawsze była dla mnie bardzo miła i życzliwa. Oświadczając się każdego tygodnia, miałem okazję, by pobyć z panią sam na sam.

- Wydawało mi się jednak, że czuł pan ulgę, kiedy za każdym razem panu odmawiałam.

- To prawda - przyznał szczerze. - Jednak kiedy dzisiaj rano przyszła do mnie lady Dirnhurst z grupą pań z kółka i nalegała, bym namówił panią na złożenie rezygnacji, zrozumiałem, że jeśli już pani więcej nie zobaczę, będę bardzo nieszczęśliwy. Moje dzisiejsze oświadczyzny płyną z głębi serca.

- Pastorze Tilton ja... ja nie wiem, co powiedzieć. To znaczy... oświadczał mi się pan co tydzień, ale mimo to...

- Nie zgadza się pani?

- Nie myślę o panu w sposób, w jaki powinna myśleć osoba mająca na uwadze małżeństwo. - To było zarezerwowane dla Jamesa Ferringtona.

- Nie spodziewałem się, że żylibyśmy ze sobą jak mąż i żona - zapewnił ją pospiesznie. - W każdym razie, zanim się lepiej poznamy.

Caroline wstała i podeszła do kominka. Zastanawiała się nad odpowiedzią, obserwując płomień liżące głównię drewna.

- Mieszkam z ciotką mojego zmarłego męża.

- Panna Pearson mogłaby zamieszkać z nami... jeśli trochę zmieni niektóre ze swych ekstrawaganckich zwyczajów.

Czy Minerva potrafiłaby się zmienić, zwłaszcza tak, by dogodzić lady Dirnhurst i innym matronom? A co z nią? Czy też potrafiłaby nagiąć się do takiego stylu życia? Z drugiej strony miałyby zapewniony dach nad głową, a Caroline cieszyłyby się szacunkiem należnym żonie pastora.

Ale przecież to małżeństwo pozbawione byłoby namiętności. Zamknęła oczy, przywołując wspomnienie poprzedniej nocy, kiedy trzymała ukochanego w ramionach.

Otworzyła oczy i spojrzała na wielebnego Tiltona.

- Przykro mi, pastorze, ale muszę odmówić pańskiej uprzejmej prośbie.

- Lady Pearson, proszę, niech pani rozważy...

Nagle otworzyły się drzwi wejściowe. Do środka wpadły Minerva, baronowa, lady Mary i pani Mills. Krok za nimi wszedł James Ferrington, niosąc w ramionach piękną, młodą kobietę ubraną

w jaskraworóżową suknię. Z włosami opadającymi luźno na plecy, wyglądała młodo i niewinnie. Caroline poczuła szarpiącą zazdrość, zwłaszcza kiedy dziewczyna spojrzała na Jamesa jak na wybawcę.

Minerva klasnęła w dłonie.

- Caroline, mamy cudowne wieści. Będziesz taka szczęśliwa. - Zatrzymała się. - O, witam, pastorze Tilton. Jak to dobrze, że pan tutaj jest.

- Dobrze? - powtórzył nieszczęśliwy wielebny.

Do Caroline ledwo dochodziły słowa ciotki. Patrzyła, jak James wnosi młodą kobietę do salonu i kładzie ją na kanapie, delikatnie, jakby była z chińskiej porcelany.

- Dziękuję, James - powiedziała nieznajoma, wpatrując się w niego niebieskimi oczami.

- Kto to jest? - zwróciła się Caroline do Minervy.

- To jest lady Lena! Lena, chciałabym, żebyś poznała Caroline Pearson.

Lady Lena. Caroline stała więc przed swoją rywalką.

- Nie zwracaj uwagi na jej strój - rzekła Minerva. - Jej matka ma okropny gust... ale to zupełnie inna historia. Najważniejsze jest, moja droga, że Lena spodziewa się dziecka.

Jeśli ziemia osunęłaby się pod jej nogami, Caroline nie byłaby bardziej wstrząśnięta. Sprawy nie polepszyło, kiedy Lena wzięła Jamesa za rękę i oznajmiła wyraźnie sepleniąc:

- A James jest najwspanialszym człowiekiem, jakiego można sobie wyobrazić!

Oszołomiona Caroline rzuciła się do Minervy.

- To nie mogła być prawda. To na pewno pomyłka.

- To prawda! Czy to nie wspaniałe wieści? - spytała Minerva.

Baronowa usiadła na kanapie obok lady Mary i ściągnęła rękawiczki.

- Musimy to uczcić szampanem. Jasper, sprowadź Pierre'a.

Wyślę go do domu po szampana.

- Przyjęcie! Tak, urządzmy przyjęcie! - zawołała lady Mary. Pióra na wielkim kapeluszu zafalowały wraz z ruchem jej głowy. - Będziemy świętować.

- Proszę pozwolić, bym ja dostarczył szampana - odparł uprzejmie James. - Przecież to moje szczęście będziemy opijać.

Caroline utkwiała w nich zdumione oczy. Lady Lena nadal nie wypuszczała ręki Jamesa. Wyglądała na bardzo szczęśliwą.

- Pastorze, dobrze, że pan tu jest - powiedział James. - Będziemy potrzebowali pańskiej rady. Kto wie, może i pańskiej posługi.

Caroline zacisnęła pięści, starając się nie zauważać migoczących przed jej oczami światełek i głuchego dudnienia w uszach. Wydawało się, że tylko siłą woli zmusza się do oddychania. Chciała sprawić, za pomocą jakiegoś zaklęcia, by mogła zniknąć i nie być świadkiem tego, co się działo na jej oczach.

- Będę szczęśliwy mogąc panu służyć, sir. Przepraszam, nie dosłyszałem pańskiego nazwiska?

- Ferrington. James Ferrington. - W końcu uwolnił rękę z dłoni Leny i wyciągnął ją do pastora. Podczas gdy panowie wymieniali grzeczności, Minerva krzątała się dookoła lady Leny.

- Musisz dostać coś do picia, moja droga. Za wiele przeszłaś, biorąc pod uwagę twój delikatny stan.

Delikatny stan. Caroline wbiła paznokcie w dłonie. Nie zemdleję. Nie chcę zemdleć. Jeszcze nie teraz. Błagam, nie teraz.

Dopiero Violetta zauważyła, że coś nie jest w porządku.

- Caroline, źle się czujesz? Jesteś zupełnie biała. Chyba nie jesteś chora?

Caroline poczuła, jak wszystkie oczy obracają się w jej kierunku, wszystkie, łącznie z oczami Jamesa.

W zamyśleniu zmarszczył czoło.

- Caroline? - spytał niepewnym tonem.

Potrząsnęła głową, bez słów prosząc go, by do niej nie mówił i nie podchodził bliżej. Prawdę powiedziawszy, nie mogła zostać w tym pokoju ani chwili dłużej, by nie patrzeć na promieniejącą szczęściem Lenę. Schyliwszy głowę pobiegła ku drzwiom, ale James stanął na jej drodze.

- Błagam - udało jej się powiedzieć, gdy próbowała go wyminąć.

- Caroline, o co chodzi?



- O co chodzi? - wykrztusiła w końcu. - Oznajmiasz mi, że twoja naręczona jest z tobą w ciąży, i jeszcze mnie pytasz, co się stało? Czy już zupełnie nie obchodzi cię, co czuję?

Przez chwilę po jej pytaniach zapadło głucho milczenie. Potem wszyscy naraz, wykluczając wielobnego Tiltona, wybuchnęli śmiechem. Zakłopotanie Caroline przerodziło się w gniew.

Chciała wyjść z pokoju, ale James nie pozwolił jej na to. Położył ręce na jej ramionach, jego oczy błyszczały radością.

- Caro... - zaczął, ale przerwała mu w pół słowa. Kopnęła go z całej siły.

Puścił ją.

Nie miała zamiaru sprawdzać, czy nic mu się nie stało.

Sądząc po odgłosie, który wydał zginając się wpół, była pewna, że nie zdążył jeszcze przyjść do siebie. Wybiegła z pokoju, otworzyła szeroko wejściowe drzwi i znalazła się na ulicy. Nie wiedziała zupełnie, dokąd biegnie. Usłyszała za sobą głos Minervy. Uniosła brzeg sukni i zaczęła pędzić jeszcze szybciej. Skręciła na rogu, potem jeszcze raz, bojąc się, że będą ją ścigać.

Wreszcie wpadła w alejkę.

Niebo pokryte było chmurami, a powietrze przesycone zimnem i wilgocią. Pożałowała, że nie wzięła szala albo kapelusza, ale nie miała ochoty wracać. Złapała luźny kosmyk włosów i wsunęła go za ucho. Zatrzymała się.

Co ona robi? Przecież nie ma gdzie pójść, nie ma się do kogo zwrócić, z wyjątkiem teściowej. Sama myśl o tym przyprawiła ją o dreszcze. Nie mogła już liczyć nawet na Minervę.

Głęboki męski głos przerwał jej myśli.

- Tym razem łatwiej było cię odnaleźć.

James.

Odwróciła się. Ujrzała na początku alejki jego wysoką, imponującą postać. Był taki przystojny. Nigdy nie będzie należał do niej.

- Nie mamy sobie nic do powiedzenia, James. Zostaw mnie w spokoju. Wracaj do kobiety, która nosi twoje dziecko.

- Czy tak mało mi ufasz, by przypuszczać, że przyniosłbym do twego domu kobietę spodziewającą się mojego dziecka?

- Już sama nie wiem, w co wierzyć.

Zbliżał się do niej powoli.

- W takim razie uwierz w moją miłość do ciebie. Uwierz, że nigdy bym cię umyślnie nie skrzywdził, że moim jedynym celem w życiu jest cię kochać, szanować i opiekować się tobą.

Nic mnie to nie obchodzi, chciała krzyknąć, jednak to byłoby kłamstwo. Stała jedynie nieruchomo, jak wrośnieta w ziemię, i przyglądała się bezradnie, jak podchodzi do niej coraz bliżej. W końcu

stanął naprzeciwko niej.

Nawet teraz jej zdradzieckie ciało pragnęło się do niego przytulić. Chciała zarzucić mu ramiona na szyję i błagać, by powiedział, że to nieprawda...

- To dziecko nie jest moje.

Spojrzała na jego piękną twarz. Chyba nie zrozumiała go dobrze.

Jego zielone oczy rozjaśnił uśmiech. Pomachał ręką przed jej oczami.

- Słyszałaś mnie?

Caroline zamrugła, jakby budząc się z transu.

- Powiedziałaś, że dziecko nie jest twoje?

Skinął głową. Przeszła kilka kroków, rozważając tę informację, i wróciła do niego.

- Jeśli dziecko nie jest twoje, w takim razie czyje?

Zaśmiał się i spojrzał ku niebu.

- No, zaczyna do niej wreszcie dochodzić. - Uśmiechnął się. - Dziecko jest jej męża.

Dopiero po chwili dotarło do niej znaczenie jego słów.

- To ona już jest mężatką? Nie jestem pewna, czy dobrze rozumiałam.

- Nie dziwi mnie to. Mnie również trzeba było dwa razy powtarzać całą historię, zanim wszystko zrozumiałem. Chodzi o to, że kilka miesięcy temu lady Lena poślubiła potajemnie młodego oficera. Rzecz jasna, uczyniła to bez zgody rodziców, ale małżeństwo zostało skonsumowane. Oczywiście rodzice nie wiedzą o dziecku, jeszcze nie wiedzą.

- W takim razie nie możesz jej poślubić. - Caroline powoli wszystko zaczynała pojmować.

- Lady Lena zwolni mnie z danego słowa - powiedział, przytulając Caroline i szepcząc: - Mogę więc poślubić kobietę, którą kocham.

Najpierw wydawało jej się, że nie rozumiała go dobrze... a potem poczuła, jakby niebo rozwarło się nad nią i spełniło jej jedyne życzenie. Dzień nie wydawał się już zimny, ale świeży i pełen możliwości. Roześmiała się, czując się lekka i szczęśliwa, jak jeszcze nigdy w życiu. Miała ochotę zatańczyć, tu w zaułku.

Przyszła jej do głowy pewna myśl.

- W takim razie, dlaczego wniosłeś ją na rękach do mojego domu?

- Jesteś podejrzliwa? - Uśmiechnął się. - Jechała z nami na podłodze powozu i zdrętwiała jej noga. Tak ją bolała, że nie mogła chodzić, więc zaniósłem ją, ponieważ nie mogłem się doczekać, kiedy

przekażę ci dobre nowiny.

- Ale ona patrzyła na ciebie jak na wybawiciela.

- Bo tak jest. Obiecałem, że dopilnuję, by ona i jej mąż byli razem. Daniel już udał się do Ministerstwa Wojny, by to załatwić. Jestem pewien, że kapitan Sampson nadal jest w Londynie. Jeszcze dzisiaj Daniel uda się ze mną do hrabiego i hrabiny Lavenham, by powiadomić ich o wszystkich sprawach.

- Jeszcze o nich nie wiesz?

- Hrabiego Lavenhama i ojca Sampsona, księcia Allvery, dzieli waśń, trwająca już od kilku pokoleń. Jestem jednak pewien, że do wieczora uzyskamy zezwolenie Lavenhama.

- Jak masz zamiar to zrobić?

- Potrafię być przekonujący. - Zaciśnął wokół niej ramiona tak, że ich ciała przylgnęły do siebie.

Czuła jego serce. Odchyliwszy głowę, oparła brodę na jego piersi i spojrzała mu w twarz, w roześmiane, zielone oczy przepelnione miłością.

- Caroline, czy zechcesz mnie poślubić?

Tak! Pragnęło wykrzyczeć jej serce, ale głęboki strach kazał jej powiedzieć co innego.

- Nie, James. Nie możemy.

- Dlaczego? - Zmarszczył brwi.

- Ponieważ nie mogę mieć dzieci.

- Caroline, to, czy będziemy mieć dzieci, zależy jedynie od Boga, nie od nas. Nie odmawiaj mi z przyczyn, na które nie mamy żadnego wpływu. Nie chcę bez ciebie żyć.

- Ale, James...

Przerwał jej protest pocałunkiem. Całował powoli, głęboko i namiętnie, aż Caroline poczuła, że nie może utrzymać się na nogach.

Przerwali, by zaczerpnąć powietrza.

- Przekonałem cię już, że powinnaś zostać moja żoną, czy mam jeszcze powtórzyć pocałunek?

- Tak! - zawołała obejmując go z całej siły. - Tak, zostanę twoją żoną... tak, pocałuj mnie jeszcze.

# Epilog

Hrabia Lavenham i księżę Allvery nie zgodzili się dla dobra swych dzieci przerwać dzielącej ich rody waśni.

Nie miało to żadnego znaczenia.

Kapitan Sampson ucieszył się na wieść o tym, że zostanie ojcem.

James polubił go natychmiast i zaproponował, że pomoże młodej parze, jak tylko będzie mógł. Obydwoje zdecydowali, że skoro nie mają pozwolenia rodziców, lepiej będzie, jeśli pojadą jako małżeństwo do Indii. James miał kilka posiadłości położonych niedaleko kwater zajmowanych przez wojsko w pobliżu Kalkuty i podarował im jedną w prezencie ślubnym.

Caroline otrzymała od niego akt własności domu. James chciał poślubić ją z całą pompą i ceremoniami, na jakie mógł sobie pozwolić dzięki swoim pieniądзом, lecz przekonała go, że woli mniej okazały ślub. Zgodził się, przekazując ogromną sumę pieniędzy na cele charytatywne, by zaimponować paniom działającym w kółku przy kościele Świętego Marka. Darowizna była tak wysoka, że lady Dirnhurst niemal pękła z zazdrości, tym bardziej że niektóre członkinie kółka zaczęły przebąkiwać, że może nadszedł już czas, by ustąpiła z funkcji i puściła na swe miejsce kogoś nowego... na przykład Caroline Ferrington. Wielebny Tilton napisał list z podziękowaniem za darowiznę, ale oznajmił, że, niestety, nie może być na ich ślubie, ponieważ w tym czasie będzie przebywał poza miastem.

Również Lucinda Pearson, teściowa Caroline, odmówiła przybycia.

Reszta gości nie zawiodła. Ślub stał się wydarzeniem następnego roku.

Tak więc dwudziestego czwartego stycznia 1814 roku Caroline i James złożyli przysięgę małżeńską w kościele pod wezwaniem Świętego Marka. Ich świadkiem był Daniel Harvey. Panna młoda była

piękna i bardzo wzruszona, pan młody niespokojny i przepełniony dumą... czyli tak, jak powinno być na ślubie, co zgodnie oświadczyli wszyscy przybyli na uroczystość.

Oczywiście, goście mówili między sobą o tym, że przyjęcie zostało zorganizowane przez niesławną baronową de Severin-Fortier. To był jej podarunek ślubny dla panny młodej. Kilkoro ludzi rozpoznało u jej boku Minervę Pearson. Zastanawiano się, czy to ta sama Minerva Pearson, której kiedyś wyrzekła się rodzina. A może to Freddie został wydziedziczony? Wielu doszło do wniosku, że musiał to być Freddie, który umknął z Londynu, by uniknąć wierzycieli.

Inną osobą, która wzbudziła zainteresowanie zebranych, była pani Violetta Mills, stojąca obok lady Mary Dorchester, żony świętej pamięci "szalonego" Wilhelma Dorchestera. Pani Mills wyglądała tak niepozornie, że trudno było uwierzyć w prawdziwość plotek, które na jej temat powtarzano.

Natomiast dobrze było znów zobaczyć lady Mary, chociaż przespała ona prawie całą ceremonię. Tak naprawdę goście zdumieni się dopiero wtedy, gdy po ceremonii ślubnej powóz Jamesa Ferringtona skręcił w złym kierunku. Reszta woźniców zwołniała, niepewna, czy jechać za nim, czy prosto do domu baronowej.

Charlotte rozwiązała ten problem. Razem z Minervą wychyliły się przez okno i dały znak gościom, by podążali za nimi. Ponieważ obie panie nie przejmowały się faktem, że młoda para pojechała w złym kierunku, goście zdecydowali, że oni również nie będą się tym kłopotać. Wkrótce wszyscy popijali mrożonego szampana w wielkim uroczym domu baronowej.

Zdążyli już uraczyć się kilkoma kieliszkami, zanim wrócili po godzinie przepełnieni miłością państwo młodzi. Kilka osób zaniepokoiło się stanem panny młodej, ponieważ miała bardzo zarumienione policzki.

Ktoś spytał Minervę Pearson, czy to nie z powodu jakiejś wysypki.

- To nie wysypka - powiedziała Minerva, podając baronowej, lady Mary i pani Mills szampana roznoszonego przez lokaja. - To z powodu męskiego zarostu.

Przyjaciółki stuknęły się kieliszkami.

Nikt z obecnych na ślubie nie zdziwił się, kiedy dziewięć miesięcy później, dokładnie co do dnia, James i Caroline zostali dumnymi rodzicami zdrowej dziewczynki. Nazwali ją Diana, po greckiej bogini księżycy. Nie było rodziców, którzy bardziej od nich radowaliby się narodzinami dziecka.